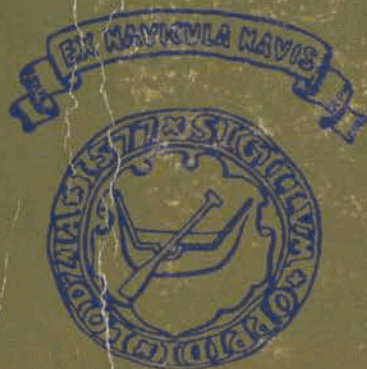


kronik kronik  
kronik kronik  
kronika kronik  
kronika

MIASTA ŁODZI



Zeszyt 1/2 '99

Zarząd Miasta Łodzi  
1999

Dar p. E. Szustre



I-97270 | 2000



EX LIBRIS  
WOJEWÓDZKIEJ I MIEJSKIEJ  
BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ  
IM. MARSZAŁKA  
JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO  
W ŁODZI

P. No. C. 1130

# **Kronika Miasta Łodzi**

**1-2/99**

**Łódź 1999**

## Rada Programowa

Przewodniczący: Grzegorz Matuszak  
Członkowie: Mirosław Borusiewicz, Ryszard Czubaczyński,  
Henryk Kluba, Stanisław Liszewski, Paweł Samuś

## Zespół Redakcyjny

Marcin Kępiński, Edward Müller, Bogusław Sikorski, Jerzy Wilmański

## Projekt okładki

Bogumił Łukaszewski

ISSN 1231-5354  
Zarząd Miasta Łodzi  
1999



*Szanowni Łodzianie, Drodzy Czytelnicy!*

*Oddajemy do rąk Państwa kolejny numer Kroniki Miasta Łodzi. Nowy numer jest pewną kontynuacją jej poprzednich wydań.*

*Prezentujemy w nim karty historii miasta oraz jej współczesność. Historia Łodzi została już zapisana. Dzień dzisiejszy tworzymy.*

*Moim marzeniem jest miasto przyjazne ludziom w nim żyjącym, bezpieczne i zdrowe. By każdy mógł znaleźć tu pracę i swoje miejsce dla lepszego życia. Taka marzy mi się Łódź.*

*Łódź, grudzień 1999 roku*

*Tadeusz Matusiak*

*Prezydent Miasta Łodzi*



*Szanowni Państwo,*

*Drodzy Łodzianie, Czytelnicy „Kroniki”,*

*Od lat, już przez trzecią kadencję łódzkiego samorządu „Kronika Miasta Łodzi” dokumentuje ważne wydarzenia aktualne oraz znaczące dokonania z przeszłości w zakresie sztuki, kultury, gospodarki i życia społecznego w naszym mieście. Zgodne z wolą wyborców zmieniają się władze Łodzi, a „Kronika” niezmiennie trwa, chroniąc od zapomnienia ludzi i fakty zasługujące na odnotowanie i utrwalenie w pamięci łodżian.*

*Oddając do rąk Państwa kolejny, podwójny numer „Kroniki” z 1999 roku pozwalam sobie na wyrażenie nadziei, że spotka się z życzliwym zainteresowaniem wszystkich, którym bliskie i drogie są łódzkie sprawy. Czytelnikom życzę satysfakcjonującej lektury, a Redakcji znakomitych publikacji w następnych tomach. Niech „Kronika” dobrze służy tradycji i teraźniejszości naszego miasta, niech służy naszej małej ojczyźnie – Łodzi.*

*Grzegorz Matuszak  
Przewodniczący Rady Miejskiej  
w Łodzi*

## Pauperyzacja środowiska akademickiego

*Rozmowa z prof. dr hab. STANISŁAWEM LISZEWSKIM, rektorem Uniwersytetu Łódzkiego, przewodniczącym konferencji Rektorów Szkół Wyższych Łodzi, prezesem Łódzkiego Towarzystwa Naukowego*

– Panie rektorze, w swym wystąpieniu podczas uroczystości w UE z okazji Dnia Edukacji Narodowej, w bardzo ostrych słowach skrytykował Pan politykę państwa wobec szkolnictwa wyższego, a szczególnie chroniczne niedofinansowanie uczelni, które sprawia, że gdyby nie opłaty za naukę, wnoszone przez słuchaczy studiów zaocznych i wieczorowych, wszystkie polskie uniwersytety musiałyby już dziś ogłosić upadłość. Jak w tej sytuacji szkoły wyższe mogą w ogóle funkcjonować, planować długofalowe programy badawcze i kształcenia własnej kadry naukowo-dydaktycznej, określać limity przyjęć na pierwszy rok studiów i w ogóle prowadzić jakąkolwiek politykę rozwoju w perspektywie dłuższej niż jeden rok akademicki?

– W pana pytaniu kryje się część mojej odpowiedzi, dotyczy to „chronicznego niedofinansowania uczelni”. Jest to prawda, która szczególnie mocno dała znać o sobie w połowie 1999 roku, kiedy to Ministerstwo Edukacji Narodowej zaprzestało rytmicznego finansowania uczelni i to w podstawowym zakresie dotyczącym działalności dydaktycznej, co należy tłumaczyć brakiem pieniędzy na wynagrodzenia pracownicze. Powagę sytuacji uzmysławia fakt, iż Uniwersytet Łódzki, jak każdy pracodawca, obowiązany jest w terminie odprowadzić składki do ZUS, a każde opóźnienie grozi w konsekwencji regulaminowymi odsetkami. Niestety, ministerstwo nie płaci nam odsetek za opóźnienia wypłat, pozostawiając uczelnie w bardzo złej sytuacji.

Gdyby nawet ten przypadek uznać jedynie za incydent, to i tak niedofinansowanie uczelni państwowych jest długofalowym faktem, a niepewność legislacyjna powoduje, że rektor Uniwersytetu Łódzkiego nie jest dzisiaj pewny środków jakimi będzie mógł dysponować w 2000 roku. Ten stan prowadzi do ogromnej frustracji i powoduje, że sprawowanie tej szaczonej funkcji staje się dziś bardzo niebezpieczne, zwłaszcza dla zdrowia.

Świadomie nie chcę w tym wywiadzie podawać wysokości poborów różnych grup pracowników Uniwersytetu Łódzkiego, bowiem powszechnie wiadomo, że są one bardzo niskie i w żadnym wypadku nie odpowiadają, ani kwalifikacjom zawodowym, ani randze wykonywanych przez pracowników akademickich zadań. Pauperyzacja środowiska akademickiego, prowadzi do

wieloletowości wśród nauczycieli akademickich, czego konsekwencją jest obniżenie poziomu kształcenia i upadek polskiej uczelni.

Sądzę, że zasygnalizowane tu tylko problemy upoważniają mnie do wyrażenia niezadowolenia w stosunku do polityki państwa wobec państwowego przecież szkolnictwa wyższego.

– W tym samym przemówieniu stwierdził pan, że „...losy uczelni wyższych, wbrew deklaracjom rządzących, nie są tak istotne, jak osiągnięcie doraźnych celów politycznych.” Czy miało to oznaczać, że w zależności od sytuacji „gra” się szkołami wyższymi dla zbijania politycznego kapitału składając obietnice bez pokrycia lub puste deklaracje mające wyciszyć emocje coraz bardziej sfrustrowanego środowiska akademickiego?

– Nie, nie uważam, że politycy „grają” szkołami wyższymi. Uważam, że ta sfera działalności jest w Polsce niedoceniana i to niemal jednakowo przez wszystkie opcje polityczne. Nie znam priorytetów strategicznych Państwa na dalsze lata poza hasłowo podawanym „wejściem do Europy”, ale uważam, że w ślad za bardzo słusznym dążeniem do podniesienia poziomu społeczeństwa polskiego, co ma się wyrażać zwiększeniem liczby ludności z wyższym wykształceniem, nie poszły odpowiednie środki finansowe, zwiększenie inwestycji. Nie można przy udziale takiej samej kadry, w tych samych salach wykładowych i laboratoriach i przy użyciu tych samych środków finansowych wykształcić trzy razy więcej Polaków, bo o tyle zwiększyła się liczba studiujących w ostatnich 10 latach. To jest niemożliwe, a efekty są już wyraźnie widoczne w obniżeniu poziomu kończących studia, upadku badań podstawowych i braku rozwoju kadry naukowej, która źle opłacana w uczelniach państwowych szuka dodatkowych pieniędzy, co musi się odbić negatywnie na karierach naukowych.

Uważam, że popełnia się w Polsce wielki błąd strategiczny nie inwestując w szkolnictwo wyższe i naukę, które mogłyby się stać naszym bogactwem narodowym tym cenniejszym, że intelektualnym, czyli niewyczerpalnym. To miałem na myśli mówiąc, że „losy uczelni wyższych, wbrew deklaracjom rządzących, nie są dla nich tak istotne, jak osiągnięcie doraźnych celów politycznych”. Wyrażam niezadowolenie wobec niedostrzegania przez rządzących szansy, jaką stwarza inwestowanie w polskie wyższe uczelnie i placówki naukowe. Wiele dobrze dziś rozwiniętych państw znacznie wcześniej zrozumiało to, uzyskując znakomite rezultaty. Wydaje się, a nawet jestem tego pewien, że inwestowanie w naukę i szkolnictwo wyższe przysparza krajowi znacznie większych korzyści, również materialnych, niż niejedna dziedzina gospodarki.

– Fatalna sytuacja ekonomiczna wyższych uczelni, co jest swego rodzaju paradoksem, nie idzie jakoś w parze z dużymi inwestycjami, zakończonymi lub realizowanymi w Uniwersytecie Łódzkim. Ostatnio przekazano uczelni nowe gmachy dla biblioteki Wydziału Prawa i Administracji oraz Collegium Geographicum. Oddano też do użytku w całości kompleks obiektów Centrum Wychowania Fizycznego i Sportu. Wreszcie kamienie węgielne wmurowano pod nową siedzibę



Filii UŁ w Tomaszowie Mazowieckim oraz Gmach Wydziału Zarządzania. W minionym roku Wydział Prawa i Administracji otrzymał piękną i znakomicie wyposażoną aulę, w której odbywają się co ważniejsze uniwersyteckie uroczystości. Skąd więc pieniądze na te inwestycje i czy inne łódzkie uczelnie są pod tym względem w równie szczęśliwej sytuacji?

– Obiekty, które udało się nam zbudować i oddać dla potrzeb młodzieży akademickiej naszej uczelni są wynikiem desperacji, samoobrony Uniwersytetu przed degradacją, a może nawet upadkiem. Zostały one wybudowane głównie ogromnym wysiłkiem finansowym i organizacyjnym pracowników naszej Uczelni, którzy prowadząc zajęcia dydaktyczne na studiach płatnych w naszym Uniwersytecie zapracowali pieniądze. Można je było wykorzystać przecież w różny sposób, np. na zwiększenie wynagrodzeń, a jednak zdecydowano przeznaczyć je na poprawę warunków lokalowych. Nie jest to nasza „fanaberia”, ale absolutnie potrzeba chwili, bowiem Uniwersytet Łódzki w odróżnieniu od naszych rówieśników czyli Uniwersytetu Marii Curie Skłodowskiej w Lublinie i Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, nie mówiąc już o starych Uniwersytetach w Krakowie, Wrocławiu, Warszawie i Poznaniu, nigdy nie otrzymał od władz rządzących tym krajem, ani w okresie PRL, ani obecnie środków na wybudowanie kampusu uniwersyteckiego z prawdziwego zdarzenia.

Dość powiedzieć, że przez 50 lat zbudowano od podstaw dla potrzeb Uniwersytetu Łódzkiego cztery (!!!) obiekty dla: biblioteki, fizyki, biologii i matematyki, a do tej pory rektorat jednego z największych uniwersytetów polskich mieści się w budynku administracyjnym łódzkich wodociągów! Jednocześnie należy pamiętać, że wypełniając naszą misję kształcimy dziś na różnych typach i kierunkach studiów około 35 tysięcy młodzieży, której trzeba zapewnić warunki lokalowe.

W tej sytuacji nie można było już dłużej czekać. Może warto ujawnić niektóre okoliczności powstania nowych obiektów Uniwersytetu Łódzkiego. Cztery z nich: biblioteka i aula dla Wydziału Prawa i Administracji, Collegium Geographicum oraz Studium Wychowania Fizycznego i Sportu to przebudowane obiekty przemysłowe lub gospodarcze, a budynek użytkowany przez Biologię (ochrona Środowiska) pierwotnie miał być stołówką. Nową inwestycją realizowaną przez kilkanaście lat ze środków MEN i UKFiT jest Centrum Wychowania Fizycznego i Sportowe Uniwersytetu Łódzkiego. Trzy lata trwały starania, aby wprowadzić do planu inwestycyjnego Ministerstwa nowy budynek dla Wydziału Zarządzania. Niestety nie mamy pewności, jak potoczą się dalsze losy tego obiektu i w jakiej wysokości będzie on finansowany centralnie. Inwestycja rozpoczęta w Tomaszowie Mazowieckim (kompleks auli) to ogromna zasługa władz samorządowych oraz grona entuzjastów projektu rozbudowy Filii Uniwersytetu Łódzkiego w tym mieście. Mimo ogromnych trudności finansowych i wielkiego bezrobocia zdecydowano się podjąć wysiłek finansowy, rozumiejąc rolę wyższej uczelni.

Z przykrością muszę jednak powiedzieć, iż mimo ogromnych kłopotów jakie nadal ma Uniwersytet Łódzki i mimo tego, że tak wielu naszych pracowników piastuje wysokie funkcje w państwowych urzędach centralnych, a także w samorządach, nie udało mi się do tej pory zdobyć większych środków inwestycyjnych, choćby tyle ile otrzymują Uniwersytety w Warszawie, Krakowie i Poznaniu. Czyżby nadal nad Łodzią wisiało fatum głębokiej prowincji i cieni stolicy? Kiedy wreszcie do naszego, biednego przecież miasta, popłynie większy strumień państwowych, czyli naszych (podatników) pieniędzy, aby Łódź mogła mieć obiekty akademickie godne nie tylko naszych ambicji ale naszej faktycznej pozycji na mapie naukowej Polski i Europy? Pytanie to zawieszam w próżni, choć można by wskazać konkretnych adresatów. Niestety, obawiam się, że w tym przypadku przysłowiowe jaskółki, za które można uznać nowe obiekty uniwersytetu również nie czynią prawdziwej wiosny inwestycyjnej.

– Z dużymi nadziejami społeczność naszych uczelni oczekiwała na zapowiadaną od dawna nową ustawę „Prawo o szkolnictwie wyższym”. Tymczasem kolejnej jej wersji, łącznie z ostatnim projektem resortu edukacji narodowej, spotykają się z druzgocącą krytyką środowiska akademickiego, w tym również łódzkiego. Jakie, zdaniem pana rektora, podstawowe i najistotniejsze mankamenty i niedociągnięcia ma ten projekt. Dlaczego i na ile, najogólniej rzecz ujmując, nie uwzględnia zgłaszanych od lat zasadniczych postulatów środowiska akademickiego?

– Ilość wypowiedzi i długość dyskusji nad projektem ustawy „Prawo o szkolnictwie wyższym”, obecnie diskutowana jest już chyba 7 wersja, wskazują na poważne kontrowersje. Nie wdając się w szczegóły tych dyskusji, które relacjonuje codzienna prasa, po wycofaniu się projektodawców ze zmian w sferze najogólniej rzecz ujmując stopni i tytułów naukowych, najbardziej dyskusyjne są trzy sprawy. Pierwsza dotyczy odpłatności za studia. Ścierają się dwa poglądy: jeden zakładający powszechne czesne (choć jest to inaczej nazywane), którym mieliby być objęci wszyscy studenci, niezależnie od formy i kierunków studiów i drugi, zgodnie z którym bezpłatnie może studiować w Polsce tylu młodych ludzi, dla ilu starczą skromne środki finansowe; po ich wyczerpaniu uczelnia mogłaby kształcić studentów za pełną odpłatnością.

Druga sprawa dotyczy wymiaru czasu pracy pracowników akademickich. Proponuje się zastąpienie obecnie obowiązującego pensum godzin dydaktycznych 30-godzinny tygodniem pracy, co uczyniłoby nauczycieli akademickich praktycznie urzędnikami. Należy zwrócić uwagę, że przeciwnicy tej koncepcji uważają (moim zdaniem słusznie), że pracy naukowej nie można zadekretować liczbą godzin rozliczanych tygodniowo. Praca twórcza nie może być porównywalna z pracą w zakładzie przemysłowym, urzędzie czy sklepie, ma ona inny charakter, wymaga innych warunków, a przede wszystkim nie można tworzyć pod presją limitów godzin.

Trzecia sprawa bulwersująca środowisko to wynagrodzenia za prace. Wszyscy się zgadzają, że płace na uczelniach są bardzo niskie i zupełnie nie

odpowiadają wysiłkowi intelektualnemu. Środowisko domaga się ustawowego zagwarantowania plac, które dawałoby szansę utrzymania określonego poziomu życia. Niestety, nie znajduje to zrozumienia u decydenta.

Mimo tych głównych i oczywiście wielu innych jeszcze kontrowersji prawdopodobnie do końca roku rozstrzygnięta zostanie sprawa przekazania lub nie projektu ustawy pod obrady rządu. Dalsze losy projektu ustawy trudno dziś przewidzieć.

– Wiem, że jest pan przeciwnikiem wprowadzenia odpłatności za studia wyższe, czemu daje pan konsekwentnie wyraz w publicznych wypowiedziach. Wydaje się jednak, że przy obecnym systemie finansowania uczelnie nie będą w stanie się utrzymać i przynajmniej częściowa odpłatność za studia dzienne zostanie jednak wprowadzona. Co w takim razie z równością szans i dostępem do nauki wszystkich młodych ludzi? Wiadomo przecież, że w niezbyt zamożnym społeczeństwie polskim tylko niewielu rodziców stać będzie na sfinansowanie studiów swych dzieci.

– Kolejny raz potwierdzam mój negatywny stosunek do odpłatności za studia w szkołach państwowych i dlatego jestem zwolennikiem drugiej z przedstawionych wyżej koncepcji zapisu ustawowego przy założeniu, że państwo znacznie zwiększy swój udział w finansowaniu państwowych szkół wyższych. Państwo powinno zagwarantować nie tylko zdolnym ale również średnio zdolnym, młodym ludziom studiowanie bezpłatne; to właśnie jest inwestycja w przyszłość Polski, a nie tylko prywatna sprawa każdego mieszkańca naszego kraju. Oczywiście, dobrze zorganizowany system stypendiów i kredytów powinien dać realną szansę studiowania mniej zamożnej części naszego społeczeństwa. Przeciwnicy moich poglądów często argumentują za możliwością wprowadzenia powszechnej odpłatności za studia faktem, że kilkaset tysięcy młodych ludzi płaci dziś w Polsce za swoje kształcenie, zarówno w szkołach państwowych, jak i w ponad 100 a może nawet 200 szkołach niepaństwowych i to niezależnie od poziomu tych szkół i otrzymywanej wiedzy. Jest to argument, który należy uwzględnić w tej dyskusji.

– Trudna sytuacja ekonomiczna uczelni wręcz zachęca, by nie powiedzieć zmusza je do zwiększenia liczby słuchaczy na płatnych studiach zaocznych i wieczorowych, wzrasta też z każdym rokiem limit przyjęć na studia dzienne. W Uniwersytecie Łódzkim niebawem kształcić się będzie 40 tys. osób, a więc znacznie więcej niż nie tak dawno jeszcze we wszystkich szkołach wyższych w Łodzi. W tej sytuacji coraz bardziej ograniczony jest bezpośredni kontakt studenta z samodzielnym pracownikiem naukowym, coraz trudniejszy dostęp do aparatury w laboratorium i książki w wydziałowej czy uczelnianej bibliotece. Niekiedy w długiej kolejce trzeba czekać na egzamin. Wszystko to nie wpływa z pewnością na jakość kształcenia i nie sprzyja otaczaniu szczególną opieką najbardziej utalentowanych studentów, którzy w naturalny sposób mogliby zasilić w przyszłości kadre nauczycieli akademickich. Na ile łódzkie szkoły wyższe dostrzegają ten problem i co ewentualnie robią, by jakość kształcenia utrzymać przynajmniej na poziomie europejskim, bo tylko w tych kategoriach można dziś oceniać studia w uczelniach typu akademickiego.

– Nie mogę wypowiadać się w tym miejscu w imieniu wszystkich szkół wyższych, mogę natomiast prezentować sytuację w Uniwersytecie Łódzkim. Tak jak to wcześniej mówiłem, ogromna liczba studentów przy minimalnej liczbie pracowników naukowo-dydaktycznych oraz brak pieniędzy nie tylko na godziwe pensje ale również na inwestycje, aparaturę itd. praktycznie doprowadziły do obniżenia poziomu studiów i to w większości szkół wyższych, co oczywiście nie jest pocieszające. Uniwersytet, jako uczelnię wielowydziałową, w różnym stopniu dotknąć może ten proces; najmniej jest on dziś jeszcze zauważalny na wydziałach eksperymentalnych i kilku „elitarnych” kierunkach. Wyjściem z tej trudnej sytuacji wydaje się być trójstopniowość kształcenia, to znaczy: licencjat, magisterium i doktorat. System ten może gwarantować z jednej strony uzyskanie wykształcenia wyższego (licencjat) przez dużą grupę młodzieży, z drugiej zaś jest szansą na wyłanianie najzdolniejszych dla których są przewidziane studia doktoranckie. Przyjęte przez Senat UŁ w październiku tego roku założenia polityki kadrowej, gwarantują, pod pewnymi warunkami, tym absolwentom studiów doktoranckich, którzy w terminie 4 lat zdobędą pierwszy stopień naukowy – doktora zatrudnienie w naszej uczelni. Tak więc system wyłaniania najzdolniejszej młodzieży został w Uniwersytecie Łódzkim wypracowany i przyjęty. Niestety nie możemy zagwarantować młodemu, zdolnemu i rozbudzonemu intelektualnie doktorowi pensji, która pozwalałaby mu dalej uprawiać naukę i rozwijać się i to jest tragedia a nawet zapaść polskiej nauki, której nie chcą lub nie mogą zrozumieć od lat decydenci w tym kraju.

Mówiąc o trójstopniowym systemie kształcenia należy jednak rozważyć, że nie na wszystkich wydziałach może on zostać wprowadzony. Przykładem może tu być prawo, na którym licencjat nie ma racji bytu, bowiem ktoś po „licencjacie z prawa” nie ma szans na podjęcie pracy w tym zawodzie.

– W 1995 roku pod auspicjami Łódzkiego Towarzystwa Naukowego powstało opracowanie pod nazwą *Oferta programowa środowiska akademickiego Łodzi na rzecz miasta i regionu Polski Środkowej*. Zawiera ono bardzo konkretne, godne uwagi propozycje tematów prac badawczych wszystkich państwowych łódzkich szkół wyższych oraz Oddziału Łódzkiego Polskiej Akademii Nauk z różnych dziedzin, a użytecznych dla miasta i regionu. Czy ktokolwiek odpowiedział na propozycję ŁTN i zainteresował się ofertą środowiska akademickiego. Mam tu na myśli głównie władze Łodzi i regionu?

– Osobiście uważam, że oferta ŁTN o której Pan wspomina miała swój dalszy ciąg, za który uważam podpisanie w 1996 roku porozumienia między Prezydentem Miasta Łodzi, Konferencją Rektorów łódzkich uczelni państwowych, Oddziałem łódzkim PAN, oraz Łódzkim Towarzystwem Naukowym. Porozumienie to zaowocowało powołaniem odpowiedniej rady przy prezydencie Miasta, w której zasiadają przedstawiciele wszystkich sygnatariuszy wspomnianego porozumienia. Rada ta, która zainaugurowała w październiku tego roku drugą swoją kadencję, mając do dyspozycji środki finansowe przyznane przez samorząd łódzki organizuje konkursy na granty badawcze i stypendia

naukowe dla studentów i młodych pracowników, podejmuje również inne inicjatywy z myślą o wykorzystaniu potencjału naukowego naszego środowiska dla potrzeb miasta. Osobiście uważam, że zarówno inicjatywa uruchomienia takiej formy współpracy miasta ze środowiskiem jak i jej dotychczasowa realizacja sprawdza się. Nie oznacza to jednak, iż nie można by tego rozszerzyć, zarówno merytorycznie jak i finansowo. Mówiłem o tym na kolejnych dwóch inauguracjach środowiskowych nowego roku akademickiego w Łodzi w 1998 i 1999 roku. Wspomniałem również wcześniej o wspaniałej inicjatywie władz samorządowych Tomaszowa Mazowieckiego. Myślę, że wszystko jest jeszcze przed nami. Ważne aby nie doszło do stanu, który poeta wyartykułował w słowach „jeno oni nie chcą chcieć”.

– O ile się orientuję zarówno władze samorządowe, jak i państwowe Łodzi nie mają jasno sprecyzowanej i klarownej koncepcji korzystania z doradztwa naukowego i opinii uczonych w sprawie podejmowania ważnych, strategicznych dla rozwoju miasta i regionu decyzji. ŁTN, skupiające blisko 350 profesorów wszystkich szkół wyższych Łodzi i OŁ PAN ma w tej kwestii zapewne wiele do zaoferowania. Pozostaje tylko pytanie, na ile łódzkie władze są gotowe do tego rodzaju współpracy i czy w ogóle dostrzegają taką potrzebę?

– Jedną z form współpracy środowiska naukowego z miastem, czy doradztwa, przedstawiłem wcześniej. W tym miejscu chcę wspomnieć o innej, nowej inicjatywie, z jaką występuje obecnie Łódzkie Towarzystwo Naukowe. ŁTN – zmuszone opuścić dotychczasowy swój lokal – otrzymało od Uniwersytetu Łódzkiego wspaniały dar, wydzierżawienie pałacyku przy ul. Skłodowskiej-Curie. Zabiegamy wszędzie, gdzie tylko jest to możliwe, w tym również u władz samorządowych Łodzi i województwa, o środki na wyremontowanie i godne urządzenie tej nowej siedziby. Liczymy na to, że obiekt Łódzkiego Towarzystwa Naukowego stanie się miejscem dyskusji środowisk naukowych, samorządowych i rządowych nad aktualnymi problemami miasta i regionu. W tym celu zamierzamy zorganizować cykliczne spotkania poświęcone wspólnym problemom społecznym i gospodarczym Łodzi. W obiekcie tym towarzystwo uruchomi również pracownię badań nad miastem i regionem oraz redakcję encyklopedii Łodzi i słownika województwa łódzkiego. Jest to nowa oferta, którą środowisko naukowe skupione w ŁTN przedkłada władzom Łodzi a także społeczności naszego miasta i regionu.

– Jak pan rektor ocenia powstawanie coraz liczniejszych szkół prywatnych dodających sobie przymiotnik „wyższa”, często zresztą na wyrost. Z pewnością miną jeszcze całe lata zanim niektóre z nich, przypuszczam, że nieliczne dopracują się własnej kadry profesorskiej, odpowiedniej bazy materialnej, z całym zapleczem dydaktycznym, oraz podejmą badania naukowe na światowym poziomie. Pod tym względem nie są jeszcze w stanie „zagrozić” uczelniom państwowym i długo nie będą. Niemniej już stwarzają konkurencyjną ofertę edukacyjną. Nie obawia się pan rektor, że szkoły prywatne mogą w istotny sposób zmniejszyć liczbę kandydatów na studia w uczelniach państwowych?

– Zaczynając odpowiedź od końca: nie obawiam się konkurencyjności szkół prywatnych, jestem bowiem przekonany, że już teraz pracodawcy chcą przyjmować młodzież dobrze wykształconą, a nie tylko posiadającą dyplom. Nie będę tu przypominał, jaka jest różnica między uczelniami akademickimi a powstającymi od kilku lat w Polsce szkołami wyższymi. W jednym z niedawno udzielonych wywiadów porównałem tę różnicę, używając terminologii sportowej. Uniwersytety mają się dziś tak do wyższych szkół niepaństwowych, jak drużyny pierwszej ligi do zespołów grających w trzeciej lidze piłkarskiej i to niezależnie od tego ile drużyn liczy trzecia liga. Chcę być dobrze zrozumiany, ja nikogo nie mam zamiaru obrażać ani dyskutować, czy są potrzebne szkoły niepaństwowe. Trzeba jednak mieć świadomość, że zbudowanie uczelni uniwersyteckiej wymaga wielu lat lub bardzo dużych, wręcz niewyobrażalnych w polskich warunkach, pieniędzy. Szkoła typu akademickiego musi bowiem prowadzić własne badania naukowe, i to na poziomie światowym, inaczej przestaje być uczelnią akademicką.

Szkoły niepaństwowe są odpowiedzią na ogromne zapotrzebowanie młodzieży na naukę, ale ich istnienie wywołane zostało również formalnymi utrudnieniami, jakie w zakresie rozprzestrzeniania się szkół państwowych tworzy obecnie istniejące prawo. Jest to pewien paradoks, że silne kadrowo i stojące na wysokim poziomie szkoły państwowe muszą spełniać bardzo wygórowane wymogi kadrowe (i inne), aby mogły utworzyć swoje filie poza stałą siedzibą, co zupełnie nie obowiązuje szkół niepaństwowych. Wyrażam obawy, aby szkolnictwo wyższe nie stało się dziś w Polsce wyłącznie biznesem; niekiedy mam powody do niepokoju, że moje przypuszczenia realizują się już, i to na dużą skalę, w tym kraju.

– Środowisko akademickie jakoś nie może w spektakularny sposób zaistnieć w Łodzi. Trudno jest utworzyć silne lobby uczelniane, które mogłoby stanowić liczącą się siłę w rozmowach i negocjacjach z władzami samorządowymi i państwowymi w sprawach najistotniejszych dla szkolnictwa wyższego i polskiej nauki. Środowisk uczelnianych nie są w stanie zjednoczyć nawet juvenalia, które nie mają ogólnolódzkiego charakteru i organizowane są przez uniwersytet wspólnie z Akademią Medyczną i oddzielnie przez politechnikę. Każda uczelnia żyje swoim życiem i trudno jest w Łodzi skupić wysiłki całego środowiska akademickiego wokół jakiegokolwiek idei, co jest ogromną słabością. Jako przewodniczący Konferencji Rektorów Szkół Wyższych Łodzi i wieloletni prezes Łódzkiego Towarzystwa Naukowego znany jest pan z wielu inicjatyw i działań zmierzających do integracji wszystkich placówek i ludzi łódzkiej nauki. czy te wysiłki przynoszą jakieś efekty i czy znajduje pan zrozumienie i wsparcie dla tego rodzaju poczynań w samym środowisku akademickim?

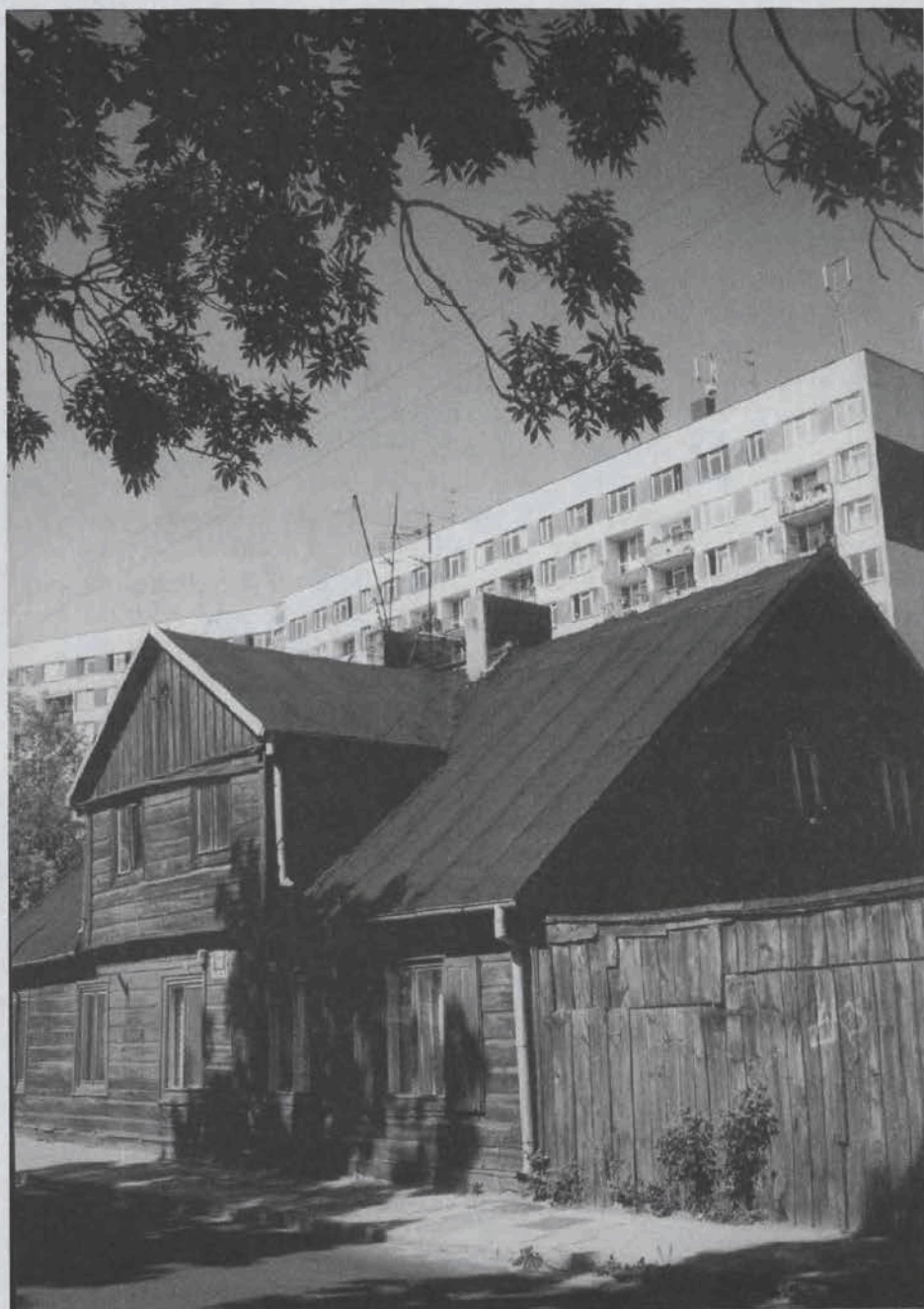
– Z dużą satysfakcją mogę powiedzieć, że moja współpraca z kolegami rektorami w poprzedniej kadencji, a obecnie z koleżanką i kolegami rektorami w drugiej mojej kadencji, układa się bardzo dobrze. Istnieje w naszym środowisku głębokie przekonanie, że nadejdzie czas, aby po 55 latach istnienia w

Lodzi szkół akademickich jeszcze bardziej zjednoczyć nasze działania na rzecz całego środowiska. Proszę jednak pamiętać, że historia, choć niezbyt jeszcze długa raczej dzieliła niż łączyła środowiska akademickie; choćby dlatego, że różne szkoły podlegają różnym resortom ale również dlatego, że każda z naszych szkół ma swoją specjalizację i specyfikę. Nie należy również zapomnieć o indywidualnościach tworzących czy powstających w naszych uczelniach, które wycisnęły piętno, nie zawsze pozytywne, na integracji łódzkiego środowiska akademickiego.

Łódź nadal nie jest miastem przyjaznym dla środowisk intelektualnych, a bliskość Warszawy bardzo utrudnia wykształcenie pewnej odrębności, jak ma to miejsce w Krakowie, Poznaniu, a także w Lublinie czy Toruniu. Konieczne do tego jest zrozumienie zarówno samego środowiska naukowego, które jest bardzo wrażliwe na otoczenie, jak i władz Łodzi, że tylko symbioza i obopólna pomoc może przezwyciężyć marazm i trudności, w jakich znalazło się miasto od kilkunastu lat. Środowisko może mieć swoje miejsce w życiu miasta i to zarówno w życiu społecznym, jak i dosłownie w przestrzeni miasta. Zrobię wszystko co w mojej mocy, aby miejscem takim stała się siedziba Łódzkiego Towarzystwa Naukowego, które nie tylko jest starsze od państwowych uczelni Łodzi (założone zostało w 1936 roku) ale również przez dotychczasową swoją działalność postrzegane jest jako integrujące środowisko akademickie naszego miasta.

Jestem optymistą i wierzę, że społeczeństwo Łodzi uzna wyższe uczelnie za swoje i będzie z nich dumne, a środowisko naukowe odegra znaczącą rolę w życiu miasta i pomoże mu przezwyciężyć, jak sądzę chwilowe, kłopoty.

*Rozmawiał: Stanisław Bąkiewicz*



*Foto: Adam Slowikowski*



Lucjusz Włodkowski

## Dzieje łódzkich mediów

Kto w sylwestrowy wieczór, pijąc toast za rozpoczynający się XX wiek, mógł przypuszczać, że przyniesie on dwie wojny światowe, podział świata na zwalczające się obozy, zimną wojnę, lokalne wojny w Afryce i Azji, konflikt na Bałkanach, rozwój komunikacji samochodowej i lotniczej, nowe rodzaje broni, gazy bojowe, bombę atomową, inteligentne rakiety i pociski, broń bakteriologiczną, rozwój radia i telewizji, komputery, telefony komórkowe, lądowanie człowieka na Księżycu, sondy kosmiczne penetrujące Układ Słoneczny, lądowiki automatyczne na Wenus i Marsie, odkrycie planet krążących wokół krążących gwiazd...

Wszystkiego nie da się wymienić.

Wiek XX przyniósł też zagrożenie naturalnego środowiska, wojny plemienne i głód w Afryce, zagrożenie ludzi rakiem i wirusem HIV...

Ale wróćmy do początku XX wieku.

1. Łódź na początku naszego stulecia była miastem wielonarodowym. W 1892 roku – krótko przed nadejściem XX wieku – zbadano narodowość 1045 fabrycznych majstrów. Było wśród nich 675 Niemców, 247 Polaków, 41 Żydów, 40 Czechów, 17 Francuzów, 10 Szwajcarów, 7 Anglików, 3 Rosjan, 2 Belgów i po jednym Węgrze, Rumunie i Lotyszu. Siedmiuset z nich posługiwało się językiem polskim i rosyjskim, reszta nie znała ani jednego, ani drugiego. Jak zatem porozumiewali się z robotnikami, wśród których byli Polacy, Niemcy i Żydzi?

Czy dla wszystkich Nowy Rok nadszedł w jednakowym czasie? Katolicy i protestanci witali go 1 stycznia 1900 roku. Prawosławni – 12 dni później. Żydzi lata liczyli inaczej i Nowy Rok witali pod koniec września.

Ludzie dawno odkryli, że mimo występujących trudności, istnieje potrzeba wzajemnego porozumiewania się. Postęp cywilizacyjny wymaga szybkiej wymiany informacji. Pod koniec XIX wieku wzajemne komunikowanie się ułatwiał już telefon i telegraf. Połączenie telegraficzne do Łodzi poprowadzono w 1864 roku od stacji kolejowej w Rokicinach. Telefony założono w lipcu 1883 roku. Pierwsze międzymiastowe połączenie Łodzi z Warszawą uruchomiono w 1902 roku. Dla przemysłowców i handlowców było to nieocenione

udogodnienie. Telefon i telegraf ułatwiały porozumiewanie się z odbiorcami towarów i dostawcami surowców.

Podróżowanie koleją było kosztowne. Z Łodzi do Petersburga bilet I klasy kosztował 23 ruble, II – 13,80 rubla, w III – 9,20 rubla. Jechało się długo, choć wygodnie. Pociąg zatrzymywał się na dworcach, gdzie były restauracje, a posilających się do powrotu do wagonów wzywały dzwonki. Trzeci dzwonek odzywał się tuż przed odjazdem pociągu.

Porozumiewanie się przy pomocy telegrafu było tańsze i szybsze. Telegram wysyłany z Łodzi do Wenezueli kosztował 4,03 rubla, do Nowej Zelandii – 2,16, do Korei – 2,06 rubla. Z Nowym Jorkiem można było porozumiewać się za 75 kopiejek.

Telegraficznie można było też porozumieć się z pasażerem jadącego pociągu.

2. Wymyślony w 1840 roku przez Samuela F. B. Morse'a alfabet składający się z szeregu kresek i kropek odpowiadających poszczególnym literom alfabetu ułatwił rozwój telegrafu. Jego obsługa wymagała jednak dobrze wyszkolonych specjalistów – telegrafistów. Dlatego nie zarzucając stosowania alfabetu Morse'a szukano innych sposobów komunikowania się.

Prace nad maszyną do pisania trwały od 1714 roku, kiedy to Henri Mill otrzymał patent na tego rodzaju urządzenie. Maszyna jednak nie powstała. Zbudował ją dopiero w 1867 roku Duńczyk – H. R. Malling-Hansen. Stale udoskonalana znalazła zastosowanie w redakcjach i biurach.

Narodził się pomysł połączenia maszyny do pisania z telegrafem. Pierwsze próby czyniono w latach 1841-1852, ale dopiero aparat skonstruowany przez Amerykanina Davida E. Hughesa w 1855 roku dał podstawy dla powstania i używania dalekopisu. W USA dalekopis pojawił się w 1856 roku, w Europie – w 1862 r. Aparaty te zwano juzami. Jeszcze we wrześniu 1939 roku Naczelnny Wódz – marszałek Edward Rydz-Śmigły porozumiewał się z dowódcami walczących armii przy pomocy aparatów juzowych.

Dalekopisy instalowano w redakcjach agencji, gazet, radiu, telewizji, we wszelkiego rodzaju urzędach. W Łodzi hala dalekopisów była w drukarni prasowej przy ulicy Franciszka Żwirki, a po jej spaleniu się przy ulicy Jerzego. Później – po wybudowaniu nowej drukarni – przy ulicy Armii Czerwonej – dziś Józefa Piłsudskiego.

Rozwój elektroniki wyeliminował duże, ciężkie i hałaśliwe dalekopisy. Pod koniec XX wieku teksty przesyła się faxami – urządzeniami sprzężonymi z telefonem. Pozwala to przekazać tekst z dowolnego miejsca, pod warunkiem, że łączy je sprawna linia telefoniczna i w obu miejscach są faxy.

Teksty można również przekazywać za pośrednictwem Internetu. Sieć komputerowa pozwala szybko i sprawnie korzystać z serwisów Polskiej Agen-

cji Prasowej i innych. Dzięki podręcznym komputerom dziennikarze mogą bezpośrednio do redakcji przekazywać gotowe teksty.

3. Pojęcie komunikacji ma trzy znaczenia:

– jest to sposób przemieszczania się w przestrzeni, podróżowania po lądzie, wodzie i powietrzu;

– system ułatwiający poruszanie się wewnątrz budynków, osad czy miast, stąd mówi się o ciągach komunikacyjnych;

– sposób wymiany informacji, poglądów, myśli, treści artystycznych, religijnych i innych.

W XX wieku dokonał się niebywały rozwój sposobów wymiany informacji, myśli i idei, przy jednoczesnym występowaniu ograniczeń stosowanych przez cenzurę. Poglądy, myśli, informacje uznane za pożyteczne i pożądane można było rozpowszechniać bez ograniczeń, inne – uznane za szkodliwe z powodów państwowych, ideologicznych, religijnych lub obyczajowych – były zakazane lub bardzo ograniczane.

Potrzeba jednostronnego komunikowania się urzędu z obywatelami albo wzajemnego wewnątrz różnych środowisk ujawniła się dawno. Władca komunikował się z poddanymi, urząd przekazywał obywatelom nakazy i zakazy. Ludzi zwoływano przy pomocy bębna – rzadziej trąby – i odczytywano im rozporządzenia. W Łodzi herold miejski działał jeszcze w 1863 roku.

Dwa powody złożyły się na to, że w Łodzi pozbyto się herolda. Pierwszy – to rozwój miasta. Drugi – wprowadzenie po Powstaniu Styczniowym 1863 roku stanu wojennego. W Łodzi osiadł naczelnik wojenny – baron Aleksander von Broemsen. Pod koniec 1863 roku ustanowiono w mieście urząd policmajstra – został nim Jan Kaliński.

W sierpniu 1862 roku wpłynął do Rady Miejskiej w Łodzi wniosek o założenie miejscowej gazety. Amatorzy wiadomości pisanych czytali warszawskie gazety, które tu docierały. Być może dlatego miejscy rajcy uznali taki wniosek za zbędny i go odrzucili.

Pod koniec 1863 roku sytuacja zmieniła się. Władze stanu wojennego musiały szybko przekazywać mieszkańcom miasta zakazy i nakazy oraz informować o karach, jakie spotykały tych, którzy nie przestrzegali prawa. Z takiej potrzeby powstały „Łódzkie Ogłoszenia – Lodzer Anzeiger”. Pierwszy numer tego pisma ukazał się 2 grudnia 1863 roku. Pismo ukazywało się do 1865 roku, kiedy to ich wydawca Jan Petersilge zmienił tytuł na „Lodzer Zeitung – Gazeta Łódzka”.

O rozwoju prasy w Łodzi napisano sporo. Odnotujmy zatem, że na początku XX wieku w Łodzi ukazywały się:

– „Rozwój – Dziennik polityczny, przemysłowy, ekonomiczny, społeczny i literacki ilustrowany”, założony i redagowany przez Wiktora Czajewskiego;

– „Goniec Łódzki” – wydawany przez Henryka hrabiego Łubińskiego, a redagowany przez Romana Wierzcheyskiego;

– „Lodzer Zeitung” – wydawany i redagowany przez Jana Petersilge;  
– „Lodzer Tageblatt” – redagowany i wydawany przez Leopolda Zonera – była to najnowocześnie wyposażona niemiecka gazeta, znana w Europie, wychodziła do września 1939 roku.

Czyniono próby wydawania miesięczników i tygodników. Dr Seweryn Sterling redagował, wydawany przez Towarzystwa Lekarskie Prowincjonalne Królestwa Polskiego, miesięcznik „Czasopismo Lekarskie”. Antoni Mieszkowski redagował, a Ludwik Fiszer wydawał „Ognisko Rodzinne”, które zakończyło swój żywot na początku XX wieku. W tym czasie była próba nieudana wydawania tygodnika „Świat”.

Władze rosyjskie wydawały „Lodziński Listok”, redagowany przez Leopolda Zonera. Było to pismo urzędowe. Przestało wychodzić, gdy wojska rosyjskie w grudniu 1914 roku opuściły Łódź. Władze okupacyjne niemieckie początkowo w Łodzi, a później w Warszawie wydawały „Godzinę Polską” – powszechnie zwaną „gadziną polską”. W Łodzi władze okupacyjne wydawały do lutego 1915 roku urzędowe pismo – „Deutsche Lodzer Zeitung”.

W okresie rewolucji 1905 roku ukazywały się w Łodzi pisma nielegalne: „Robotnik Polski” – organ Narodowego Związku Robotników; „Do Walki” – organ Socjal-Demokracji Królestwa Polskiego i Litwy; „Lodzianin” – organ Polskiej Partii Socjalistycznej.

W Łodzi na przełomie XIX i XX wieku Józef Piłsudski wydrukował dwa numery (34 i 35) „Robotnika” – organu PPS.

Duchowni różnych wyznań na ogół kontaktują się z wiernymi podczas wygłaszanych kazań i w bezpośrednich rozmowach. Jest to niewystarczające. Słowo drukowane jest trwalsze, szerzej dociera do odbiorców – wiernych. Powstały czasopisma religijne:

– najstarszym był dwutygodnik, ukazujący się od 1914 roku – „Evangelisch-Lutherisches Kirchenblatt”;

– polski dwutygodnik „Głosy Kościelne w Sprawie Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego”;

– czeskie pismo „Česko-Ruske Listy”;

– tygodnik społeczno-katolicki „Przewodnik Katolicki”.

Pisma religijne wydawali też baptyści i mariawici. Żydzi również odczuwali potrzebę wzajemnego komunikowania się – tym bardziej, że wielu Żydów nie znało ani polskiego, ani rosyjskiego języka. W 1908 roku Emanuel Hamburgski założył „Lodzier Togblat”. Pismo – z przerwą na czas I wojny światowej – wychodziło do 1936 roku. Od 1911 roku ukazywał się „Lodzier Morgnblat” oraz „Lodzier Folksblat”. Prasa żydowska przestała ukazywać się od września 1939 roku. Odrodziła się po wojnie.

4. Dla prawidłowego funkcjonowania prasy potrzeba trzech rzeczy: pieniędzy, fachowców redagujących pismo oraz czytelników. Nie wystarcza sama potrzeba komunikowania się odczuwana przez środowiska, grupy, instytucje.

Pisma na ogół upadały z braku pieniędzy, ale czasem winę za upadek ponosili źle przygotowani redaktorzy. Niezależnie od tego, jaka zadziałała przyczyna, w rezultacie pismo po prostu nie miało czytelników.

Zdarzało się i tak, że pismo miało pieniądze, dobry zespół i czytelników, ale nie podobało się władzom i bywało zamykane. Tak było w 1892 roku z „Dziennikiem Łódzkim”, który zlikwidował piotrkowski gubernator Konstanty Miller, a w 1906 roku z „Gońcem Łódzkim” bronił bowiem łódzkich robotników. Wiosną 1939 roku zlikwidowano pismo humorystyczne „Wolna Myśl – Wolne Żarty” za... pornografię.

Wielokrotnie zdarzało się w Łodzi, że powstała inicjatywa wydawania pisma, ale ukazał się tylko jeden numer. Tak było z „Tańczącym Ogniem” w 1920 roku, ze „Słowem Obecności” – dodatkiem do „Solidarności Ziemi Łódzkiej” w 1981 roku, z „Realizmem-Kulturą-Nauką-Społeczeństwem”, wydawnictwem Krajowej Agencji Wydawniczej w 1983 roku, z „Okiem i Uchem” – inicjatywą wydawniczą Centrum Informacji Kulturalnej, czy z „Nowym” – magazynem „nie tylko kulturalnym” wydawanym przez Teatr Nowy.

Innym powiodło się lepiej. W 1928 roku ukazały się 3 numery „Meteora”, w 1936 – 3 numery „Budowy”, na przełomie 1938 i 1939 roku – dwa numery „Odnowy”, w 1988 roku zespół Łódzkiego Towarzystwa Kulturalnego wydał poza cenzurą 2 numery „Nike”. W 1992 roku ukazały się 3 numery „Ten-Tonu”.

Niektóre pisma miały więcej niż dwa lub trzy numery. W latach 1922-1924 nieregularnie ukazywał się „Tygodnik Łódzki”. „Osnowy Literackie” miały 6 numerów, „Wymiary” – 12, „Prądy” – 4, „Kultura Łodzi” – 5, tyle samo co „Łódź Literacka” w latach 1954-1955. „Miscellanea Łódzkie” w roku 1984 miały 6 numerów.

Z problemami finansowymi borykała się prasa, która w latach 1977-1989 ukazywała się poza cenzurą. Andrzej Janecki, badający dzieje „Kursu” – pisma od 1983 roku wydawanego i redagowanego w Łodzi przez Stanisława Michalkiewicza i Mariana Miszalskiego – uważa, że „pismo zarabiało na sobie i dostarczało niezbędnego kapitału dla wydawania książek. Redaktorzy nie korzystali z powszechnego w drugim obiegu dofinansowania, ponieważ nigdy im tego nie zaproponowano. Wyjątek stanowiła niewielka kwota przekazana piśmu przez Czesława Bieleckiego”.

W działalności wydawniczej sprawdza się zasada, że pisma popularne, sensacyjne, o dużym nakładzie utrzymują inne, elitarne, wydawane dla „honoru domu”. Taką praktykę stosują koncerty prasowe, powiązane na ogół z przemysłowym kapitałem.

„Rozwój” ukazywał się w Łodzi przez 34 lata, z przerwą w latach 1907-1909 i w czasie I wojny światowej. Wspomagany był przez łódzkich przemysłowców. U podstaw prasowego koncernu „Republika” leżały pieniądze przemysłu włókienniczego w Łodzi. Na czele grupy przemysłowców, którzy sfinansowali powstanie koncernu „Republika” stał Maurycy Poznański. On

oraz Marian Nusbaum-Oltaszewski (redaktor „Republiki”) i Władysław Polak (redaktor „Expressu Ilustrowanego”) kierowali koncernem do września 1939 roku.

Koncern „Republika” wydawał poza tytułowym pismem (od 1925 roku „Ilustrowana Republika”) „Express Ilustrowany”, który miał... 20 mutacji i rozchodził się w całej Polsce, „Co Tydzień Powieść”, „Karuzelę”, „Wędrowca”, „Ilustrację Łódzką”, „Republikę Dzieci”, „Rewię Mody” i inne.

Konkurencją dla „Republiki” był koncern Jana Stypułkowskiego „Kurier Łódzki”. Poza tytułowym dziennikiem (w latach 1919-1929 był to „Kurier Łódzki Ilustrowany”) koncern Jana Stypułkowskiego wydawał „Łódź w Ilustracji”, „Mały Kurier”, „Kurier Filmowy”, „Łódzkie Echo Wieczorne”, kalendarze i inne pozycje.

5. W PRL ze względów ideologicznych odżegnywano się od kapitalistycznych wzorów, ale w praktyce stosowano je z powodzeniem. Tak było w przypadku Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa”, która najpierw wchłonęła prasowe i książkowe wydawnictwa PPS, następnie poligrafię i kolportaż. Tak powstała RSW „Prasa-Książka-Ruch”. RSW dysponowała własnym transportem, magazynami papieru, przedsiębiorstwami produkującymi meble biurowe i kioski. Posiadała własne ośrodki wypoczynkowe, jak choćby ośrodek w Sulejowie administrowany przez Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW. Przed podziałem administracyjnym dokonany w 1975 roku (powstało wówczas 49 małych województw) w dużych województwach istniały oddziały terenowe. Po zmianie liczb województw oddziały utrzymały się i wydawały pisma redagowane w małych województwach: w przypadku Łodzi były to pisma wychodzące w Sieradzu, Skierniewicach, Piotrkowie Trybunalskim.

W Łodzi istniało Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Przez wiele lat „kurą znoszącą złote jaja” dla wydawnictwa był dwutygodnik satyryczny „Karuzela”. Założył go Leopold Beck, a po nim przez wiele lat prowadził pismo Wojciech Drygas. „Karuzela” sprzedawała się w całym kraju, a redakcja miała dobre kontakty z zagranicznymi satyrykami.

Rozwój Biura Ogłoszeń LWP, wzrost powierzchni gazet przeznaczonych na ogłoszenia, zainteresowanie przedsiębiorstw i czytelników ogłoszeniami, odebrało znaczenie dochodom „Karuzeli”, gazety zyskały finansową samodzielność i przynosiły zysk wydawnictwu.

Tygodnik „Odgłosy” od powstania w 1958 roku był pismem deficytowym. W czasach, gdy kierował nim Wiesław Jażdżyński miał podtytuł: „Tygodnik Społeczno-Kulturalny”. Charakter ten utrzymali: Jan Koprowski, Jerzy Wawrzak i Lucjusz Włodkowski.

Zmieniły się wszakże warunki. Nadszedł czas krytyczny dla pism społeczno-kulturalnych. Wiele z nich padło. Pojawiły się nowe o innym charakterze, jak na przykład poznański tygodnik „Wprost”. Poszukiwano nowej tema-



10671-A

tyki i większych dochodów, a te dawały ogłoszenia. Redakcja „Odgłosów” zatrudniła akwizytorów, którzy dostawali odpowiedni procent od pozyskanych sum. Pismo zaczęło przynosić niewielki zysk. Akwizytorzy jednak zarabiali więcej niż pracownicy Biura Ogłoszeń i pożyteczną inicjatywę utraciono.

Po 1989 roku zaczęto parcelować Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW, podobnie jak czyniono z całą RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Sprzedawano pisma i redakcje. W Łodzi sprzedano „Dziennik Łódzki” i „Express Ilustrowany”, które po różnych kolejach losu ostatecznie dostały się niemieckiemu koncernowi Neue Passauer Presse, który ma w swoich rękach 11 polskich dzienników wychodzących w dużych miastach wojewódzkich.

„Głos Robotniczy” zmienił nazwę na „Głos Poranny”. Zmieniono kierownictwo redakcji i linię programową. Gazeta dostała się w ręce grupy o poglądach prawicowo-chrześcijańskich. Straciła znaczną część czytelników i nie pozyskała nowych. Nastąpiła kolejna zmiana kierownictwa redakcji. Dominowały teraz wpływy SLD i PSL. Ale i ta zmiana nie uratowała gazety. „Głos Poranny” ostatecznie przestał wychodzić.

Początkowo likwidator Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego powierzył kierowanie „Karuzelą” Henrykowi Pawlakowi, później Dariuszowi Dorożyńskiemu, który do tej pory pracował w „Odgłosach”. Po upadku „Karuzeli” Dariusz Dorożyński próbował wydawać pismo satyryczne „Młyn”, również bez powodzenia.

W tym czasie w Łodzi pojawiły się nowe dzienniki: „Wiadomości Dnia” – początkowo finansowane przez „Westę” Janusza Baranowskiego i „Gazeta Łódzka” dodatek lokalny do „Gazety Wyborczej”. Najpierw redagowała gazetę Iwona Śledzińska-Katarasińska, a po niej Paweł Jędras. „Gazeta Łódzka” podobnie jak „Gazeta Wyborcza” obrasta dodatkami specjalistycznymi. W maju 1994 roku zaczął ukazywać się dodatek kulturalny „Verte”. Nie spotkał się z należytych przyjęciem czytelników i upadł. Wychodzą natomiast inne dodatki dotyczące handlu, budownictwa, turystyki. Prasowy byt gwarantują im ogłoszenia.

Były próby nieudane. Nie utrzymał się na łódzkim rynku „Kurier Ilustrowany”, „Nowy Świat z Piotrkowskiej” – łódzka mutacja z warszawskiego dziennika, przekształcona w „Świat z Piotrkowskiej”. Nie utrzymały się: „Łódzianin”, „Sport i Okolice”, „Tygodnik Socjaldemokratyczny”, „Bestseller”, „Ten-Ton”, „Widoki” – pismo wydawane w latach 1994-1995 przez Archidiecezjalne Wydawnictwo Łódzkie. Nie powiodła się też próba wydawania pisma satyrycznego „Szmata”, którą podjęli Janusz Wiczorek i Marek Koprowski.

Próbowano reaktywować „Odgłosy”. Kilka numerów wydała Dziennikarska Spółka Pracy „Odgłosy”, następnie sprzedała tytuł „Weście Druk” Mirosława Kulisia. Tygodnik nie utrzymał się na rynku. Mirosław Kuliś prawa do tytułu sprzedał dyrektorowi Muzeum Kinematografii – Antoniemu Szramowię. W listopadzie 1994 roku ukazał się pod redakcją Andrzeja Gruna numer 0 (zero) i „Odgłosy” przeszły definitywnie do historii.

Powodzeniem cieszy się „Gazeta Reklamowa” Marka Mamosa. Pismo drukuje jedynie płatne reklamy. Utrzymuje się na krajowym rynku prasowym „Agora” Mirosława Kulisia. Po przegranej procesie z wydawnictwem „Agora” – wydawcą „Gazety Wyborczej” – tytuł pisma zmieniono na „Angora”. Jest to „Przegląd-Antologia Prasy Krajowej”. Ukazuje się nie tylko w Polsce, ale również w Chicago, Sydney, Dortmundzie i Paryżu. Od początku istnienia tygodnik redaguje Piotr Różycki. „Angora” zamieszcza również teksty własne. Wśród felietonistów byli między innymi Tadeusz Drozda, Janusz Korwin-Mikke, Marek Sobczak, Antoni Szpak.

Od stycznia 1996 roku wychodzi Czasopismo kulturalne „Tygiel”, finansowane przez Urząd Miasta Łodzi.

6. Po tragicznych wydarzeniach z czerwca 1976 roku w Radomiu i Ursusie, kiedy oficjalna prasa, radio i telewizja, kontrolowane przez cenzurę, nie przedstawiały prawdziwego obrazu zająć, powstała konieczność stworzenia pism, które ukazywałyby się poza zasięgiem cenzury. Powstał drugi obieg. Jego początek datuje się na rok 1977.

W Łodzi w 1977 roku powstał pomysł wydawania poza zasięgiem cenzury „Pulsu”. Z czasem drukiem i wydawaniem zajęły się w Warszawie Niezależna Oficyna Wydawnicza i „Krań”. Po 13 grudnia 1981 roku „Puls” przeniesiono do Londynu. Wśród założycieli „Pulsu” byli Jacek Berezin, Witold Sułkowski i Tomasz Filipczak.

Drugi obieg miał trzy okresy: lata 1977-1980, 1980-1981 i 1981-1989. Pierwszy to okres przed powstaniem „Solidarności”. Drugi – to rozwój „Solidarności” do stanu wojennego. Trzeci – od stanu wojennego do upadku PRL. Pisma drugiego obiegu związane były z Komitetem Obrony Robotników bądź z Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela.

Łodzianie współpracowali z pismami wychodzącymi poza ich miastem. Józef Śreniowski pisywał do „Robotnika” i „Biuletynu Informacyjnego”. Paweł Spodenkiewicz współredagował w Krakowie „Indeks”. „Opinie” redagowane w Warszawie drukowane były w Łodzi. Zbigniew Sekulski zredagował dodatek do 7 numeru „Opinii” – „Opinię Łódzką”. Jacek Bartyzel współuczestniczył w wydawaniu czasopisma Ruchu Młodej Polski – „Bratniaka”.

W Łodzi wydawano redagowaną przez Elżbietę Lewińską i Mirosława Michalika „Kronikę Łódzką” oraz redagowany przez Andrzeja Ostoję-Owsianego „Aspekt”.

Po sierpniu 1980 roku nastąpił bujny rozkwit wszelkiego rodzaju literatury drugiego obiegu: gazetek, ulotek, plakatów, afiszy. Cenzura była bezsilna. W Łodzi najpierw ukazało się pismo Regionu Łódzkiego NSZZ „Solidarność” – „Jedność”, które następnie przekształcono w „Solidarność Ziemi Łódzkiej”. Pismem kierował Stefan Niesiołowski. W opozycji do tego pisma wychodziła „Solidarność z Gdańskiem” kierowana przez Tomasza Filipczaka, Witolda Sułkowskiego i Wojciecha Słodkowskiego.



Niezależne Zrzeszenie Studentów wydawało „Veto”. Było to pismo studentów Uniwersytetu Łódzkiego. Akademia Medyczna miała „Lożę”, Związek Młodych Demokratów – „Nowsze Drogi”. Wychodziły pisma zakładowe, biuletyny instytucji i organizacji. Szkoły wyższe i instytucje naukowe miały „Poglądy”, księgarnie – „Azet”, przemysł lekki – „Serwis Włóknarzy”. Były to pisma drukowane na powielaczach, maszynach małej poligrafii.

Wprowadzenie 13 grudnia 1981 roku stanu wojennego nie zahamowało działalności drugiego obiegu. Już na początku stycznia 1982 roku ukazały się: „Akcja Konspiracyjna”, „Nasz Głos”, „Solidarni – Wiadomości Wojenne”, „Solidarność Walcząca” i „Solidarność Ziemi Łódzkiej”.

Włodzimierz Domagalski – zajmujący się drugim obiegiem istniejącym w latach 1977-1989 – szacuje, zastrzegając, że mogą być to dane niepełne, iż w latach 1982-1983 w Łodzi ukazywało się poza cenzurą 46 czasopism, a w latach 1984-1989 – 74 i tylko 10 z nich było kontynuacją pism sprzed 13 grudnia 1981 roku.

7. Po 1989 roku w polskiej prasie zaszły zmiany nie tylko polityczne, ale również techniczne. Dopływ zagranicznego kapitału – niemieckiego, szwajcarskiego, norweskiego i innych – umożliwił zmodernizowanie wyposażenia redakcji i procesu powstawania czasopism. Do redakcji weszły komputery. Zastąpiły one maszyny do pisania oraz zmieniły technologię druku. Na komputerach przygotowuje się kolumny (strony) do druku. Przygotowane komputerowo czasopisma mogą być za pośrednictwem modemu przekazywane do drukarni.

Nastąpił dzięki temu rozwój prasy regionalnej. Ukazują się nie tylko pisma stowarzyszeń, związków, organizacji, ale miast i gmin. Swoje gazety posiada Piotrków Trybunalski, Sieradz, Skierniewice, Zduńska Wola, Wieluń, Kozłowski, Brzeziny, Aleksandrów Łódzki, Zgierz, Stryków, Kutno i inne.

Własne pismo wydawał Sejmik Województwa Łódzkiego – miesięcznik „Ziemia Łódzka”. Po zmianie struktury administracyjnej Polski i wyborach z 1998 roku nowy Sejmik Województwa Łódzkiego wydaje miesięcznik – „Region i My”.

Zmiany dokonane w polskiej prasie spowodowały ujemne skutki – zniknęły gazety o znacznej tradycji: „Sztandar Młodych”, „Kurier Polski”, „Express Wieczorny” i inne. Przestał ukazywać się miesięcznik stowarzyszeń dziennikarskich „Prasa Polska”.

8. Prace nad radiem trwały pod koniec XIX wieku. Ale dopiero wynalezienie alfabetu Morse’a przyczyniło się do postępu nie tylko w porozumiewaniu się telegraficznym, ale również w pracach nad radiem.

Pierwsi na korzyściach z radia płynących poznali się marynarze. W 1899 roku zainstalowano aparaty nadawcze i odbiorcze na trzech brytyjskich okrętach wojennych. Mogły one dzięki temu porozumiewać się na odległość do 150 km. W 1901 roku Guglielmo Marconi odebrał w Nowej Funlandii w USA

sygnał nadany alfabetem Morse'a (była to litera „s”) z Anglii. Powstała radio-wa komunikacja międzykontynentalna. Dla żeglugi morskiej była to sprawa ogromnej wagi. Można było wzywać pomocy, nadając sygnały SOS i podać położenie na morzu.

Pierwsza wojna światowa wstrzymała prace nad radiofonią cywilną, sprzyjając rozwojowi radia na potrzeby wojska. Od 1903 roku radio korzysta z mikrofonu. Można teraz było porozumiewać się głosem. Koniec wojny rozpoczął rozwój radia na potrzeby cywilów. W 1920 roku było już czynnych 800 stacji radiowych. Stały program radiowy zaczęto nadawać w USA od roku 1921. W tym samym roku nadawano stały program we Francji. W Wielkiej Brytanii, Danii, Kanadzie i ZSRR od 1922 roku. W Polsce doświadczalną stację radiową uruchomiono w 1925 roku, a stały program Polskiego Radia Warszawa zaczęto nadawać 18 kwietnia 1926 roku.

Radio Łódź nadawało program od 2 lutego 1930 roku. Było siódmą stacją nadawczą Polskiego Radia. Pierwszą audycję w programie ogólnopolskim nadano 2 lutego 1933 roku. Radio Łódź zamilkło na długie lata 6 września 1939 roku. Odbudowane i uruchomione zostało 21 października 1945 roku.

Radio Łódź zdobyło uznanie słuchaczy programami muzycznymi, rozrywkowymi, teatralnymi, sprawozdaniami sportowymi. Lubiane były koncerty mandolinistów Edwarda Ciukszy czy orkiestry Henryka Debicha. Sprawozdaniami sportowymi wpisali się w pamięć łodzian Ludwik Szumlewski czy Zbigniew Wojciechowski, teatrem radiowym Romana Mater, audycjami muzycznymi Bolesław Busiakiewicz, reportażami Tadeusz Szewera, komentarzami i felietonami Wiesław Jażdżyński czy Jerzy Wilmański, poczuciem humoru „Dziadek” z „Lata z Radiem” – Włodzimierz Luszczakiewicz. Starsi łodzianie pamiętają niewątpliwie „Program z dywanikiem” czy „Wesoły autobus”.

W latach zimnej wojny na falach radiowych do Polski płynęły słowa prawdy o życiu za „żelazną kurtyną”, których nie mogły nadawać ze względu na cenzurę krajowe rozgłośnie. Audycje w języku polskim nadawały: „Głos Ameryki”, BBC z Londynu, Ankara, Kanada, Madryt, Tirana i Moskwa. Z Monachium nadawała Rozgłośnia Polska „Radio Wolna Europa”. Audycje tej stacji wywierały duży wpływ na życie polityczne Polski. Po ucieczce Józefa Światły do Zachodniego Berlina, jego rewelacje o życiu politycznym w Warszawie wywarły nacisk na ekipę Bolesława Bieruta i zmusiły ją do przeprowadzenia zmian w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. „Radio Wolna Europa” przy pomocy balonów przesyłało do Polski zakazaną tu literaturę.

Po roku 1989 zniesiono cenzurę, a jedynie Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji przyznaje rozgłośniom częstotliwości, na których mogą nadawać swoje programy. Podobnie stacjom telewizyjnym.

Łodzianie mogą słuchać programów radiowych czterech sieci: Zet, RMF FM, Radia Maryja i Radia Plus, które „obsługują” rozgłośnie diecezjalne. W Łodzi jest to Radio Emaus.

Poza tym łośdzianie słuclają na falach ultrakrótkich (FM) stacji radiowych lokalnych: „Parady”, „Classic”, „Manhatanu” i „Żaka”. Na tych falach nadaje teź radio publiczne: Polskie Radio Program 1, Program 3, Radio Bis i Radio Łódź. Po uruchomieniu stacji nadawczej w Solcu Kujawskim Polskie Radio nadaje Program 1 na falach długich.

Od niedawna na falach ultrakrótkich nadaje rozgłośnia TOK FM. Jest to radio specyficzne. Wiadomości i prognozę pogody nadaje co 15 minut. Jest to serwis przygotowany przez BBC. Muzyka jest tylko drobnym przerywnikiem. Prowadzący podejmują różne tematy, utrzymując stały kontakt telefoniczny ze słuclaczami.

Powstały rozgłośnie lokalne w miastach województwa łódzkiego: w Sochaczewie „Fama”, w Skierniewicach „RSC”, w Bełchatowie „Radio Bełchatów”, w Piotrkowie Trybunalskim „Radio Piotrków”, w Wieluniu „Radio Ziemi Wieluńskiej”.

Radio pomaga i ułatwia żyć. Z radia korzysta policja, pogotowie ratunkowe, służby komunalne, korporacje taksówkowe. Radio pomagało marynarzom porozumiewać się z rodzinami.

9. Zaspokajanie ciekawości może być inspiracją dla postępu. Człowiek chce wiedzieć, co stało się, gdzie, kiedy, kto to spowodował, kto poniósł i jakie straty, jakie były tego konsekwencje? Na te pytania odpowiadali reporterzy. Ale czytelnicy chcieliby widzieć. Z takiej potrzeby narodziła się ilustracja. Początkowo była to grafika – drzeworyt lub miedzioryt. Z czasem wzorowany na fotografii.

Fotografia narodziła się w 1839 roku. Alchemik G. Fabricius czynił próby już w XVI i odkrył światłoczułe właściwości chlorku srebra. Ale kiedy 19 sierpnia 1839 roku Dominik Arago na posiedzeniu francuskiej Akademii Nauk przedstawił dagerotypię, opracowaną przez Josepha Nicophere Niepce’a i Jacquesa Mande Daguerra, pojawiła się fotografia. Wiadomość o tym szybko rozeszła się po świecie. Do Warszawy dotarła już 31 sierpnia 1839 roku. Napisał o dagerotypii dziennik – „Gazeta Codzienna”. A już 13 października 1839 roku pokazano w Warszawie kilka dagerotypów.

W 1840 roku sprowadzono do Warszawy kamery do robienia dagerotypów. W następnym roku powstały w Warszawie zakłady wykonujące dagerotypy.

W 1839 roku niemiecki astronom John F. Herschel wymyślił termin fotografia i wprowadził w życie pojęcia: negatyw i pozytyw.

Mirosław Z. Wojalski – który zajmuje się historią fotografii – ubolewa, że jej początki w Łodzi zaginęły w niepamięci. Wiadomo jedynie, że w 1862 roku zakład fotograficzny założył w Łodzi Józef Zajączkowski, a w następnym roku – Dominik Zoner. W latach siedemdziesiątych XIX wieku powstały dwa kolejne zakłady: Edwarda Dietricha i Eliasza Stummana. Ten drugi sfotografował

murzyńskiego aktora Irę Aldridge'a, który przyjechał do Łodzi grać Otella i nagle zmarł. Eliasz Stummann sfotografował dostojnych gości, którzy wzięli udział w otwarciu Teatru Wielkiego zbudowanego przez Fryderyka Sellina przy ul. Konstantynowskiej (Legionów). Wśród gości byli Henryk Sienkiewicz i Henryk Siemiradzki.

Fotografowano widoki, architekturę, portretowano ludzi. Dziś są to dokumenty przeszłości. Pod koniec XIX wieku Bronisław Wilkoszewski wydał album 39 fotografii – *Widoki miasta Łodzi*. Zdjęcia z tego albumu stały się podstawą dla scenografii filmu Andrzeja Wajdy *Ziemia obiecana*. W 1907 roku „Nowa Gazeta Łódzka” ogłosiła konkurs na fotografię krajobrazową. Zdjęciami krajobrazów prelegenci ilustrowali prelekcje o swoich podróżach. Dzięki tym zdjęciom możemy się dziś przekonać, jak dawniej wyglądały ziemie polskie.

W 1859 zaczął ukazywać się w Warszawie „Tygodnik Ilustrowany”. Początkowo reprodukowano w nim drzeworyty lub miedzioryty. Z czasem wzorem dla nich były fotografie. W Łodzi w 1908 roku Roman Borkenhagen otworzył zakład fotochemiczny produkujący klisze drukarskie ze zdjęć fotograficznych. Dzięki temu można już było gazety ilustrować fotografiami. Pojawił się nowy gatunek dziennikarstwa – fotoreportaż i nowa specjalność, a później zawód – fotoreporter. W 1910 roku powstała w Warszawie Polska Agencja Fotograficzna, która istniała do 1934 roku.

W 1861 roku fizyk James C. Maxwell zaprezentował fotografię barwną. Wiele jednak minęło czasu, nim kolorowa fotografia znalazła się na łamach czasopism. Ale gdy tak się stało, pojawił się nowy rodzaj czasopism – kolorowe magazyny.

**10.** Fotografia – nawet kolorowa i najbardziej sugestywna – nie zaspokajała ludzkiej ciekawości. Fotografia ujmuje rzeczywistość statystycznie, a ludzie chcieliby widzieć rzeczywistość w ruchu. To oczekiwanie zaspokoili bracia Ludwik i August Lumière'owie, którzy 28 grudnia 1895 roku pokazali w Paryżu krótki film: *Wyjście robotnic z fabryki* Lumière'a w Lyonie.

Pierwsze na ziemiach polskich projekcje aparatem braci Lumière odbyły się w Krakowie 14 listopada 1896 roku. W Łodzi „ruhome obrazy” pokazywano w parku na Helenowie i w Domu Majstrów Tkackich. Pierwsze stałe kino założył w Łodzi w 1899 roku Władysław Krzemiński. Pokazywano słynne już *Wyjście robotnic z fabryki* oraz inne: *Wjazd pociągiem na stację*, *Śniadanie dziecka*, *Burzenie muru*, a także scenki o ogrodniku, który nie umiał poradzić sobie z wężem i ciągle się oblewał i o niedorajdzie na ślizgawce. U narodzin filmu był – jakbyśmy to dziś powiedzieli – film dokumentalny.

W Łodzi stałe kina zaczęto budować od 1908 roku. Ich właściciele sprowadzali filmy z zagranicy. Zaczęli również tworzyć własne. Wuj Juliana Tuwima – Julian Szrojt, właściciel kina „The Bio-Express”, nakręcił film: *Wielki pożar fabryki Zilkego* z udziałem wszystkich oddziałów Straży Ogniowej i Ochotniczej Scheiblera, Poznańskiego, Leonharda i miejskiej. On też w 1910

roku nakręcił kolejny reportaż z pożaru – *Pożar fabryki Rejcherta i akcja ratunkowa*. W 1912 roku w kinie „Odeon” (później kino „Gdynia”) pokazywano własny reportaż z katastrofy budowlanej, kiedy w Łodzi zawalił się dom, grzebiąc pod gruzami kilka osób. Widzowie takie filmy oglądali i oglądają z wy piekami na twarzy.

W 1922 roku na Wodnym Rynku w Łodzi otwarto „Miejski kinematograf Oświatowy”, w którym obok filmów rozrywkowych wyświetlano filmy naukowe. W innych kinach przed filmami fabularnymi wyświetlano kroniki filmowe, filmy rysunkowe lub dokumentalne. Pod koniec 1918 roku powstała Polska Agencja Telegraficzna – PAT – która z czasem dorobiła się biura filmowo-fotograficznego i przedstawicieli w większych miastach świata. Po wojnie „Czołówka Filmowa Wojska Polskiego” dała podstawy dla utworzenia w Warszawie Wytwórni Filmów Dokumentalnych, która od 1944 roku wydawała co tydzień Polską Kronikę Filmową, a przed upadkiem PKF dwa wydania w tygodniu: „A” i „B”.

Po drugiej wojnie światowej powstała w Łodzi Wytwórnia Filmów Oświatowych. Filmy oświatowe przeznaczone były głównie dla szkół, ale wyświetlano je również jako dodatki przed filmami fabularnymi. W WFO tworzyli filmy między innymi: Włodzimierz Puchalski, Józef Arkusz, Stanisław Grabowski, Jan Jakub Kolski, Leszek Skrzydło.

Leszek Skrzydło jest reżyserem filmów *Palace ziemi obiecanej* i *Rody fabrykanckie*. Andrzej Wajda po obejrzeniu *Palaców ziemi obiecanej* powziął pomysł nakręcenia filmu *Ziemia obiecana* według powieści Władysława Reymonta.

Koniec XX wieku nie jest sprzyjającym czasem dla Łodzi filmowej. Wytwórnę Filmów Fabularnych przekształcono w Łódzkie Centrum Filmowe, ale to jej nie uratowało przed upadkiem. W likwidacji jest „Semafor” – wytwórnia filmów animowanych. Zlikwidowano Studio Opracowań Filmów. Wytwórnę Filmów Oświatowych przemianowano na Wytwórnę Filmów Oświatowych i Programów Edukacyjnych, co nie wróży najlepiej.

Działa w Łodzi Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Teatralna, Telewizyjna, ale Warszawa od dawna chciała ją zabrać z Łodzi. Istnieje jedyne w Polsce Muzeum Kinematografii, którego powstanie wiele zawdzięcza Antoniemu Szramowi.

W Łodzi było niegdyś więcej niż 30 kin. Pozostały nieliczne. W wielu założono magazyny towarów lub sklepy. Zmodernizowano „Bałtyk” i „Polo nię”, instalując tam nowoczesną aparaturę.

**11.** Konkurencją dla kina stała się telewizja. W Łodzi telewizja pojawiła się 22 lipca 1956 roku. Było to wielkie wydarzenie. W otwarciu ośrodka telewizyjnego uczestniczyli przedstawiciele władz miasta: Michalina Tatarkówna-Majkowska i Edward Kaźmierczak. Otwierano pierwszy ośrodek regionalny. W Warszawie telewizja działała od 1953 roku.

Pierwszy regionalny ośrodek telewizyjny dysponował w momencie otwarcia przemysłową kamerą, bez wizjera. Obraz kontrolowano na telewizorze „Wisła”, który ustawiono na krześle w pobliżu kamery. Miał telekino od emitowania filmów z celuloidowej taśmy. Pierwszą spikerką Łódzkiej Telewizji była Anna Brzeska, kamerę obsługiwał Wojciech Król, a reżyserował program Tadeusz Worontkiewicz. Zarządzał Łódzką Telewizją Arnold Borowik z Polskiego Radia w Łodzi.

Telewizja sprowadziła świat do naszych mieszkań. Odbiorca siedząc w fotelu przed ekranem ogląda wojnę z Zatoce Perskiej, bombardowanie Bagdadu, Belgradu, Prisztiny, wojnę w Czeczenii, skutki ataków terrorystycznych. Odbiorca ogląda kataklizmy: powódzie, pożary lasów czy wieżowców, wybuchy wulkanów, walki plemienne. Ogląda też możnych tego świata: Jana Pawła II, Billa Clintona, Borysa Jelcyna i innych.

Zrodziło się nawet podejrzenie, że telewizja nie tylko pokazuje świat w konfliktach, ale czasami prowokuje te konflikty, aby było co pokazywać. Dotyczy to amerykańskiej stacji CNN.

Podstawą dla rozwoju telewizji jest rozwój elektroniki: magnetofonów, taśm magnetycznych do nagrywania obrazu i dźwięku, magnetowidów, telewizji satelitarnej, kablowej, platform cyfrowych. W Łodzi działa telewizja kablowa „TOYA”. Łodzianie mogą korzystać nie tylko z telewizji satelitarnej, ale z platform cyfrowych: „Cyfra +” i „Wizja TV”.

**12.** Czy ktoś witając XX wiek mógłby choć w części przewidzieć tak niebywały rozwój sposobów komunikowania się ludzi? A to przecież nie koniec. Co nam przyniesie wiek XXI? Lepiej nie prorokować!

### Bibliografia

*Drugi obieg* – Zbiór referatów wygłoszonych na seminarium poświęconym niezależnemu ruchowi wydawniczemu w Łodzi – Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Józefa Piłsudskiego, Łódź 1991.

*Encyklopedia odkryć i wynalazków*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1979.

*Encyklopedia wiedzy o prasie*, pod red. Juliana Maślanki, Ossolineum, Wrocław 1976.

A. Kempa, *Półwiecze łódzkiej prasy literackiej i społeczno-kulturalnej 1945-1995*, Łódź, „Tygiel”, nr 4, 1996.

A. Kempa – przedmowa Jerzy Wilmański, *Sylwetki łódzkich dziennikarzy i publicystów*, Oficyna Bibliofilów, Łódź 1991.

A. Paczkowski, *Prasa polska w latach 1918-1939*, PWN, Warszawa 1980.

E. Pleszkun-Olejniczakowa, *Czasopisma kulturalne w Łodzi. Dwudziestolecie międzywojenne*, Łódź, „Tygiel”, nr 4, 1996.

M. Z. Wojalski, *Działo się w Łodzi...*, Widzewska Oficyna Wydawnicza Zora, Łódź 1992.

Edward Szuster

## Za czterdzieści parę lat, jak dobrze pójdzie...

Wszystko zaczęło się od tego, że któregoś letniego dnia, redaktor „Kroniki”, Jan Koprowski, wrócił z rozmowy w „Białym Domu” i oznajmił, że nasza redakcja ma jednego z redaktorów przekazać do funkcjonującej od niedawna telewizji. O tym, który z nas przejdzie do tej nowej pracy mieliśmy zdecydować we własnym gronie. Takie postawienie sprawy zaskoczyło nas swoim „demokratyzmem”; przyjęliśmy je jako wyraz zaufania dla naszego grona. Dziś sadzę, że rozmówcy Koprowskiego nie mieli pojęcia o tym, jakie kwalifikacje winien mieć redaktor w telewizji. Żaden z nich nie wiedział przecież czym jest telewizja i jak ją „robić” należy. Nikt też nie przywiązywał do niej większej wagi, traktując jako niepoważną rozrywkę posiadaczy kilkunastu działających w mieście telewizorów. Dość powiedzieć, że o stanowisku redaktora naczelnego Telewizji Łódzkiej miał zdecydować przypadek. Tak czy inaczej rozważaliśmy tę sprawę w redakcji i zdaniem kolegów ja najlepiej nadawałem się do tej nowej funkcji. Przypomniano mi, że mam w swym zawodowym życiorysie i pracę w czasopiśmie, i kierowanie redakcją literacką w radio, i doświadczenia filmowego scenarzysty i – wreszcie – kierownictwo literackie teatru. Wszystkie te doświadczenia – przekonywano mnie – mogły się być w telewizji przydać. Temu stwierdzeniu nie mogłem zaprzeczyć niezależnie od tego czy było wysuwane w dobrej wierze, czy też po to, bym odszedł z „Kroniki”. Jednocześnie szansa zmierzenia się z zupełnie nową dziedziną pracy wydawała mi się pociągająca, tym bardziej, że redagowanie dwutygodnika nie było szczytem moich marzeń. Ostatecznie zgodziłem się wystąpić w roli kandydata do telewizji i kandydatura ta została przyjęta. Tak oto przez następnych siedemnaście lat przyszło mi uczestniczyć w rozwoju nowego „środka masowego przekazu”.

Czterdzieści trzy lata temu – we wrześniu – po raz pierwszy wsiadłem do windy pierwszego łódzkiego „wieżowca” wzniesionego pierwotnie dla potrzeb Centrali Tekstylnej. (W tej instytucji także czas jakiś pracowałem.) Budynek zasiedlony był przez rozmaite Centralne Zarządy Przemysłów: Welnianego, Bawelnianego, Dziewiarskiego itp. Na najwyższych piętrach, w kilku pokojach przeznaczonych pierwotnie na biura, gnieździła się łódzka telewizja: na jednym piętrze urządzone zostało studio i reżyserka – na drugim – pokój redakcyjny i –

pozał się Boże – dekoratornia. Wyżej mieściły się lokale obsługi nadajnika umocowanego na stalowej wieży wieńczącej gmach. Było to zaprzyjaźnione ale niezależne gospodarstwo, bowiem już wówczas obowiązywał dość szczególny podział zadań: telewizja program wytwarzała a łączność dostarczała go odbiorcom. Skutki tego podziału okazały się dla nas dość dokuczliwe po paru latach, kiedy to w okresie rozruchu nadajnika na Stokach, każde zakłócenie w odbiorze ściągało na nas, Bogu ducha winnych, pretensje zirytowanych widzów.

W zaimprovizowanym studiu zainstalowano dwie kamery wymagające intensywnego oświetlenia obiektów jakie miały ukazywać i dlatego cały sufit zabudowany był różnymi lampami. Po pewnym czasie rozgrzewały się one, podnosząc panującą w studio temperaturę, co nie ułatwiało pracy wykonawcom programu. Wspomaganie się wentylatorem było wykluczone, gdyż jego dźwięk wychwytywały czule mikrofony i przekazywały na antenę; praca w studio nie mogła więc trwać zbyt długo i po jakimś czasie konieczne było wietrzenie, co odbywało się przez otwarcie okien. Raz i drugi zbyt przeciągnęliśmy eksploatację studia i skutki okazały się kłopotliwe: pot spływający po twarzy aktora odkleił niezbędne dla charakterystyki wąsy, a innym razem ukazywana przez kamerę świeca zmiękla w panującym cieple i pochyliła się wdzięcznie na bok jak wędnący kwiat – efekt równie surrealistyczny co nieplanowany. Skoro o wrażliwości mikrofonów mowa to wychwytywały one i przekazywały na antenę odgłos wind sunących w szybach wieżowca, dlatego też nadawaliśmy program dopiero wówczas gdy ustała już praca w rozlicznych Zarządach zajmujących kilkanaście położonych pod nami pięter. Windy także sprawiały nam i inne kłopoty: bywało, że jak każda maszyna ulegały awarii i wówczas musieliśmy dostawać się do naszych miejsc pracy per pedes przez czternaście bodajże pięter. Na szczęście takie ćwiczenia zdarzały nam się rzadko.

Podstawowymi narzędziami do „robienia” telewizji były kamery, mikrofony i stół mikserski i telekino, urządzenia którymi posługiwania się nie nauczyła mnie ani praca w czasopiśmie, ani w teatrze, ani nawet w radio. Przy całym moim różnorodnym doświadczeniu profesjonalnym byłem wobec tej techniki bezsilny, musiałem więc zdać się na ludzi, którzy potrafili nią władać. Zostałem już takich w Ośrodku; zaangażował ich już wcześniej Arnold Borowik, naczelny redaktor Rozgłośni PR, organizator łódzkiej telewizji. Była to grupka świeżych absolwentów łódzkiej filmówki, rówieśników związanych latami studiów w tej samej uczelni, dla których praca w Ośrodku była pierwszą w życiu pracą zawodową. Ten niewielki zespół tworzyli reżyserzy: Kazimierz Oracz, Sylwester Szyszko i Tadeusz Worontkiewicz, operatorzy: Wiesław Rutowicz i Witold Sobociński oraz kierownik produkcji Wiesław Grzelczak. Byłem od nich o kilkanaście lat starszy ale wiedziałem dobrze, że ten fakt nie jest w ich oczach żadną cnotą czy zasługą. Dobrze też wiedziałem, że o telewizji wiedzą więcej niż ja, który mam być ich przełożonym. Nie wiem czemu ale mimo początkowych obaw udało mi się wkrótce zyskać ich akceptację i razem



zdobywaliśmy doświadczenia w posługiwaniu się telewizyjnym warsztatem. Po kilku latach większość z nich przeszła do pracy w swym podstawowym zawodzie, czyli kinematografii, ale to oni byli twórcami dobrej atmosfery pracy w Ośrodku przejętej przez tych, którzy ich zastąpili.

W pierwszych latach realizowane w zaimprovizowanym studio programy składały się z kilkunastominutowych informacji lokalnych, filmu udostępnianego za darmo przez Centralę Wynajmu Filmów – wskutek drobnej liczby odbiorców nie byliśmy dla kin żadną konkurencją – oraz z półgodzinnej rozmowy czy inscenizacji z udziałem kilku wykonawców. Wszystkie programy „studyjne” realizowane były na żywo czyli ich odbiorca widział i słyszał to co w tym samym czasie czynili czy mówili wykonawcy w studio; o zapisie obrazu mogliśmy tylko marzyć. Tak realizowanego programu nie można było ponownie odtworzyć i jedynymi jego materialnymi śladami pozostawały zapiski realizatora, notatki inspektora programu oraz rozmaite dokumenty niezbędne dla księgowości. Naszymi odbiorcami byli wyłącznie mieszkańcy Łodzi i najbliższych okolic; nie docierały do nich programy wytwarzane w innych Ośrodkach: ani w pracującej już od roku przeszło Warszawie, ani w Katowicach, które „ruszyły” w 1957 roku. Sieć radiolączy umożliwiająca przesyłanie programów z Ośrodka do Ośrodka była dopiero w projektowaniu.

Nic dziwnego, że tak skromny program jaki można było w Łodzi odbierać zupełnie nie wzbudzał większego zainteresowania i liczba jego odbiorców rosła powoli. W mieszkaniu łódzkim telewizor był rzadkością choć te nieliczne budziły zainteresowania jako ciekawostka. Ja sam, z tytułu obowiązków, otrzymałem odbiornik „służbowy” abym mógł śledzić efekty pracy Ośrodka; przed aparatem tym gromadziła się spora gromadka rówieśników moich dzieci komplikując nieco tok życia domowego. W pierwszym roku działania studia nadawaliśmy więc program prawie sobie a muzom; nikt naszej pracy nie oceniał, nikt się do niej nie wtrącał bo po prostu nie wiadano co robimy. Nawet zwierzchność, to znaczy kierownictwo Rozgłośni PR, rzadko przypominała sobie o naszym istnieniu, interesując się głównie finansowymi efektami naszego działania. Sytuacja taka dawała nam poczucie niczym nie skrupowanej swobody twórczej, z której korzystaliśmy skwapliwie sprawdzając możliwości naszego warsztatu. Po pewnym jednak czasie przeciwiczyliśmy wszystkie chyba eksperymenty możliwe do wykonania w oparciu o naszą bazę i zaczynało nam brakować opinii o tym co robimy. Za pośrednictwem kamer i mikrofonów zwróciliśmy się do widzów prosząc ich o kontakt i w ten sposób doszło do powstania grona kilkunastu posiadaczy telewizorów skłonnych do rozmowy o tym co robiliśmy. Spotkania te dość szybko stały się okazją do zgłaszania pod naszym adresem różnorodnych życzeń i postulatów. Tych programowych najczęściej nie mogliśmy spełnić ze względów technicznych lub finansowych, tych znacznie częstszych, personalnych – ten wykonawca zły, tamten bardzo dobry – mogliśmy nie traktować poważnie gdyż, jak to bywa zwykle, opinie naszych

rozmówców bywały bardzo rozbieżne. Szczególnie żywe spory ujawniały się w tym gronie gdy zorganizowaliśmy konkurs na spikerki; kontrowersje na temat wad i zalet poszczególnych kandydatek były wprost zaciekle. Myślę jednak, że w wyborze spikerek nie popełniliśmy większych pomyłek; trzy debiutujące w naszym Ośrodku panie – Grażyna Burwiel, Jadwiga Piątkowska i Bogumiła Wander – zostały „skaperowane” do telewizji warszawskiej.

Chyba gdzieś w połowie 1957 roku zdarzyła nam się nieoczekiwana gratka: kierownictwo telewizji zaproponowało nam wykorzystanie przez kilka dni wozu transmisyjnego przeznaczonego dla Katowic, które jeszcze nie wystartowały w „eter”. Oczywiście pochwyciliśmy taką okazję skwapliwie i po pośpiesznych przygotowaniach zrealizowane zostały na łódzkiej antenie pierwsze transmisje: jedna z ostrego dyżuru w szpitalu im. Pirogowa, druga – z Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju. Ta ostatnia okazała się kompletnym niewypałem gdyż nierozpoznawany przez nas w porę trzask tysięcy pracujących na sali krosien całkowicie zdominował wszystkie inne dźwięki. Nawet w kabince kierownika sali, ogrodzonej cienkimi przepierzeniami, nie można było przekrzyczeć hałasu. Transmisja ze szpitala odbyła się bez kłopotów i przeszła gładko, tylko wprowadzenie kamery do sali operacyjnej – oczywiście za zgodą dyrekcji szpitala – wzbudziło zastrzeżenia niektórych uczestników spotkań z telewidzami. Dla nas jednak doświadczenia z wozem pozwalającym wyjść poza ciasnotę studia było bardzo cenne i wzbudziły pragnienie posiadania takiego sprzętu. Długo przyszło nam na to czekać.

Podczas gdy programowi pracownicy zdobywali doświadczenie w zaimprovizowanym studio na szczycie wieżowca, w parterowej części technicy pracowali nad stworzeniem bazy profesjonalnej. Kierował tymi robotami inż. Jerzy Ostrowski, który poprzednio odbył dłuższą praktykę w studiach telewizji francuskiej. Był on później przez kilka lat naczelnym inżynierem Ośrodka Łódzkiego, a potem także wyłądownym w Warszawie. Dzięki pracy kierowanego przez niego zespołu mogliśmy w połowie 1958 roku opuścić pokoiki na górnych piętrach i przejść do nowych pomieszczeń, które wzbogacone późniejszymi nabytkami Ośrodek eksploatuje do dziś. Otrzymaliśmy studio z prawdziwego zdarzenia wielkości sporej sali gimnastycznej, a wyposażone w kamery wymagające do pracy światła znacznie mniej niż stare. W tych warunkach nie trzeba było wietrzyć studia po kilkudziesięciu minutach pracy ani troszczyć się o odgłosy kursujących w wieżowcu wind, bo nie docierał on do hali. Znalazły się także miejsca na przyzwoitą dekoratornię z warsztatami i dla pracowników redakcyjnych oraz administracji. Grono tych ostatnich nieco się powiększyło bowiem wraz z przeprowadzką na nowe gospodarstwo powołany został do istnienia, niezależny od Rozgłośni, Łódzki Ośrodek Telewizyjny, na którego czele stanął Arnold Borowik, organizator pierwszych kroków telewizji w Łodzi.

Emocje towarzyszące poznawaniu możliwości nowego warsztatu pracy zostały niebawem przytłumione konfliktem jaki powstał w rezultacie spięcia między nowym szefem a trzonem zespołu czyli absolwentami filmówki i kilkoma redaktorami. Arnold, którego znałem od lat, miał niekonwencjonalny sposób bycia a czasem nawet zachowywał się jak słoń w składzie porcelany. Potrafił na oficjalnym spotkaniu z łódzkimi radnymi rozpocząć swą informację następująco: „Obywatele radni, ostatni raz śmiałem się jak mojej babce Helce magiel cycki wkręcił”. Zdębiałem słysząc to zagajenie, dobrze, że kilkoro słuchaczy przyjęło je śmiechem. Nie wszyscy jednak aprobowali takie „numery”; sposób bycia Naczelnego nie zyskał też uznania młodych ludzi, którzy na jednej z codziennych odpraw oświadczyli mu wręcz iż jego uwag nie traktują uważnie bo nie jest dla nich autorytetem. Arnold wściekł się i poszedł na rozwiązanie siłowe: wymówił pracę wszystkim „rokoszanom” ze skutkiem natychmiastowym i zakazał im wstępu do Ośrodka. Filmowcy z kolei odwołali się do swojego opiekuna prof. Bohdziewicza, który bez zwłoki interweniował u przewodniczącego Komitetu ds. Radia i Telewizji. Usunięcie z Ośrodka wszystkich etatowych reżyserów i operatorów prowadziło w praktyce do jego unieruchomienia. Trudno było takie rozwiązanie zaakceptować, więc decyzje Arnolda zostały uchylone, a on sam wrócił do Rozgłośni bo, po tym co zaszło, jego współpraca z trzonem zespołu była niemożliwa. Wkrótce potem naczelnym redaktorem Ośrodka został mianowany Władysław Orłowski, który bez trudu został przez zespół zaakceptowany.

Obserwowałem całe to zamieszanie z przykrością, lubiłem Arnolda, a podczas pracy w Radio przywykłem do jego „numerów”. Dla zespołu jednak owa historia miała – jak sądzę dziś – skutek pozytywny bo twórczy pracownicy Ośrodka poczuli się zwycięzcami w słusznej, ich zdaniem sprawie, nie godząc się na bierną uległość przełożonemu tylko dlatego, że został mianowany ich szefem. Tak czy inaczej atmosfera współodpowiedzialności za realizowany program towarzyszyła mej pracy w Ośrodku przez następnych piętnaście lat.

Jest rzeczą zrozumiałą, że zarówno reżyserzy i operatorzy jak i redaktorzy zapragnęli po zejściu do prawdziwego studia zmierzyć się z większymi niż uprawiane dotychczas formami programowymi. Dzięki funkcjonującym już łączom – mogliśmy w Łodzi oglądać spektakle teatru telewizyjnego czy widowiska rozrywkowe realizowane w Warszawie. Zachęcało to do spróbowania własnych sił w tych dziedzinach. Wkrótce więc w naszym studio rozpoczęły się pierwsze realizacje teatralne czy rozrywkowe nie wolne od „kiksów”, jako że nadal pracowaliśmy „na żywo”. Na antenę wchodziło wszystko to co się przed kamerami działo. Jeden z nich zapamiętałem szczególnie, pewno dlatego że był chyba pierwszym. Otóż, podczas realizacji reżyserowanej przez Tadeusza Minca sztuki, należało pokazać między innymi scenę schodzenia się wytwornego towarzystwa na równie wytworne przyjęcie. Oglądałem tę sztukę w domu znając ją dobrze z wcześniejszych prób i ku memu zaskoczeniu ujrzałem

wśród wizytowo ubranych gości jegomości bez marynarki i krawata, trzymającego ręce w kieszeniach i przystrojonego metrem krawieckim przewieszonym przez szyję. Był to pomagający nam w pracy kierownik pracowni krawieckiej w Teatrze im. Jaracza. Byłem wstrząśnięty tą gafą, która wydała mi się całkowicie dyskredytować spektakl. Okazało się jednak, że ani recenzenci, ani telewidzowie, niczego szczególnego w widowisku nie zauważyli. Widocznie uznali, że ten facet w kamizelce jest jednym z gości na prezentowanym przyjęciu. Jak to się stało, że pan Zygmunt Ciesielski został wprowadzony przez realizatora na antenę nie wyjaśniliśmy do końca. Innym razem, w parę lat później, na ekranie ukazał się kroczący cicho na palcach Mieczysław Voit, odtwarzający postać, która przed chwilą odebrała sobie życie.

Nie od razu nauczyliśmy się bez błędów korzystać z nowej bazy technicznej choć sprawiała nam ona dużo mniej kłopotów niż tamta chałupnicza. Nowe techniczne możliwości Ośrodka oraz objęcie Łodzi zasięgiem programów przesyłanych z Warszawy, czy Katowic wydatnie pobudziły zainteresowanie telewizją. Liczba telewizorów w mieście i okolicy zaczęła szybko rosnąć. W gazetach lokalnych omawiano nasze, przede wszystkim artystyczne, programy; także różne instancje i instytucje zaczęły uważniej niż dotychczas oceniać nasze działania. Rychło uświadomiliśmy sobie, że okres swobody twórczej, charakterystyczny dla pracy na ostatnich piętrach wieżowca, mamy już za sobą.

Zainteresowanie władz koncentrowało się omal wyłącznie na informacyjno-publicystycznej działalności Ośrodka. Podobnie jak to czynią i dziś, kierownictwa różnych kręgów politycznych, także i wówczas widziały w telewizji przede wszystkim – a może wyłącznie – tubę propagandową własnych opinii i dokonań; oceniano nas za obsługę plenarnych posiedzeń Komitetu, czy różnych akademii. Nie tylko zresztą za to. Relacja z jakiegoś wydarzenia we właściwym kształcie docierała na ekrany łódzkich telewizorów. Zdarzyło się, że wskutek awarii kamery filmowej, nie byliśmy w stanie zrobić oczekiwanej „dokrętki” i musiałem wyjaśniać czemu tak się stało. Usłyszałem wówczas, że jednak powinniśmy byli przysłać na spotkanie operatora wraz z oświetlaczem aby chociaż udawali, że filmują. „Bez waszego udziału – rzekł mój rozmówca – wydarzenie nie ma rangi”.

Fakt, że Ośrodek działał na obszarze dwóch równorzędnych komitetów wojewódzkich dodatkowo komplikował nam życie. W początku lat sześćdziesiątych – byłem już wówczas redaktorem naczelnym Ośrodka – zostałem wezwany na posiedzenie Egzekutywy KŁ aby wyjaśnić, czemu to „w ostatnim okresie” Ośrodek nadał więcej materiałów informacyjnych z województwa niżli z miasta. Nie sądziłem, że ktoś zajmuje się w instancji taką „statystyką” ale na wszelki wypadek poinformowałem o czekającym mnie sądzie odpowiedniego sekretarza Komitetu Wojewódzkiego; wprosił się on na posiedzenie i swą obecnością powstrzymał zagrażające mi gromy. Powstrzymał ale nie

rozładował, bo choć ów statystyczny zarzut nie został publicznie postawiony, to wracał jednak w rozmowach bardziej kameralnych.

Bardziej kłopotliwe bywały ingerencje „Białego Domu” w personalne struktury Ośrodka. Po czterech latach pracy przeniesiony został z telewizji do Wytwórni Filmów Oświatowych Władysław Orłowski; odziedziczyłem po nim gospodarstwo i do dziś nie wiem czy nową placówkę objął on, bo uznano, że pokieruje nią dobrze, czy też dlatego że krytycznie oceniono jego dotychczasową pracę. W parę lat potem instancja zdecydowała „zdjąć” ze stanowiska mego zastępcę; fakt iż pozostał on w Ośrodku jako jeden z redaktorów nie został przyjęty najlepiej przez decydentów. Najbardziej spektakularna ingerencja tego typu była chyba dziełem jakiegoś nadgorliwca, któremu – a była to wiosna 1968 roku – oblicze jednego z dziennikarzy kojarzyło się z „niewłaściwymi” środowiskami. W rezultacie mój ówczesny zastępca usłyszał, że należałoby tego dziennikarza nie pokazywać na ekranie, potraktował tę sugestię jak polecenie i nie zawiadamiając mnie o niczym zakazał dziennikarzowi prowadzenia programu „na wizji”. Dowiedziałem się o tym wszystkim po fakcie, jako że program emitowany był w paśmie przedpołudniowym i bez wahania uchylilem decyzję swego zastępcy, nie zaskarbiając sobie życzliwości inspiratora całej zagrywki. Ponieważ na tym wszystko się skończyło i do sprawy już nie wracano, chyba się nie mylę sądząc, że przekazana memu zastępcy sugestia nie była wyrazem poglądu Komitetu. Być może względnie łagodny przebieg tego spięcia wynikał z mocnej pozycji Ośrodka na antenie ogólnopolskiej. W tym właśnie czasie, debiutujący w Łodzi tacy reżyserzy jak Jerzy Antczak, Janusz Rzeszewski, przeszli do pracy w telewizji warszawskiej. Tak więc kierownictwo Komitetu ds. Radia i Telewizji oceniało naszą pracę pozytywnie. Świadomość tego faktu docierała pewno do Instancji łódzkiej mimo że – jak już wspomniałem – nie interesowała się ona wcale naszymi programami artystycznymi prezentowanymi w całej Polsce.

Niektórzy przedstawiciele zawodowej organizacji aktorskiej próbowali od czasu do czasu skłonić mnie abym przystępującemu do pracy nad widowiskiem reżyserowi polecił zaangażowanie konkretnego wykonawcy. Jak dotąd wystrzegalem się ingerowania w decyzje obsadowe reżysera, nawet wówczas, gdy chodziło o realizację napisanego przeze mnie scenariusza; uważałem i uważam, że to reżyser, w pierwszym rzędzie odpowiada za kształt widowiska. Skoro nie występowałem w tych sprawach jako autor tym bardziej nie mogłem tego czynić z pozycji zwierzchnika.

Niestety, nie udało mi się przekonać mych rozmówców występujących chyba w dobrej wierze jako orędownicy zapomnianych przez nas, jakoby, wykonawców. Zdarzyło się nawet, że przy okazji jakiegoś okresowego zebrania organizacji aktorskiej jeden z mówców ubolewał z powodu złej współpracy z Ośrodkiem. Miło mi było wówczas usłyszeć, że obecny na tym zebraniu Gustaw Holoubek, wówczas prezes ZASP, zdumiał się tym zarzutem gdyż, jego

zdaniem, ekran łódzkiego Ośrodka dobrze zaświadczał o potencjale łódzkiego aktorstwa.

Na koniec parę słów o moich związkach z teatrem telewizji. Zacząłem interesować się tą dziedziną pracy zanim jeszcze przyszło mi za nią odpowiadać z tytułu pełnionej funkcji. Już w okresie chałupniczej pracy na wierzchołku wieżowca, napisałem parę scenek wykonanych przed kamerami przez łódzkich aktorów. Po zejściu do dużego studia kontynuowałem te próby, zaczynając od adaptowania tekstów innych autorów; a wreszcie zacząłem pisywać oryginalne, na własnych pomysłach oparte scenariusze. W sumie zrealizowano w Ośrodku kilkanaście „moich” widowisk teatru telewizyjnego; użyłem przy słowie „moich” cudzysłowu, gdyż były one przecież w równym stopniu dziełami reżyserów przetwarzających w obraz i dźwięk moje słowa. Wszystkie te widowiska przeznaczone były dla anteny ogólnopolskiej a o skierowaniu ich do realizacji decydowała Naczelna Redakcja Teatru Telewizji w Warszawie, a nie kierownictwo Ośrodka. Reżyserowali moje scenariusze i Jerzy Antczak i Tadeusz Minc, najczęściej jednak pracowałem z Tadeuszem Worontkiewiczem i to on przede wszystkim uczył mnie rzemiosła telewizyjnego.

Przyszło mi także współpracować z wieloma aktorami odtwarzającymi postacie moich widowisk. Występowali w nich aktorzy, których z szacunkiem i żalem wspominam: Jadwiga Andrzejewska, Stanisław Łapiński, Wojciech Pilarski i wielu innych. Relacje o ich dokonaniach odbieram jak wieści o sukcesach starych znajomych. Myślę tu – między innymi – o Barbarze Wałkównie, Krzysztofie Chamcu, Leonie Niemczyku, czy Bogusławie Sochnackim. Wszyscy oni, swym talentem i doświadczeniem, obdarowywali życiem i prawdą napisane przeze mnie postacie. Dzięki nim mogę powiedzieć, że jestem współtwórcą łódzkiego teatru telewizji. Żałuję, że z kilkunastu powstałych przy moim udziale widowisk, nie pozostał żaden – poza kilkoma fotosami – ślad materialny. Powstały one w okresie gdy nie dysponowaliśmy jeszcze możliwością zapisu obrazu. Wszystkie rozproszyły się w eterze. Byłbym rad, gdyby wspomnienie o nich, pozostało nie tylko w mojej pamięci.



*Foto: Adam Słowikowski*



## HUMOR i SATYRA.

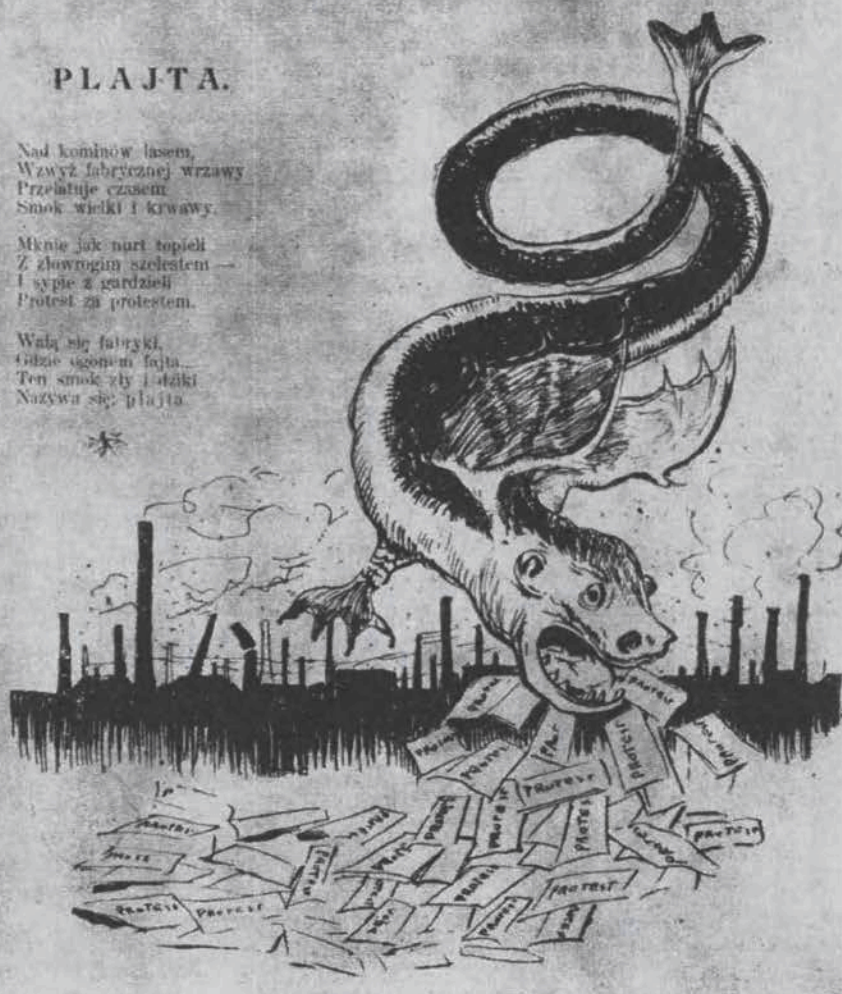
13 (26 kwietnia) 1901 roku.

### PLAJTA.

Nad kominów lasem,  
Wzwyż fabrycznej wrzawy  
Przelatuje czasem  
Smok wielki i krwawy.

Mknie jak nurt topieli  
Z złowrogim szczeniem —  
I sypie z gardzieli  
Protest za protestem.

Widać się fabryki,  
Gdzie ogniem fajta...  
Ten smok zły i szlaki  
Nazywa się: plajta.





Jerzy Wilmański

## Sto lat humoru i satyry w Łodzi

(zarys dziejów)

„Śmiejmy się – kto wie, czy świat potrwa jeszcze trzy tygodnie” – pisał Beaumarchais 200 lat temu, z czego wniosek, że tego rodzaju niepokoje gnębiły ludzi także wtedy, gdy do końca wieku było dalej niż bliżej. Ale i wówczas śmiech zdawał się być najlepszym antidotum na trudy i niepokoje świata. A więc śmiejmy się, a przynajmniej uśmiechajmy – raz z zadumą, a raz gorzko – nad mizérią i radościami naszego życia.

To nasze ludzkie prawo – wszak jesteśmy jedynymi stworzeniami na tej ziemi, które potrafią się śmiać. Łączy nas owa wspólnota śmiechu, dzięki której potrafimy lepiej zrozumieć ludzi i sprawy z odległych epok. I choć zmieniają się style, konwencje i obiekty żartu i satyry, to zawsze była i pozostanie wspólna dla wszystkich reakcja na paradoks, komizm i drwinę.

A więc śmiejmy się, oglądając dawny i współczesny światek w krzywym zwierciadle ustawionym na łódzkiej ulicy.

1. Rozpocznijmy jednak tę prezentację od podstawowych definicji. Otóż wedle *Słownika terminów literackich* satyra to „utwór literacki ośmieszający lub piętnujący ukazywane w nim zjawiska – wady i przywary ludzkie, obyczaje, osoby, grupy i stosunki społeczne, postawy światopoglądowe i orientacje polityczne, instytucje życia publicznego, sposoby zachowań i mówienia. Wyowiedź satyryczna wyraża krytyczny stosunek autora do określonych zjawisk życia, wyrasta z poczucia niestosowności, szkodliwości czy absurdalności pewnych sytuacji; nie proponuje jednak żadnych rozwiązań pozytywnych, wzorów lub ideałów, jej naturalnym żywiołem jest ośmieszająca negacja. W związku z tą jednostronnością satyry zwykło się mówić, że przedstawia ona rzeczywistość w ‘krzywym zwierciadle’, zdeformowaną przez komiczne wyolbrzymienie lub pomniejszenie”.

Humor natomiast – wedle tego samego źródła – to „dyspozycja psychiczna, zarówno twórcza, jak i odbiorcza, do ujmowania zjawisk życia i sztuki w kategoriach komizmu. Jest wyrazem życzliwej lub pobłażliwej postawy wobec

rozmaitych przejawów śmieszności i aprobatywnego, wolnego od szyderstwa i nienawiści stosunku do świata”.

Dzieje satyry to także dzieje uporezywego dopominania się o prawo głosu. Natomiast dzieje humoru, to zmieniający się kalejdoskop ludzkiej obyczajowości.

Spójrzmy, zatem jak się te sprawy miały w kulturalnych dziejach Komino-  
grodu.



2. Pierwszą publikacją o charakterze humorystycznym był w Łodzi niewątpliwie 50-stronicowy druczek wydany przez *Krogulca*, czyli znanego warszawskiego autora wierszy humorystycznych, Antoniego Orłowskiego. Orłowski wydał w Łodzi publikację *Nowy Rok – Łódzka Książeczka Humorystyczna na rok 1893* i choć jest to druczek bez większego znaczenia, od niego rozpoczynają się dzieje łódzkich wydawnictw satyrycznych i humorystycznych.

Równocześnie – w tym samym roku – Artur Gliszczyński wydaje kalendarze humorystyczne – *Łodzianka* i *Cyklista Łódzki*. *Łodziankę* wydał jeszcze w latach następnych – 1894,

1895, 1896. Helena Karwacka w swojej pracy o Gliszczyńskim pisze: „Wieczory humorystyczne organizowane przez łódzkich cyklistów i wydana przez nich jednodniówka, coraz chętniej w mieście trwającej od świtu do nocy pracy, czytane wydawnictwa humorystyczno-rozrywkowe, (kto wie, czy do nich wyłącznie nie ograniczała się lektura niektórych kręgów czytelniczych) świadczyły o rosnącym zapotrzebowaniu na ten rodzaj lekkiej, relaksowej literatury. Toteż próbowano je zaspokajać, tym bardziej, że był to również, jak się zdaje, całkiem intratny ‘interes’. [...] Dostrzegł te potrzeby także Gliszczyński, który dopiero w Łodzi ujawnił swoje talenty humorysty i satyryka i chciał dostarczyć gronu czytelników lepszej jakościowo i na łódzkich realiach opartej lektury. Stąd powstała myśl wydawania „Kalendarzyka Humorystycznego” – *Łodzianka*. Redagował go i wydawał przez trzy lata: 1893, 1894, 1895. Poszczególne roczniki, obok zwykłej części kalendarzkiej i informacyjnej, licznych ogłoszeń reklamowych (także rymowanych), na których nieźle się zarabiano, zawierały rozbudowany dział humorystyki prezentowanej ilustrowanymi dowcipami, fraszkami i satyrycznymi wierszami, piosenkami, humoreskami i gawędami. *Łodzianka* była adresowana do szerszych kręgów: chciała trafić nie tylko do inteligencji zawodowej, ale i drobnomieszczaństwa, licznych w mieście su-

biektów, kantorzystów i różnego rodzaju biuralistów. [...] *Łodzianka* prezentowała typ satyry niezbyt ostrej, prawie wyłącznie obyczajowej o moralistycznych tendencjach, chciała bawić i ośmieszać, stąd rozbudowała głównie humorystykę niezbyt wyszukaną, ale utrzymaną na pewnym poziomie stylu, tak jak wymagały tego względy jej dość szerokiego adresu, potrzeby i możliwości dość różnorodnego kręgu odbiorców”.

Gliszczyński – jak pisze Karwacka – był autorem większości publikowanych w *Łodziance* tekstów, podpisanych różnymi pseudonimami. Miał jednak także współpracowników, spośród których wyodrębnić warto choćby autora warszawskiego Pawła Kościńskiego czy piszącego uprzednio w „Dzienniku Łódzkim” Karola Łaganowskiego.

*Łodzianka* – to pierwsze krzywe zwierciadło rozlicznych i wielce charakterystycznych cech, przywar i wad łodzian, niedomogów życia miasta, jego szczególnej aury obyczajowo-moralnej. *Łodzianka* jest dziś wartościowym dokumentem tamtej epoki, a przy tym drukiem bibliofilskim.

W *Łodziance* także znalazła wyraz nowa pasja Artura Gliszczyńskiego – humorystyka, ściśle sprzęgnięta z jego dziennikarskimi dyspozycjami: spozostawczością i ostrością widzenia.

Pierwszy poeta fabrycznej Łodzi okazał się także jej pierwszym satyrykiem i wydawcą humorystyczno-satyrycznych periodyków. Z upływem czasu bibliografia tego rodzaju druków stawała się coraz bogatsza.

Dział humorystyki znaleźć można w czasopiśmie „Ognisko Rodzinne”, które w latach 1899-1900 wydawał Ludwik Fiszer, znany łódzki księgarz. Po latach opisał on swoją działalność w książce *Wspomnienia starego księgarza* (Warszawa 1959).

„Ognisko Rodzinne” ukazywało się jednak krótko, początkowo jako tygodnik, potem dwa razy w miesiącu, aż w marcu 1900 roku zakończyło swój żywot.

Również w ciągu roku (1901) ukazywał się w Łodzi tygodnik „Świat” redagowany przez Zygmunta Wasilewskiego – pismo, w którym dział humorystyki był dość bogaty. Z humorystycznym dodatkiem „Świata” pod nazwą *Humor i satyra* współpracowali m.in. Antoni Orłowski (Krogulec), Artur Gliszczyński i Franciszek Reinstein.

Pierwsza inicjatywa powołania łódzkiego czasopisma humorystycznego pojawiła się w redakcji „Gońca Łódzkiego”, gdzie przy różnych okazjach wydawano numery specjalne, bogato ilustrowane, zawierające m. in. część humorystyczną. W roku 1901 wydano taki numer w związku z bazarem urządzonym na rzecz Chrześcijańskiego Towarzystwa Dobroczynności. Zawierał ów numer szczególnie obfity materiał humorystyczno-satyryczny, wydzielony pod osobnym tytułem *Śmieszek*. Powodzenie *Śmieszka* skłoniło redakcję do wprowadzenia stałej, obszernej rubryki pt. *Goniec humorystyczny*, która była redagowana przez Antoniego Orłowskiego (Krogulca), przy współpracy Henryka Frenkla i Józefa Gliksona. *Goniec Humorystyczny* zawierał również akcenty

(mało dziś czytelne), polityczno-społeczne, co stało się nawet pretekstem dla władz carskich do zamknięcia gazety.

W latach późniejszych ukazywało się w Łodzi ponad 20 różnego rodzaju pism humorystycznych i satyrycznych polskich, niemieckich i żydowskich – oczywiście ze znaczną przewagą polskich. Przeważnie były to efemerydy.

Na przykład w 1906 roku ukazał się jeden numer „Harapu Łódzkiego” wydanego przez Stanisława Książka i Józefa Gliksona. W kilkanaście lat później – w roku 1918 Irena Książek spróbowała raz jeszcze szczęścia, wydając kilka numerów „Harapu”, redagowanego przez członków redakcji „Kurieru Polskiego”.



Pierwszą udaną próbą wydania pisma humorystycznego był tygodnik „Śmiech” – wydawcy Alfonsa Dziaczkowskiego. Pismo ukazywało się od października 1912 roku do sierpnia 1914 i w ciągu tego czasu współwydawcami byli jeszcze Jan Piotrowski i Jan Grodek. Łódzka satyra, tułająca się dotąd po różnych efemerydach i jednodniówkach, otrzymała wreszcie własne pismo tygodniowe.



Wokół tygodnika zgrupowali się znani literaci i karykaturzyści, m.in. Konrad Tom (właściwe nazwisko Runowiecki), Artur Szyk czy Wacław Przybylski. Pismo preferowało satyrę i humor w takim stylu, jaki odpowiadał upodobaniom łódzkiego odbiorcy. Żarty i anegdota dotyczyły zwykle spraw bankowo-gieldowych, upadłości, zdrad małżeńskich, plotek teatralnych itp. Autorzy „Śmiechu” omijali skrzętnie niebezpieczne rafy politycznych i społecznych kwestii, gdyż groziły one wydawcy przykrymi konsekwencjami ze strony cenzury. „Śmiech” skutecznie omijał te rafy. Nakład wynosił ok. 5 tysięcy egzemplarzy, a więc spory jak na ówczesne warunki. Mimo to tygodnik istniał tylko 23 miesiące. Potem znów pojawiły się efemerydy.

W roku 1922 aż czterokrotnie podejmowano próby wydawania pism humorystycznych. W lutym ukazał się (niestety jedyny) numer „Nocnika Teatral-

nego” redagowanego m.in. przez Stanisława Kempnera, Andrzeja Pronaszkę, Artura Szyka. Także Szyk i Pronaszko, wspólnie z Henrykiem Rozmarynowskim, wydali w marcu tego roku tygodnik „Tam Tam”, gdzie rysował m.in. Kazimierz Grus. Też skończyło się na jednym numerze.

Dwie kolejne próby to „Maszschis” (Psotnik) wydawany w języku jidysz oraz także w tym języku „Der Tachszyt” (Klejnot ew. Urwis). Żywot obu tych pism był również efemeryczny.

Przez sześć lat (1927-1932) ukazywał się tygodnik „Uśmiech” redagowany przez Aleksandra Kraśniańskiego. Przez dwa lata (1924-1925) ukazywał się „Czerwony Kos” redagowany początkowo przez Stanisława Dobrzyńskiego. Potem nastąpiła paroletnia przerwa i „Czerwony Kos” wrócił na rok (kwiecień 1931 – czerwiec 1932) już pod redakcją Jana Grobelniaka.

Oczywiście można, w ślad za *Bibliografią prasy łódzkiej* Wiesławy Kaszubiny, wymienić wszystkie tytuły pism humorystyczno-satyrycznych międzywojnia. Ale po co?

Właściwie istotne są tu tylko dwa. Przede wszystkim „Wolna Myśl – Wolne Żarty” – pismo o tyle nietypowe, że istniało w Łodzi nieprzerwanie od 1921 do wiosny 1939 roku. Nakład również miało nietypowy, dochodził bowiem okresowo do... 30 tysięcy egzemplarzy. Jeśli zważymy, że najpoważniejsze pismo literackie międzywojnia – „Wiadomości Literackie” miało nakład w granicach 8-12 tysięcy egzemplarzy, to możemy ocenić zasięg „Wolnej Myśli”.

Najpopularniejsza gazeta codzienna tamtych czasów „Ilustrowany Kurier Codzienny” wydawany w Krakowie (na całą Polskę!) przez koncern Mariana Dąbrowskiego miał dzienny nakład w granicach 120 tys. egzemplarzy. W owych latach skala czytelnictwa była zupełnie inna niż obecnie. Na tym tle widać, jak masową rozrywkę stanowił tygodnik „Wolna Myśl – Wolne Żarty” – pismo ukazujące się w Łodzi nieprzerwanie przez 20 lat.

Zaczęło się skromnie we wrześniu 1919 roku od *Kącika satyryczno-humorystycznego* na ostatniej stronie wydawnictwa polityczno-społeczno-literackiego „Wolna Myśl”. Rychło jednak punkt ciężkości przesunął się z „Wolnej Myśli”



na „Wolne Żarty” i już w roku 1921 wydawca Edmund Kokorzycki zmienia tytuł i szatę graficzną.

W roku 1926, po śmierci Edmunda Kokorzyckiego, przejęła wydawnictwo jego żona Helena, która prowadziła je do roku 1939, tworząc koncern tego rodzaju pism („Adam i Ewa”, „Wesoły Bocian”, „Hi, Hi, Hi”), w których

przeważał element sensacji erotycznej. Była to, oczywiście, erotyka i pornografia na miarę lat dwudziestych i trzydziestych.

Czasopismo przestało się ukazywać w roku 1939, ale nie ma to nic wspólnego z wybuchem wojny. Otóż pornograficzny charakter „Wolnej Myśli – Wolnych Żartów” powodował coraz liczniejsze konfiskaty, aż wreszcie doprowadził w kwietniu 1939 roku do ostatecznego zamknięcia pisma. Przeżyła natomiast Helena Kokorzyczna, która zmarła w Łodzi dopiero w latach sześćdziesiątych.

Większość utworów w „Wolnej Myśli” nie posiada podpisów – są to twory anonimowe, ale wśród powodzi tej literackiej szmiry przemknęły czasami nazwisko Benedykta Hertza czy Bogdana Brzezińskiego. Filarem pisma był mieszkający w Wiedniu Roman Hernicz. On też chyba zaopatrywał Kokorzyczną w klisze rysunkowe z wiedeńskiej prasy, które głównie wypełniały łamy pisma. Miejscowym rysownikiem „Wolnych Żartów” był Waław Lipiński, artysta grafik, zmarły w Łodzi w latach sześćdziesiątych.

Tyle o „Wolnych Żartach – Wolnej Myśli” – piśmie, które bawiło łódzkich czytelników przez lat 20, a z którego dziś trudno wybrać jakiś wartościowy tekst.

Natomiast drugim ważnym pismem satyrycznym Łodzi są „Szpilki”. Mało kto wie, że jeszcze przed wybuchem wojny „Szpilki” wydawane były w Łodzi – od kwietnia do września 1939 roku. Redakcja mieściła się początkowo przy Piotrkowskiej 83, potem przy tej samej ulicy pod numerem 117.

Trzeci adres „Szpilek” to już historia powojenna. Wspomina Eryk Lipiński: „Pierwszym lokalem wznovionych po wyzwoleniu „Szpilek”, były dwa małe pokoiki w domu Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik” przy ul. Piotrkowskiej 96 w Łodzi. Pokoiki te mieściły się na podwórzu, w oficynie na trzecim piętrze. W jednym z nich stała ceratowa kanapka, na której przeważnie wylegiwał się Stanisław Jerzy Lec w mundurze kapitana...”

Dodajmy, że redaktorami pisma byli wówczas – prócz Leca – jeszcze Leon Pasternak i Jerzy Zaruba. Dopiero w maju 1945 roku do zespołu weszli Zbigniew Mitzner i Eryk Lipiński. W Łodzi „Szpilki” wychodziły niespełna cztery lata – do roku 1948, kiedy wróciły do Warszawy, do kamienicy przy placu Trzech Krzyży.

Warto też wspomnieć, że warszawska „Mucha” także miała swój powojenny epizod w Łodzi. Otóż w roku 1946 reaktywowano ten tradycyjny w polskiej literaturze tytuł. Pierwszy numer ukazał się 27 października 1946 roku, na takim samym różowym papierze, jak dawniej, z tą samą winiętą tytułową, z kolejną numeracją od roku 1868, a nawet z okładką dawnego rysownika Edwarda Porządkowskiego. Tylko adres „Muchy” nie był warszawski, lecz łódzki: ul. Kilińskiego 93.

Łódzką „Muchę” redagowało kolegium, w którego skład wchodził: Wiesław Brudziński, Eryk Lipiński i Mieczysław Piotrowski. W Łodzi pismo

gościło krótko – w marcu 1948 roku przeniosło się do Warszawy, gdzie w roku 1953 połączono je ze „Szpilkami”.

W sierpniu 1946 roku powstał natomiast w Łodzi inny tygodnik satyryczny, wzorowany dość dokładnie na „Szpilkach”. Były to „Różgi” z podtytułem „Biją co tydzień”. Redagowali go dwaj satyrycy Stanisław Sojecki i Stefan Stefański oraz grafik Henryk Tomaszewski, współpracujący równocześnie ze „Szpilkami”, podobnie jak większość autorów „Różeg”. Pismo to ukazywało się do jesieni 1947 roku – wydano 62 numery. Początkowo „Różgi” miały wysoki poziom, potem (po odejściu Tomaszewskiego i Sojeckiego) bardzo podupadły, ratowały się przedrukami z prasy zagranicznej – w końcu je zlikwidowano.

Potem minęło aż dziesięć lat satyrycznej posuchy w Łodzi, ale też nie były to lata łaskawe dla satyry („Satyra nie może być śmieszna!”, głoszone wówczas autorytatywnie) – a i dla humoru czasy nie były szczególnie odpowiednie.

## Wystawa rysunków



## KARUZELI

Z INICJATYWY WYDZ. KULTURY PREZ. RN m. ŁODZI

Tak więc dopiero po dziesięciu latach od śmierci „Różeg” narodziła się w Łodzi „Karuzela”.

Zanim to jednak nastąpiło, łódzcy satyrycy doczekali się kolumny na łamach nowo powstałego periodyku „Łódź Literacka”. Ukazało się pięć numerów tego czasopisma – od sierpnia 1954 do stycznia 1955 roku. W każdym ostatnia kolumna zawierała wiersze i fraszki łódzkich autorów oraz rysunki Karola Baranieckiego.

„Łódź Literacka” była niejako forpoczta stałego pisma społeczno-kulturalnego, jakim się stała „Kronika”. Dwutygodnik ten ukazywał się od maja 1955 roku do listopada 1957 roku. Ostatnią kolumnę pisma wypełniały prawie bez reszty utwory satyryczne. Niestety, z satyrą w ogóle nie

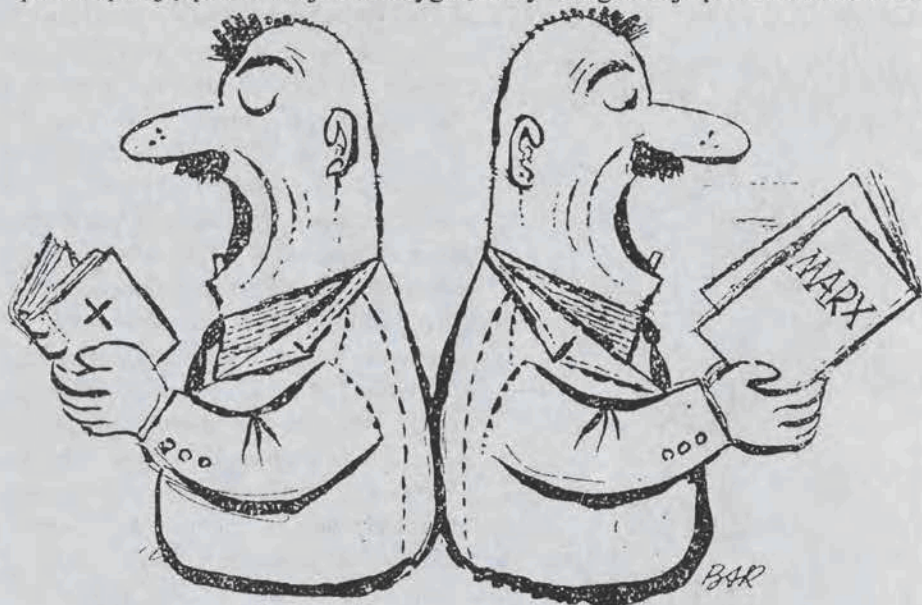
było wówczas najlepiej, tak więc i oceny tego działu nie były najwyższe. Olgierd Terlecki pisał w „Życiu Literackim”: „Banalne wierszyki o dyrektorach, recenzentach, brakorobach, straszące jeszcze w „Łodzi Literackiej” wciskają się natrętnie...” No, ale gdzie się wówczas nie wciskały?

Powstałej wkrótce „Karuzeli” kłopoty te również nie były obce. Pierwszy numer ukazał się 9 stycznia 1957 roku, liczył 12 stron i miał następującą stopkę redakcyjną: „Redaguje się samo. Redaktor przyjmuje na przystanku tramwajowym przy ulicy Mickiewicza, róg alei Kościuszki. Kierownik muzyczny: Jan

Czarny, choreografia: Karol Baraniecki. Kolegium nie ma, ale będzie. Kolportaż ustny: Horacy Safrin. Telefon zepsuty, winda nieczynna. Jan Sztudynger przyjmuje owacje i prezenty w dni nieparzyste. Następny numer ukaże się około 17 stycznia 1957 r. z pozdrowieniem Leopold Beck”.

Rozszyfrujmy tę notkę. Otóż, twórcą „Karuzeli” był Leopold Beck, pracujący wówczas w „Dzienniku Łódzkim”. Przez dłuższy czas redagował „Karuzelę” wspólnie z żoną Ireną – także dziennikarką. Lokalu pismo nie miało, stąd owa lokalizacja „Mickiewicza róg alei Kościuszki”, bowiem w kamienicy na tym rogu mieszkali Beckowie. Pozostałe nazwiska łódzkich satyryków oznaczają nie członków redakcji, lecz bliskich współpracowników, którzy od początku wsparli Becka swoimi tekstami.

Leopold Beck był redaktorem naczelnym „Karuzeli” do 1 maja 1966 roku – po nim przejął pismo Wojciech Drygas, który redagował je przez równe 20 lat.



Ave Maryja

—

Ave Partyja

W wydanym w 1974 roku *Alfabcie polskiej rozrywki* pod hasłem „Karuzela” czytamy: „Karuzela” pod redakcją Drygasa czynniej uczestniczy w życiu kraju. Stara się popularyzować tezy polityczne, informować o wydarzeniach zarówno wielkich jak i małych, oddziaływać na Czytelników przede wszystkim za pomocą rysunków satyrycznych. Miejsce tradycyjnych humoresek i wysłużonych dowcipasów coraz częściej zajmują utwory Grodzieńskiej i Domaniewskiego, felietony Wilmańskiego, rysunki Kobylińskiego i Lipińskiego. Innowacje te redaktorzy „Karuzeli” wprowadzają powoli i stopniowo, zdając sobie sprawę, że dwutygodnik jest pismem masowym (600 000 egz.), docierającym



nierzadko tam, gdzie poza popołudniówkami nie czyta się nic. Stąd ich troska, by masowego Czytelnika nie odstraszyć, lecz wpłynąć na zmianę jego gustów, zapewniając mu nieco ambitniejszą rozrywkę.”

Cztery lata później w pracy Hanny Górskiej i Eryka Lipińskiego *Z dziejów karykatury polskiej* czytamy: „Karuzela” jest redagowana żywo, po dziennikarsku, szybko reaguje na wydarzenia krajowe i zagraniczne, a krótki okres produkcyjny pozwala jej dawać zawsze materiały aktualne”.

**karuzela**

Rok XVI Nr 3 (363) 12 lutego 1972 r. Cena 2 zł.

Już do końca pozostał dla „Karuzeli” aktualny ten adresat, jakiego określono na początku: czytelnik masowy. W czasie ustrojowej transformacji kierownictwo pisma przejmowali kolejno różni redaktorzy, ale żadnemu nie udało się zapobiec upadkowi gazety. Dziś „Karuzela” jest tylko wspomnieniem minionych lat. Myślę, że dobrze spełniła swoje cele bawienia Czytelnika. Na miarę czasów oczywiście.

3. Satyra i humor przemawiały do łodzian nie tylko z łamów gazet, czasopism i licznych kalendarzy humorystycznych. Satyra i humor przemawiały także z estrad kabaretów, ze scen i scenek teatrów.

Warto wspomnieć, że przygodne, wędrowne trupy teatralne grywały w Łodzi komedie już w połowie XIX w., a w latach osiemdziesiątych zeszłego stulecia zespół Józefa Puchniewskiego zaprezentował łodzianom swoisty serial sześciu komedii Aleksandra Fredry.

Minać jednak musiało jeszcze parę lat, aby w roku 1907, powstał w Łodzi pierwszy satyryczny utwór o scenicznej proweniencji. Była nim wydana u Stanisława Książka *Szopka na tle stosunków łódzkich z doby ostatniej* – podpisana pseudonimem *Szczery*, za którym krył się łódzki nauczyciel i poeta Stanisław Czajkowski. Nic jednak nie wiadomo o scenicznej realizacji tego projektu.

Następna szopka polityczna ukazała się w Łodzi dopiero w 1945 roku, nakładem „Czytelnika” jako drugi tom serii Biblioteka „Szpilek”. Autorami jej byli Janusz Minkiewicz i Jan Brzechwa, ilustrował Jerzy Zaruba.

Wkrótce potem w programie łódzkiej „Syreny” *Wgląd w rząd* (1946) wystawiono szopkę polityczną napisaną przez Jerzego Jurandota, Zdzisława Gozdawę i Wacława Stępnia, która stała się największym bodaj sukcesem tego teatru.

Kolejną głośną szopką była *Kontrabanda* Ryszarda Marka z roku 1957 – wystawiona pięknie przez Kazimierza Dejmka na Małej Sali Teatru Nowego. Za tym pseudonimem kryje się dwóch ówczesnych studentów UŁ: Ryszard Wierzbowski i Marek Groński. Żeby jednak nie było zbyt dużo szczęścia na raz, ta właśnie szopka nie została nigdy w całości opublikowana. Niewielkie fragmenty drukował tylko „Magazyn Polski”.

I znów minęło wiele lat. Następną szopka polityczna (pióra Wiesława Machejki, Jarosława Warzechy i Jerzego Wilmańskiego) pojawiła się na scenie Stowarzyszenia Twórców Kultury w roku 1981 w realizacji Jerzego Michalaka i zespołu teatru lalek „Pinokio”. Fragmenty tej szopki publikowały „Odgłosy”, całość znajduje się w zbiorach Biblioteki Uniwersyteckiej w Łodzi. Podobnie jak maszynopis następnej szopki, pióra Machejki i Wilmańskiego, której sceniczną realizację przerwał ogłoszony 13 grudnia 1981 roku stan wojenny.

TOWARZYSTWO \* PRZYJACIÓŁ \* ŁODZI



## **SZOPKA POLITYCZNA**

JERZY WILMAŃSKI

ŁÓDŹ 1981

O szopce z roku 1981 recenzentka „Szpilek” napisała m.in. tak: „Z przyjemnością konstatujemy, że jeśli o Szopce Warszawskiej zwykło się mówić, że jest nieodrodną córą sławnej Szopki Krakowskiej, to dziś można zaryzykować stwierdzenie, że w Łodzi po 25 latach pojawiła się znowu, młodsza jej siostrzyca, też nie od macochy („Szpilki” nr 14, 5 IV 1981).

Były oczywiście w poprzednich latach różne szopki polityczne drukowane (najczęściej w wydaniach noworocznych) na łamach prasy. Pisali je m.in. Cezary Juszyński, Wiesław Machejko i Jerzy Wilmański.

Wróćmy jednak do początków wieku, kiedy to w Łodzi zaczynają wyrastać jak grzyby po deszczu – kabarety.

Janusz Dunin w swojej książce pisze, że w roku 1911 było ich w Łodzi trzy, a w 1914 – sześć: „Aquarium”, „Corso”, „Ermitage”, „Urania”, „Kolosium”, „Scala”. Najslawniejszy „Urania”, nie pozbawiony pewnych artystycznych ambicji, mieścił się na Cegielnianej i był własnością pana Juno-

da – Szwajcara z pochodzenia, ojca Eugeniusza Bodo, bardzo popularnego w latach międzywojennych amanta filmowego, bożyszczka pensjonarek. Później, przed samą wojną powstał pierwszy kabaret literacki „Bi-Ba-Bo”.

Nastąpiło to 1 marca 1914 roku. Twórcy kabaretu wywodzili się z zespołów redakcyjnych „Śmiechu” i „Gazety Łódzkiej”. Autorami byli Konrad Tom, Henryk Frenkel, Andrzej Nullus, czyli Eliaż From. W „Bi-Ba-Bo” wystawio-

no także dwie rewietki – Janusza Ihara i Stefana Boleskiego *Łodzianie w Berlinie* oraz Konrada Toma *Na falach Łódki*.

Jak pisze Janusz Dunin „finał tej rewietki rozbrzmiewał tonami znanymi nam już z łódzkiej satyry”:

*Gdzie jest na świecie drugi taki gród  
gdzie obok złota żyje z nędzą głód,  
gdzie są pałace obok nędznych bud,  
gdzie funt rozumu mniej niż szczęścia lut,  
gdzie do kariery 1000 krętych dróg,  
gdzie prostytutka, ale krzyczy bruk?  
To Łódź, to Łódź!  
Z daleka już ją mocno czuć.  
To Łódź, to Łódź!  
Już tak jest – pan się z tym zgódź.*

Nie wiadomo na pewno, czy młodzieńki Julian Tuwim współpracował z kabaretem „Bi-Ba-Bo” – według relacji siostry, Ireny Tuwim, w tym czasie wystawił na jakiejś scenie przy Dzielnej swoją rewię, a w roku 1915 w Teatrze Nowości sztukę *Mr Pipkins z Chicago* w redakcji *Łódzkiego Herolda*.

Kończąc tę informację o kabarecie łódzkim początków wieku dodam, że wydawnictwa tamtych lat publikowane były przez księgarnię Adolfa Słomnickiego w Łodzi, a ich obszerny spis znaleźć można w książce Janusza Dunina *W Bi-Ba-Bo i gdzie indziej*.

Na szopkach i kabaretach nie kończy się jednak sceniczna satyra i estradowy humor Łodzi. Osobna karta należy się tu Witoldowi Wandurskiemu – poecie, komuniście, twórcy łódzkiej Sceny Robotniczej. Dla potrzeb tej sceny pisał Wandurski utwory dramatyczne o charakterze politycznej satyry. Pierwszy – *Gielda światowa* – wystawiony został w Łodzi na Scenie Robotniczej w kwietniu 1923 r.; drugi *Gra o Herodzie* – 16 lutego 1926 r.

Zwłaszcza ta druga inscenizacja odbiła się dość głośnym echem. Zaatakował Wandurskiego w „Wiadomościach Literackich” Antoni Słonimski, nazywając sztukę „tępą bzdurą”. Odpowiedział Słonimskiemu Władysław Broniewski, wytykając mu napastliwość i pisząc m.in.: „Największym nieporozumieniem w artykule p. Słonimskiego jest to, że obrona czystości i wysokości sztandaru sztuki, potępienie *Gry o Herodzie* z powodu złych rymów i wulgarności humoru – łączy się z cichą zgodą na anonimowe sprzedawanie się literackie w kabaretach... dla chleba”.

Patrząc bez emocji na ten spór sprzed lat, można chyba dziś powiedzieć, że raczej były podzielone. Plakaty sceniczne Wandurskiego z pewnością nie sięgały wyżyn poezji – i tu Słonimski miał rację; z drugiej zaś strony *Gra o Herodzie* była swego rodzaju bezpretensjonalną, nieco rubaszną zabawą sceniczną o wyraźnych satyrycznych i politycznych tendencjach. Broniąc

prawa Wandurskiego do takiej właśnie koncepcji teatru – miał zapewne rację Broniewski.

Jeszcze mniej szczęścia do ocen miał Wandurski w przypadku swojej najgłośniejszej chyba sztuki – *Śmierć na gruszy*. Była to współczesna parafraza odwiecznego ludowego wątku baśniowego o unieszkodliwieniu śmierci przez człowieka. Wystawił poeta *Śmierć na gruszy* na Scenie Robotniczej w Łodzi w 1925 roku. Nieco wcześniej sztuka ta została wystawiona w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie i... zdjęta po sześciu spektaklach. Bezpośrednią przyczyną była recenzja „Gońca Krakowskiego”, w której znalazły się słowa: „Bez żadnych obstępów Wandurski urządza sobie w teatrze propagandę komunistyczną przeciw wojnie, wzorując się na bolszewickim teatrze propagandowym”.

4. Minęło dwadzieścia lat i na satyrycznej scenie w Łodzi pojawiły się *Inne czasy*. Dosłownie i w przenośni – przyszły inne czasy, a wraz z nimi pierwszy program łódzkiej „Syreny” – *Inne czasy*, którego premiera miała miejsce 5 lipca 1945 roku.

Gwoździem programu stała się piosenka Jerzego Jurandota śpiewana przez Stefanię Górską:

*Inne czasy, proszę pani, inne czasy,  
Teraz masy, proszę pani, teraz masy!*

*Więc gdy w styczniu polskie wojsko przyszło do mnie  
Osobiście ucieszyłam się ogromnie!  
Chociaż ci oficerowie, proszę pani  
W porównaniu z dawniejszymi, źle ubrani  
I do tego – muszę pani rzec dyskretnie –  
Tańczą, jak na oficerów, niezbyt świetnie...  
Ale trudno, mych przekonań to nie zmienia:  
Może to specjalnie tak, dla odróżnienia?*

*Inne czasy, proszę pani, inne czasy,  
teraz w wojsku, proszę pani, także masy...*

„Syrena” wystawiła w Łodzi parę programów (*Prawo do śmiechu, Wiosenne rewierendum*), ale zespół ciągnęło do Warszawy, więc jako jeden z pierwszych rozpoczął słynny exodus świata kultury do stolicy. Warszawska premiera „Syreny” 12 grudnia 1948 roku, rozpoczęła się łódzkim akcentem. „Gdy rozsunęła się kurtyna – pisze Jerzy Jurandot w *Dziejach śmiechu* – na scenie stał zespół w płaszczach podróżnych i z walizkami. Śpiewając prologową piosenkę, naprawdę z trudem panowali nad głosami:

*Łódź nas przyjęła z czułą troską,  
A my nie warci tego, bośmy  
Piotrkowską zwali Marszałkowską  
I byli obcy, byli gośćmi...  
Lecz jakże żyć nam w dobrej Łodzi  
Wśród ciągłych wspomnień i porównań?  
Każdemu, kto się tu urodził,  
Warszawa główna, Warszawa główna...*

Po „Syrenie” powstała w Łodzi „czarna dziura”, przez wiele lat niewypełniona jakimś znaczącym objawieniem scenicznej satyry. Pozostała jeszcze „Osa” – teatr literacko-satyryczny, który powstał w dwa lata po „Syrenie” i trwał do czerwca 1951 roku. Nie było to jednak objawienie. Stanisław Kaszyński pisze: „Zwykła mieszanka problemowa z przewagą spraw rodzinno-mażeńskich i miłosnych, charakteryzuje każdy z programów [...] „Osa” oscyluje z konieczności w stronę układów raczej rozrywkowych”.

Pomińmy w tych rozważaniach teatrzyk „Gong”, który był jeszcze mniej ciekawy i zobaczmy, co się działo po „Syrenie” ze sceniczną satyrą. A więc latem 1951 roku umiera „Osa”, na jej miejsce powstaje Teatr Mały. Wystawia parę komedii, od Jurandota po Fredrę – i po niespełna trzech latach przekształca się w Teatr Satyryków, który 13 lutego 1954 roku startuje składanką *Dajemy wam słowo humoru*. Inwencji starczyło jednak tylko na jeszcze dwa programy – *Wycieczki osobiste* i *Mamy gości* – zresztą, sądząc z opisu Stanisława Kaszyńskiego, bardzo przeciętne.

Następuje kolejna reorganizacja. Kierownikiem artystycznym pozostał nadal Igor Sikirycki – i pozostały w programach dawne schematy satyryczne, właściwe zresztą tamtym czasom. Nie wszystko jednak można zwać na czasy.

Po reorganizacji teatr nazywa się Estradą Artystyczną – i są to lata 1955-1957. Zwracam uwagę, że pośrodku tych dwóch dat znalazł się Październik 1956. W tym czasie przygotowano cztery programy, ale „zrutynizowane, sztapowe, martwe w zakresie eksperymentu artystycznego. [...] W tych latach generalnej odnowy, wielkich napięć ideologicznych, w okresie wyjątkowo sprzyjającym wszelkim próbom wyłamywania się spod nacisku fałszywych wzorów, Estrada Artystyczna kontynuowała uporczywie anachroniczne już motywy i formy” – pisze Stanisław Kaszyński.

Tak więc od czasów „Syreny” łódzkie sceny satyryczne, wstrząsane kolejnymi reorganizacjami nie skupiły wokół siebie ani też nie wykształciły grupy reżyserów, aktorów i autorów. Pozostała legenda „Syreny” i siermiężna rzeczywistość przaśnej rozrywki. Zmieniali się dyrektorzy (Jerzy Antczak, Michał Orlicz, Roman Sykała, Janusz Kłosiński), nie zmieniała się mizeria scenicznej satyry.

W czasie gdy łódzkie sceny satyryczne zajęte były kolejnymi reorganizacjami, powstał (we wrześniu 1954) studencki teatr satyryczny UŁ „Pstrąg”. Wśród założycieli byli: Dobrosław Mater (aktor Teatru Nowego i pierwszy reżyser „Pstrąga”), Julian Brysz, Jan Skotnicki, Leszek Skrzydło, Wiesław Machejko i Ewa Nagórska. Potem reżyserem został Jerzy Antczak a następnie Ryszard Ronczewski, Daniel Szylit, Jan Skotnicki i Jerzy Markuszewski. „Pstrąg” za swoje celne uderzenia satyryczne wielokrotnie otrzymywał nagrodę „Szpilek” – stańczykowski kaduceusz. Jako teatr satyryczny działał stale do 1964 roku.

Najgłośniejsze premiery „Pstrąga” to *Falszywe nuty* (1956), *Jestem czajnik* (1957) i *Kraj na ziemi* (1958). Potem teatr zrealizował parę inscenizacji literackich – wieczory poezji Kazimierza Wierzyńskiego i Jana Lechonia, songi Bertolda Brechta, wieczór poezji bachicznej, program poezji radzieckiej, pieśni Bułata Okudźawy... Satyra skończyła się w 1964 roku, ale też nie było na nią większego zapotrzebowania – przynajmniej w górnych rejonach władzy.

Podobnie wyglądają dzieje drugiego znaczącego teatru satyrycznego młodzieży studenckiej – „Cytryny”. Był to teatr studentów Akademii Medycznej w Łodzi. W latach 1954-1956 dał trzy przedstawienia powtarzające formę warszawskiego STS-u i łódzkiego „Pstrąga”, lecz bez ich celności satyrycznej. Pomińmy, więc milczeniem autorów.

W roku 1960 powstała nowa „Cytryna”, skupiona wokół Jana Kwapisza, asystenta na wydziale aktorskim łódzkiej szkoły teatralnej. Wystartowała „Cytryna” z własną składanką satyryczną *Galimatias* – potem jednak teatr korzystał głównie z tekstów autorów zawodowych. W roku 1962 wystawiono bardzo ciekawy program *Pawie i pawiaki*, będący prezentacją satyry międzywojennej.

Dalsze dzieje „Cytryny”, podobnie jak i „Pstrąga”, są typowe dla studenckich teatrów satyry, które tak gwałtownie zaatakowały widza w połowie lat pięćdziesiątych. Część z nich weszła – z różnym powodzeniem – w profesjonalność, część zesłała na margines studenckiego ruchu kulturalnego. I jedno i drugie straciły po latach swoją dawną, wiodącą rolę. Przystały być zjawiskiem – pozostały jedną z form spędzania czasu.

Przyszły historyk łódzkiego teatru w ćwierćwieczu 1960-1985 wymieni, być może, „Teatr 7.15” z kolorowym i dowcipnym *Łezternem* Gorzelskiego i Erola – ale co więcej znajdzie na satyrycznej scenie? Zauważy być może mnogość satyrycznych prób kabaretowych, wśród których zajaśnieje *Wielki Szpan* Andrzeja Józwiaka z Estrady Łódzkiej – nie odnotuje jednak większości owych efemerycznych scenek i estradek rozsypujących się po pierwszym programie.

5. Na koniec garść uwag o innych publikacjach satyrycznych i humorystycznych, których było sporo, choć w opracowaniu Ludwika Stolarzewicza *Literatura Łodzi* nie ma w ogóle działu *Humor i satyra*. Brak nawet w bibliografii szopki Stanisława Czajkowskiego czy wydawanych przez księgarnię Adolfa Słomnickiego tekstów satyrycznych z łódzkich kabaretów.

W okresie międzywojennym ukazało się w Łodzi kilka humorystycznych kalendarzy. M.in. *Kalendarz łódzki humorystyczno-satyryczny „Sylf”* w 1914 roku, *Kalendarz humorystyczny „Wolnej Myśli – Wolnych Żartów”* 1935-1937, *Kalendarz humorystyczny „Hi-Hi-Hi”* w 1939 roku.

Po wojnie – od wydania *Szopki politycznej* Minkiewicza i Brzechwy w 1945 roku – panowała raczej posucha na tego rodzaju publikacje, aż do chwili powstania w 1957 roku Wydawnictwa Łódzkiego. Już w drugim roku istnienia oficyny wydano pierwszy tom *Ksiąg humoru polskiego* w opracowaniu Stanisława Czernika, Jana Huszczy i Juliusza Saloniego. Tom nosił podtytuł *Od Reya do Niemcewicza*. W roku 1961 ukazał się tom drugi – *Od Fredry do Bałuckiego* w opracowaniu Juliusza Saloniego i Heleny Karwackiej, pod redakcją Tadeusza Chrościelewskiego. Cztery lata później Tadeusz Chrościelewski opracował trzeci tom – *Od Asnyka do Zapolskiej*, a w roku 1969 ten sam edytor przy współpracy Heleny Karwackiej i Edwarda Kozikowskiego wydał tom czwarty *Od Kasprowicza do Tuwima*.

*Księgi humoru polskiego* nawiązywały do cennej i pionierskiej antologii Kazimierza Bartoszewicza, wydanej w Petersburgu w 1897 roku.

Do połowy lat osiemdziesiątych Wydawnictwo Łódzkie opublikowało ponad trzydzieści książek satyrycznych – wśród nich dwie antologie: *Puszka satyry* (1962) – komplet sześciu tomików: Jerzego Afanasjewa, Ryszarda Brudzyńskiego, Ryszarda Doroby, Jana Huszczy, Horacego Safrina, Włodzimierza Słobodnika – oraz *Pięć uśmiechów głównych* (1967) utwory Jerzego Afanasjewa, Józefa M. Kononowicza, Horacego Safrina, Włodzimierza Słobodnika i Jan Sztudyngera.



Wybieramy ludzi za-radnych

Ukazywały się jeszcze w Łodzi także – najczęściej z okazji jubileuszy – satyryczno-parodystyczne wydania łódzkiej prasy. Trzy takie wydania przygotował zespół „Głosu Robotniczego” (1965, 1970, 1985) oraz jedno zespół „Odgłosów” (1973). Parodystyczne wydania miały nakłady w granicach 300-400 egzemplarzy. Ponadto ukazały się drukiem (również w bibliofilskich nakładach) dwie szopki satyryczne Jerzego Wilmańskiego. Pierwsza w grudniu 1981 roku na jubileusz 60-lecia Rozgłośni Polskiego Radia w Łodzi, druga w 1983 roku na 25-lecie tygodnika „Odgłosy”.

Czasopismo „Karuzela” wydało kilka zbiorów karykatur, a w roku 1983 nakładem KAW w Łodzi małą antologię satyry *Kuszenie na Karuzelę*. Wydawnictwo Res Polona wydało w roku 1993 antologię Jana Czarnego i Tadeusza Giegiera pt. *Trudno nie pisać satyry*. To prawda, że w dzisiejszych czasach trudno nie pisać satyry, ale prawdą jest również i to, że żywot satyryka nie jest łatwy. Upadły satyryczne czasopisma „Szpilki” i „Karuzela”, nie mówiąc już o tym, że w Łodzi scenki satyrycznej dziś nie uświadczysz. Ale to już osobna historia, także warta pióra satyryka.

Stuletni bilans humoru i satyry w Łodzi nie kończy się więc zbyt optymistycznie. Jeśli jednak spojrzymy na cały miniony wiek, to trzeba stwierdzić, że „humor Łodzi nie zaszkodził” – wręcz przeciwnie, rozwijał się wspólnie z satyrą zupełnie niezłe, dokumentując obyczajowość i politykę mijającego stulecia.

#### Wybrane pozycje bibliograficzne

- Bibliografia publikacji Wydawnictwa Łódzkiego*, oprac. Andrzej Gawroński, Łódź 1982
- Dunin Janusz – *W Bi-Ba-Bo i gdzie indziej*, Łódź 1966
- Filler Witold, Groński Ryszard Marek, Wittlin Jerzy – *Alfabet polskiej rozrywki*, Warszawa 1974
- Fiszer Ludwik – *Wspomnienia starego księgarza*, Warszawa 1959
- Górska Hanna, Lipiński Eryk – *Z dziejów karykatury polskiej*, Warszawa 1977
- Karwacka Helena – *Artur Gliszczyński – pieśniarz fabrycznej Łodzi*, Łódź 1975
- Kaszubina Wiesława – *Bibliografia prasy łódzkiej 1863-1944*, Łódź 1967
- Kaszyński Stanisław – *Teatr łódzki w latach 1945-1962*, Łódź 1970
- Lipiński Eryk – *Drzewo Szpilkowe*, Warszawa 1976
- Prasa polska 1864-1918* pod red. Jerzego Lojka, Warszawa 1967
- Prasa polska 1918-1939* pod red. Jerzego Lojka, Warszawa 1980
- Szukałak Marek – *Łódzkie rysunki Artura Szyka*, Łódź 1997
- Wandurski Witold – *Plakaty sceniczne*, oprac. Helena Karwacka, Łódź 1970



Wiesław Machejko

## Kartki z historii STS „Pstrąg” (cz.1)

*Chcecie to wierzyć, chcecie nie wierzyć  
Kiedyś weselej było w tym mieście!  
W łódzkim radio: Orkiestra Ciukszy życie cukrzy!  
Co to pędzi drogą aż popatrzeć strach?  
Wesoły autobus gna po kocich łbach!*

„Program z dywanikiem” – montują Fenigsenowa z Jeżewskim. Kabaret „Kpiarz” w Estradzie Mieczysław Stefański, „Poddasze” – Tadeusz Dobrzyński z Włodzimierzem Krzezińskim, „Sylwestrową Szopkę” w studio radiowym Ryszard-Marek, czyli Groński z Wierzbowskim, szopkę w Spatifie Warzecha z Wilmańskim i lalkami Jerzego Jankowskiego. A do tego jeszcze „Karuzela – Rozwesela”. No i teatryki studenckie! W kraju: „Bim-Bom”, STS i „Kalambur”. W Łodzi „Cytryna”, „Hurmaczek” i „Pstrąg”. Dziś temu ostatniemu poświęcamy całe to zadrukowane dookoła miejsce Kroniki. Na zlecenie doc. dr., a potem już profesora Stanisława Kaszyńskiego piszący te słowa przeprowadził notację i badania etiologii tej ryby, która okazała się gromadą ludzi tyleż wesołych, co zadziwiających swym bezinteresownym zamiłowaniem do teatru i satyry. Z własnej woli stworzyli zespół teatralny, który w satyrycznym nurcie i pod prąd utrzymał się przez lat bez mała dwanaście – długo jak na akademików. Potem teatryk z własnej woli zgubił przydomek „satyryczny” pod kierunkiem Jerzego Hutka i Krystyny Piasecznej oddając się głębszym poszukiwaniom poetycko-eksperymentalnym. Czynił tak aż do chwili, kiedy instytucja odpowiedzialna za opiekę nad potrzebującymi, czyli PZU (a studenci zawsze do nich należeli) wypowiedziała im kąt w ostatniej „krajnie pstrąga” przy ul. Wólczańskiej. Paradoks: złoty okres godowy „Pstrągów” przypadł na czas trzeciej sali i krainy w siedzibie Polskiego Związku Wędkarskiego przy ul. Zachodniej. Pewnikiem dlatego, że wędkarze serio biorą okresy ochronne tej ryby, kochają ją i hołubią.

Nawet gdy w środku nazwy kryje się satyryczny teatryk.

Poprzez scenę „Pstrąga” (w ciągu satyrycznym) przewinęło się kilkuset akademików ze wszystkich wyższych uczelni Łodzi: poloniści pisali, muzycy komponowali i grali, elektrycy świecili, plastycy malowali, filmowcy fotografowali i kręcili, a dla każdego było miejsce na scenie, gdy tylko chciał grać

i się do tego nadawał. Przede wszystkim jednak studiowali... Również po to, by w stosownym czasie, już jako wbici w gronostaje i togi, móc powspominać swe żakowskie buntowanie. Bo w tym zespole – równym „Bim-Bomowi”, „STS-owi”, „Kalamburowi” i (wybaczcie) bratniej „Cytrynie” istnieje zwyczaj spotykania się co pięć lat, w okolicach dnia 6 marca – czyli rocznicy powstania teatrzyku, by wspólnie pośpiewać, pogadać i odliczyć się w pstrągowym szeregu. No i powtórzyć za starym mistrzem, że zarówno w teatrze, jak i w życiu

*Difficile est satiram non scribere...*

To cytat ze starożytnego Juwenala, do którego wrócimy na końcu. I jeszcze jedno: Nie zapominajmy, że cały ten olbrzymi ruch studenckich teatrzyków, których w Polsce było kilkadziesiąt, zawdzięczamy Zrzeszeniu Studentów Polskich, które od początku matkowało Buntowi Żaków. Jak to się stało, że w trudnych latach pięćdziesiątych w zarządach tej młodzieżowej organizacji znalazło się tylu wspaniałych, odważnych, mądrych kolegów? – Na to pytanie przyjdzie nam kiedyś szczegółowo odpowiedzieć.

### Prekursorzy – prapoczątek

Ruch teatrów studenckich nazwał Tadeusz Polanowski „Buntem żaków” i określenie to trafnie oddające sens zjawiska zrobiło karierę. Za rok narodzin pierwszych studenckich teatrzyków przyjmuje się powszechnie rok 1954. W tym roku dają premiery warszawski STS i gdański „Bim-Bom”. Brzemie buntu żaków narastało jednak już wcześniej. Ponieważ interesuje nas tutaj problematyka łódzkiego środowiska akademickiego, spróbujmy określić, skąd wyrosły korzenie „Pstrąga”.

Twórcami tego zespołu była grupa słuchaczy Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Łódzkiego z lat 1950-1957, szczególnie studentów, a następnie absolwentów polonistyki. Przypomnijmy ówczesną atmosferę marazmu, skostnienia życia kulturalnego i intelektualnego wyższych uczelni. Martwość i schematyzm literatury, filmu, dominujące w ruchu amatorskim powielanie wzorców bądź obcych kulturowo, bądź będących siódmymi popłuczynami po „Mazowszu”. A co w teatrze. Pisze o tym Jerzy Afanasjew:

„Sztampa złego teatru, brak dobrej estrady, nuda, ponuractwo, którym można straszyć w bajeczkach, spowodowały, że młodzież zaczęła sama dla siebie rysować rozrywkę, przygotowywać własne teatry młodego widza, własne imitacje Paula Anki czy Jamesa Deana. Teatry zawodowe przez strukturę administracyjną mało rzutkie, wymagające lat, nim sztuka trafi od pisarza do widza, nie potrafiły stworzyć teatru dla młodzieży. Walczyliśmy o teatrzyki pulsujące tętnem problemów młodzieży, a nie straszące odległymi rumowiskami sztuk cmentarzy historycznych. »Nie chcemy duchów, chcemy współczesności, precz z prapsychologią teatralną« – mówiła młodzież. Wstydziała się za bezwstydną. Chciała naprawiać świat. Wszak na ostrzu rzeczywistości były często: bladeść i cynizm”.

Bardziej ostro określi sytuację Robert Gluth (w „Od nowa” 8 II 1958): „Bez ZSP nie byłoby STS-ów. U źródeł rozwoju wartości znajduje się konflikt – a istniała mnogość płaszczyzn i nieporozumień między studentami a »aparatem ZMP«. Czego tam nie było. Dyscyplina i bikiniarstwo, jazz i krewni za granicą...”

Mamy zatem próbkę klimatu dominującego i w kraju, i na uczelniach tuż przed „wybuchem STS-ów”.

Cofnijmy się jednak do roku 1952, kiedy to grupa studentów polonistyki UŁ przygotowała montaż *Satyra XVIII wieku*. Była to pierwsza, nieśmiała ja-skółka zwiastująca poszukiwanie, tęsknotę za nową formą działalności artystycznej i wypowiedzi. Nad stroną programową czuwał prof. dr Zdzisław Skwarczyński. Reżyserowano wspólnie. Oprawą muzyczną zajął się Marek Lusztig, student rusycystyki UŁ. Nowatorstwo tego montażu – jak na owe czasy – polegało na dwóch rzeczach: padały ze sceny ostre, zjadliwe strofy jakobińskiej satyry obyczajowej, społecznej, a czasem nawet dźwięczące aluzjami politycznymi. Po drugie: teksty podawano w barwnym kostiumie epoki, co świadczyło o teatralnych zainteresowaniach zespołu, pozwalało też na czymś zatrzymać oko słuchając przydługich tekstów Krasickiego, Trembeckiego, Jasińskiego.

*Satyra XVIII wieku*, zaprezentowana w maju 1952 roku na I Festiwalu Kulturalnym Studentów w Krakowie, nie odniosła sukcesu. Za to dzięki walorom wizualnym, a także niezwykłości inicjatywy grupy studenckiej – odnotowana została w prasie, tygodnikach i kronice filmowej.

Jak niełatwa była podówczas rola i sytuacja autorów, świadczy całkowity upadek zawodowych scen rozrywkowych, teatrzyków, kabaretów. Z desek utrzymujących się na powierzchni – wiało beznadziejnością, nudą i szmirą. Studencki ruch odnowy, słabiutki i nieśmiały, sięgnął więc wprzód do jakobinów, potem jeszcze głębiej, bo aż do tekstów staropolskich w *Albertusie z wojny*.

Ale w międzyczasie zaczął działać na Uniwersytecie zespół satyryczno-estradowy „Dyliżans szkoły”. W jego skład wchodził studenci polonistyki, prawa, historii, rusycystyki. Tematem satyry były ataki na bikiniarzy, „Głos Ameryki”, co się nawet podobało działaczom młodzieżowym. Mniej życzliwie patrzono na próby satyry wewnątrzuczelnianej: krytykę kolejek przed dziekanatem, czy stołówek. Najmniej zaś na wieczorne zebrania i nocne próby. Posądzony o „kociakowość” i „złotomłodzieżowość” (słuchano jazzu!), skrytykowany publicznie w „Głosie Uniwersytetu” zespół rozpadł się. Pozostała po nim dokrętka filmowa zrealizowana wspólnie ze studentami szkoły filmowej, z którymi „Dyliżans” przygotowywał wspólny program filmowo-estradowy. Był to zamiar połączenia żywej estrady z projekcjami filmowymi, na ekranie ustawionym w tle. Udało się to pokazać tylko dwa razy w PWSTiF, gdzie była odpowiednia aparatura projekcyjna.

W roku 1954 ci, co z „Dyliżansu” na dalszych studiach pozostali, odgrzebują w uczelnianej bibliotece przedwojenne teksty Słonimskiego, Paczkowskiego, Tuwima, Światopełka-Karpińskiego, Gałczyńskiego. Powstaje *Satyra*



*Kolejny jubileusz. Depesze odczytują:  
Bazylewicz, Skrzydło, Sikorski  
Foto: W. Kraska*

*dwudziestolecia międzywojennego. W tych samych kręgach rodzi się marzenie o własnym teatrze. Stanisław Kaszyński opracowuje według staropolskich tekstów komedii rybałtowskich widowisko *Albertus z wojny* prezentowane kilkakrotnie w sali Garniznowego Klubu Oficerskiego przy ul. Przejazd 36 (obecnie ul. Tuwima). Po raz pierwszy dochodzi tu do spotkania ludzi, którzy w najbliższej przyszłości stworzą „Pstrąg”. Są to z jednej strony znani studenci polonistyki, wśród nich Brysz, Skotnicki, Boczkowski, Świrski, Skrzydło, Machejko, z drugiej słuchaczki Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych Krystyna Łobzówna i Czesława Stefanowska.*

*Po *Albertusie* odnotowujemy jeszcze jeden próbny start do własnego teatru: satyryczną składankę napisaną przez tychże studentów, a opatrzoną tytułem *W pogoni za wydzwiękiem*. Program obracał się znów w*

zaklętych rewirach codziennego studenckiego żywota. Trochę bawił, trochę śmieszył i zachęcił do dalszej roboty.

Stajemy tedy u progu narodzin Studenckiego Teatru Satyry „Pstrąg”. Jak widać, nie wyrósł w próżni. Przeciwnie. Patrzących z perspektywy lat zadziwiać musi konsekwencja owego ruchu w poszukiwaniu trybuny wypowiedzi. Miała nią być nie prasa, nie literatura ale właśnie scena. Scena w niejasnym jeszcze, lecz już wyczuwalnym zamiarze, nie za długo stać się miała trybuną wypowiedzi politycznej młodego pokolenia. Ten dwuletni z górą (1952-1954) marsz do własnej sceny dyktowała potrzeba higienizacji życia społecznego, kulturalnego, politycznego, odnowy stosunków międzyludzkich, przywrócenia człowiekowi należnych mu ludzkich praw. Środowisko polonistyczne, które działaniu temu w Łodzi przewodziło, pozostawało w tym czasie w bliskich stosunkach z ludźmi łódzkiego teatru. A jest to czas, kiedy Kazimierz Dejmek przygotowuje *Łażnię* Majakowskiego, studenci zakradają się na próby przy ul. Więckowskiego. W mieście huczy od tego co też w „Nowym” wybuchnie. W kręgu tych kontaktów, świeżego powiewu sztuki zaangażowanej i bezkompromisowej 24 września 1954 roku w pewnym mieszkaniu przy ul. Wólczańskiej

grupa młodych ludzi pod przewodnictwem Czesława Wiśniewskiego – przewodniczącego ROZSP postanowiła założyć teatr studencki.

„Jak im się udało ominąć kontrolerów, stójkowych, importowanych surrealistów, rodzimych krzykaczy, niespalone wiedźmy, marksistowskich dewotów? Jak im się udało nie uzgadniać i nie wytyczać? Jak im się udało stworzyć polskie teatryki bez łowickich pasiaków i bez fujarki?”

„Gdy skostniały misteria, odnowienie teatru przyszło z bud jarmarcznych; gdy skostniał romans rycerski przyszła literatura sznurowa. Gdy skostniał nasz teatr, przyszły teatryki. Gdy skostniała powieść, rodzi się reportaż i felieton polemiczny. Z wędrownych grup wyszli klasyki komedii filmowej, z nieudanych dziennikarzy i literatów bez książek wyrosli wielcy reżyserzy, z ludzi ulicy wyrosli wielcy aktorzy, z »pacykarzy« – twórcy współczesnej rewolucji w malarstwie”.

(Aleksander Jackiewicz, *Urodzeni na kamieniu*)

Skąd i jak powstała nazwa teatru, która towarzyszy mu od wielu lat? Próbowano rzecz tłumaczyć wielokrotnie i na rozmaity sposób. Zbigniew Nowicki, pisząc recenzję z pierwszego spektaklu noszącego tytuł *Pstrągi*, zastanawiał się:

„Dlaczego właśnie »Pstrągi«? Nie wiem. Z początku wydawało mi się, że nie mogę zrozumieć przerośniętych autorów spektaklu, ponieważ spóźniłem się nieco na spektakl. (Nie ze swej winy. Strasznie ciasna szatnia.) Później już w trakcie przedstawienia kilkakrotnie próbowałem wyjaśnić tę przerośniętość, uzasadnić ją jakoś – ale, niestety, mimo szczerych chęci z mej strony i wypytywań znajomych studentów na widowni przerośnięta ta nie stała się dla mnie jaśniejszą. Bo niby dlaczego »pstrągi«? Dlaczego pewien typ studenta to pstrąg? Że śliski? Że trudno go schwytać i trzeba na niego nie byle jakiej przynęty? Nie wiem. Przerośnięta nie trafiła mi do przekonania”.

Leszek Skrzydło pisze: „Właśnie dlaczego »Pstrągi«? Od początku chcieliśmy mieć jakiś szyld i mieć swój stały sygnał muzyczny. Z pomocą przyszli Gałczyński (*Skumbrie w tomacie*) i Schubert (*Pstrąg*). Kiedy jednak okazało się, że nikt nie jest w stanie wymyślić sensownego tytułu dla gotowego już programu (ech ta koncepcja!), trzeba było użyć do tego wymyśloną nazwę i na pierwszy ogień wystąpić bez szyldu, ale z tytułem programu. Zresztą słowo »pstrąg« nic dla nas jeszcze nie znaczyło i (o zgrozo!) określeniem tym nazywaliśmy wszystkie negatywne postacie w przedstawieniu.”

Inna jest interpretacja Tadeusza Polanowskiego, który uzasadniając w „Szpilkach” decyzję redakcji przyznania „Pstrągowi” kaduceusza za ostrość satyry (*Falszywe nuty* rok 1956) tak pisał: „Pstrąg lubi czysty i bystry nurt potoku górskiego. W potoku trafiają się oczywiście i wiry. Teatr »Pstrąg« płynie w bystrym nurcie naszego czasu. Atakuje w nim wiry ostrzem zadziornej satyry. Są w jego programie cenne elementy. Są na przykład echa *Wesela*. Masz tu

więc »Pstragu« kaduceusz polski i macz nim wody, macz. Bo kaduceusz jest czerwony!”

Potem paru recenzentów uzupełniło: „»Pstrag« dlatego, że płynie zawsze pod prąd. Że drapieżny! Że ładny! Że jest rybą rzadką! Cenioną! Że pod ochroną!”

Słowem mniej więcej w drugim roku istnienia wytłumaczono autorom nazwy „Pstrag”, co chcieli przez to powiedzieć. Zawarto pakt zgody. Nikt już nie pytał: dlaczego właśnie „Pstrag”, a stylizowana na roześmianą grecką maskę – rybka w meloniku związała się na zawsze z zespołem.

„Jest w tym szaleństwie bardzo prosta metoda (zalecana niegdyś przez Majakowskiego), myśleć, mieć odwagę wypowiedzania swoich myśli. I to zdzierzycie, z fantazją. »Z cyrkiem i fajerwerkiem!« – napisze później Tadeusz Polanowski w „Kalendarzu Szpilek”.

Tymczasem jest rok 1954 i młody zespół staje przed problemem pierwszego programu. „Braliśmy wszystko, co wydawało nam się śmieszne lub celne. Kryterium selekcji nie mieliśmy na dobrą sprawę – żadnego” – pisze Skrzydło. Po premierze w dniu 6 marca o programie *Pstragi* pisali recenzenci: „Cechą charakterystyczną tego programu jest krytyka różnych przejawów życia w środowisku studenckim. Tu dopiero widać, jaką trybunę stworzyli sobie studenci. Wałą więc gromy na AZS, niewłaściwy rozdział wczasów, na kacykostwo i bezduszność niektórych »od siedmiu boleści« działaczy młodzieżowych. Krytyka ta jest słuszna i wychowawcza – to nie ulega wątpliwości i to jest pierwszy sukces młodego teatru. Wielu bowiem krytykowanych przyjdzie do teatru i zobaczy samych siebie...” – stwierdził Jerzy Silberbach 22 marca w łódzkim „Expressie Ilustrowanym”. Zbigniew Nowicki, chwalać wiele tekstów, m. in. *Awans aktywisty*, *Część artystyczną*, niektóre piosenki, sugeruje: „Teatr studencki musi wyjść w przyszłości poza problematykę studenckiego życia. Stać go na to, to pewne. Bo ze swego pierwszego przedstawienia wyszedł zwycięsko” („Głos Robotniczy” 24 III 1955 r.)

„Pstragi” nie wyszły natomiast zwycięsko z pierwszej konfrontacji zespołów studenckich teatrzyków, jaka odbyła się w Warszawie w maju 1955 roku. Ale właśnie porównania, dokonane między „Bim-Bomem” i STS-em, pokazały drogę, którą należy pójść, choć na pewno nie będzie ona łatwa. Należało rzeczywiście wyjść poza krąg studenckiego środowiska w tym sensie, by pokazać, że nic, co się w kraju dzieje, nie jest studentom obojętne. Należało stworzyć teatr, ze sceny którego młodzież akademicka będzie zabierała głos w sprawach kraju.

Odkrycie to przywiezione z Warszawy legło u podstaw przygotowań do następnej premiery, która nomen omen nosiła tytuł *Nie mamy czasu*. Nie mamy czasu, chcemy działać, mówić co myślimy, natychmiast, już! Stąd zawarty w tekstach niepokój brzmiał ze sceny tonem niemal histerycznym.

Bohdan Drozdowski i Jerzy Panasewicz napiszą w recenzji („Głos Robotniczy” 24 I 1956 r.):

„...końcowe memento »Góra młodzi« nie brzmi wcale tak radośnie. Bo ci młodzi są samotni, czują się samotni, nie widzą – poza swoim jakże pięknym entuzjazmem – żadnej siły, do której mogliby się odwołać. Ale o to »Pstrągom« na pewno nie chodziło. Przedobrzyli po prostu, przejęzyczali się niekiedy i zgubili część swojej pracy w histerycznym krzyku końcowego monologu.

*Jakże często – woła anonimowy człowiek ze sceny – zamienia bubek czerwień sztandaru w czerwień chodnika przy biurku. Czemu czekacie? Czemu nie zatrzymacie przeciekających między palcami sekund – o tak. Czy was nie dręczy sen człowieka za biurkiem, mielącego językiem: »Nie pchajcie się młodzi! Macie czas!« Słuchajcie! Nie mamy czasu! Nie mamy czasu czekać, aż nas ktoś dostrzeże, że mamy rozum i serce. NIE MAMY CZASU!*

Program bierze. Bierze swoją wewnętrzną temperaturą, swoim zacierzeniem w atakowaniu konkretów.

...Recenzja o »Pstrągach« mogłaby być najeżona złośliwościami, bo jest to skądinąd teatr bardzo jeszcze naiwny, który demaskuje się na każdym kroku. A jednak są to nasze »Pstrągi«! Młode, entuzjastyczne, wzruszające, naiwne, nieporadne, histeryczne nawet, ale nasze. Nasze, to znaczy »młodzieżowe«. I tym naiwnym »Pstrągom« należy się uznanie, należą się szczerze życzenia, aby jak najszybciej znalazły swoje miejsce na mapie kulturowego życia Łodzi”.

Przeglądając dziś teksty przedstawienia znajdujemy w nich np. atak na ZMP – organizację złożoną – jak twierdził „Pstrąg” – z łysych działaczy. Porusza się dalej problem trudności ze znalezieniem pracy dla absolwentów uczelni. Druga składanka, niezbyt w czasie odległa od pierwszej, była już znaczącym krokiem naprzód.

Jerzy Silberbach pisał w łódzkim „Expressie Ilustrowanym” (nr 55/781): „Ostatnie przedstawienia odbywają się przy wypełnionej na ogół sali, coraz częściej przychodzą tu bowiem nie tylko studenci. Oznacza to, że »Pstrąg« zyskał już sobie prawo obywatelstwa w naszym mieście. Z tym większym zainteresowaniem oczekujemy następnego programu, którego nazwę już znamy – *Falszywe nuty*”.

„Kierownictwo Teatru zastrzega sobie możliwość zmian w programie – czas biegnie szybciej od nas” – czytamy tuż pod nagłówkiem w wydany na powielaczu programie *Falszywe nuty*.

„Jak przemija czas dla »Pstrągów«? Jest w ich ostatnim spektaklu rwący strumień naszego czasu, wezbrany wiosenny nurt satyry drapieżnej, płynącej z tak ożywczych źródeł *Falszywych nut* z tonacją tego genialnego scenicznego pamfletu pobrzmiwa w poetyckim credo spektaklu, pięknym wierszu Bohdana Drozdowskiego »druga połowa wieku«. Echa *Wesela* dają się również słyszeć w gorzkim, sarkastycznym finale programu, w korowodzie *Czarnej opery*. Toteż nagroda »Szpilek« za satyryczną ostrość, stańczykowski kaduceusz,

pasowała jak obszył do tego śmiałego, zadziornego zespołu” – pisał w „Szpilkach” Tadeusz Polanowski.

A oto fragment wspomnianego wiersza Bohdana Drozdowskiego:

*Ja nie jestem jak wy wańka-wstańka,  
Mnie ołowiu do głowy nie wlali,  
Jeśli wołam: Niech żyje socjalizm!  
To nie myślę, że puc to i bańka!*

Gorzkie oklaski zbierały takie pozycje programu, jak *Sen starego działacza* mającego gębę pełną rewolucyjnych sloganów, a marzącego o panienkach z przedwojennego kabaretu, skecz *Byt określa świadomość* i wreszcie finał *Czarna opera* będąca współczesnym balem czerwonej burżuazji przeplatany intermediami plebejskimi. Próba dialogów:

On: Jak ślicznie wyglądałyście towarzysko w tym DELUXIE!

Ona: Och, znudził mi się! Nie pasuje do koloru torebki.

(Płyną w takt nieśmiertelnego walca *François*)

On: Jak ślicznie pani wygląda w tej sukni! Pewnie z Paryża?

Ona: Nie, z Konsumu.

(Opodał roztańczonego towarzystwa – dwóch sennych panów)

I: Kim pan jest?

II: Przypuśćmy ministrem szkolnictwa wyższego. A Pan?

I: Dajmy na to ministrem sprawiedliwości.

II: Aha. No to śpijmy dalej.

(Zasypiają, lecz nagle rozlega się potworny huk)

I: Co to było?

II: Dajmy na to XX Zjazd.

I: Aha...

(zamieniają się miejscami)

I: No to śpijmy dalej.

(tu należałoby opuścić kurtynę).

*Falszywe nuty*, program który swą premierą trafił w samo sedno politycznych przedpaździernikowych napięć, był pierwszym wielkim sukcesem zespołu. Weźmy bowiem pod uwagę fakt, że w tym samym wrocławskim festiwalu startowały STS i Bim-Bom, zaś kaduceusz otrzymał „Pstrąg” z tymi słowami Stańczyka:

*Oto naści twoje wiosło:  
błądząc w odmętów powodzi,  
masz tu kaduceusz polski  
mąć nim wodę, mąć.*

Maćił tedy zespół ową wodę przez pamiętne dni polskiego października. Dawał występy w fabrykach, studenckich świetlicach i myślał o nowym pro-



gramie. Nie przychodził on łatwo. Powstały kolejne kłopoty z salą. Brakowało reżysera Jerzego Antczaka, którego zastąpił na szczęście Jerzy Markuszewski z STS. Rodziła się kolejna składanka satyryczna, która przybrała tytuł *Jestem czajnik*. Podobnie jak w wypadku pierwszego programu nikt zbyt dobrze nie wiedział, dlaczego właśnie taki tytuł, ale podejrzewając w tym utajoną filozoficzną głębię, nie pytano, o co chodzi. Program zaprezentowano w marcu 1957 roku w olbrzymiej sali ZPB im. Marchlewskiego przy ul. Ogrodowej.

Oto fragmenty recenzji Edwarda Etlera zamieszczonej wkrótce potem w „Głosie Robotniczym”.

„Nietrudno o odkrycie, że egzystencja każdego bez wyjątku teatru satyrycznego natrafia na coraz większe trudności. Przykład: »dorosłe« teatry kładą się jeden po drugim albo oddają swe sceny spektaklom nie mającym nic wspólnego z satyrą, a częstokroć i ze sztuką. Przypominam to przy okazji słów paru na temat nowego programu »Pstrąga« – programu oznaczonego zagadkowym tytułem *Jestem czajnik*.

Czy udał się »Pstrągom« program? I tak, i nie. Skąd ta sytuacja? Czy spowodowała ją pewna hermetyczność spektaklu? Innymi słowy, czy widowisko jest za trudne? Bynajmniej! Widowisko nie jest za trudne. Jest natomiast niepotrzebnie trudne. Trudne osobiwą »trudnością«, która narzuca posądzenie o pretensjonalność, nawet w czasie widowiska premierowego (!).

... A tymczasem aktualny program „Pstrągów” obfituje w całe mnóstwo cech zdecydowanie pozytywnych. Jest przecież w *Czajniku* dużo arcykapitałnych pomysłów, wypadających korzystnie nawet na tle wszystkich bez wyjątku programów studenckich scen Gdańska i Warszawy. A cóż dopiero mówić o »dorosłej« satyrze (której prawie nie ma!) I nawet kiedy nie przystawimy do zespołu »Pstrąga« tzw. Taryfy ulgowej – to i tak po stronie niewątpliwych osiągnięć teatru pozostanie bardzo wiele...

Będą to w pierwszym rzędzie znakomite próby uogólnienia i dowcipne myśli na tematy bardzo współczesne.

...Czajnik wcale nie zamierza objawiać czegokolwiek innego poza swym kształtem fizycznym. I mówiąc tradycyjnym językiem recenzji – struktura duchowa czajnika została niedopowiedziana. Wprawdzie przedmiot ten będzie do końca programu co jakiś czas pokazywany – niemniej nikt nie zamierza wytłumaczyć sensu czajnikowej metafory. Kpina? Oczywiście!”

Dość surowo obszedł się z tym programem recenzent „Trybuny Ludu” (20 V 1957) K. Mazur.

„To, co jest najbardziej własne w »Pstrągu« – to ten cały tytułowy czajnik. Filozofijka bierności i dystansu wobec świata. Bo czajnik i tylko czajnik. Lepiej mieć czajnik niż nic, czajnik też cieszy. I to wtedy, gdy cały program mówi nam, że żywa prawda o terażniejszości tkwi oczywiście nie w czajniku. Więc komu ten czajnik wystarczy? Przecież kłóci się z resztą programu!”

Czym w istocie miał być ów czajnik? Protestem przeciwko małej stabilizacji, lokowaniu się w opróżnionych październikowym wiatrem fotelach? Bo przecież teraz najważniejsze było urządzić się, ubrać. Finał programu stanowiła olbrzymia (zafundowana zresztą przez PDT) reklama ubrań. Miało to być gorzkie. Było niezrozumiałe. Zespół był także niezadowolony z tego programu, choć na przeglądzie w Warszawie, jak donosi „Głos Robotniczy”, proponowano, by fragmenty przedstawienia włączyć do festiwalowego programu polskich teatrów studenckich w Moskwie, a prezes Sokorski wręczył zespołowi w nagrodę telewizor Wisła – jeden z pierwszych odbiorników w Łodzi. Telewizor za czajnik – korzystna zmiana osłodziła mierność sukcesu.

Niektóre pozycje *Czajnika* przedrukowała potem prasa: „Od nowa” i „Kalejdoskop”.

Najlepszym bez wątpienia programem składankowym „Pstrąga” był *Kraj na ziemi*. Premiera odbyła się w styczniu 1958 roku, a wkrótce potem zespół zaprezentował się na Przeglądzie Teatrów Studenckich w Gliwicach. H. Niezabitowska pisze o tym w tygodniku „Od nowa” z 3 V 1958 r.:

„*Kraj na ziemi* był niewątpliwie rewelacją począwszy od ballady, którą ktoś ładnie nazwał »ideologicznym wyrazem zespołu«, skończywszy na numerze, w którym leitmotywem jest piosenka »Que sera, sera«. Widzowie mają na przemian łzy śmiechu i wzruszenia w oczach. Mowa tu o grzechach głównych Polaków – od słynnej polskiej gościnności (popiel rozdaje myszom wątróbkę i inne smaczne kąski swego ciała), poprzez lenistwo, pijaństwo do »jakoścambędzie«. Spektakl przechodzi od humoru do sarkazmu, od zabawy do spraw arcyważnych. Publiczność podchwytuje na własność powiedzonka: »co król – to odnowiciel«, »cud ponadmarksistowski«, »Polska od może do może...«

Na uwagę zasługują: doskonała gra zespołu, piękne dziewczęta i reżyseria R. Ronczewskiego i scenografia K. Wilczkowskiej będącej jednocześnie reżyserem wieczoru poezji Lechonia”.

Jerzy Hordyński napisał później w „Życiu Literackim” z 17 V 1958 roku: „Najostrzejszy i najbardziej upolityczniony był program na »Millenium« pt. *Kraj na ziemi*. Jest to niezwykle ostra satyra na współczesność i figlarne spojrzenie na przeszłość przez bilans znowu współczesności”.

Za program ten zespół uzyskał w Gliwicach najwyższą nagrodę i po raz drugi szpilkowy kaduceusz. Dodajmy, że na gliwickim przeglądzie STS zaprezentował *Szopę Betlejemską* Andrzeja Jareckiego, a była to, jak pisała prasa „światna i celna, ostra niesłychanie, aktualna satyra polityczna”. Znając Jareckiego można mieć pewność, iż na pewno. Powodzenie *Kraju* polegało na tym, że wyprzedził fakty. W instytucjach i urzędach zaczęto dopiero snuć plany obchodów tysiąclecia Polski. „Pstrąg” na swój sposób wychodząc ze znajomości narodowych tradycji jakichkolwiek obchodów, znajomości typowego „wzorca programowego” – uprzedził ten „wielki jubileusz końca”. Pokazał, jak to będzie wyglądało. Przedstawił tło, na jakim bohaterskie nasze dzieje

będziemy prezentować. Za to pierś dumnie prężyć. Plan obchodów nie był jeszcze odgórnie zatwierdzony. Odpowiednie urzędy nie otrzymały odpowiednich zapisów, co teatrom wolno, czego nie. „Pstrąg” się prześlizgnął. I grał ten program ponad 100 razy w Łodzi i w całym kraju.

Później jednak cenzorskie zapisy nadeszły. Np. Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk w Lublinie zakazał występu „Pstrąga” w tym mieście składając jednocześnie protest do centrali na bezceństwa, obrazę godności narodowej etc. Bo, jakże inaczej mógł patrzeć powiatowy kacyk na takie teksty z operetki *Kraj na ziemi* tyczące kradzieży, afer, „pleców” itd.

Chór: Mamy dyplomy, mamy ordery,  
Mamy medale, raz, dwa, trzy, cztery!  
Wujków w powiecie, szwagrów w powiecie,  
Ciocie w powiecie. Plecy są, wiecie...  
Kto się odważy? Kto się odważy?  
Kto się odważy dotknąć nas –  
Tego wnet sparzy! Tego wnet sparzy!  
Tego wnet sparzy miecz walki klas!  
O le!

Tercet: O ześlij archanioła! Może podola!  
(Wchodzi Anioł i Anielica)

Anioł I: Ewoe! Czy to Polska?

Prokurator: Tak! Polska po trosze.

Anielica: Że człek ten prawdę mówi, z bałaganu wnoszę,  
Który ze sputnikowej widać wysokości...

Prokurator: Łajki! Dwie Łajki oto! Witam miłych gości!  
Tradycyjnie! Po polsku! Chlebusiem i solą!

Anioł: Chlebusiem? A z tego Polska słynie we wszechświecie?

Prokurator: O czystej eksportowej też już, Łajki, wiecie?

Chór aferzystów Śpiewał potem bojowo na narodową nutę:

Kupą panowie! Kupą panowie!  
„NIK” się nie dowie!  
W kupie nadzieja, ratunku deska  
Wszystkich nie zamkną!  
Pieska niebieska!  
Kto chce tu rozkoszy użyć!  
Musi dokonać nadużyć!

Zacytujmy tu takie powiedzonka z programu, jak:

„Cud, jak sama nazwa wskazuje, jest zjawiskiem ogólnohistorycznym, ponadmarksistowskim. Cud składa się z kilku elementów – zaskoczenia, pielgrzymek, oczekiwania na cud właściwy. Słyszycie ten huk? To duch upadł w narodzie!”

Przypomnijmy, że były to lata wyjątkowo obfitujące w przemówienia. „Pstrąg” nie byłby sobą, gdyby nie uwzględnił tej formy w programie. W jednej z pierwszych scen *Kraju Popiel* (potem w stroju współczesnego mówcy, ale tym samym wiecowym głosem) wygłaszał z trybuny Mysiej Wieży:

Popiel: – Jak okiem sięgnąć przed nami tysiãclatka! Planujemy śmiało Polskę od morza do morza! Wygramy bitwę pod Grunwaldem! Wygramy wybory do Polskiego Związku Wędkarskiego. Na głowę ludności pod koniec. Nie bójmy się cyfr! Wypadną po cztery glorie. Będą to: gloria wiedeńska, Gloria victis, Gloria Lasso i Gloria in excelsis Deo, towarzysze...

Mówca: – Zmienialiśmy historię i dziś ją zmieniamy, i jutro. Jak okiem sięgnąć za nami tysiãclatka, obywatele, kombajny, kombinatory, kompresje! Mamy Polskę od może do może! (Może tam są nawet ryby?) Wygraliśmy bitwę pod Grunwaldem mimo, że Krzyżak dysponował lepszym złotem! Wygraliśmy wybory do Polskiego Związku Wędkarskiego. Na głowę ludności wypadają teraz po cztery circa zero pięć glorii i stopa nr 26 na szpilce. Sto lat!

*Cud nad Polską, Przedmurze, Za Naszą i Waszą* to tytuły skeczów, które obok nastrojowych piosenek i arcybarwnego finału (w stylu „włoskiego podwórka”) zadecydowały o sukcesie, jakiego już później forma składanki w tym teatrze nie miała.

Ale jeszcze cztery razy teatr miał jej użyć *Lunapark* – barwny, kolorowy, rzecz utrzymana w scenerii wesołego miasteczka – wprowadził na scenę postacie żebraków polskich, którzy w rytmie poloneza wyśpiewywali:

*Właśnie wracamy z Paryża  
Z kulturalnej wprost wymiany  
Bo najczęściej za granicę  
Dziś żebraków wysyłamy!  
Boże drogi! Jakie świetne  
Każdy Polak ma tam szanse  
Lecą w kapelusz dewizy  
Kiedy prosi parle franse!*

Odnotujmy w tym programie dalszy postęp, gdy idzie o doskonalenie formy piosenki (*Połykacze noży* Słowikowskiego), była też tradycyjna operetka, tym razem o polskiej rakiecie kosmicznej imienia Łokietka. Lansowano jak gdyby aluzyjne hasła pod adresem władzy:

*Zejdźcie się do nas na karuzelę  
Kosztuje mało – uciechy wiele!*

Premierę przyjęto życzliwie, bo od strony warsztatowej i tekstowej przedstawienie było przyzwoite. Że nie szokowało już treściami? Takie nastawały czasy.

c. d. n.

Andrzej Kempa

## Łódzkie inicjatywy kulturalne Przeclawa Smolika

Przejęcie władzy w mieście przez stronnictwa centrowe i prawicowe w maju 1923 r. nie przyniosło zasadniczych zmian w polityce kulturalnej miasta. Znaczącym przedsięwzięciem ówczesnego samorządu było ustanowienie nagrody literackiej m. Łodzi. Podobną nagrodę ufundowała nieco wcześniej Warszawa (15 IV 1926), w ślad za nią poszły Dąbrowa Górnicza, Sosnowiec, a tuż za nimi Łódź. Początkowo ustalono wysokość nagrody na 15 000 zł, lecz Komisja Skarbowo-Budżetowa zmniejszyła kwotę o 5000 zł. 27 października Rada Miejska na wniosek prezydenta uchwaliła nagrodę literacką m. Łodzi, której pierwszym laureatem w 1927 r. został Aleksander Świętochowski, czołowy niegdyś przedstawiciel pozytywizmu warszawskiego.

Wobec braku odpowiedniego lokalu i poważniejszych zbiorów sztuki władze miasta postanowiły zorganizować – na wzór Warszawskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych – stałą Miejską Galerię Sztuki, powierzając jej prowadzenie Marianowi Dienstłowi-Dąbrowie (1882-1957), byłemu oficerowi armii Hallera i publicyście. 14 maja 1924 r., po dokonaniu niezbędnych adaptacji pawilonu w parku Sienkiewicza, nastąpiła uroczystość otwarcia tej ważnej dla miasta placówki wystawienniczej. Już w pierwszych miesiącach zorganizowano zbiorową wystawę artystów łódzkich, retrospektywną wystawę malarstwa polskiego XIX wieku, sztuki podhalańskiej i wystawę Warszawskiego Towarzystwa Artystycznego.

Po kilku latach (8 X 1927) – podobnie jak w 1919 roku – znów zwyciężyli socjaliści. Prezesem Rady Miejskiej został Jan Holcgreber, prezydentem miasta – Bronisław Ziemięcki, wiceprezydentami – Stanisław Rapalski i Edmund Wieliński, ławnikiem i zarazem przewodniczącym Wydziału Oświaty i Kultury – Stefan Kopciński (wszyscy z PPS). 14 czerwca 1928 r. dr Kopciński, lekarz, powszechnie znany działacz oświatowy i samorządowy, od 1922 r. senator z woj. łódzkiego, zrezygnował z obowiązków ławnika, motywując swą decyzję koniecznością powrotu do pracy w Sekretariacie Generalnym Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego. Tegoż samego dnia Rada Miejska przez aklamację wybrała na zwolnione przez Kopcińskiego stanowisko Przeclawa Smolika, który niebawem objął urzędowanie jako przewodniczący Wydziału Oświaty i Kultury.



Przeclaw Smolik urodził się 22 maja 1877 r. w Bochni jako syn Karola i Barbary z Grocholskich. Pochodził z rodziny szlacheckiej herbu Kotwicz; jego ojciec był oficerem armii austriackiej. Studiował medycynę na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego (zapisany na fakultet medyczny 6 X 1896). Absolutorium uzyskał w lutym 1901 r., przez pięć lat i osiem miesięcy (15 V 1905 – 1 IV 1907, 1 IX 1909 – 10 VII 1913) był asystentem w prywatnej lecznicy dla umysłowo chorych dra Karola Żuławskiego, profesora psychiatrii UJ, krótko w 1908 r. podobne obowiązki pełnił w zakładzie leczniczym w Bystrej na Śląsku.

Równolegle z medycyną studiował historię sztuki i uczestniczył w życiu artystycznym i literackim Krakowa. Od roku 1904 publikował teksty

wierszem i prozą w krakowskich pismach satyrycznych „Liberum Veto”, „Hrabia Wojtek”. Wydał tom poezji i przekładów *Po drodze* (Kraków 1909), pisywał felietony w socjalistycznym „Naprzodzie”. Jesienią 1914 r. dostał się do niewoli rosyjskiej i do wiosny 1918 r. przebywał początkowo w obozie jeńnickim w Berezówce w obwodzie zabajkalskim, a następnie pełnił obowiązki ordynatora oddziału epidemicznego w szpitalu Rosyjskiego Czerwonego Krzyża w Wierchnieudińsku. Tutaj zetknął się z mieszkańcami tych ziem – Buriatami, przekraczał też granice Mongolii. Swoje obserwacje etnograficzne opublikował po powrocie do kraju w książkach: *Przez lądy i oceany. Sześć lat na Dalekim Wschodzie* (1922), *Z ojczyzny Dżyngis-Chana (Legendy Azji)* (1922), *Pod Altajem* (1923), *Wśród wyznawców Burchan-Buddhy. Szkice z życia, opowieści i legendy Mongoło-Buriatów* (1925).

Kierującego się ku Polsce Smolika zatrzymała sytuacja wojenna we wschodniej Syberii. Po początkowych sukcesach militarnych admirała Kołczaka i sprzymierzonych z nim Czechów nastąpił kontratak Armii Czerwonej. Smolik wstąpił jako lekarz do 2 pułku strzelców V Dywizji Strzelców Polskich, walcząc aż do rozwiązania formacji. W roku 1920, na podstawie paszportu wystawionego 21 marca przez Generalny Konsulat Polski w Charbinie, udał się do Polski przez Chiny, Japonię, Anglię, Włochy i Francję. Po powrocie do kraju osiadł w Krakowie, ale pracy w zawodzie nie podjął (na przeszkodzie stanął brak końcowych egzaminów). Został nauczycielem w szkołach krakowskich,

piisał książki, artykuły, omówienia wystaw artystycznych. W 1922 r. był jednym z założycieli Towarzystwa Miłośników Książki w Krakowie. Przypadkowo spotkał Bertiego Ameisena, dyrektora Społecznego Polskiego Gimnazjum Męskiego w Łodzi, przy ul. Pomorskiej 105, założonego w 1921 r. Ameisen zaproponował Smolikowi posadę nauczyciela polonisty i znacznie korzystniejsze niż w Krakowie wynagrodzenie, co niewątpliwie w zasadniczy sposób wpłynęło na decyzję przeniesienia się w 1926 r. do Łodzi.

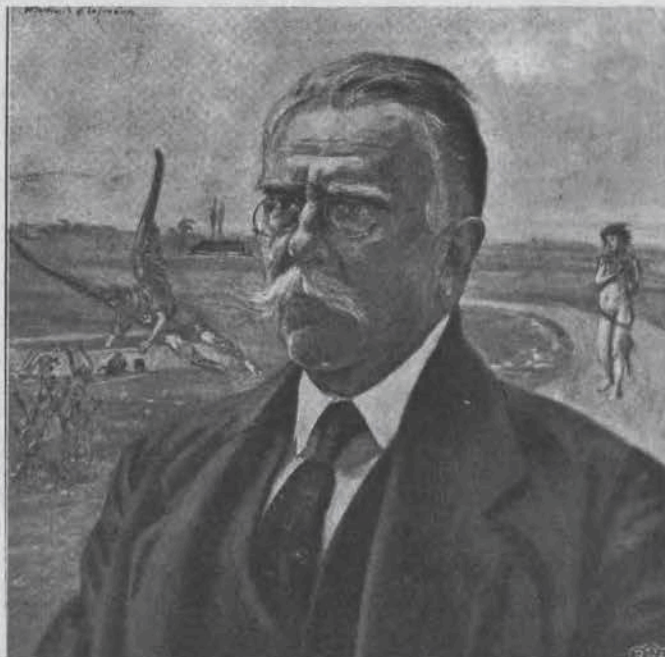
\* \* \*

W „złym mieście” zaaklimatyzował się szybko, co więcej, natychmiast podjął inicjatywę założenia Towarzystwa Bibliofilów w Łodzi. Dzięki życzliwości Jana Augustyniaka, kierownika Miejskiej Biblioteki Publicznej, tam właśnie 27 listopada 1927 r. odbyło się walne zebranie Towarzystwa, którego przewodniczącym został Smolik, jego zastępcami – Zygmunt Hajkowski i Mieczysław Rosenblatt, sekretarzem – Jan Augustyniak, skarbnikiem – Piotr Gorczykowski. Zadaniem Towarzystwa miało być „rozwijanie w społeczeństwie polskim zamiłowania do książki; poszanowania dla druków i opraw mających wartość zabytkową lub artystyczną; rozwijanie i ułatwianie członkom kolekcjonerstwa tego rodzaju druków i wiedzy o nich; rozwijanie smaku i wymagań estetycznych w dziedzinie książki współczesnej; inicjatywa i współdziałanie w ochranianiu, opisywaniu, katalogowaniu i udostępnianiu w ten sposób miłośnikom książki i nauce księgozbiorów prywatnych i publicznych”.

W tym czasie musiał zwrócić na siebie uwagę dra Kopcińskiego, będącego jednym z liderów łódzkiej PPS, współzałożyciela gimnazjum, w którym pracował przybysz z Krakowa. Kopciński też zapewne zaproponował kandydaturę Smolika na zwolnione przez siebie stanowisko, a poparł ją Gustawa Moskiewiczówna i Roman Izdebski. I tak oto lekarz, satyryk, podróżnik mimo woli, tłumacz, bibliofil, kapitan rezerwy WP, nauczyciel, przedzierzgnął się w działacza samorządowego, decydującego przez lat kilka o sprawach kultury w mieście, w którym od niedawna zamieszkał.

\* \* \*

18 czerwca 1928 r. Przeclaw Smolik objął urządowanie jako przewodniczący Wydziału Oświaty i Kultury łódzkiego Magistratu. Pięćdziesięcioletni blondyn średniego wzrostu, o owalnej twarzy i szarych, przenikliwych oczach wzbudził zaufanie przełożonych i podwładnych. W lipcu trafił do jego rąk list Kazimierza Bartoszewicza (1852-1930), znanego mu publicysty z Krakowa, z propozycją przekazania Łodzi księgozbioru, rękopisów, dzieł sztuki i pamiątek, stanowiących dorobek trzech pokoleń zasłużonego dla polskiej nauki i literatury rodu. Na polecenie władz miejskich Smolik spotkał się 28 września 1928 r. z Bartoszewiczem i uzgodnił wstępnie warunki przejęcia darowizny, po czym omówił je na posiedzeniu Magistratu 4 października. Miasto zagwarantowało



*Kazimierz Bartoszewicz. Portret Vlastimila Hoffmana*

niepodzielność zbiorów, wyrażoną w oficjalnej nazwie „Zbiory im. Juliana i Kazimierza Bartoszewiczów”, powierzając darczyńcy nadzór nad kolekcją z dożywotnią pensją kustosa w wysokości 51 dolarów. 15 października została zawarta odpowiednia umowa, zaś uporządkowaniem zbiorów zajęła się pracownica Biblioteki Jagiellońskiej Helena Lipska. Przejmowane zbiory znalazły odpowiednie miejsce w pomieszczeniach dawnego ratusza przy pl. Wolności 1. Podstawę zbiorów stanowił księgozbiór, archiwum historyczne i rodzinne oraz kolekcja 60 obrazów malarzy polskich i obcych. Wkrótce (20 I 1930) zmarł sędziwy ofiarodawca, Magistrat pokrył koszty pogrzebu, a zbiory z czasem uległy podziałowi. Rękopisy trafiły do Archiwum Miejskiego, księgozbiór do Miejskiej Biblioteki Publicznej, a obrazy do Muzeum Miejskiego Historii i Sztuki im. J. i K. Bartoszewiczów.

Właśnie cenny dar Bartoszewicza skłonił władze miejskie do reorganizacji dotychczasowego Muzeum Nauki i Sztuki „o nieokreślonym charakterze i zbiorach z najrozmaitszych dziedzin życia, sztuki i najrozmaitszej, często wątpliwej wartości” i utworzenia w Łodzi trzech placówek muzealnych: wspomnianego Muzeum Historii i Sztuki (1930), Miejskiego Muzeum Przyrodniczo-Pedagogicznego (powstałego w 1930 r. z kolekcji Miejskiej Pracowni Przyrodniczej i depozytu Towarzystwa Przyrodniczego im. S. Staszica) oraz Miejskiego Muzeum Etnograficznego (1931).



W latach 1930-1933 bezpośredni nadzór nad Muzeum Historii i Sztuki sprawował P. Smolik i on decydował o koncepcji gromadzenia zbiorów. 13 kwietnia 1930 r. nastąpiło uroczyste otwarcie Muzeum i wystawy zbiorów, na którą składało się 55 obrazów olejnych z kolekcji Bartoszewiczów, 26 ze zbiorów Gminy m. Łodzi, trzy z daru łódzkiego przemysłowca Stanisława Silbersteina, pięć kompozycji i studiów fakturowych (dar Władysława Strzeмиńskiego), trzy rzeźby Katarzyny Kobro (dar artystki), kilka depozytów, rysunki, miedzioryty, staloryty, akwaforty, litografie oraz przedmioty użytkowe z kolekcji Bartoszewiczów.

Z myślą o przyszłej stałej galerii sztuki Gmina Miejska zakupiła w latach 1928-1929 kilka obrazów pędzla artystów łódzkich: Maurycego Trębacza *Z martyrologii*, Ignacego Hirszfanga *Martwa natura*, Natana Spiegla *Pokraczny*, Romana Rozentała *Widok na kościół w Kazimierzu nad Wisłą*, Samuela Finkelsteina *Kompozycje kwiatowe*, Karola Hillera *Spalona fabryka*, Konstantego Mackiewicza *Maszyny* i Zenobiusza Poduszki *Krajobraz*. Środki finansowe z budżetu miejskiego przeznaczone na zakup dzieł sztuki były niewielkie, więc i możliwości zdobycia naprawdę wartościowych obrazów okazały się nader ograniczone. Gdy więc Smolik zakupił w 1932 roku za wyjątkowo niską cenę obraz Alfreda Wierusza Kowalskiego (jeszcze dziś jego dzieła uzyskują wysokie ceny na światowych aukcjach), na łamach łódzkiej prasy codziennej wystąpił łódzki antykwariusz Srul (Stanisław) Wattenberg z zarzutem, że Muzeum Miejskie nabywa falsyfikaty, wobec czego należy powołać Komisję Rzecznawców w celu oceny proponowanych do zakupu dzieł. Opublikowane niebawem wyjaśnienie Smolika, ostre i napastliwe, wątpliwości nie rozstrzygało.



Władysław Strzeмиński

Smolik oznajmił, że z powodu trudnej sytuacji finansowej miasta skromne zakupy dzieł sztuki dokonywane są z reguły bezpośrednio u twórców, przypomniał również o trzykrotnym w ciągu dwóch lat powiększeniu zbiorów muzealnych o bezcenną kolekcję sztuki nowoczesnej, powstałej wyłącznie z darów artystów.

Tak się złożyło, że w grudniu 1927 r. w Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi wystawiał swe prace znany malarz, grafik i teoretyk sztuki nowoczesnej Władysław Strzeмиński (1893-1952), zamieszkały wówczas w Koluszkach. Był członkiem awangardowej grupy literacko-artystycznej „Praesens”, której odłam wyodrębnił

się w 1929 r. pod nazwą grupa „a. r.” (awangarda rzeczywista), w której skład wchodził obok Strzemińskiego jego żona Katarzyna Kobro, Henryk Stażewski, Julian Przyboś i Jan Brzękowski. Dzięki aktywności Brzękowskiego, ówczesnie kierownika Sekretariatu Towarzystwa Wymiany Kulturalnej między Polską a Francją i redaktora czasopisma „L'Art Contemporain – Sztuka Współczesna”, grupa „a. r.” nawiązała kontakty z przedstawicielami awangardowej sztuki europejskiej, tym bardziej że członkowie grupy należeli również do prestiżowego ugrupowania artystów „Abstraction-Création”. Awangardowi artyści zabiegali właśnie o utworzenie stałej galerii sztuki nowoczesnej, ale żadne z europejskich muzeów nie wykazało zainteresowania dla sprawy. Tymczasem propozycja stworzenia takiej kolekcji w Łodzi, zasugerowana przez Strzemińskiego, wzbudziła entuzjazm Smolika, który zdołał po długich pertraktacjach przekonać władze samorządowe o zasadności przyjęcia hojnego daru bez żadnych kosztów, co potwierdzał jego korespondent Brzękowski w liście z 24 lipca 1931 r. „Teraz kłopot w magistracie – pisał Strzemiński do Przybosia – wobec zbytnej nowoczesności, jakiej się nie spodziewali, obawa i chęć przewlec sprawę do nadchodzących w październiku wyborów, aby w ten sposób uniknąć, a z mojej strony nacisk, by przyśpieszyć uroczyste otwarcie sali sztuki nowoczesnej...” Władze obawiały się też sprzeciwu ze strony lokalnego środowiska artystycznego.

Wreszcie trudności zostały pokonane i 15 lutego 1931 r. Smolik w imieniu Wydziału Oświaty i Kultury oraz Strzemiński jako przedstawiciel grupy artystów sztuki nowoczesnej „a. r.” podpisali umowę w sprawie przekazania kolekcji w stanie obecnym (21 obrazów) wraz z późniejszymi nabytkami jako depozytu do Muzeum Historii i Sztuki im. Bartoszewiczów. We wstępie do katalogu wystawy, wydanego w 1932 r., Smolik pisał: „...ta łódzka międzynarodowa kolekcja sztuki nowoczesnej jest czynem w całym tego słowa znaczeniu zbiorowym i społecznym. Cel, który przyświecał tak inicjatorowi, jak i wykonawcom, jak i artystom-ofiarodawcom, to zbliżenie się i wzajemne poznanie narodów poprzez wymianę i poznanie najcenniejszego z dóbr – dorobku kultury duchowej”. Autor podkreślił, „że ten czyn artystów europejskich zasługuje na szacunek i osobliwą wdzięczność naszą”. Wkrótce kolekcja wzrosła do 111 dzieł sztuki najwybitniejszych twórców sztuki awangardowej, z których do dziś ocalało 88 eksponatów.

Nic dziwnego, że Władysław Strzemiński w roku 1932 został kandydatem do nagrody miasta Łodzi dla polskich sztuk plastycznych. Przypomnijmy, że w 1927 r. przyznano nagrodę literacką A. Świętochowskiemu, rok później Julianowi Tuwimowi, w 1929 Zofii Nałkowskiej, w 1930 Aleksandrowi Brücknerowi, w 1933 Andrzejowi Strugowi. W 1931 r. nagrody literackiej m. Łodzi nie przyznano nie tylko ze względu na złą kondycję finansową miasta. Po prostu okazało się, że z upływem czasu inne miasta również podjęły inicjatywę nagradzania twórców literatury na taką skalę, że wybitnych talentów zabrakło. Prze-

ciwko tak częstym nagrodom wystąpił na łamach prasy docent (od 1933 r. profesor historii literatury polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego) Stefan Kołaczowski. On też zaproponował łódzkiemu Magistratowi, by uczynił nagrodę literacką rzadszą. Prezydent Ziemiecki postanowił skreślić zaplanowaną na ten cel kwotę z budżetu miasta, proponując jej część przeznaczyć na subsydlum dla Kasy im. Mianowskiego. 17 września 1931 r. Rada Miejska zatwierdziła „Statut Nagrody m. Łodzi dla Polskiej Nauki, Literatury Pięknej i Sztuk Plastycznych”.

30 kwietnia 1932 r. Komitet Nagrody m. Łodzi dla Polskich Sztuk Plastycznych spośród sześciu kandydatów wybrał Strzemińskiego, którego w kolejnych głosowaniach nieustannie popierał Smolik. W stosownym dyplomie stwierdzono, iż nagroda została przyznana artyście „w uznaniu jego ideowej i wybitnej pracy dla polskiej sztuki”. Okolicznościowe przemówienie podczas uroczystego posiedzenia Rady Miejskiej, zwołanego 25 maja w celu wręczenia nagrody i dyplomu, wygłosił Smolik, przedstawiając sylwetkę laureata. Podniosły nastrój uroczystości zakłóciła nieoczekiwana wrzawa na galerii, gwizdy i okrzyki protestu. Na ścianach pojawiły się plakaty: „Precz z bolszewizmem w sztuce!”, „Hańba wyrotowcom w sztuce!”, „Precz z trucicielem Smolikiem!”, „Niech żyje sztuka polska!” Wśród wrzawy i tumultu usiłował zabrać głos kierownik miejscowej szkoły malarstwa i rysunku, malarz Wacław Dobrowolski, ale woźnym magistrackim udało się wyprowadzić inspiratora gorszącej awantury, zanim zdążył wygłosić przygotowaną mowę. Podczas szamotaniny Dobrowolski zgubił tekst, który następnego dnia zamieścił łódzki „Głos Poranny”. Autor paszkwilu pisał: „Protestuję przeciwko decyzji magistratu przeznaczającej nagrodę człowiekowi prowadzącemu wyrotową robotę w sztuce, człowiekowi, który w wywiadzie udzielonym »Głosowi Porannemu« powiedział, że sztuki polskiej nie ma, a jest tylko demagogia. Gdyby magistrat mógł, zrobiłby to również w wojsku. Ale tam potężna dłoń marszałka nie pozwoliła by na to. Ostatnie posunięcie magistratu oburza całe społeczeństwo łódzkie. Nagroda winna być przyznana malarzowi, który prowadzi konstruktywną robotę w odbudowie państwa. Oddajcie ją lepiej bezrobotnym”.

Strzemiński zachował się z godnością. W krótkim wystąpieniu oświadczył: „Dziękuję za zaszczyt, jaki mnie spotkał przez przyznanie mi nagrody artystycznej miasta Łodzi. W dalszym ciągu w miarę moich sił i możliwości będę walczył o ten rodzaj i typ sztuki, jaki jest najbardziej odpowiedni dla epoki obecnej”.

Inną inicjatywą Smolika była decyzja Magistratu z 25 września 1930 r. zabraniająca oddawania na przyszłość Miejskiej Galerii Sztuki prywatnemu dzierżawcy, nie przedłużono więc wygasającej w październiku umowy z M. Dienstlem-Dąbrową. Prowadzenie galerii powierzono warszawskiemu Instytutowi Propagandy Sztuki, założonemu w 1930 r. przez Władysława Skoczylasa, Jerzego Warchałowskiego i Stanisława Woźnickiego. Smolik zarzucał już

w styczniu 1929 r. kierownikowi Galerii propagowanie „lichoty”, nazywał go „przedsiębiorcą schlebiającym gustom snobów” i deprawatorem gustu estetycznego odbiorców sztuki. Poglądy obydwu panów na sztukę różniły się zasadniczo: Dienstl-Dąbrowa propagował sztukę tradycyjną o treściach narodowych, Smolik opowiadał się za sztuką nowoczesną i promowaniem łódzkiej twórczości artystycznej. Wprawdzie sprzeciwił się kandydaturze Artura Szyka do nagrody plastycznej, opowiadając się za Strzezińskim, ale na jego i ławnika Antoniego Purtala wniosek Rada Miejska postanowiła przyznać 15 września 1932 r. dożywotnie wsparcie znanemu łódzkiemu malarzowi Maurycemu Trębaczowi (1861-1941), znajdującemu się w trudnych warunkach materialnych. Jeden z jego obrazów gmina zakupiła w 1928 r. do zbiorów muzealnych.

Dienstl-Dąbrowa urażony niewdzięcznością Łodzi przeniósł się do Krakowa, gdzie podjął pracę w koncernie „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”.

Instytut Propagandy Sztuki wywiązywał się należycie z warunków umowy, organizując nawet więcej wystaw indywidualnych i zbiorowych, niż zalecały władze samorządowe. Prezentował różne kierunki artystyczne od impresjonizmu po awangardę oraz twórczość artystów łódzkich, wśród nich również członków grupy „Ryngraf”, głównych opozycjonistów Strzezińskiego i sztuki „bolszewickiej” (ale ta ekspozycja została zorganizowana dopiero w maju 1935 r.).

W miarę możliwości Wydział Oświaty i Kultury wspierał finansowo biblioteki miejskie. W roku 1929 powiększono lokal Miejskiej Biblioteki Publicznej o pomieszczenia na parterze budynku przy ul. Andrzeja 14, co rozwiązywało problem miejsca na gromadzenie i udostępnianie zbiorów na 10 lat. Rok wcześniej ławnik S. Kopciński zwiększył budżet Biblioteki o 100%, a jego następcą nie zmniejszył dotacji. Powstała sieć miejskich czytelni i wypożyczalni książek dla dorosłych, dzieci i młodzieży. 10 marca 1931 r. Rada Miejska wypowiedziała się za rozszerzeniem przez Miejską Bibliotekę Publiczną działu książek żydowskich. Dziesięciolecie Biblioteki uczczono wydaniem *Księgi pamiątkowej Miejskiej Biblioteki Publicznej 1917-1927* (1928). W przedmowie do niej Smolik napisał o bibliotece: „Rozbudowując ją dalej, rozbudujemy zarazem wszcz i wzwyż oświatę mas i uczynimy z nich świadomych budowniczych nowej cywilizacji, lepszej niż ta, której schyłek przeżywamy”.

Jako prezes Towarzystwa Bibliofilów a zarazem przewodniczący Wydziału Oświaty i Kultury Smolik doprowadził do zorganizowania w dniach 7-22 grudnia 1930 r. w Miejskiej Galerii Sztuki wystawy współczesnej książki i grafiki polskiej, którą zwiedziło 2500 osób, głównie młodzieży z łódzkich szkół średnich. Dzięki jego staraniom i zapewne niewielkim dotacjom Wydziału ukazało się w latach 1927-1934 jedenaście książek firmowanych przez Towarzystwo Bibliofilów, m. in.: P. Smolika *Zdobnictwo książki w twórczości Wyspiańskiego* (1928), Zygmunta Hajkowskiego *Losy księgozbioru Feliksa Wężyka* (1928), Andrzeja Zanda *Z dziejów dawnej Łodzi* (1929), P. Smolika *Jana Bukowskiego prace graficzne* (1930), Aleksandra Brücknera *Legendy i*

fakty. *Szkice z dziejów literatury* (1931), Jana Brzękowskiego, Leona Chwistka, Przeclawa Smolika i Władysława Strzebińskiego *O sztuce nowoczesnej* (1934), P. Smolika *Jana Piotra Norblina prace rytownicze* (1934).

11 lipca 1933 r. minister spraw wewnętrznych rozwiązał Radę Miejską i złożył z urzędu członków Magistratu m. Łodzi, mianując na wniosek wojewody łódzkiego Aleksandra Hauke-Nowaka komisarzem rządowym m. Łodzi inż. Wacława Wojewódzkiego. Minister decyzję swą motywował nadmiernym zadłużeniem gminy, niegospodarnością i utratą autorytetu władz samorządowych wśród wyborców. Smolik skorzystał z przysługującego mu prawa do emerytury i wyjechał do Warszawy, gdzie zamieszkał przy ul. Ulrychów 14.

W Warszawie nie angażował się społecznie i politycznie, pisywał do czasopism poświęconych sztuce, gromadził materiały do książki dotyczącej historii ilustracji w Polsce oraz monografii znanej firmy wydawniczej Arctów. We wrześniu 1939 r. podobno wrócił na krótko do dawno zaniechanego zawodu lekarza. W niewielkim prowizorycznym szpitalu polowym w gmachu Banku Handlowego na rogu ulic Traugutta i Mazowieckiej ratował życie rannym, potem utrzymywał się z opieki społecznej. Podczas okupacji starszy pan odwiedzał warszawskie antykwariaty, poszukując dawnych książek ilustrowanych. Ponieważ nie miał pieniędzy na zakupy, wyprzedawał niektóre dzieła, zwłaszcza niemieckie z dziedziny parapsychologii. Połował na *Historię dziadka do orzechów* E. T. A. Hoffmanna, w równoległym anonimowym polskim i francuskim (A. Dumasa) przekładzie, z ilustracjami Bertalla, w wydaniu Bobrowicza (Lipsk 1846). Jej właściciel, znany bibliofil Juliusz W. Gomulicki, zaproponował Smolikowi osobliwą wymianę: książka w zamian za dobrze wypreparowaną czaszkę ludzką, którą z kolei Smolik niegdyś wykopał na jednym z małopolskich cmentarzy. Transakcja została dokonana ku zadowoleniu obydwu stron.

Po wojnie wrócił do Łodzi i zamieszkał przy ul. Bandurskiego 8. Jego księgozbiór przepadł w Warszawie, on sam pozostał bez środków do życia. Z ramienia Związku Zawodowego Literatów Polskich został 7 marca 1945 r. radnym; 21 października złożył w imieniu Klubu PPS interpelację w sprawie wznowienia nagrody literackiej m. Łodzi (otrzymał ją w 1946 r. Mieczysław Jastrun). Komisja Pomocy Pracownikom Sztuki i Nauki oraz Pracownikom Społecznym przy Prezydium Rady Ministrów przyznała mu z dniem 1 kwietnia 1946 r. niewielką, ale stałą dotację miesięczną. Pracował nadal nad monografią historii ilustracji w Polsce, zabiegał o jej wydanie, ale sprawa się odwlekała i nigdy nie została zrealizowana.

Przeclaw Smolik, nazwany przez Janusza Dunina „meteorom dawnej Łodzi”, zmarł 15 lutego 1947 r. i spoczywa na cmentarzu rzymskokatolickim pod wezwaniem św. Józefa przy ul. Ogrodowej w Łodzi.

Współcześni uważali, iż był zbyt arbitralny, dawni uczniowie narzekali na zbyt wysokie wymagania profesora, innych urzekła bezpośredniość i uroczyste gawędziarstwo, jeszcze innym imponowała gruntowna wiedza interlokutora.

On sam w okolicznościowym wspomnieniu z roku 1938 podkreślał, że z Łodzią łączona jest nazwa „złe miasto”. „Ona to sprawa – pisał – że rozwój kulturalny Łodzi postępuje zbyt powolnym i nierównym tempem, że ciągłość pracy rwie się ustawicznie, że brak Łodzi dostatecznej ilości wybitnych, ofiarnych, przywiązanych do niej działaczy [podkreślenie redakcji „Głosu Porannego”], że praca takich właśnie jednostek, o ile wpływają na powierzchnię łódzkiego życia, ma charakter tylko przejściowy, epizodyczny, nie oparty zazwyczaj o jakiś na dłużej nakreślony plan. Wpływa też na ten stan rzeczy wybitna zależność gospodarki miejskiej Łodzi od gry partyj i macherów politycznych, dla których zarząd miastem bywał nieraz tylko odskocznią do realizacji celów, z rozwojem tego miasta nic nie mających wspólnego”.

#### Nota bibliograficzna

Popularny charakter szkicu nie pozwala na wprowadzenie do tekstu przypisów. Czytelnik zainteresowany rozwojem łódzkich przedsięwzięć kulturalnych znajdzie podstawowe opracowanie w książce Marii Nartonowicz-Kot *Samorząd łódzki wobec problemów kultury w latach 1919-1939* (Łódź 1985); tam też obszerna literatura przedmiotu. Dodatkowej wiedzy dostarczy monografia *Samorząd m. Łodzi w latach 1928-1932. Sprawozdanie Zarządu Miejskiego* (Łódź 1933).

Informacje o Przeclawie Smoliku znajdują się w każdej większej encyklopedii, w *Słowniku współczesnych pisarzy polskich* (t. 3, Warszawa 1965) i *Słowniku pracowników książki polskiej* (Warszawa 1972). Omawiane w szkicu problemy szerzej przedstawiono w opracowaniach monograficznych: Andrzeja Płauszewskiego *a. r. mit urzędującym*. *Dzieje i kolekcja* (Łódź 1989), Grupa „a. r.” *40-lecie Międzynarodowej Kolekcji Sztuki Nowoczesnej w Łodzi* (Łódź 1971), Władysław Strzebiński. *W setną rocznicę urodzin 1893-1952* (Łódź 1994), Marii Majzner *Rodowód i historia Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki do 1981 roku* (Łódź 1987), Zofii Zielińskiej-Klimkiewicz *Księgozbiór Bartoszewiczów – przeszłość i teraźniejszość*, „Acta Universitatis Lodzianae. Folia Librorum” (1998 z. 8), Jerzego Starnawskiego *Kulisy literackiej nagrody Łodzi 1927-1933*, „Osnowa” (jesień 1970). Ważne dla biografii Smolika są też rękopiśmienne Materiały R. Kaczmarka (Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna Łódź, rękopis 1122).

## **Roman Kaczmarek – dyrektor, poseł i bibliofil (1912-1985)**

W naszym mieście stosunkowo szybko gaśnie pamięć o działających tu ludziach. Ci, którzy odchodzą, żegnani są nekrologami obciążonymi całą poetyką tego rodzaju piśmiennictwa, krótkimi zapisami w słownikach biograficznych nie oddającymi bogactwa i specyfiki ich osobowości ani aury, którą rozsiewali, pogłosek i plotek, które im towarzyszyły. To skłoniło mnie w miarę czasu i materiałów do podjęcia pracy nad spisywaniem wspomnień o ludziach, których znałem w kręgu łódzkich bibliotekarzy, księgarzy i bibliofilów. W miarę możliwości pragnę zachować osobisty obraz, jaki pozostał po tych, którzy odeszli. Staram się też powracać głównie do osób, których już dość dawno nie ma z nami, aby uniknąć tonów mów pogrzebowych, zachować ich żywymi.

W kręgu ludzi książki zetknąłem się z jedną, z być może najbardziej charakterystycznych dla powojennej Łodzi postaci. Stwarzała ona wokół siebie aurę, która zaciekaiała. Przez lata zapamiętywałem różne związane z nią wydarzenia, była też przedmiotem wielu opowieści i plotek. Była to osobowość, która miała świadomość, że jest własnością ogólnołódzką i nie dawała się zamknąć tylko w ramach bibliofilstwa czy bibliotekarstwa.

Roman Kaczmarek, urodzony w 1912 roku, należał do zasiedziałego łódzkiego mieszczaństwa. Dumny był ze swoich koneksji z rodem Drewnowiczów, tych którzy zostali upamiętnieni ulicą Drewnowską.

W latach 1922-25 Irena Augustyniakowa prowadziła na Bałutach Miejską Wypożyczalnię Książek dla Dzieci i Młodzieży. Zapamiętała chłopca grzecznego i poważnego, który był niekiedy kłopotliwy, ponieważ na większość propozycji lektury odpowiadał: „czytałem, czytałem!”. Dyrektorka Augustyniakowa prawie do końca życia żywiła słabość do swego dawnego czytelnika. Młody człowiek zapewne bardzo szybko przerósł swoje środowisko. Murarski syn musiał mieć wiele determinacji i zdolności, żeby zdobyć maturę. Jak się zdaje rychło Roman zainteresował się historią. Po odbyciu służby wojskowej, w latach 1933-1937 studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim pod kier. prof. Władysława Semkowicza. Jak wiemy, zdolności mu nie brakowało. Jednak studiów nie zakończył magisterium, na przeszkodzie temu stanęła sytuacja finansowa rodziny. Powraca do Łodzi. Człowiekiem, który mu podał tu rękę

był znany działacz Narodowej Partii Robotniczej, konkurentki PPS-u i Komunistów na proletariackim terenie, senator Ludwik Waszkiewicz. Był on jednym z aktywnych miłośników i znawców miasta i regionu, kolekcjonerem, lokalnym historykiem i kierownikiem Archiwum Miejskiego. Jak się zdaje miał on znaczny wpływ na młodego Kaczmarka, który rychło staje się referentem, wprawnym archiwistą, osobą głęboko zainteresowaną historią regionu. Debiutuje jako osoba pisząca jeszcze przed trzydziestką. Młody archiwista publikuje szereg poważnych artykułów z dziejów kościołów na ziemi łódzkiej, pisze pierwsze hasło dla *Polskiego Słownika Biograficznego* i inne prace. Do czasu wojny ma już spory dorobek publikacyjny.

Dla kształtującej się polskiej inteligencji miasta dramatyczne stały się lata drugiej wojny światowej. Większość osób pochodzenia żydowskiego zostaje usunięta stąd na zawsze. Inni przeważnie zostają wysiedleni. Nie dotknęło to Kaczmarka, 27-letniego pracownika Archiwum. Zapewne nie wydał się nowym władzom niebezpieczny, a mógł być przydatny jako pracownik instytucji, którą zdążył już poznać. Jego nowym szefem został świeżo mianowany łódzki Niemiec Otto Heike. W tym miejscu przetrwał okupację. W owych latach, jak wspominał kiedyś Jan Gierańczyk, który również pozostał na swoim stanowisku w zgermanizowanej księgarni Charlotty Seipeltówny, wytworzył się w Łodzi niewielki krąg pozostającej w mieście inteligencji polskiej, która się spotykała, dzieliła nowinami, ułatwiała dostęp do polskich i niemieckich książek. W tym gronie pozostawał też Roman Kaczmarek. Był jednym z tych, którzy mieli możliwość opiekować się zbiorami polskimi, a kiedy Niemcy wywieźli ich część do Strykowa, organizował zaraz po wyzwoleniu ich powrót.

Hitlerowcy przeprowadzili likwidację praktycznie wszystkich polskich księgozbiorów. Wiele książek przeznaczono na makulaturę, inne zmagazynowano w różnych miejscach w oczekiwaniu na ostateczne decyzje. Jednym z takich miejsc stało się Archiwum, w którym zrzucano polskie druki, m. in. z Biblioteki Gmin, Zgromadzenia Kupców. Nie wiem, jak to się stało i komu należy zawdzięczać, że wiele, co prawda rozproszonych, książek przetrwało wojnę. Pewne zdaje się tylko to, że uczestniczył w tym dziele Roman Kaczmarek, on też zaraz po wojnie był tym, który orientował się w sytuacji i nadal opiekował zbiorami, które nie mogły powrócić do nieistniejących już instytucji, nie weszły też w skład nowo powstających bibliotek Łodzi, ani przynajmniej w znacznej części nie zostały zinwentaryzowane w Archiwum. Pozostały jakby bezpieczne w gmachu przy pl. Wolności.

Rok 1944 jeszcze w okupowanej Łodzi był podawany jako data powiązania Kaczmarka ze Stronnictwem Demokratycznym. Jego wiernym członkiem pozostał do śmierci. Lata powojenne to okres jego wielkiej aktywności na wielu polach. Już w 1945 roku kierował w zastępstwie Ludwika Waszkiewicza Archiwum Miejskim i Wojewódzkim. Od 1949 roku został jego dyrektorem. Jako starszy asystent wykładał na Uniwersytecie Łódzkim i Wyższej Szkole



Pedagogicznej. Był nadal aktywny jako prelegent i przewodnik w PTTK. Uczestniczył w wielu organizacjach, prowadził zajęcia na różnych kursach i szkoleniach. Jednak dopiero w 1950 roku uzyskał na UŁ tytuł magistra filozofii w zakresie historii. W latach 1955-1964 piastował na Uniwersytecie tytuł zastępcy profesora. Był wspomniany przez byłych studentów jako lubiany wykładowca, kochający swój przedmiot, potrafiący zainteresować słuchaczy. Kiedy opuścił uczelnię, przylgnął do niego tytuł profesora, do którego był przywiązany i lubił, gdy go tak tytułowano. W latach powojennych opublikował szereg artykułów naukowych w dziełach zbiorowych, popularyzujących historię i okazjonalnych. Był też autorem poradnika dla pracowników archiwów *Składnica akt. Wskazówki praktyczne dla pracowników składnic* (1954, 1956). Stanowił typ pasjonata działania, złośliwi twierdzili, że nie ma w Łodzi organizacji, w której by nie uczestniczył lub nie współpracował. Ta aktywność nie pozwalała mu się skupić na rozpoczętych pracach i zakończyć jakiegoś opracowania, które dałoby mu doktorat. Owi złośliwi twierdzili też, że zaniedbał tę sprawę, bowiem był przekonany o tym, że jego wieloletnia aktywność polityczna, organizacyjna, społeczna i naukowa przyniesie mu potwierdzenie jego tytułu „na skrót”. Było to w tych czasach możliwe, ale rychło stało się już mniej realne. Do końca życia publikował liczne prace związane z regionem, który traktował bardzo szeroko. Był skłonny przypisywać do ziemi łódzkiej nawet ziemię kaliską i częstochowską. Wędrował po terenie i zbierał różne materiały, jeśli mimo swej pozycji nie potrafił przekonać ich właścicieli do ich przekazania, pożyczal. A z odebraniem odeń „pożyczek” nie było łatwo. Gromadził dokumenty i zabytki, pisał tysiące fiszek. Wiadomo, że zgłaszał do planów prac naukowych *Bibliografię ziem województwa łódzkiego, Studiów nad przedmieściami Łodzi część I – Bałuty*, książki o życiu teatralnym w Łodzi i okolicy w XIX wieku. Wszystkie te prace starał się kontynuować. Z czasem wiadomo było, że traktuje innych badaczy regionu jako konkurentów i nie był nadmiernie skłonny do ułatwiania im pracy.

Stał się też znanym w Łodzi bibliofilem i naturalnie członkiem bractw miłośników książek. Na tym polu poznałem go nieco lepiej. Jak już wspomniałem, rządził on niepodzielnie zasobem zabezpieczonych jeszcze w czasie wojennym książek. Nie trafiły one do żadnej z organizujących się właśnie bibliotek naukowych miasta. Już w czasie jednego z pierwszych naszych spotkań, o ile pamięć mnie nie myli, było to w 1956 roku, obdarował mnie dwoma cennymi dziewiętnastowiecznymi drukami; wyraźnie traktował zalegające w gmachu Archiwum zbiory jako swoją osobistą własność. Aby ukazać epopeję tych zbiorów, można już ujawnić, że kiedy po latach w dość nagłym trybie Kaczmarek opuścił Archiwum, nie mógł zabrać zgromadzonych skarbów ze sobą. Wobec tego, że z biurokratycznego punktu widzenia, jako nigdzie nie zapisane, formalnie nie istniały, zdawały się kłopotliwym spadkiem po poprzednim kierowniku. Druki te zostały po prostu sprzedane do składu makula-

tury, tuż za rogiem przy ówczesnej ulicy Obrońców Stalingradu (obecnie Legionów). Wykupili je później dwaj młodzi łódzcy bibliofile i przewieźli furgonetką w bezpieczne miejsce. Część pozycji była już bezpowrotnie zniszczona, ale wiele z tych książek służy nadal w bibliotekach i księgozbiorach prywatnych.

Rychło Roman Kaczmarek zyskał w mieście silną pozycję polityczną. Zaczął odgrywać czołową rolę w lokalnym Stronnictwie Demokratycznym. Już w latach 1950-60 był przewodniczącym Wojewódzkiego Komitetu tej partii, później honorowym jej przewodniczącym, w latach 1958-76 był posłem do sejmiku, wieloletnim członkiem Wojewódzkiej Rady Narodowej.

W 1961 roku, jak wspominałem, nagle opuścił Archiwum mianowany urzędującym zastępcą przewodniczącego Prezydium Rady Narodowej Miasta Łodzi. Dorobek i aktywność prof. Kaczmarka spowodowały, że stał się jedną z najpopularniejszych postaci miasta i regionu. Tu zaczynały się problemy. Nie tylko ze względu na używany tytuł był człowiekiem, który pragnął się plasować w świecie nauki. Miał jak się rzekło już w czasach młodzieńczych niemałe osiągnięcia publikacyjne. Postawił sobie ambitne zadanie badawcze z zakresu historii regionu łódzkiego. Potrafił o tym interesująco mówić. W miarę możliwości starał się zbierać materiały, ściągał skąd się dało cenne książki, rękopisy i zabytki. Jednak warunki, w jakich się znalazł, uniemożliwiły mu naturalnie systematyczną pracę twórczą.

W tym okresie obok garści biogramów do *Polskiego Słownika Biograficznego* publikuje niewiele, przede wszystkim okolicznościowe wypowiedzi polityczne, wstępy do prac instytucji, w których działał itp. Z konieczności musi odkładać na później wykończenie ambitnie rozpoczętych prac i wykorzystanie pracowicie zgromadzonych materiałów. Tymczasem na Uniwersytecie i innych placówkach miasta rośnie kadra regionalistów, którzy podejmują podobne tematy i mają więcej czasu na ich napisanie i wykończenie. Powszechnie staje się wiadome, że elegancki i szarmancki wobec interesantów staje się nieugięty wobec tych, których uznał za konkurentów do licznych tematów, jakie zamierzał opublikować. Nie był skłonny im udostępniać nie tylko swoich prywatnych materiałów, ale i zbiorów należących do instytucji, którymi zarządzał. Tworzył odrębne magazynki pozycji, które wziął na swoje konto, czasem nawet przed ich ujawnieniem w katalogach i bronił konsekwentnie przed niepożądanymi oczyma.

Jedną z barwnych postaci Łodzi, miłośnik miasta i jego historyk amator, pisywał historyczne felietony do lokalnej gazety. Ów łódzianin był też stałym słuchaczem barwnych pogadanek o dziejach miasta, jakich wiele wygłaszał prof. Kaczmarek. Wystarczyło notować skrząco jego słowa, żeby w następnym tygodniu był nowy historyczny kawałek. Pamiętam, jak się później ów felietonista żalił – „Jaki ten Kaczmarek podły. Jeśli teraz zauważy, że notuję, wszystkie daty podaje celowo mylnie. A co mu szkodzi, że napiszę, on i tak

niczego nie drukuje”. Rzecz w tym, że nasz bohater stale myślał o druku, zapowiadał swe dzieła. Tylko tryb życia, w jaki się wciągnął, wcale mu tego nie ułatwiał.

Inną historię opowiedział mi Ludwik Waszkiewicz, który był przed wojną dyrektorem Archiwum w Łodzi i pierwszy zatrudnił młodego historyka, który po powrocie z Krakowa w 1937 roku poszukiwał tu pracy. Po wojnie Waszkiewicz został usunięty ze stanowiska. Nie sądzę, żeby tu winowajcą mógł być właśnie pan Roman. Przedwojenna działalność polityczna Waszkiewicza budziła gniewne wspomnienia w komunistach, którzy mu tego nie zapomnieli, tak więc kiedy po pewnym czasie jego pupil i podwładny zastąpił go na dyrekturze, obu panów regionalistów podzieliła głęboka niechęć. Waszkiewicz odesłany na wcześniejszą emeryturę, został zrehabilitowany po 1956 roku i trzeba go było ponownie przyjąć do pracy. Nie odzyskał jednak dyrektorstwa, a ich stosunki pozostawały napięte. Kiedyś, w czasie spaceru po ulicy Piotrkowskiej, wysłuchałem długiego monologu, którego jedynym acz niepozytywnym bohaterem był dyrektor Kaczmarek. Był obwiniany o wszystko, włącznie z tym, że był zbyt gorliwym wykonawcą zaleceń władz okupacyjnych. Do świadectwa Waszkiewicza trzeba więc podchodzić ostrożnie pamiętając, że miał on osobisty żal do swego następcy. Muszę jednak powtórzyć anegdotę, którą wówczas usłyszałem, a która charakteryzowała stosunki w instytucji, w której pracowali wówczas obaj panowie.

Oto pewien Anglik, teatrolog podjął pracę nad monografią pierwszego wielkiego czarnego aktora, słynnego wykonawcy roli Otella – Iry Aldridge’a. Ów Murzyn objeżdżając Europę z grupą teatralną, zaplanował też występ w niemieckim teatrze w Łodzi. Po przybyciu do naszego miasta zachorował i zmarł. Zapowiedziany spektakl się nie odbył. Miasto przeżyło jednak sensację, zapewne pierwszy tu pogrzeb czarnego człowieka. Dyrektor Kaczmarek, który od lat traktował temat teatru w Łodzi jako swój, uważał naturalnie, że jego uprawnienia dotyczą również sprawy Aldridge’a. Kiedy więc otrzymał z Anglii prośbę o odpisy aktu zgonu i innych dokumentów związanych z tą sprawą, najprościej odpowiedział, że nic takiego w Archiwum Łodzi nie istnieje. Anglik, jako człowiek dociekliwy zwrócił się do znanej mu w naszym mieście specjalistki, teatrologa prof. Stefanii Skwarczyńskiej z prośbą o sprawdzenie tej informacji.

Otóż jak opowiadał mi wówczas pan Waszkiewicz, sprawa trafiła do jego rąk i wkrótce fachowo wykonane wypisy powędrowały do Londynu. Nie był to jednak koniec sprawy, ów angielski bogacz trochę się zdenerwował i udał do naszej ambasady dzierżąc w ręku list Dyrektora Archiwum mówiący, że poszukiwanych materiałów w nim brak i otrzymane określną drogą wypisy. Sprawa otarła się o Naczelną Dyрекcję Archiwum i tylko mocna pozycja, jaką miało Stronnictwo Demokratyczne, uchroniła naszego bohatera przed natychmiastowym zwolnieniem. Ludwik Waszkiewicz dodał z satysfakcją: „Po ja-

kimś czasie udałem się do dyrektora w nowym garniturze. – Miał pan dobry pomysł z tym Aldridge'em, bo dzięki temu otrzymałem z Anglii ten piękny materiał”.

Te i zapewne inne temu podobne wydarzenia sprawiły, że wiele osób odczuło jako szczęśliwe rozwiązanie awans dyrektora na stanowisko Wiceprzewodniczącego Rady Narodowej. I jak już pisałem, szybko nowe władze Archiwum wprowadziły nowe porządki usuwając m. in. zbiory, które pozostawił tam poprzednik. O poczynaniach nowo mianowanego urzędnika w Radzie Narodowej nie mogę wiele powiedzieć, było to bowiem środowisko zupełnie mi obce. Rozchodziły się różne plotki. Był to czas, gdy partyjny przewodniczący Rady Kazimierz zrobił w trybie zaocznym magisterium i fakt ten był nagłośniony w lokalnej prasie jako dowód, że kadra nam się rozwija. Mgr Kaczmarek, przywiązany do tytułu profesorskiego, który przyłgał doń w czasie jego pracy na Uniwersytecie, mógł denerwować. Ale zapewne były i inne powody, dla których człowiek o nienajłatwiejszym charakterze nie zadomowił się na nowym stanowisku i nie dokończywszy kadencji musiał je opuścić. Pogląd środowiska był jednoznaczny. Pamiętam, jak zareagował na wieść o zmianie znany malarz i bibliofil Jerzy Krawczyk, który gdy usłyszał o zmianach personalnych, które ktoś ogłosił w antykwariacie „Słowo”, powiedział tylko: „Bo za dużo dwóch magistrów w jednym Magistracie”.

Z dnia na dzień, w 1963 roku były dyrektor Archiwum stanął na czele łódzkiego bibliotekarstwa. Powrót na dawne stanowisko, które było już zajęte, okazał się nierealny. Kierujący biblioteką zwaną w tych latach imieniem Ludwika Waryńskiego dyrektor Jan Augustyniak przekroczył już wiek siedemdziesięciu lat i mógł być zgodnie z prawem przeniesiony na emeryturę. Zapewne z punktu widzenia Kaczmarka, sprawa była prosta, otrzymał od władz tak zwaną propozycję nie do odrzucenia. Działacz tego szczebla nie mógł pozostać bez kierowniczego stanowiska.

Jednak z pozycji państwa Augustyniaków sprawa wyglądała nieco inaczej. Jan Augustyniak był kierownikiem i faktycznym twórcą Biblioteki od 1917 roku, zapewne najdłużej dyrektorującym człowiekiem w mieście. Czuł się jeszcze na siłach pracować i oboje z żoną mieszkali w gmachu Biblioteki i nie widzieli potrzeby, żeby się wynosić. Za kilka lat miał się odbyć jubileusz półwiecza placówki i jej dyrektor spodziewał się, że w drodze wyjątku pozwolą mu organizować te obchody.

Państwo Augustyniakowie znali od dawna Romana Kaczmarka, Irena uznawała swojego dawnego czytelnika nawet za rodzaj swego wychowanka, należeli też wspólnie do nielicznej już przedwojennej inteligencji łódzkiej, która przetrwała i pozostała wierna miastu. Dlatego też gdy człowiek, z którym mieli dawne stosunki został oficjелеm Rady, zwracali się do niego o poparcie ich starań, usłyszeli odpowiednie zapewnienia, przy czym wg słów Ireny Augustyniakowej, powiedzieli jej: „Przecie pani nie myśli, że dybie na stano-

wisko pani męża". Że stało się inaczej winien był zbieg okoliczności. Ale Augustyniakowie przenosząc się do nowego mieszkania na ulicy 1 Maja czuli się rozgoryczeni i unikali powrotów do „swojej biblioteki”.

W ten sposób dyrektor Kaczmarek wszedł do ścisłego grona ludzi książki w naszym mieście, dawny członek organizacji bibliofilskich coraz częściej kontaktował się ze światem bibliotekarskim. W tej roli mogłem go bliżej obserwować.

Pominąwszy nieco niezwykły tryb mianowania mgr Kaczmarek był osobą jakby wymarzoną na to stanowisko. Wymieńmy jego walory: mocna pozycja polityczna, członek stronnictwa popierającego nadmiernie swoich członków, posiadający kontakty w środowiskach partyjnych, mający dobrą prezencję, umiejący reprezentować placówkę, sprawny mówca. I co chyba najważniejsze to tak zwany miłośnik książki w pełni rozumiejący wagę tego medium. Sprawy gromadzenia zbiorów były mu najbliższe. Potrafił wędrować po antykwariatach aby zdobyć ciekawe pozycje dla prowadzonej przez siebie placówki (a przy tej okazji i dla siebie), umiał też zdobywać fundusze, więc księżnica wzbogacała się w nowe pozycje. Rozpoczęto i zakończono prace nad fragmentami bibliografii regionalnej. Sprawy, które były mu mniej bliskie potrafił złożyć w ręce wicedyrektora Tadeusza Telmy. Za jego kadencji dokonano bardzo korzystnej rozbudowy gmachów biblioteki. To pozytywy, które pozwalają jego kadencję ocenić jako czas rozwoju kierowanej przez niego placówki. Jako poseł działał w prestiżowej Komisji do Spraw Zagranicznych, zaś jako jedyna osoba w sejmie pracująca w bibliotekarstwie rychło osiągnął stanowisko w Radzie Naukowej Biblioteki Narodowej. Nie przypadkiem, kiedy w kwietniu pamiętnego 1968 roku, sejm pospiesznie starał się zaakcentować swoje oddanie sprawom kultury, przemówienie dotyczące projektu ustawy o bibliotekach powierzono właśnie Kaczmarkowi. Było ono pełne obowiązującej politycznej retoryki.

Gorzej oceniali ten czas ludzie pragnący w Bibliotece Miasta pracować nad dziejami regionu. Tu również czytelnikiem posiadającym nie tylko pierwszeństwo, ale często i wyłączność pozostawał sam dyrektor Kaczmarek. Było publiczną tajemnicą, że przy gabinecie stworzył magazynek, w którym gromadził potrzebne mu do prac materiały, w części także druki świeżo nabyte i jeszcze nie ujawnione w katalogach. Zawsze wobec interesantów szarmancki, w tym punkcie był nieugięty – twierdził, że właśnie pracuje i nie może użyczyć potrzebnych pozycji. Słynny był casus unikalnego pierwszego rocznika najwcześniejszego czasopisma łódzkiego „Lodzer Anzeiger – Ogłoszenia Łódzkie”, które biblioteka cudem zdobyła i których do śmierci dyrektora nikt nie mógł nawet zobaczyć. Nadal zbierał materiały do swych prac, ale pełne zaangażowanie w politykę, w dyrektorowanie, w prace prelegenta itp. odsuwały czas podjęcia publikacji. Za czasów jego kierownictwa wzrosły ambicje regionalne placówki, ale równocześnie ze względu na swe osobiste plany nie zawsze

potrafił dojrzyć tych, którzy w bibliotece chcieli również coś opracowywać. Nie potrafił też doprowadzić do rzeczywistej, a nie fasadowej współpracy bibliotek Łodzi, znaczna część prac bibliograficznych była dublowana w placówkach Miasta i Uniwersytetu. Kiedy przyszło dyrektorowi placówki oceniać prace swoich podwładnych, na przykład pisząc do nich wstępy, nie mógł się powstrzymać od gorzkich uwag, miał bowiem wysokie wymagania, być może to powstrzymywało go przed publikacją własnych prac naukowych. Nadal jednak chętnie wygłaszał pogadanki popularne, pisał zaś głównie okolicznościowe teksty wynikające z obowiązków reprezentacyjnych i niewielkie biografy wybitnych łodzian.

Zamiłowanie dokumentalisty i zbieracza przejawiało się w rosnących kartotekach jakie tworzył, co zbliżyło go do grona łódzkich bibliofilów. Zasiał nawet przez pewien czas w zarządzie. Jeszcze jako dyrektor Archiwum zaprosił doń członków Klubu Miłośników Książki. Pamiętam też, że byłem na jakimś wieczorku tańczącym jeszcze w lokalu Archiwum przy placu Wolności, na którym czynił honory domu. Nigdy nie próbował przejść z komilitonami na płaszczyznę mniej oficjalną, nigdy też nie zapomniał o swojej wyjątkowej pozycji. Nikt ze znanych mi osób nie pochwalił się tym, że był w domu prof. Kaczmarka lub widział jego żonę lub kogokolwiek z jego rodziny. Nikt też nie oglądał jego legendarnych zbiorów. Cokolwiek ktoś miał lub rozdawał, zawsze znajdował w Kaczmarmku zainteresowaną osobę. Jeśli zobaczył np. jakiś ekslibris nieodmiennie twierdził, że nie ma go jeszcze w zbiorze i dziwił się, że czegoś takiego jeszcze nie otrzymał. Trudno było określić, czego właściwie nie zbierał. Kiedyś np. wspominał swoją kolekcję dawnych świętych obrazków. Niekiedy obdarzał bibliofilów ciekawymi drobiazgami wydobytymi z siebie tylko znanych źródeł. Jego zamiłowanie bibliofilskie zaowocowało pięknymi obiektami. Zamówił bowiem nie tylko dla siebie cenny miedziorytniczy ekslibris Teofila Józwiaka, ale też tekę grafik Leszka Rózgi, które uświetniły obchody 50-lecia biblioteki, które przypadły w 1967 roku, już w czasie jego kadencji.

Muszę przyznać, że jako bibliofil parokrotnie mnie zadziwił. Kiedyś wszedłem w komitywę z Kazimierzem Pawlakiem, właścicielem najstarszej jeszcze działającej w mieście księgarni „Czytaj”. Był to członek naszego kręgu bibliofilskiego, człowiek już sędziwy. Postanowiłem opracować dzieje tej firmy, która przez lata tkwiła przy ul. Narutowicza 2. Przy okazji pokazał mi pan Kazimierz zeszyt, w którym spisywał osoby, które pożyczały odeń jakąś książkę. Znajdowała się w niej cenna pozycja – przedwojenna monografia twórcy ekslibrisów Stanisława Chrostowskiego z adnotacją, że pożyczył ją dyrektor Kaczmarek. O ile pamiętam, data tego zdarzenia była już dawna. Ilekroć panowie się spotkali, właściciel delikatnie upominał się o swoją własność. Nieodmiennie słyszał zapewnienie, że dzieło znajduje się w całkowitym porządku i że brak czasu ciągle uniemożliwia jego przestudiowanie – „Mam nadzieję, że

nie potrzebuje pan tego pilnie, proszę o jeszcze trochę cierpliwości". Pawlak rzeczywiście nie czuł potrzeby leżącego u niego od lat dzieła, nie wypadło też mu działać zbyt ostro wobec człowieka, od którego ciągle w mieście wiele zależało. Tak pozostawało aż do stosunkowo rychłej śmierci księgarza. Córka jego przy likwidacji firmy zwróciła się do dyrektora biblioteki o zwrot cennej książki. Nie było żadnej odpowiedzi.

Inny znamienity charakteryzujący zbieracza przypadek zapamiętałem z jednego z zebrań zarządu Klubu Miłośników Książki, w którym oboje zasiadaliśmy. Rzecz się działa w pięknym gabinecie dyrektora Biblioteki Miejskiej. Zastanawiano się nad tym, dokąd zorganizować wycieczkę bibliofilów łódzkich. Ktoś podsunął myśl, żeby udać się do Krośniewic do zbiorów Jerzego Dunin-Borkowskiego. Dyrektor Kaczmarek delikatnie zaprotestował. Jego zastrzeżenia miały charakter moralny. Stwierdził, że pochodzenie zbiorów krośniewickich budzi zastrzeżenia. Być może jak wielu wielkich zbieraczy i Jerzy miał coś na sumieniu. Ale komentowaliśmy sprawę ze zdziwieniem, bowiem właśnie Kaczmarek, zwany profesorem, znany był jako bezlitosny łapacz zbiorów. Warto dodać, że Borkowski przekazał dorobek swojego życia Muzeum Narodowemu. Legendarne zbiory Kaczmarka nigdy w całości nie wypłynęły.

Dziś, z perspektywy lat postać dyrektora Kaczmarka nie budzi już większych namiętności. Był jednak jedną z barwniejszych postaci w pałacu łódzkich osobistości. W wyniku jego pracy znacznie wzrosły tak niegdyś ubogie kolekcje łódzkie, potrafił ściągnąć do miasta wiele cennych obiektów, które pozostały i nadal pracują. W ten sposób realizował bowiem również swoją największą pasję. To, co kiedyś tak irytowało badaczy i bibliotekarzy, przetrzymywanie i ukrywanie zbiorów, jest znaną słabością wielu pracowników archiwów, muzeów i bibliotek. Ludzie jednak szybko mijają a zgromadzone przez nich dobra pozostają do dyspozycji pokoleń.

Z perspektywy lat postać Romana Kaczmarka wydaje się nieco anegdotyczna, pozostaje osobą która odcisnęła piętno na kulturze miasta, które rzeczywiście umiłował. Pozostał twórcą nie do końca zrealizowanym. W moich oczach był człowiekiem, który stosunkowo szybko przejrzał zasady panujące w świecie w którym się znalazł. Trwał w tym co nazywało się PRL-owską nomenklaturą. Nigdy nie wyraził najmniejszej krytyki panującego systemu, z niezmienną powagą traktował swoje Stronnictwo i niesławnej pamięci Sejm, w którym zasiadał. Pamiętam, kiedy Partia zdecydowała zmienić niefortunną decyzję o podwyżce cen, pan Roman spokojnie krytykował decyzje, których nawet prywatnie jeszcze wczoraj bronił. Demoralizująca istota tego systemu polegała na tym, że w przeciwieństwie do społeczeństw wielopartyjnych, w którym nie brak również głupców i osób nienadmiernie uczciwych, nie było wówczas prasy i opozycji, która by to natychmiast wytknęła. Konflikty i spory były wewnętrzną sprawą władz i postronni byli

skazani na plotki i domysły. Nawet tworzone w najlepszej wierze prace, oparte na oficjalnych materiałach mogą łatwo podtrzymywać mity. Dlatego w tym moim szkicu do portretu zasłużonego łodzianina, musiałem posłużyć się plotką. Ta niegodna metoda jest jednak drogą do starcia z niektórymi sprawami, które ją pokrywają. Brak otwartej krytyki wobec całego establishmentu prowadził nawet najlepszych na niebezpieczne ścieżki.

Przy ustalaniu faktów służyła mi praca magisterska – Marietty Kazimierczak *Roman Kaczmarek (1912-1985)*. Maszynopis 1998.



Juliusz Cyperling

## W życiu jak w teatrze

W liczącej 111 lat historii stałej sceny teatralnej w Łodzi wiele było znaczących momentów i wydarzeń o ogromnym rezonansie, nie tylko zresztą kulturalnym. Jeden z nich przypadł na koniec lat dwudziestych. Towarzysząca mu atmosfera skandali politycznych, towarzyskich i obyczajowych oraz fakt, że uczestniczyły w nich największe postacie z pierwszych kart historii polskiego teatru, warta jest przypomnienia.

Po Szyfmanie, w 1927 r., kierownictwo Teatru Miejskiego w Łodzi przy ul. Cegielnianej 67 – dzisiejszy Teatr im. S. Jaracza mieszczący się przy ulicy swego patrona – objął Bolesław Gorczyński. Po latach uznano okres jego dwuletniej samodzielnej dyrekcji (wcześniej współpracował z Szyfmanem) za jeden z najciekawszych w dziejach międzywojennego teatru łódzkiego.

Absolwent klasycznego gimnazjum w Łodzi, mimo że odbywał studia na wydziale prawnym Uniwersytetu Warszawskiego i w Monachium, całe swoje życie, zakończone w 1944 r. w Powstaniu Warszawskim, związał z teatrem... Pisał, reżyserował, występował, dyrektorował, pełnił funkcje kierownika literackiego. Do dziś zresztą uważany jest za wzór kierownika literackiego łączącego gust literacki ze znajomością sceny.

Wówczas jednak, w roku 1927 z powątpiewaniem patrzono na jego poczynania.

„Gorczyński rozpoczynał sezon pod auspicjami spod ciemnej gwiazdy – pisał w 1928 roku w trzecim numerze »Giewontu« jego współpracownik Andrzej Nullus – Jak to?! Po Szyfmanie. Niemożliwe! Na pewno się wywali...

Byli zoile i »szengeisty«, mędrycy biegli w piśmie, a także augurowie domorośli, w chwili, gdy Gorczyński formował zespół, tłukąc się po wagonach z krańca w kraniec Polski, zakładali się, że do Bożego Narodzenia nastąpi »krach« na całej linii.

Różne były nastroje. Macano grunt. »Hepać« – nie »hepać«?! Po błocie ulicy Cegielnianej człapali ludkowie na inaugurację z sceptycznym uśmiechem na ustach i zatrutym piórem w zanadru”.

Nie analizując dokonania artystycznych Szyfmana, przypomnijmy tylko, że w drugim roku jego dyrekcji – sezon 1927/1928 – średnia liczba widzów na jeden spektakl wyniosła 324, zaś liczba przedstawień – 838.

Gorczyński rozpoczął znakomicie: *Księżę niezłomny*, *Kredowe koło* (w tej roli wystąpiła Karolina Lubieńska, uroczą – zdaniem prasy – odtwórczyni roli Hai Tang), *Dziady*, *Peer Gynt*, *Wyzwolenie* – pięć wielkich premier w trzy miesiące. Pomiędzy nimi współczesny repertuar, m.in. *Śnieg* Przybyszewskiego, *Grube ryby* Bałuckiego, *Lekarz miłości* Perzyńskiego, *Moralność pani Dulskiej* Zapolskiej.

Dysponując znacznie mniejszym niż Szyfman materialnym poparciem gminy, zdołał sobie Gorczyński zapewnić dorywczą współpracę aktorów tej miary co Juliusz Osterwa, Kazimierz Junosza-Stępowski, Karol Adwentowicz, Mieczysław Frenkiel, Mieczysława Ćwiklińska, Aleksander Zelwerowicz, Józef Węgrzyn, Józef Leszczyński, Leon Schiller.

Dwie z tych postaci, Karol Adwentowicz i Leon Schiller, odegrały w dalszej historii – o czym za chwilę – wiodącą rolę.

W myśl znanego powiedzenia – Ty się nie martw, jak jest źle, ty się martw, jak jest dobrze – kłopoty przyszły szybko, bo już w drugim sezonie.

W 1928 r. Gorczyński wprowadził do repertuaru dwie inscenizacje Leona Schillera: *Dzieje grzechu* według Żeromskiego – premiera 15 X 1928 – i *Broodway* Dunninga i Abbota – 22 XII 1928. Obie swe prapremiery miały w warszawskim Teatrze Polskim – pierwsza w 1926 r., druga 7 VI 1928 – i obie spotkały się z protestami i atakami prasy, wywołując szok zaskoczonego swobodą obyczajową mieszczaństwa.

Nie inaczej było w Łodzi. Gorczyński z trudem odpierał przypuszczane na niego ataki. W styczniu na posiedzeniu Komisji Teatralnej jeden z ławników domagał się wprost wycofania *Broodwayu* z repertuaru. Komedia muzyczna przedstawiająca kulisy kabaretu i świata przestępczego określona została jako „na wskroś kryminalna”.

Czy chodziło rzeczywiście o *Broodway* i Schillera, a dokładniej – czy na pewno tylko o to?

Gorczyński nie miał najlepszych notowań u władz magistrackich, czego podłoża należy doszukiwać się nie tylko w sympatiach politycznych, aczkolwiek i one oczywiście odgrywały swoją rolę.

Na ówczesnym etapie walki klasowej, przy tak wyraźnie antagonistycznym rozgraniczeniu dwóch obozów jak w Łodzi, nie sposób równocześnie zadowolić wszystkich – pisała Stefania Skwarczyńska.

W takiej sytuacji każdy pretekst był dobry do rozegrania własnej partii i załatwienia osobistych interesów. Do tego jednak mieszkańcy Łodzi byli przyzwyczajeni.

„Stosunek [...] władz miasta do teatru był bardzo zawyły. Wpływała na to atmosfera całego łódzkiego środowiska [...] Wzajemne oszukiwanie się w interesach tak epidemicznie przesyliło atmosferę miasta – pisał Kazimierz Wroczyński, wcześniejszy i późniejszy dyrektor łódzkich teatrów – że polityczni menterzy partyjni, zdobywszy »władzę« przy wyborach municypalnych do rady

miejskiej i magistratu, nie tylko nie mogli się i nadal otrząsnąć z »nabijania w butelkę« przeciwników z innej partii, ale i całą gospodarkę miejską prowadzili pod kątem znanego łódzkiego aforyzmu: jak mówię, że nie dam – to nie dam! Jak mówię, że dam – to mówię...”

Głównym oponentem Gorczyńskiego był wiceprezydent miasta dr E. Wieliński forujący na stanowisko dyrektora Teatru Miejskiego swego kandydata, a zarazem i przyjaciela, Karola Adwentowicza.

„Gdy 25 maja 1929 r. na posiedzeniu Komisji Teatralnej zapadła decyzja o powierzeniu Gorczyńskiemu dyrekcji Teatru Miejskiego na kolejny sezon – pisze Stanisław Kaszyński – Wieliński zareagował natychmiast. Złożył oświadczenie, że magistrat nie zastosuje się do podjętej uchwały z powodu złej gospodarki finansowej obecnego dyrektora i jednocześnie powiadomił członków komisji, że sprawę nowego dyrektora rozstrzygnie sam magistrat na najbliższym posiedzeniu”.

Magistrat rozstrzygnął. Nowym dyrektorem został Karol Adwentowicz.



*Zespół artystyczny Teatrów Miejskich w Łodzi (lata trzydzieste)*

Sprawa Gorczyńskiego – już jako dyrektora Teatru Popularnego i Kameralnego, które objął – miała jeszcze swój ciąg dalszy. Poszło o subwencję, a dokładniej o jej część, którą Gorczyński przeznaczył na letnią rezerwę i nie podejmował z kasy miejskiej. Gdy z początkiem lata zwrócił się o nią, usłyszał od Wielińskiego, że nie tylko jej nie dostanie, ale że sprzeniewierzył fundusze teatralne, złożył fałszywy bilans i nabrał miasto, aktorów i personel techniczny.

Czując się nie tylko niewinnym, ale i zniesławionym, Gorczyński oddał sprawę do sądu. 4 grudnia 1929 r. zapadł wyrok skazujący – dwa miesiące więzienia. Dla wiceprezydenta.

Do odsiadki jednak nie doszło, ale dla Bolesława Gorczyńskiego artystyczna przygoda z teatrem łódzkim skończyła się definitywnie.

Karol Adwentowicz, mający już w swoim życiorysie nie tylko wiele znakomitych ról, ale i służbę w I pułku ułanów Legionów Polskich, którą przetrwała kontuzja odniesiona wskutek upadku z konia, dyrektorował Teatrowi Miejskiemu jeszcze krócej, ale za to znacznie burzliwiej.

Nowy dyrektor namówił do współpracy Leona Schillera (pełne nazwisko – Leon Jerzy Wojciech Schiller de Schildenfeld) cieszącego się już wtedy sławą największego reżysera polskiego i jednocześnie opinią człowieka o zdecydowanie określonych poglądach.

„Zbyt dobrze znałem – pisał później o Schillerze K. Adwentowicz – jego postawę polityczną i społeczną, abym wątpił, iż moja prośba skierowana do niego o współpracę w Teatrze Miejskim znajdzie szczerze przyjazny oddźwięk. Schiller w tym okresie był zapalczywie inwigilowany, ścigany i prześladowany przez sanację i czarnosecinnie jej kadry ideologiczne, uzbrojone w kastety i pałki. Było coś prowokującego w tym zapale, z jakim przystąpił do pracy, coś z bojowej pozycji, z której padł pierwszy strzał w zatęchłe nawyki małomieszczkańskie i upodobania widowiskowe do trójkątów małżeńskich i sensacyjnych tajemnic buduarowych”.

Łódzka współpraca tych dwóch wielkich ludzi teatru złożyła się na wyjątkowy, i to nie tylko w łódzkiej skali, sezon teatralny. Sezon teatru społecznego o silnej wymowie politycznej. Schiller, otrzymując od Adwentowicza wolną rękę, zrealizował wreszcie swą koncepcję teatru zaangażowanego, rewolucyjnego.

Pierwsza jego sztuka – *Rywale* – z wykorzystaniem techniki filmowej, przyjęta została z uznaniem. Kolejna – *Dzielny wojak Szwejk* – z wielką rolą Michała Znicza i scenografią Konstantego Mackiewicza, legendarnej dziś postaci, doskonale znanej wszystkim bywalcom również legendarnego Klubu Dziennikarza, była już rewelacją.

Burza rozpełtała się po premierze *Cjankali*, sztuce poruszającej problem regulacji urodzin i przerywania ciąży. 19 stycznia 1930 r. w proteście rozrzucono na widowni gazy łzawiące, dwa dni później wywołano następną burdę. W

odpowiedzi Karol Adwentowicz kazał rozkleić afisze zapowiadające udostępnienie sztuki najszerszym masom po niższej cenie.

W prasie podniosła się wrzawa. Z jednej strony atakowano teatr i Adwentowicza za szerzenie bolszewii za magistrackie pieniądze i za pacyfistyczno-rewolucyjny repertuar podszyty bolszewizmem, z drugiej zaś pisano, że cenny jest każdy pocisk bijący w mury zbiorowych fałszów i zakłamań, torujący drogę zwycięstwu prawdy z równą dla wszystkich sprawiedliwością.

Finał był łatwy do przewidzenia. 3 października 1930 r. poranna prasa podała komunikat: Dziś o godzinie drugiej w nocy po długotrwałych naradach z przedstawicielami ZASP dyrektor Adwentowicz zrzekł się kierownictwa Teatru Miejskiego. Dodajmy jeszcze, że Schiller odszedł znacznie wcześniej.

„Odejście Adwentowicza stanowiło dla teatru łódzkiego – konkluduje Kazimierz Lewkowski – rezygnację z podjętej na początku sezonu 1929/1930 drogi, która postawiłaby teatr w rzędzie najciekawszych zjawisk artystycznych w Polsce [...] Niestety, stało się inaczej. Przeciwnicy Adwentowicza zwyciężyli i jeszcze po jego odejściu nękali go żądaniem o zwrot długów, które ciążyły na Teatrze Miejskim”.

Refleksje? Mogą być ryzykowne. Lepiej już wszelkie porównania i odniesienia do późniejszych i jeszcze późniejszych czasów prowadzić na swój własny użytek, pamiętając, że w teatrze jak w życiu, finał może być rozegrany na różne sposoby...



Oficyna  
Bibliofilów

rok założenia 1989

Andrzej Horst

## Łódzkie oficyny wydawnicze Oficyna Bibliofilów

Wprawdzie taka jest oficjalna nazwa obchodzącej w tym roku swe dziesięciolecie firmy, ale nazywa się ją zwykle Oficyną Bibliofilów Marka Szukalaka od nazwiska jej właściciela. Założona 1 kwietnia 1989 r. w Pabianicach przy ul. Chłodnej 18, po kilku miesiącach (15 listopada) została przeniesiona do Łodzi na ul. Bolesława 13 – niewielką uliczkę w bezpośrednim sąsiedztwie ulic Pabianickiej i S. Dubois. Początkowo był to typowy zakład wydawniczo-poligraficzny drukujący etykiety, foldery, akcydensy i druki reklamowe dla przedsiębiorstw państwowych i prywatnych. Ale noblesse oblige, nie na próżno Szukalak nadał firmie nazwę Oficyna Bibliofilów.

Ten towarzysz sztuki drukarskiej i bibliofil, przez wiele lat pracownik Łódzkich Zakładów Graficznych, zafascynowany dziejami rodzinnego miasta i jego wielonarodowościową kulturą, łączy pasje kolekcjonerskie (jego prywatne zbiory obfitują w materiały, których mogłaby pozazdrościć niejedna biblioteka) z pedantyczną docieklivością naukowca. W roku 1987 opublikował cenioną wśród historyków drukarstwa monografię *Bolesław Kotkowski i jego Zakłady Graficzne w Łodzi*, zadedykowaną przez autora uczestnikom Ogólnopolskiego Zjazdu Bibliofilów w Łodzi. Kilka lat wcześniej (1979) poddał łódzką edycję *Pana Tadeusza* z 1906 r. analizie typograficznej, a wyniki tej analizy przedstawił w osobno wydanym staraniem Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki (ŁTPK) bibliofilskim druczku (nakład 175 egz.!!!) pt. *75 rocznica podjęcia inicjatywy wydania „Pana Tadeusza” w Łodzi*. Dodać warto, iż przyszły właściciel, zarazem (od 1991 r.) dyrektor spółki z o. o., już w 1975 r. został członkiem ŁTPK, pełniąc przez trzy kadencje funkcje w jego zarządzie i wydając rozliczne publikacje samego Towarzystwa i niektórych jego członków. Sam Szukalak nie ukrywa, ile zawdzięcza nieodżałowanemu Michałowi Kunie (1923-1994), wybitnemu łódzkiemu bibliotekarzowi, księgoznawcy, bibliofilowi i edytorowi, twórcy znakomitych opracowań typograficznych wielu publikacji. To właśnie w Oficynie Bibliofilów (1993) ukazał się wywiad-rzeka *Pytasz, jaki jestem? czyli Grzegorza Matuszaka rozmowy z Michałem Kuną*, ujawniający koleje życia i awansu społecznego tego znakomitego humanisty i niekonwencjonalnego bibliofila, twórcy i wieloletniego prezesa ŁTPK.

Jan Janiak, jeden z bibliofilskich przyjaciół Szukalaka, nakreślił zabawny konterfekt sympatycznego drukarza:

*Wydrukuję on ci wszystko  
(nawet twój testament)  
o ile nie powie,  
że właśnie robi bilans  
lub że ma remanent.  
Z czcionek ułoży sonet,  
triolet lub epopieję.  
Ów zdolny drukarz  
i na twój grosik  
ma też nadzieję.  
A gdy wspomaga zbożne  
(bo bibliofilskie) zamiary  
to zaraz powstaje wokół sprawy  
mały huczek  
i tak długo się rodzi  
tlusty od farby bobas  
czyli po prostu druczek.*

Działalność wydawnicza Oficyna Bibliofilów zapoczątkowała w 1989 r. broszurą *Harcerski śpiewnik obozowy*, opracowaną przez Komendę Chorągwi Łódzkiej ZHP im. „Bohaterskich Dzieci Polskich”. Niemal równocześnie pojawiła się okolicznościowa *Pamiętka na jubileusz 35-lecia Liceum Ogólnokształcącego im Jędrzeja Śniadeckiego w Łodzi*, opracowana przez Jerzego Andrzejewskiego, Lecha Puszczyńskiego i Lucynę Sułkowską.

Już od następnego roku coraz częściej odwiedza peryferyjną łódzką uliczkę „dziatwa Apollina” – młodzi i nieco starsi poeci i prozaicy łódzcy, z odleglejszych stron nadchodzą pakiety z tomikami wierszy i drobnej prozy, tym intensywniej, im bardziej chylą się ku upadkowi wydawnictwa państwowe, obligowane ongiś do promowania młodych talentów. Stare, wysłużone linotypy pozwalają na wydawanie niskonakładowych tomików poetyckich, więc powstaje ich tu co niemiara. Gdy w roku 1993 zbędne w tej sytuacji narzędzia poligraficzne zostały przekazane do Muzeum Książki Artystycznej Jadwigi i Pawła Tryznów a do Oficyny zawitały komputery, okazało się, że potrafią one równie dobrze, a może i lepiej, odpowiedzieć gustom autora i czytelnika. W okresie dziesięciolecia ukazało się nakładem Oficyny kilkadziesiąt publikacji pisarzy łódzkich młodszego i starszego pokolenia, od debiutantów do twórców o znacznym dorobku literackim. Drukowali tu m. in. Emil Biela, Włodzimierz Blansz, Ryszard Brudzyński, Tadeusz Chróścielewski, Monika Chybowicz-Brożyńska, Jadwiga Dörr, Janusz Dunin, Tadeusz Giegier, Eugeniusz Iwanicki, Krystyna Kondek, Waclaw Krakowski, Wanda Magdalena Lament, Juliusz



Leszczyński, Aleksandra Mucha, Beata Ewa Olczak, Czesława Politańska, Lucyna Skompska, Jerzy Wilmański. Swoistą pamiątką po tragicznie zmarłym Piotrze Włodarczyku, uczniu klasy matematyczno-fizycznej XII Liceum Ogólnokształcącego im. S. Wyspiańskiego w Łodzi, są wydane przez Oficynę Bibliofilów dwa tomiki jego wierszy *Wyzwolenie* i *Z drzewa świata* (1990). Znaczącym wydarzeniem kulturalnym okazał się tomik *Wiersze szesnastu poetów* (1995) w wyborze i tłumaczeniu Nicole Gourgaud, poetki prowadzącej zajęcia z literatury francuskiej na Uniwersytecie Łódzkim, z przedmową Zbigniewa Dominiaka. Tomik ten, jak i kilka innych, wydanych z inicjatywy N. Gourgaud przez Oficynę Bibliofilów wspólnie z wydawnictwem „Revirar”, miał pokazać czytelnikowi francuskiemu wiersze poetów z różnych miejsc Europy, stąd tytuł serii „Un Poète un Lieu”.

Ważnym dokumentem literackim jest pierwodruk poematu Mariana Piechala *Szkice węgierskie*, wydanego przez Oficynę Bibliofilów staraniem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Łodzi dla uczczenia pierwszej rocznicy śmierci pisarza. Poemat przeznaczony był do zbioru *Ognie*, który ukazał się w tzw. szkatułce Biblioteki Poetów 1958, wydanej przez Wydawnictwo Łódzkie, oczywiście bez owego poematu poświęconego wydarzeniom na Węgrzech w 1956 r.

W orbicie Oficyny znaleźli się pisarze prawnicy stowarzyszeni w „Palestrze Literackiej”, też tutaj został wydany almanach Klubu Literackiego Nauczycieli KLIN w Łodzi *Nie powiem ci tego* (1994).

W latach 1993-1999 ukazało się sześć tomików dotychczas w Polsce nie publikowanych utworów Stendhala, Monteskiusza i Prospera Merimée w przekładzie znanego łódzkiego prawnika i tłumacza Leszka Sługockiego. Z kolei Juliusz Leszczyński wydał w tomiku *Rosyjska muza* kilkanaście utworów poetów rosyjskich.

W Oficynie Bibliofilów chętnie też publikują wyniki swoich badań łódzcy naukowcy. Znany łódzki socjolog, prof. dr hab. Grzegorz Matuszak ogłosił tu trzy książki o kształtowaniu się klasy średniej w warunkach przemian ustrojowych i ekonomicznych zachodzących w kraju: *Kształtowanie się nowej klasy średniej w Polsce* (1992), *Szkic do portretu nowej klasy średniej w Polsce* (1993), *Inteligencja a nowa klasa średnia w Polsce* (1994). Danuta Duraj, również z Katedry Socjologii Zawodu Instytutu Socjologii UŁ, opublikowała interesującą rozprawę *Praca i jej społeczny kontekst w postawach młodzieży* (1993). Wątki socjologiczne przewijają się w książce Pawła Zakrzewskiego *Młodzi alkoholicy po upływie 12 lat. Losy życiowe i przestępczość* (1996). Ryszard Grygiel jest autorem pracy *Zarembowie z Jarocina w świetle źródeł archeologicznych i historycznych* (1992, wyd. 2, 1994). Praca stanowi 25. tom Biblioteki Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi.

Ukazywały się staraniem Oficyny Bibliofilów również materiały z konferencji i sesji naukowych organizowanych przez łódzkie uczelnie, muzea i stowarzyszenia, np. materiały z sesji popularnonaukowej w Rawie Mazowieckiej, poświęconej Jędrzejowi Kitowiczowi, pod redakcją prof. Jerzego Starnawskiego (1995), zbiór rozpraw o poezji Mirona Białoszewskiego zatytułowany *O wierszach Mirona Białoszewskiego. Szkice i interpretacje* (1993), w opracowaniu i pod redakcją Jacka Brzozowskiego z Katedry Literatury Romantyzmu i Literatury Współczesnej UŁ. Jubileusz 100-lecia kina i jego wybitnych indywidualności znalazł swój oddźwięk w opublikowanych materiałach ze Studenckiej Konferencji Naukowej pt. *Kino ma 100 lat! Największe osiągnięcia i perspektywy rozwoju* (1996). Książkę zbiorową *Leon Niemczyk* (1995) wydała Oficyna wraz z Muzeum Kinematografii.

Muzea lokalne i pozałódzkie chętnie zamawiają w Oficynie Bibliofilów katalogi wystaw, foldery i obszerniejsze opracowania tematyczne. Dla Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego wydano tu *Katalog wystawy monet średniowiecznych ze zbioru Witolda Nakielskiego* (1994) i katalog wystawy *200 lat polskiego pieniądza papierowego* (1994), dla Muzeum Okręgowego w Koninie trójjęzyczną wersję folderu *Obóz zagłady w Chełmnie nad Nerem 1941-1945* (1990) oraz katalog wystawy *Wiek XX – wiek kobiet* (1998), dla Muzeum Artystów katalog wystawy *Konstrukcja w procesie* (1993). Towarzystwo Przyjaciół Muzeum Sztuki w Łodzi było współwydawcą obszernej pracy zbiorowej *Muzeum Sztuki w Łodzi. Historia i wystawy* (1998), przygotowało też niewielki informator poświęcony swemu 20-leciu (1995).

Od początku istnienia firmy ukazują się jej nakładem *łodziana*, czyli książki poświęcone Łodzi, jej historii, kulturze i mieszkańcom. Początek dał sam wydawca, a zarazem autor książki *Miasto łodzermenschów* (1990) – Marek Szukalak. Jest to syntetyczny opis dziejów Łodzi, uwzględniający losy twórców potęgi tego wielkoprzemysłowego miasta. Książka stanowiła pierwszy zeszyt „Herbarza Łodzi Przemysłowej” przewidzianego jako osobna seria wydawnicza, której kolejny zeszyt *Sylwetki łódzkich dziennikarzy i publicystów* autorstwa Andrzeja Kempy (przedmowa Jerzego Wilmańskiego) ukazał się w 1991 roku i zawierał blisko 100 życiorysów przedwojennych współpracowników prasy łódzkiej. Ten sam autor wydał w Oficynie Bibliofilów niskonakładowy dwujęzyczny druk *Niemcy w Łodzi* z okazji Światowego Spotkania Łodzian 16-19 września 1992 r.

Marek Szukalak – jak wcześniej wspomniano – dociekliwy utrwalacz wszystkiego co godne pamięci, od lat gromadził materiały o Arturze Szyku (1894-1951), łodzianinie, wybitnym przedstawicielu sztuki iluminatorskiej. Stąd pomysł wydania Statutu kaliskiego, znanego w opracowaniach historycznych jako „wielka karta wolności żydowskich”, a nadanego przez księcia Bolesława Pobożnego 16 sierpnia 1264 r. Owo fundamentalne dla Żydów polskich

źródło historyczne zdecydował się zilustrować Szyk w 1926 r. w Paryżu, ale jego miniatury nie łączą się bezpośrednio z treścią dokumentu, przedstawiają natomiast wkład Żydów w rozwój gospodarczy przybranej ojczyzny i ich udział w walkach o jej niepodległość. W dalekim od oryginału kształcie edytorskim Szukalak wydał w nakładzie zaledwie 100 egzemplarzy pierwodruk *Statutu kaliskiego* Szyka (1994) z wstępem prof. Mariana Fuksa, *Wiersz na „Statut kaliski” Artura Szyka* Henryka Zbierzchowskiego (1997), z posłowiem Jerzego Andrzejewskiego wyjaśniającym genezę powstania owego wiersza lwowskiego poety, opublikowanego w 1932 r. Współpracę autora *Statutu kaliskiego* z lokalną prasą przedstawił Szukalak we własnej książce *Łódzkie rysunki Artura Szyka* (1997), opublikował też w postaci reprintu *Rewolucję w Niemczech* Juliana Tuwima z ilustracjami Artura Szyka (1994), wydaną pierwotnie w 1919 r. przez łódzką księgarnię „Książka i Sztuka”.

Żydowskiej nekropolii łódzkiej poświęcone są dwie książki Oficyny Bibliofilów. Pierwsza z nich to pięknie wydane dzieło Danuty i Lecha Muszyńskich *Cmentarz Żydowski w Łodzi* (1995), druga – *Szkice z dziejów Gminy Żydowskiej oraz cmentarza w Łodzi* (1996, wyd. 2, 1999), pióra Izaaka Kersza (1918-1990), nauczyciela historii i rosyjskiego w szkołach łódzkich, współzałożyciela Towarzystwa Polsko-Izraelskiego w Łodzi. W początkach lat osiemdziesiątych Kersz był inicjatorem powstania Społecznego Komitetu Opieki nad Cmentarzem Żydowskim w Łodzi. Sprawom łódzkim jest poświęcony zbiór szkiców *Łódź, moja zakazana miłość* (1999) Arnolda Mostowicza, honorowego obywatela m. Łodzi (1998), przewodniczącego Fundacji „Monumentum Iudicum Lodzense”.

Dopiero co ukazała się książka Leszka Skrzydły *Rody fabrykanckie*, będąca próbą przeniesienia na papier treści zawartych w cyklu audycji nadawanym pod tym samym tytułem przez Telewizję Edukacyjną Programu 1 TVP. Bogato ilustrowana książka adresowana jest głównie do czytelników spragnionych wiedzy o przeszłości Łodzi i ludziach, którzy ongiś tworzyli podstawy jej rozkwitu.

Sentymentalny przewodnik po 24 dzielnicach Łodzi, pełen wspomnień i anegdot ich mieszkańców, opisów ich życia, zwyczajów i obyczajów, przynosi zbiór reportaży Tadeusza Gicgiera *Wędrując z mikrofonem. Dzielnice Łodzi* (1994). Autentyczny obraz dawnej Łodzi przedstawił Jerzy Wilmański w niewielkiej książeczce *Płatki sadzy. Antologia felietonistyki łódzkiej* (1993). „Przede wszystkim jest to książka o Łodzi – pisał autor wyboru – i pod tym względem jest ona jednolita tematycznie. Oczywiście ten zestaw tekstów nie wyczerpuje ani bogatego dorobku, ani nie zgłębia wszechstronnie łódzkiego tematu”.

Znaczącą część dorobku wydawniczego Oficyny Bibliofilów stanowią judaica przeznaczone dla czytelników w kraju i za granicą: wspomnienia, powieści i opowiadania, poezja i eseistyka literacka. Polskojęzyczni pisarze z Izraela,

coraz częściej ogłaszający swe teksty za pośrednictwem łódzkiej oficyny, wracając do czasów Holocaustu, pochylają się nad prochami pomordowanych, dźwigają ciężar Treblinki i Oświęcimia, składają hołd Sprawiedliwym Wśród Narodów Świata, wspominają dzieciństwo, którego nie mieli. Nie brak w owych tekstach literackich nostalgii za ojczyzną przodków, „błądzenia ścieżkami dzieciństwa” i refleksji nad „polską żydowskością” czy może „żydowską polskością” autorów.

Ważnym dokumentem literackim jest powieść *Ciotka Ester* Arie Aksztajna – pisarza prymitywisty, urodzonego na Bałutach dziesięć lat przed wybuchem II wojny światowej. To właśnie wspomnienia kilkuletniego chłopca stały się kanwą opowieści o niewyobrażalnym tragizmie życia żydowskich mieszkańców Bałut na krótko przed Zagładą. Szczególną estymą darzy Oficyna Bibliofilów pisarzy żydowskich związanych z Łodzią, stąd publikacja wspomnień Pawła Fuksa *Dziecko wojny* (1994), Emanuela Cunge *Uciec przed Holocaustem* (1997), Orny Jagur (Ireny Grodzińskiej) *Bunkier „Krysia”* (1997), Henryka Palmona *Wielka wojna małego i dużego Chaskiela* (1998). Choć wojenne losy wszystkich tych pamiętnikarzy były odmienne, wspólne pozostawało poczucie zagrożenia, jednakie dla wszystkich polskich Żydów.

Sprawom historii literatury poświęcone są szkice literackie Ryszarda Löwa *Hebrajska obecność Juliana Tuwima* (1996) i Zdzisława Libery *W literaturze i legendzie (o judaikach polskiego Oświecenia)* (1999). Uzupełnia ten rejestr zbiór 13 szkiców biograficznych i krytycznoliterackich zamieszczonych pierwotnie w izraelskim periodyku „Kontury”, wydawanym w Tel Awiwie od 1988 roku. Wspomniana antologia zatytułowana *Z izraelskich „Konturów”*, poprzedzona przedmową Lucyny Skompskiej, jest w zamyśle wydawcy pierwszą z serii książek obejmujących wybór zamieszczonych w „Konturach” tekstów (również literackich) autorów izraelskich piszących po polsku.

W książce *Wielcy i sławni pochodzenia żydowskiego* (1998) jej autor prof. Marian Fuks przedstawił ogromny wkład Żydów (w tym również polskich) w dorobek cywilizacyjny ludzkości. Dla wielu z nich – podobnie jak dla samego autora – „Polska była ich, z dziada, pradziada, ojczyzną”, bo dawna Rzeczpospolita była ongiś największą w Europie diasporą zamieszkałą przez społeczność żydowską. Najnowszą publikacją Oficyny Bibliofilów jest rozprawa doktorska Eliyahu Jonesa *Żydzi Lwowa w okresie okupacji 1939-1945*, napisana pod kierunkiem prof. Izraela Gutmana z Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie na podstawie źródeł archiwalnych, relacji świadków i bogatej, niedostępnej w Polsce literatury przedmiotu. Wiedzę o Izraelu wzbogaca książka Barbary Celler *Proces pokojowy w konflikcie bliskowschodnim*, której pierwsza część opowiada o powstaniu państwa Izrael (1996).

Do przeszłości nawiązuje też powieść Lei Shinar o wybitnym polskim malarzu pochodzenia żydowskiego Maurycem Gottliebem (1856-1879) *Maurycy – uczeń Matejki* (1998).

Kilkadziesiąt książek wydanych w serii Judaica przez Oficynę Bibliofilów stawia ją w czołówce krajowych wydawnictw zainteresowanych problematyką żydowską. Bogata oferta wydawnicza wzbudza zainteresowanie księgarzy, życzliwość czytelników i autorów.

Dziesięcioletni dorobek wydawniczy Oficyny Bibliofilów to półtorej setki książek i broszur, od druków ulotnych do wartościowych monografii o poważnym znaczeniu dla nauki i literatury. Nie względy komercyjne, lecz umiłowanie rodzinnego miasta skłania właściciela Oficyny Bibliofilów, jak mało którego wydawcę, do publikowania książek poświęconych Łodzi i promowania łódzkich literatów i pracowników nauki. Na kulturalnej mapie Łodzi, mimo formalnego oddalenia od centrum miasta, Oficyna Bibliofilów zajmuje poczesne miejsce, zaś jej właściciel nie kryje ambitnych planów na przyszłość.

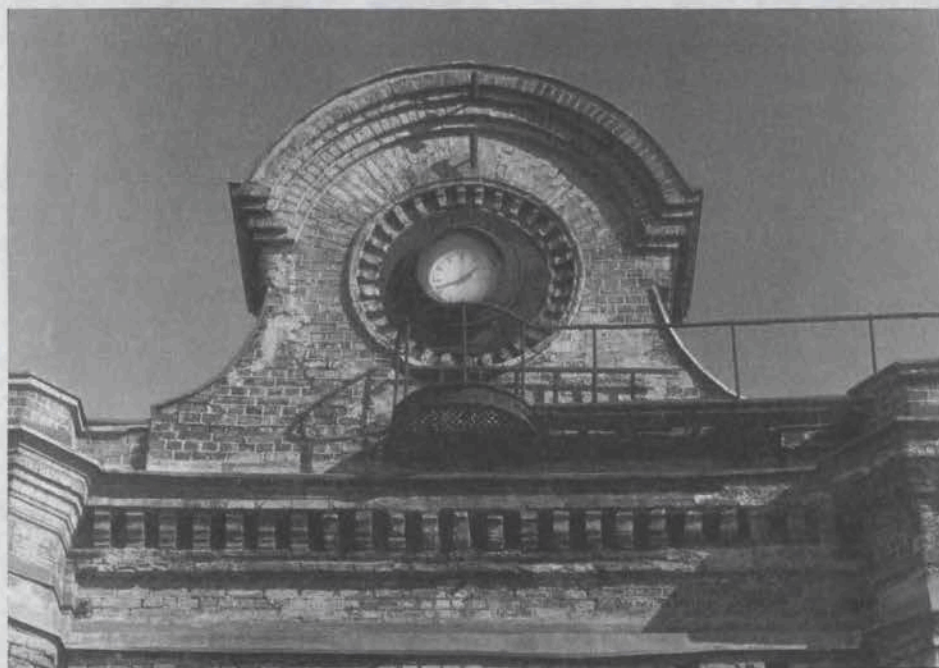


Foto: Piotr Zdrzyński



*Foto: Piotr Zdrzynicki*

Andrzej Frontczak

## Zagrożenie i nadzieje zdrowotne łodzian na przełomie wieków

Łódź, drugie co do wielkości miasto w Polsce, usytuowane jest na powierzchni 295 km<sup>2</sup>, na której mieszka 806 728 osób. Gęstość zaludnienia jest w Łodzi najwyższa w kraju, a wskaźnik zaludnienia wynosi aż 2 735 mieszkańców na 1 km<sup>2</sup>. Większość łodzian to kobiety, których jest 432 302, przy liczbie mężczyzn wynoszącej 369 426. Wynika z tego, że na 100 mężczyzn przypada ponad 118 kobiet.

Struktura mieszkańców przedstawia się następująco:

Wiek	0-4	5-9	10-14	15-19	20-29	30-39	40-49	50-59	60-69	70 >	Łącznie
Liczba	29 914	86 531	47 261	58 800	14 960	98 226	15 666	99 840	84 477	85 053	806 728

Z powyższego wynika, że większość mieszkańców to ludzie po 20. roku życia; po 60. roku życia i starszych jest 169 530 osób i stanowi to aż 21% całej populacji. Dzieci do 14 roku życia jest 163 706 i wynosi to 20,29% wszystkich mieszkańców naszego miasta. Dokładna analiza liczbowa osób w wieku produkcyjnym wskazuje, że ponad 14% stanowią ludzie nie pracujący zawodowo.

Niepokojącym zjawiskiem jest także ujemny przyrost naturalny, stopniowo się powiększający. Jeszcze w roku 1989, mimo spadku urodzeń w Polsce, w Łodzi przyrost naturalny był dodatni i wynosił 2,6 promila. W kolejnych latach wystąpił już niestety ujemny przyrost naturalny. I tak w roku 1998 zanotowano zaledwie 5 471 żywych urodzeń co wynosi 6,82 urodzeń na 1000 mieszkańców. W tym samym czasie było 11 163 zgonów, a współczynnik zgonów na 1000 łodzian wyniósł 13,92. Z powyższego wynika, iż nadal utrzymuje się wysoki ujemny przyrost naturalny (wyniósł on w roku 1998 aż 7,10 promila) i ma, jak dotąd, tendencję wzrostową.

Jest to zjawisko wysoce niepokojące, które, utrzymując się na tym poziomie, może spowodować dalsze zmniejszanie się liczby mieszkańców miasta. Gdyby ten niekorzystny, ujemny przyrost naturalny utrzymał się na przykład w ciągu najbliższych 10 lat, to można spodziewać się zmniejszenia ludności m. Łodzi nawet do 730 000. Z tabeli wynika, że wyjątkowo mało jest dzieci do 4 roku życia oraz w przedziale wieku 10-14 lat. Jest to zjawisko biologicznie bardzo niekorzystne, którego następstwem w przyszłości będzie pogłębiający się spadek liczbowy mieszkańców Łodzi.

Mimo poprawy w ciągu kilkunastu lat, nadal utrzymuje się w Łodzi wysoki wskaźnik zgonów niemowląt, który obecnie wynosi 12,3 na 1000 żywo urodzonych. Około 67% zgonów niemowląt następuje między pierwszym a szóstym dniem życia oraz między pierwszym a drugim miesiącem życia. Więcej umiera dziewczynek niż chłopców, a wskaźnik nadumieralności dziewczynek wynosi 106,2%. Analiza wagowa zmarłych niemowląt wykazała, że na 110 zgonów aż w 100 przypadkach stwierdzono niedobory wagowe. Istotnym problemem, który występuje w Łodzi jest wcześniactwo nowo narodzonych, wyższe niż w innych regionach kraju.

Z przedstawionych danych wynika, że społeczeństwo naszego miasta zalicza się już do starych demograficznie (ponad 14% stanowią ludzie w wieku poprodukcyjnym), a jego regeneracja biologiczna jest żadna, gdyż utrzymuje się nadal wysoki poziom ujemnego przyrostu naturalnego (-7,10 promila).

Jakie są zatem zagrożenia zdrowotne mieszkańców Łodzi i jakie mogą być na przełomie XX i XXI w.? Inne oczywiście będą u dzieci i młodzieży, inne zaś u ludzi dorosłych – wieku średniego, dojrzałego czy starego.

Przeciętne trwanie życia w Łodzi i w naszym województwie jest krótsze niż średnie dla Polski i wynosi 75,2 lat dla kobiet (Polska 76,6 lat) oraz 66 lat dla mężczyzn (Polska 68,1).

Na powyższy stan rzeczy wpływa wiele czynników: relatywnie gorszy niż na innych obszarach kraju stan środowiska, wysoki wskaźnik zaludnienia, gorsze warunki mieszkaniowe i niższe dochody społeczności miasta i województwa, które ogólnie można nazwać gorszymi warunkami życiowymi naszego obszaru. Znaczącą rolę odgrywa także przewlekły stres i napięcia spowodowane troską o materialne zabezpieczenie codziennego bytu rodziny i obawa przed utratą pracy.

Szczególnie znamienny jest wskaźnik średniej długości życia statystycznego mężczyzny, który przeżywa tylko jeden rok po przejściu na emeryturę. W przypadku mężczyzn obok warunków życiowych, długość ich życia determinuje między innymi styl ich życia związany z nałogami powodującymi ich nadumieralność, która intensyfikuje się zwłaszcza po ukończeniu przez nich 40 lat. W efekcie tego w Łodzi na 100 mężczyzn przypada 118,4 kobiet, a wskaźnik nadumieralności mężczyzn w roku 1997 wyniósł 124,6% i w roku 1998 pozostawał na tym samym poziomie. Ze szczegółowej analizy zgonów wynika, że 77% wszystkich zgonów następuje po 60. roku życia, przy czym dla mężczyzn odsetek ten wynosi 68% a dla kobiet 86%. Tak więc mężczyźni żyją krócej, a około 32% mężczyzn umiera przed 60. rokiem życia.

Z analizy przyczyn zgonów wynika, że około 55% zgonów spowodowanych jest chorobami układu krążenia (głównie zawał serca, udar mózgu, przewlekła niewydolność krążenia). Drugą z kolei przyczyną zgonów są nowotwory różnych narządów (stanowią one już ponad 20% wszystkich zgonów) i nieestety wykazują stałą tendencję wzrostową. W dalszej kolejności przyczyną



zgonów są urazy i zatrucia, choroby narządu oddechowego i inne. We wszystkich przypadkach umieralność na wymienione choroby jest największa w kraju.

W zakresie sytuacji epidemiologicznej chorób zakaźnych nastąpił dalszy spadek zachorowań na wirusowe zapalenia wątroby. Jeszcze w roku 1995 wykryto wzw. u 744 osób, 323 w roku 1996 i tylko 246 przypadków w 1997 r. Zmniejszyła się także liczba zachorowań na płonice i świerzb. Bardzo znacznie wzrosły zachorowania na krztusiec z 37 w roku 1996 do 292 w 1997 oraz na różyczkę – w roku 1997 odnotowano aż 1206 przypadków tej choroby.

Zachorowalność na gruźlicę utrzymuje się na stałym poziomie. W roku 1997 stwierdzono 452 przypadki gruźlicy u mieszkańców naszego miasta. W ramach badań katastralnych przebadano 24 157 osób (u 1,4% osób stwierdzono zmiany chorobowe w płucach).

W zakresie chorób wenerycznych w roku 1997 wykryto u pacjentów naszego miasta 190 przypadków kiły, w roku 1998 – 159. Rzeżączkę w roku 1998 stwierdzono u 77 osób. Zarówno na kiłę, jak i na rzeżączkę chorują w większości mężczyźni (zachorowalność mężczyzn na kiłę jest 2,8-krotnie większa niż u kobiet, natomiast na rzeżączkę – prawie 13-krotnie). Największy odsetek zachorowań na choroby weneryczne występuje w wieku 20-44 lat. Wśród mężczyzn odsetek ten stanowi 73%, wśród kobiet 64,4%.

W roku 1997 było 156 przypadków ostrych zatruc, a 3076 pacjentów leczonych było w poradniach odwykowych z powodu uzależnienia, najczęściej lekowego 980 pacjentów leczonych było z powodu przewlekłego uzależnienia alkoholowego. Oficjalne statystyki dotyczące liczby alkoholików w Łodzi są bardzo zaniżone, bo wielu nie leczy się w ogóle. Ważnym problemem jest masowe palenie tytoniu, niestety także przez kobiety, a nierzadko ciężarne i karmiące matki.

Z czym zatem wchodzimy w nowy wiek XXI? jakie czekają nas zagrożenia zdrowotne? czy są nadzieje, że z zagrożeniami zdrowotnymi się uporamy?

Z dotychczasowej zachorowalności łodzian jednoznacznie wynika, że nadal głównym zagrożeniem dla zdrowia będą choroby układu krążenia, a zwłaszcza choroba niedokrwienna serca z ostrym zawałem serca i jego powikłaniami na czele. Stanowi to około 30% wszystkich chorób układu krążenia. Narastać będą udary mózgu (obecnie leczonych jest 1386 chorych), nadal zwiększać się będzie liczba chorych z powodu zmian stwardnieniowo-miażdżycowych tętnic, tętniczek, zwłaszcza kończyn dolnych, tętnicy brzusznej. Nasilenie występowania tych chorób to występowanie u pacjentów czynników ryzyka, takich jak cukrzyca, nadciśnienie tętnicze krwi, hypercholesterolemia, bezruch, otyłość, nikotynizm i alkoholizm. Likwidowanie czynników ryzyka, a przeto zapobieganie wystąpieniu groźnych dla życia chorób, to wspólne działanie medyczne (stosowanie leków) oraz rozumny – prozdrowotny tryb życia pacjentów (nieprzekarmianie się, codzienne stosowanie ruchu, walka

z bezruchem, czynny odpoczynek, ograniczenie przyjmowania tłuszczów i węglowodanów, zaniechanie palenia tytoniu i picia alkoholu). Jawi się nadzieja, że rozpoczęty przed wieloma laty program edukacji zdrowotnej społeczeństwa, od dzieci i młodzieży, zacznie przynosić oczekiwane efekty. Edukacja społeczeństwa, sterowana przez fachowy personel medyczny i nie tylko (np. nauczyciele), podobnie jak w eksperymencie Karelskim w Finlandii, przyniesie pożądane prozdrowotne efekty. Ta sprężona, wielopłaszczyznowa działalność uświadamiająca i leczenie w krajach, w których te działania podjęto, przyniosła oczekiwane efekty pod postacią zmniejszenia ilości zawałów serca, nagłych zgonów pochodzenia sercowego. Wielu chorych z ostrą chorobą niedokrwienia serca ginie często w wyniku braku możliwości skutecznego działania (brak aparatury, przeszkolonego zespołu i właściwego transportu). Łódź jest w tym szczęśliwym położeniu, że posiada wspaniałą kadrę medyczną zatrudnioną w Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego (WSPR), dobre samochody oraz właściwe ich wyposażenie zarówno w sprzęt ratunkowy, jak i radiowo-telefoniczny. Szpitale łódzkie, miejskie, wojewódzkie czy akademickie są w pełni przygotowane do prowadzenia czynności reanimacyjnych zarówno w Izbach Przyjęć, jak i w oddziałach.

Na podkreślenie zasługuje fakt, że Łódź, będąc miastem akademickim, tak w AM, jak i WAM-ie ma możliwości dokładnej diagnostyki chorób serca oraz leczenia zarówno zachowawczego, jak i kardiochirurgicznego. Wielu chorych, po zabiegach na sercu, wraca wcześniej lub później do pracy w miarę swoich możliwości.

Wydaje się, że narastać będzie natomiast problem chorób naczyń mózgowych, których leczenie stanowi duży problem, a pozostałości po przebyłym udarze mózgu w mniejszym lub większym stopniu degradują sprawność fizyczną i psychiczną chorych. W tym przypadku nadzieje na leczenie tej groźnej choroby i jej następstw wiązać można z rozwojem na szerszą niż dotychczas skalę zabiegów rehabilitacyjnych. Choroby naczyń to także wielkie zagrożenie dla mieszkańców naszego miasta. W roku 1997 z tego powodu leczonych było 1169 chorych. Podobnie jak w poprzednich jednostkach chorobowych, bardzo ważnym elementem jest tu zdrowy styl życia, zwalczanie nałogów i innych chorób oraz wczesne rozpoznawanie choroby naczyń.

Rozwinięta sieć poradni chirurgicznych o „profilu naczyniowym”, wyszkolona kadra i możliwości techniczne łącznie ze wszczepianiem protez naczyniowych powinny zmniejszyć liczbę chorych oraz ograniczyć następstwa choroby i powikłania.

Drugi problem medyczny to nowotwory różnych narządów i układów. Liczne nowotwory wcześniej wykryte – takie np., jak rak sutka, szyjki macicy, płuc, jelita grubego, gruczołu krokowego oraz szereg innych – są w wielu przypadkach onkologicznie wyleczalne. Również i w tych przypadkach zdrowotna edukacja, wyszkolona kadra medyczna, nowoczesne techniki medyczne

(tomografia komputerowa, rezonans magnetyczny, USG, scyntygrafia, gastrofibroskopia, rekto- i kolonoskopia, badania markerów nowotworowych, ASA, badania laserowe i inne) umożliwiają ustalenie rozpoznania we właściwym czasie, a zastosowane odpowiednie leczenie daje dobre wyniki terapeutyczne. Dalszy rozwój medycyny, zwłaszcza technik diagnostycznych oraz wyprodukowanie nowych preparatów przeciwnowotworowych, może zmniejszyć ilość niepomyślnych przypadków nowotworowych poszczególnych narządów.

Kolejnym zagrożeniem zdrowia łodzian są urazy i wypadki. Niestety, za rozwojem motoryzacji nie podąża modernizacja naszych dróg, szlaków komunikacyjnych, bezkolizyjnych przejazdów oraz bezpiecznych przejść dla ludności. Nadal utrzymuje się duża liczba urazów i wypadków w pracy oraz urazów samoistnych. Wydaje się, że w najbliższych latach konieczne będzie podjęcie przez władze miasta odpowiednich prac modernizacyjnych naszych ulic, dróg, mostów, przejazdów, przejść. Może to przynieść określone efekty, po prostu zmniejszy ryzyko wypadków. Drugi czynnik to ciągła, skuteczna edukacja społeczeństwa ostrzegająca przed niepotrzebnymi wypadkami. Sądzić można, że w miarę upływu lat ludzie będą uważniejsi w korzystaniu z komunikacji pieszej, kołowej, będą ostrożniejsi przy wykonywaniu swoich prac. Szeroko rozwinięta baza chirurgii urazowo-ortopedycznej w naszym mieście, dalsze nakłady umożliwią w wielu przypadkach rekonstrukcję złamanych czy uszkodzonych części ciała, a w najgorszym przypadku ograniczą kalectwo. Późniejsza rehabilitacja i protezowanie uszkodzonych części ciała może ograniczyć do minimum następstwa przebytego urazu.

Stosowanie w coraz większym zakresie szczepień przeciw żółtacze zakaźnej powinno w następnych latach ograniczyć do minimum ilość zachorowań oraz przebieg kliniczny choroby. Zastosowanie szczepień ochronnych przeciw krztuścowi, odrze, płonicy, błonicy zmniejszyło już i w przyszłości zapobiegnie tym chorobom u dzieci i młodzieży. Coraz szersze jest zastosowanie szczepionek przeciw grypowych, efekty zaczynają być widoczne już dzisiaj, a należy przypuszczać, że będą jeszcze lepsze w następnym wieku.

Nadal utrzymuje się wysoki procent osób palących tytoń i nadużywających alkoholu. Jest to wielkie zagrożenie i wielki problem społeczny. Sądzić należy, że rozwiązywanie tego problemu będzie ciągłym procesem edukacyjno-ostrzegawczym, prowadzonym przez ochronę zdrowia, środki masowego przekazu, szkołę i rodziców. Niemożliwe jest uzyskanie natychmiastowych efektów edukacyjnych w tym zakresie, gdyż wiąże się to ze zmianą nawyków obyczajowych, żywieniowych i innych.

Szczęśliwie dla Łodzi, jak na razie, nie istnieje tu problem AIDS – a stwierdzenie w roku 1997 – dwóch nowych przypadków nie stanowi dużego problemu epidemiologicznego i medycznego. Większym problemem na dzisiaj jak i na jutro jest zagadnienie używek, a zwłaszcza takich preparatów, jak morfina, heroina, kokaina, amfetamina czy inne. Leczenie uzależnień jest bardzo

trudne i często bezskuteczne. Dlatego też jedyną nadzieją jest szeroka edukacja społeczeństwa ostrzegająca przed zgubnymi skutkami przyjmowania narkotyków oraz zastosowanie takich ograniczeń formalnych w szkołach, uczelniach, miejscach pracy, klubach czy masowych imprezach – które będą utrudniać przekazywanie poszczególnym osobom określonych używek. Wspólne wysiłki władz miasta, społeczeństwa i ochrony zdrowia mogą przynieść zamierzony efekt.

Jak już powiedziano, ogromny problem Łodzi to ujemny przyrost naturalny. Jest to poważne zagrożenie dla stanu biologicznego naszego miasta. Wydaje się, że poprawa życia przeciętnej łódzkiej rodziny, poprawa warunków mieszkaniowych, intensyfikacja opieki medycznej nad kobietą ciężarną i niemowlętami może rokować poprawę w tym zakresie.

Wiele jest problemów, które są zagrożeniem dla zdrowia mieszkańców Łodzi, a wśród nich wymienić należy także problem uzębienia, który rozpoczyna się od próchnicy zębów, a kończy się często całkowitym i to przedwczesnym bezzębiem. To również zagrożenie, ale nadzieja jest w tym, że w wyniku upowszechniania podstawowych wiadomości o zdrowiu człowieka i higienie osobistej nasi mieszkańcy wcześniej będą rozpoczynać leczenie rozwijającej się choroby.

Na zakończenie warto przytoczyć definicję WHO która uznaje, że za stan zdrowia człowieka w 20% odpowiada ochrona zdrowia, natomiast w 80% on sam. Dlatego też należy mieć nadzieję, że zrozumienie tej zasady w pełniejszym niż dotychczas zakresie –zarówno przez władze miasta jak i społeczeństwo, przyczyni się poprzez wspólne działania do poprawy zdrowia łódzian w nadchodzącym wieku.

### Bibliografia

1. *Informator statystyczny służby zdrowia województwa łódzkiego 1997*, Łódź 1998, Wojewódzkie Centrum Analiz i Promocji Zdrowia.
2. *Informator statystyczny służby zdrowia województwa łódzkiego 1998*, Łódź 1999, Wojewódzkie Centrum Analiz i Promocji Zdrowia.
3. *Łódź – zdrowe miasto 1997*.
4. *Stan zdrowia ludności Polski w przekroju regionalnym w roku 1996*, Warszawa, GUS, 1999.

Jan Nosko

## **Instytut Medycyny Pracy im. prof. dra med. Jerzego Nofera w Łodzi**

Przełomowe znaczenie dla powstania medycyny pracy miały badania i obserwacje Bernardina Ramazziniego, lekarza i uczonego, profesora medycyny w Modenie i Padwie. Dziełem jego życia była wydana w 1700 r. rozprawa pt. *De morbis artificum diatriba*, czyli rozważania o chorobach zawodowych osób zatrudnionych w wytwórczości i sztuce. W dziele tym, w krótkim czasie przetłumaczonym na wiele języków, Ramazzini omówił zagrożenia dla zdrowia oraz choroby występujące w 52 zawodach. Co interesujące – nie dokonywał on rozróżnienia na pracę umysłową i fizyczną, gdyż każda z nich, według niego, w przypadku nieprzestrzegania zaleceń higienicznych może wywołać negatywne skutki dla zdrowia. Wysunął też tezę aktualną do dziś, że zdrowie każdego wytwórcy jest ściśle uzależnione od charakteru i uciążliwości pracy, warunków bytowych i od związanego z nimi odżywiania.

Dalszy rozwój medycyny w XVIII, a zwłaszcza w XIX w. pogłębił wiedzę w zakresie przyczyn chorób zawodowych i wzmógł zainteresowanie tymi zagadnieniami opinii publicznej. Wiązało się to głównie z dynamicznym rozwojem przemysłu, najpierw w Anglii, a potem na kontynencie europejskim oraz w USA. Zwielokrotniony przyrost dóbr materialnych i wprowadzenie nowoczesnych technik wytwarzania, niosły ze sobą degradację – szczególnie w I połowie XIX w. – zdrowia i życia ogromnych rzesz robotników najemnych. Stąd powstanie i rozwój potężnych ruchów społecznych wykorzystujących dorobek nauk medycznych, m.in. dotyczący tzw. teorii zdrowia lekarzy społeczników o ośmiogodzinnym dniu pracy (8 godzin pracy, 8 godzin wypoczynku, 8 godzin snu), powstałej jeszcze w połowie XIX w. zrealizowanej dopiero po I wojnie światowej zgodnie z postanowieniami Traktatu Wersalskiego z 1919 r. (w Polsce już w listopadzie 1918 r.)

W okresie międzywojennym również w Polsce rozwinął się ruch na rzecz medycznej ochrony zdrowia w miejscu pracy. W roku 1922 odbył się I Zjazd Higieny Przemysłowej (odbywały się one każdego następnego roku); w 1929 powołano Inspekcję Lekarską, a w 1930 Polski Komitet Medycyny Pracy; w roku 1931 utworzono Instytut Spraw Społecznych, wielce zasłużoną placówkę także na polu profilaktyki zawodowej; w 1938 powołano w Polsce pierwszy

Ośrodek Badawczo-Lecznicy Chorób Zawodowych w Pierwszej Klinice Chorób Wewnętrznych Uniwersytetu Warszawskiego; w 1939 otworzono Instytut Medycyny Morskiej i Tropikalnej w Gdyni (w ramach filii Państwowego Zakładu Higieny w Warszawie).

W okresie po II wojnie światowej ranga ochrony zdrowia w miejscu pracy wzrosła niepomniernie. W 1950 r. wspólny komitet Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) i Międzynarodowej Organizacji Pracy (ILO) opracował pierwszą międzynarodową definicję medycyny pracy: „Celem medycyny pracy powinny być: promocja i utrzymanie najwyższego poziomu fizycznego, psychicznego i społecznego samopoczucia pracowników wszystkich zawodów; zapobieganie ubytkom w stanie zdrowia spowodowanym warunkami pracy; ochrona zdrowia pracowników przed ryzykiem spowodowanym czynnikami szkodliwymi dla zdrowia, przyjmowanie i utrzymywanie pracowników na stanowiskach pracy przystosowanych do ich cech fizjologicznych i psychologicznych, a w ogólności przystosowanie każdego stanowiska pracy do możliwości człowieka” (Joint ILO/WHO Committee Industrial Hygiene. Report of the First Meeting, 28 August - 2 September 1950, Geneva, International Labour Office, 1950).

Współcześnie, tj. w okresie ostatnich lat, znaczenie działań na rzecz zachowania i umacniania zdrowia w miejscu pracy najlepiej ukazują dane Światowej Organizacji Zdrowia zawarte w programie pt. „Wdrożenie globalnej strategii zdrowia i bezpieczeństwa w miejscu pracy dla wszystkich na lata 1990-2001” (Implementation of the WHO Global Strategy for Occupational Health For All, 1996-2001), przyjętym w styczniu 1996 r. Wynika z nich, że 58% ludności świata spędza jedną trzecią swojego dorosłego życia w pracy, co ma kluczowe znaczenie dla rozwoju społeczno-ekonomicznego. Pomimo poważnych pozytywnych zmian miejsce pracy w dalszym ciągu zlokalizowane jest często w niebezpiecznym dla zdrowia środowisku, a nowoczesne nawet technologie tworzą nierzadko nowe zagrożenia. Rocznie odnotowuje się 120 milionów wypadków w miejscu pracy, w tym 200 tysięcy śmiertelnych, milion wypadków powoduje trwałe kalectwo, a około 157 milionów osób cierpi z powodu chorób zawodowych. Niezależnie od cierpień, sytuacja ta jest jednocześnie poważnym obciążeniem ekonomicznym, społecznym, a także – w wymiarze moralnym.

Tak w najogólniejszym zarysie można przedstawić niektóre elementy historycznego tła, w którego obraz w określonym czasie wpisał się na trwałe Instytut Medycyny Pracy w Łodzi.

### **Pierwsze lata działalności Instytutu**

Przejawianie się zainteresowań ochroną zdrowia w miejscu pracy – badania nad wpływem czynników szkodzących zdrowiu, prowadzenie działań zapobiegawczo-leczniczych w przemyśle łódzkim sięgają okresu tuż po wojnie.

W roku 1945 w nowo utworzonym Uniwersytecie Łódzkim, na Wydziale Lekarskim, powołano Katedrę i Zakład Higieny Ogólnej i Społecznej. Kierował nimi prof. dr med. Marcin Kacprzak. Natomiast bezpośrednią działalność w przemyśle prowadził Oddział Łódzki Państwowego Zakładu Higieny w Warszawie, którym kierował dr med. Emil Paluch. Obie te placówki, wespół z innymi, prowadziły aktywną działalność, której celem było zmniejszenie powodowanego przez różne czynniki, ryzyka zawodowego. Był to bowiem czas, w którym lekarze przemysłowi i medyczne placówki naukowe stykały się z miejscowymi zjawiskami zatruc ostrych i przewlekłych, w tym zatruc ołowiem, rtęcią, nitro- i aminozwiązkami aromatycznymi, a nawet zwykłą benzyną ekstrakcyjną. M. Kacprzak i E. Paluch zapoczątkowali jeszcze w roku 1945 szkolenie lekarzy fabrycznych, co w następnych latach aż do czasów współczesnych stało się tradycją, podobnie jak okresowe ogólnopolskie konferencje poświęcone chorobom zawodowym.

Powołanie w roku 1950 Akademii Medycznej było ważnym wydarzeniem nie tylko w historii łódzkiego środowiska medycznego, ale także dla dalszego rozwoju koncepcji i działań w zakresie opieki leczniczo-profilaktycznej w przemyśle. Bezpośrednio po powołaniu uczelni na bazie Polikliniki Państwowego Szpitala Klinicznego nr 1 im. N. Barlickiego w Łodzi zorganizowano Poradnię Chorób Zawodowych zlokalizowaną przy ul. Narutowicza 96. Wespół z Polikliniką Chorób Zawodowych tworzyły one Dział Chorób Zawodowych.

W okresie poprzedzającym powołanie resortowego Instytutu Medycyny Pracy zaistniały jeszcze trzy ważne dla historii tej placówki wydarzenia. Pierwsze z nich, to opublikowany w roku 1951 na łamach „Zdrowia Publicznego” artykuł E. Palucha *Dotychczasowy stan i potrzeby w zakresie rozwoju higieny w Polsce*. Autor przedstawił w nim główne idee zadań medycyny pracy w Polsce. Koncepcja ta była wstępem do decyzji ówczesnego ministra zdrowia Jerzego Sztachelskiego z dnia 1 I 1952 r. o powołaniu w Akademii Medycznej uczelnianego Instytutu Medycyny Pracy. W jego skład weszły: Poliklinika Chorób Zawodowych i Dział Higieny Pracy PZH. Zadania badawcze, szkoleniowe i profilaktyczno-lecznicze były realizowane na bazie katedr i zakładów: Higieny Ogólnej i Społecznej, Fizjologii i Anatomii Patologicznej, katedr i klinik: I, II Chirurgii, Dermatologii, Okulistyki, Otolaryngologii, Chorób Nerwowych, Działu Higieny, Organizacyjno-Statystycznego oraz Polikliniki Chorób Zawodowych.

Instytut mieścił się w gmachu Oddziału Łódzkiego PZH przy ul. Wodnej 40 oraz w obiektach AM przy ul. Narutowicza 96. Dyrektorem Instytutu został prof. dr med. E. Paluch. Kadrę naukową stanowili m.in. lekarze, późniejsi profesorowie: Magdalena Sokołowska, Jerzy Nofer, Julian Liniecki, Jerzy K. Piotrowski, Zofia Byczkowska, Tadeusz Dutkiewicz, Zbigniew Kowalski, Konrad Szymczykiewicz, Henryk Rafalski, a także dr med. Karol Ryder (absolwent Harvardu), dr Maria Chwatowa i inni.

W pierwszym roku istnienia Instytut zatrudniał 88 osób.

Kolejnym faktem wskazującym na merytoryczne zbliżanie się do samodzielnych działań był udział zespołu prof. E. Palucha w systemowym przekształcaniu ochrony zdrowia w przemyśle. Rada Ministrów uchwałą z 22 XII 1949 r. zlikwidowała wielotorowość w lecznictwie pracowniczym. Dało to impuls do dalszych przekształceń i niemałej roli w tym procesie uczelnianego Instytutu Medycyny Pracy, który na zlecenie ministra zdrowia zorganizował pierwszy w kraju przyzakładowy Zespół Leczniczo-Sanitarny. Dzieła tego dokonała grupa naukowców, którą kierowała dr med. M. Sokołowska (później docent i profesor PAN, twórczyni polskiej socjologii medycyny). Był to pierwowzór organizacyjny przyszłych poradni przemysłowych, który wówczas pod nazwą Zakładu Leczniczo-Zapobiegawczego (różnych typów) został zaaprobowany przez resort i stał się podstawową częścią struktury organizacyjnej przemysłowej służby zdrowia, powołanej w roku 1953 rozporządzeniem ministra zdrowia z dnia 7 lutego tegoż roku.

Tak więc pod koniec 1953 r. zostały stworzone podwaliny programowo-organizacyjne przyszłego resortowego Instytutu Medycyny Pracy. Jego formalne powołanie nastąpiło 31 I 1954 r. Profesor E. Paluch tylko przez kilka miesięcy kierował nowym Instytutem, gdyż zmarł nagle w kwietniu 1954 r. Trudno ocenić, w jakim kierunku oscylowałaby nowa placówka wobec znanych dążeń Profesora do uczynienia jej instytutem PAN.

### **Przemiany statutowo-organizacyjne w latach 1954–1999**

W okresie 40 lat nadano Instytutowi pięć statutów (1954, 1966, 1978, 1986, 1991); dokonywano także uzupełnień wprowadzanych głównie przez ministra zdrowia. Zazwyczaj dotyczyły one dodatkowych zadań naukowo-badawczych, usługowych, szkoleniowych lub w zakresie nadzoru specjalistycznego. Podjęto również decyzję o charakterze wyjątkowym. Oto Zarządzeniem nr 34 prezesa Rady Ministrów z dnia 31 października 1983 r. nadano Instytutowi Medycyny Pracy imię zmarłego w 1981 r. prof. dra med. Jerzego Nofera (MP, 1983, nr 38, poz. 221).

Dokumentem doniosłym, o konstytucyjnym znaczeniu, jest Uchwała Rządu nr 54 z 30 I 1954 r. w sprawie powołania Instytutu Medycyny Pracy w Przemśle Włókienniczym i Chemicznym. W § 2 czytamy: „Instytut planuje i prowadzi prace naukowo-badawcze w zakresie higieny pracy, profilaktyki i leczenia chorób zawodowych, występujących w związku z pracą w przemyśle włókienniczym oraz w przemysłach pokrewnych”. Zadania Instytutu zostały ujęte w 12 punktach szczegółowych, a dotyczą m.in.: prowadzenia prac w zakresie fizjologii, patologii, toksykologii i higieny pracy oraz zwalczania chorób zawodowych, a także badań zagadnień biologicznych, klinicznych i społecznych związanych z pracą. Statut z roku 1954 wymienia pięć jednostek organizacyj-



nych Instytutu. Były to: Dział Organizacyjno-Metodyczny kierowany przez dr M. Sokołowską (do 1958 r.), a potem lek. Piotra Krasuckiego (do 1960 r.), późniejszego działacza z zakresu problemów ochrony zdrowia i znanego publicystę; Zakład Higieny Pracy, którym do kwietnia 1954 r. kierował prof. E. Paluch, a po jego śmierci, od stycznia 1955 r., docent, następnie profesor dr med. Jerzy Nofer – zarazem nowo mianowany Dyrektor Instytutu; Dział Chorób Zawodowych, kierowany przez prof. dra hab. med. Wacława Markerta (do 1959 r.), następnie przez doc. dra hab. med. Józefa Chojnowskiego (1959–1962) i doc. dra hab. Edwarda Kiecia (1963–1968); Dział Administracyjno-Gospodarczy – kierownik Henryk Piotrowicz; Starszy Planista ds. Nauki – dr med. Karol Ryder (od maja do grudnia 1954 r. pełnił on także funkcję zastępcy dyrektora IMP). W statucie wymienia się także Radę Naukową powoływaną i odwoływaną przez ministra zdrowia z przewodniczącym, którym z urzędu miał być dyrektor Instytutu.

Pomimo scentralizowanego charakteru funkcjonowania, ścisłej podległości Ministerstwu Zdrowia oraz bardzo trudnych warunków lokalowych i aparaturowych, można mówić o dynamicznym rozwoju Instytutu. W strukturze organizacyjnej pojawiają się nowe jednostki, a m.in.: Sekcja Informacji i Dokumentacji Naukowej; Pracownia Fizjologii Pracy, kierowana przez lek. med. Józefa Sysę (do 1964 r.), następnie przez dr hab. med. Jadwigę Wojtczak-Jaroszową (do 1974 r.); Zakład Izotopowej Ochrony Zdrowia przy Pracy ze Źródłami Promieniowania Jonizującego, przemianowany w roku 1966 na Zakład Ochrony Radiologicznej, którego organizatorem i wieloletnim kierownikiem (1957–1971) był dr med. Julian Liniecki (następnie docent – 1967 i profesor – 1975 r. w Akademii Medycznej w Łodzi, przewodniczący i wiceprzewodniczący Rady Naukowej IMP w latach 1981–1999); Zakład Toksykologii Przemysłowej z pracownikami: Chemiczną, Metabolizmu Ciał Trujących, Toksykologiczną i Biochemiczną – organizowali go: dr med. Tadeusz Dutkiewicz – pierwszy kierownik (później docent i profesor w IMP) i lek. Zbigniew Kowalski (od 1960 r. doktor, później profesor w IMP). Pracownię Metabolizmu Ciał Trujących (toksycznych) zorganizował i kierował nią mgr nauk przyrodniczych Jerzy Piotrowski (od r. 1960 doktor, następnie docent w IMP, a od 1976 profesor w AM oraz wieloletni wiceprzewodniczący Rady Naukowej IMP); Pracownię Chemiczną zorganizowała i od roku 1973 kierowała nią dr farm. Irena Kęsy-Dąbrowska (aktualnie pracownik naukowy AM w Łodzi). Referatem Kadr od pierwszego roku jego istnienia do roku 1981 kierowała Mirosława Minecka.

Statut nadany w roku 1966, oprócz dotychczasowych sformułowań, wprowadza obowiązki usługowo-badawcze. W zakresie zadań naukowych zaleca prowadzenie badań w dziedzinie psychologii i socjologii pracy. Zwraca także uwagę nowe zadanie – opracowywanie kompleksowych projektów planów działania profesjonalnych służb w dziedzinie ochrony zdrowia w miejscu

pracy oraz wykonywanie nadzoru specjalistycznego nad placówkami zajmującymi się ochroną zdrowia w przemyśle. Nowym zadaniom towarzyszył rozwój struktur organizacyjnych. I tak powstają: Zakład Organizacji Ochrony Zdrowia w Przemysle – kierowany od 1961 do 1981 r. przez lek. med. Longina Szymborskiego (zm. w 1990 r.), następnie dra med. Tadeusza Gdulewicza (zm. w 1989 r.), obecnie przez dra med. Lecha Dawydzika, pierwszego zastępcę dyrektora IMP; Zakład Aerozoli – kierownik dr med. (następnie docent i profesor) Konrad Szymczykiewicz (do 1969 r.), potem doc. dr hab. Janusz Gościcki (zm. w 1982 r.), obecnie: prof. dr hab. Edward Więcek; Zakład Szkodliwości Fizycznych (głównie mikrofal, hałasu i wibracji), kierowany przez doc. dra hab. Leopolda Mineckiego (zmarłego w 1967 r. w wieku 41 lat), a od 1968 przez docenta i profesora dra hab. med. Henryka Mikołajczyka, obecnie – przez prof. dr hab. med. Mariolę Śliwińską-Kowalską; Zakład Biochemii, którym do 1972 r. kierował prof. dr hab. Jerzy Piotrowski, następnie dr Stanisław Tarkowski (1973–1977), w latach 1981–1995 S. Tarkowski – doktor, następnie docent i profesor – pracował w Światowej Organizacji zdrowia, w tym 8 lat na stanowisku dyrektora Departamentu Zdrowia i Środowiska w Kopenhadze, obecnie Zakładem kieruje profesor Teresa Wrońska-Nofer; Zakład Patomorfologii – kierownik, docent, następnie profesor dr hab. med. Stefan Szendzikowski, a po jego śmierci (w 1981 r.) dr med., obecnie profesor dr hab. Jan Stetkiewicz; Zakład Fizjologii i Psychologii Pracy, kierowany przez dr Jadwigę Wojtczak-Jaroszową (do 1975 r.), przejął prof. dr hab. Ryszard Fidelski, a obecnie Zakład prowadzony jest przez prof. dr hab. Teresę Makowiec-Dąbrowską.

Zespół Kliniczny, kierowany do 1968 r. przez doc. dra hab. med. Edwarda Kiecia, w późniejszym okresie vacat i od r. 1970 r. przez doc. dra hab. med. Zdzisława Myśłaka, składał się: z Oddziału Chorób Zawodowych, którym do marca 1969 r. kierowała dr med. Zofia Byczkowska, następnie dr Zdzisław Myślak, a od 1974 r. dr med. Maria Głuszczyk; Oddziału Ostrego Zatrucia – kierownik: lek. med. Mirosław Stasiak (do r. 1968), a od r. 1969 lekarz, a następnie dr med. Ewa Musiałowicz-Kralkowska (w latach 90. lekarz wojewódzki w Łodzi, obecnie znana działaczka Naczelnej Rady Lekarskiej); Przychodni Chorób Zawodowych – kierownik: lekarz, a następnie doktor med. Janusz Iżycki; Zakładu Diagnostyki Laboratoryjnej, kierowanego przez docenta, następnie profesora dra med. Janusza Hankego, a po nim przez prof. dra med. Waldemara Lutza.

Rozrastał się także pion administracyjno-ekonomiczny, którym kieruje Jan Maculewicz w randze zastępcy dyrektora Instytutu (było to m.in. spowodowane prowadzeniem inwestycji ważnych dla poprawy warunków pracy IMP).

Kolejny statut, z roku 1978, wprowadzał zapis podkreślający zadania w zakresie ratownictwa oraz leczenia ostrego zatrucia, opracowywania metodyki oceny toksyczności substancji i technologii chemicznych, które mogą być wprowadzone do produkcji przemysłowej, a także powoływał Dział Hodowli

i Zwierząt Laboratoryjnych, Dział Informatyki Medycznej, Dział Kształcenia Podyplomowego, Dział Planowania i Rozwoju Badań Naukowych.

W roku 1977 przechodzi na emeryturę długoletni dyrektor Instytutu, prof. J. Nofer. Jego następcą zostaje prof. dr hab. med. Janusz Indulski, prorektor Akademii Medycznej w Łodzi i dyrektor Instytutu Medycyny Społecznej tej uczelni. Jego działalność poprzedza, a następnie zbiega się z procesem radykalnych przemian związanych z powstaniem ruchu „Solidarność” stymulującego w swoich konsekwencjach przemiany wewnątrz dotychczasowego systemu ustrojowego i opieki zdrowotnej w Polsce, a także w dziedzinie sterowania i funkcjonowania nauki. Odzwierciedleniem tego była ustawa z 25 VII 1985 r. o jednostkach badawczo-rozwojowych oraz nowy statut Instytutu nadany przez resort w roku 1986, w którym znacząco zwiększono samodzielność IMP oraz samorządny charakter działań. Instytut uzyskał osobowość prawną, co oznacza również możliwość prowadzenia samodzielnej gospodarki finansowej według zasady samofinansowania się oraz prawo do podejmowania działalności gospodarczej bądź usługowej na potrzeby kraju i eksportu w zakresie objętym przedmiotem jego działania.

W roku 1986 Instytut zatrudniał ogółem 717 pracowników. W latach następnych liczba ich spadła do 537 (w roku 1990).

Nowa jakościowo sytuacja wytworzyła się w wyniku zmian systemowych w Polsce po roku 1989. W sferze nauki podstawowe znaczenie ma ustawa z dnia 12 I 1991 r. o utworzeniu Komitetu Badań Naukowych oraz ustawa z dnia 22 lutego tegoż roku o zmianie ustawy o jednostkach badawczo-rozwojowych, co spowodowało kolejną zmianę statutu IMP. Nastąpiła także zmiana w systemie finansowania nauki, m.in. poprzez podział środków w formie tzw. grantów, po uprzednim konkursie projektów programów badawczych; przyjęto także kryteria kwalifikacyjne placówek naukowo-badawczych. W świetle tych kryteriów IMP został zakwalifikowany początkowo do grupy B, a od roku 1993 do grupy A, tj. do zespołu najwyższej ocenianych placówek naukowych.

Z kolei ustawa o zmianie ustawy o jednostkach badawczo-rozwojowych podniosła rangę Rady Naukowej. Jest ona organem stanowiącym, inicjującym, opiniodawczym i doradczym w zakresie działalności statutowej, rozwoju kadry naukowej, badawczo-rozwojowej oraz we wszystkich sprawach dotyczących działalności Instytutu. Wyłanianie kandydatów na funkcję dyrektora następować miało odtąd na drodze konkursu zarządzanego przez organ sprawujący nadzór, w tym wypadku przez Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej. Rok 1991 był dla Instytutu ważny nie tylko z wymienionych względów, ale przede wszystkim w związku z decyzją resortu z dnia 8 III 1991 r. o połączeniu z Instytutem w Sosnowcu i długotrwałym – pełnym kontrowersji – przebiegiem konkursu na dyrektora Instytutu. W rezultacie w listopadzie 1991 r. prof. dr hab. med. Janusz Indulski został powołany na dyrektora Instytutu na kadencję

1991–1996. W dniu 9 I 1992 r. minister Marian Miśkiewicz uchylił decyzję swego poprzednika w sprawie połączenia IMP w Łodzi z IMP w Sosnowcu.

Zgodnie z ustawą dokonano wyboru nowej, 40-osobowej Rady Naukowej (przełom maja i czerwca 1991 r.). Jej przewodniczącym został prof. dr hab. med. Jan Steffen z Centrum Onkologii w Warszawie.

W latach 1990–1999 nastąpiły poważne zmiany w strukturze organizacyjnej Instytutu, w której ograniczono, m.in. ze względu na poważne trudności ekonomiczne, o ok. 40% liczbę komórek organizacyjnych i o 60% liczbę stanowisk kierowniczych. Jednocześnie utworzono szereg nowych jednostek oraz dokonano zmian strukturalnych w jednostkach już istniejących. Pośród ważniejszych decyzji podjętych w latach 1991–1994 wymienić trzeba powołanie:

- Studium Doktoranckiego,
  - Studium Podyplomowego – Szkoła Zdrowia Publicznego – dyrektor – prof. dr hab. med. J. Indulski,
  - Studium Podyplomowego – Higieny Pracy i Ochrony Środowiska.
- W ostatniej, bieżącej dekadzie kierownictwo Instytutem sprawowali:
- dyrektor – prof. dr hab. med. Janusz Indulski (zmarł 4 VIII 1999 r.)
  - pierwszy zastępca dyrektora – dr med. Lech Dawydzik
  - zastępca dyrektora ds. działalności podstawowej – prof. dr hab. med. Bogusław Barański (przeszedł do pracy w WHO), od 1 I 1995 r. prof. dr hab. Konrad Rydyński
  - zastępca dyrektora ds. ekonomiczno-administracyjnych, główny księgowy – mgr Jerzy Mikulski
  - zastępca dyrektora ds. lecznictwa, dyrektor Szpitala Klinicznego – dr med. Janusz Iżycki (od 1 maja 1999 r. na emeryturze)
  - sekretarz naukowy – prof. dr hab. med. Marek Jakubowski

### **Rozwój bazy materialnej**

W pierwszych latach istnienia Instytutu możliwości poprawy sytuacji lokalowej poszukiwano w zasobach miejskiej służby zdrowia. Tam też w szpitalu im. K. Jonschera przy ul. Przędzalnianej 75 został zorganizowany (w 1957 r.) dział kliniczny, 30-lóżkowa Klinika Chorób Zawodowych, a także leczenia ostrych zatruc oraz gromadzenia informacji toksykologicznej.

Poważniejsze znamiona poprawy zaistniały jednak dopiero w roku 1961, kiedy to decyzją ówczesnego przewodniczącego Prezydium Rady Narodowej mgra Edwarda Kazimierzaka i Kierownika Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej dra med. Janusza Indulskiego przekazano Instytutowi jeden z pawilónów szpitala miejskiego im. W. Biegańskiego przy ul. Teresy 8 (obecnie Św. Teresy od Dzieciątka Jezus).

Po adaptacji budynku pod koniec 1964 r. znalazły w nim pomieszczenia prawie wszystkie jednostki organizacyjne Instytutu. Od roku 1970 trwała

dalsza rozbudowa Instytutu. Prace budowlane trwały siedem lat. Zakończono je w roku 1976. Ogólna powierzchnia Instytutu zwiększyła się trzykrotnie. Instytut otrzymał zupełnie nowe pomieszczenia: audytorium, sale seminaryjne, pokoje hotelowe na 100 osób, kuchnię z zapleczem, jadalnię, bibliotekę. Pozwoliło to na podjęcie w latach 1972–1977 realizacji umowy zawartej pomiędzy rządem PRL a kierownictwem Programów Rozwoju ONZ UNDP, dotyczącej oceny toksyczności nowych technologii i substancji chemicznych stosowanych w przemyśle. Program ten realizowany w ramach współpracy z WHO przyczynił się nie tylko do zapewnienia środków na rozwój bazy materialnej, lecz także – co było szczególnie ważne – do przeszkolenia kadry naukowej i sanepidowskiej w wyspecjalizowanych ośrodkach zagranicznych, przede wszystkim w USA oraz w Anglii, Szwecji, Danii, Finlandii, Francji, Holandii i ZSRR. To od tamtych czasów datuje się wymiana myśli naukowej pomiędzy IMP a najważniejszymi ośrodkami naukowymi medycyny pracy na świecie.

Tak więc pod koniec lat siedemdziesiątych IMP staje się największą (poza Instytutem Medycyny Pracy w Moskwie) tego typu placówką w Europie i to nie tylko ze względu na liczbę zatrudnionych. Dalszych możliwości rozwojowych poszukiwano w optymalnym wykorzystaniu istniejącego i stale rozwijanego (zwłaszcza pod względem naukowym) potencjału naukowo-badawczego, w zmianach struktury prac naukowych, badawczo-rozwojowych i aplikacjach, w wykorzystywaniu możliwości, jakie wystąpiły w drugiej połowie lat osiemdziesiątych, a zwłaszcza na początku lat dziewięćdziesiątych w zakresie rozwoju współpracy naukowej z placówkami badawczymi EWG, a także USA, Finlandii, Szwecji, Anglii, Holandii i Niemiec. Dzięki tej strategii Instytut został dobrze przygotowany do nowych wyzwań, związanych z radykalnymi zmianami systemowymi lat 1989–1992. IMP dysponuje m. in. aparaturą naukowo-badawczą o najwyższych światowych standardach; wszystkie zakłady naukowe są skomputeryzowane.

### **Działalność naukowo-badawcza i rozwój kadr naukowych**

Tradycje badań naukowych w dziedzinie wpływu czynników środowiska pracy na zdrowie sięgają pierwszych lat powojennych. Od 1945 r. E. Paluch i jego współpracownicy zajęli się problemem szkodliwego działania dwusiarczku węgla na zdrowie biorąc za przykład Łódź i okręg łódzki. Wyniki tych badań prezentowane były na Międzynarodowym Kongresie Medycyny Pracy w Londynie (1946). W początkowym okresie, do połowy lat pięćdziesiątych, w strukturze badań naukowych przeważały prace dotyczące, najogólniej ujmując, toksykologii przemysłowej, patologii pracy oraz teorii i praktyki organizacji ochrony zdrowia w przemyśle. W drugiej połowie lat pięćdziesiątych podjęto unikalne wówczas w Polsce badanie nad zagadnieniem aerozoli przemysłowych i ich wpływu na organizm ludzki, a od roku 1958 – nad szkodliwym

oddziaływaniem mikrofal, hałasu i wibracji oraz w zakresie radiologii. W wyniku tych badań wprowadzono w skali kraju systematyczne pomiary dawek otrzymanych przez osoby zawodowo narażone na działanie promieniowania rtg, zarówno pracowników służby zdrowia, jak i przemysłu (m.in. górników). Od 1964 zapoczątkowano badania nad wpływem pracy nocnej i zmianowej na zdrowie kobiet.

Dorobek naukowo-badawczy okazał się na tyle poważny na tle sytuacji w kraju, że IMP był jedyną instytucją, która mogła już w roku 1960 udzielać kompetentnej konsultacji w dziedzinie toksykologii przemysłowej, ochrony radiologicznej, absencji chorobowej, organizacji ochrony zdrowia w przemyśle oraz nadzoru specjalistycznego nad działaniami higieny pracy wojewódzkich stacji sanitarno-epidemiologicznych.

W latach siedemdziesiątych pozycja naukowa IMP wzrosła jeszcze bardziej, i to w skali międzynarodowej, w związku z powierzeniem mu realizacji wspomnianej już umowy (UNDP) na lata 1972–1977 dotyczącej toksyczności nowych technologii i substancji chemicznych stosowanych w przemyśle. Pomyślny przebieg i pozytywna ocena prac w tej dziedzinie spowodowały, iż od 1975 r. IMP jest stałym ośrodkiem referencyjnym WHO w tej dziedzinie.

Również w roku 1977, zgodnie z postanowieniem Stałej Komisji byłej RWPG, Instytut Medycyny Pracy w Łodzi został koordynatorem problemu: „Higiena pracy w poszczególnych gałęziach gospodarki narodowej ze szczególnym uwzględnieniem higieny pracy kobiet i młodocianych. Międzynarodową współpracę naukową poszerzono, organizując Tygodnie Medycyny Polskiej. Tak np. w dniach 11–17 września 1978 r. IMP organizował wspólnie z Ośrodkiem Medycyny i Bezpieczeństwa Pracy w Ottawie pierwszy wspólny Polsko-Kanadyjski Tydzień Medycyny Pracy, a od 4 do 6 października 1979 r. we współpracy z WHO pierwszy międzynarodowy kurs „Principles in Industrial Technology”.

W rezultacie pod koniec lat siedemdziesiątych IMP stał się znanym w świecie ośrodkiem medycyny pracy, a jego przedstawiciele uczestniczą w licznych międzynarodowych komitetach naukowych.

Rozwijające się od połowy lat sześćdziesiątych (niektóre jeszcze wcześniej) badania wpłynęły korzystnie na rozwój kadry naukowej. Od tego okresu datują się pierwsze habilitacje. Liczba samodzielnych pracowników wzrosła z trzech w roku 1966 do ośmiu w roku 1977 (5 profesorów i 3 docentów).

W tym okresie stopnie doktorskie uzyskało 23 pracowników Instytutu. Opublikowano setki prac w czasopiśmiennictwie polskim i zagranicznym. Od roku 1976 Rada Naukowa IMP uzyskała uprawnienia do nadawania stopni doktorskich.

W omawianych latach poważne osiągnięcia należy także odnotować w działalności klinicznej. I tak na przykład w 1967 r. na wniosek prof. dra med. J. Nofera Minister Zdrowia i Opieki Społecznej powołał w łódzkim Instytucie

Centralny Ośrodek Ostrego Zatrucia i Dokumentacji Toksykologicznej, któremu pod względem merytorycznym podlegała sieć wojewódzkich ośrodków toksykologicznych. Był to szczególnie wyraz uznania dla osiągnięć pracowników Zespołu Klinicznego IMP w Łodzi, pierwszego w Polsce ośrodka ratownictwa i leczenia ostrego zatrucia. Oddział Chorób Zawodowych stał się jednym z głównych ośrodków diagnostycznych i orzeczniczych w zakresie patologii zawodowej a zarazem ośrodkiem referencyjnym MZiOS. Ponadto pracownicy Oddziału poczęli sprawować nadzór merytoryczny nad wszystkimi wojewódzkimi ośrodkami toksykologicznymi w Polsce. O rozmiarach pracy mogą też świadczyć liczby. Na przykład w latach siedemdziesiątych dwa wspomniane oddziały kliniczne leczyły przeciętnie ok. 4 tys. pacjentów rocznie, w tym ok. 2 tys. pacjentów hospitalizowały. W Przychodni Chorób Zawodowych liczba przyjęć wynosiła 8-10 tys. rocznie. Rozpoczęła też tutaj działalność Poradnia dla Młodocianych. Była to jedyna placówka tego typu w instytutach medycyny pracy w Polsce.

W latach 1961–1985 zakończono okres realizacji programu resortowego MZ–IX „Medycyna pracy”.

Znaczące rezultaty naukowo-badawcze i badawczo-wdrożeniowe osiągnięto w związku z realizacją Resortowego Programu Badawczo-Rozwojowego „Optymalizacja opieki zdrowotnej i społecznej”. Instytut Medycyny Pracy jako koordynator skupił poważną część potencjału naukowego medycyny społecznej kraju, a także pozyskał przedstawicieli innych dyscyplin naukowych (np. ekonomii, historii, medycyny, organizacji i zarządzania) do realizacji założonych celów programowych. Pozwoliło to na szczegółowe rozpoznanie różnorodnych uwarunkowań i stanu efektywności systemu ochrony zdrowia w Polsce na tle systemów funkcjonujących w krajach wysoko rozwiniętych oraz na opublikowanie szeregu cennych wydawnictw (m.in. *Opieka zdrowotna w Łodzi do 1945 r. Studium organizacyjno-historyczne*, J. Fijałka i J. Indulskiego, Łódź 1990 oraz *Zachowania zdrowotne. Zagadnienia ogólne, próba charakterystyki zachowań społeczeństwa polskiego* pod red. A. Gniazdowskiego, Łódź 1990).

Po roku 1989, w nowych warunkach ustrojowych i nowych ustawowych uregulowaniach dotyczących polityki naukowej (m.in. powołanie Komitetu Badań Naukowych), Instytut znalazł się – szczególnie w latach 1991–1992 – w znacznie trudniejszej sytuacji również w zakresie kształtowania i rozwoju badań naukowych. Jedną z przyczyn było obniżenie poziomu nakładów na naukę. Nadto przejście na system grantów wywołało początkowo opory natury psychologicznej. Był to jednak okres krótki, bo już w roku 1992 w IMP realizowano badania w ramach 16 grantów, a w latach następnych przeciętnie 30–35 grantów rocznie.

Poważne zmiany nastąpiły w dziedzinie współpracy naukowej z zagranicą. W latach 1992–1998 IMP podpisał wiele nowych umów, w tym m.in. z Insty-

tutem Medycyny Pracy w Helsinkach (kontynuacja wieloletniej współpracy), z The Johns Hopkins University School of Hygiene and Public w Baltimore (USA), z University of Cincinnati (USA), z Texas University w Huston, Uniwersytetem w Linkoping (Szwecja), Chemical Division of Environmental Directorate OECD w Paryżu, z Międzynarodową Agencją Energii Atomowej (MAEA) w Wiedniu (kontynuacja współpracy) oraz z innymi ośrodkami i towarzystwami naukowymi.

W dziedzinie zmian jakościowych doniosłe znaczenie miały nominacje profesorskie oraz pomyślny przebieg przewodów habilitacyjnych i rozpraw doktorskich. Stopnie naukowe doktorów habilitowanych przyznano 6 osobom. W ich wyniku w roku 1987 przyznano Radzie Naukowej IMP prawo do nadawania stopni naukowych doktora habilitowanego i doktora nauk medycznych w zakresie biologii medycznej i medycyny pracy.

W latach 1991–1994 prezydent RP Lech Wałęsa na wniosek Centralnej Komisji do spraw Tytułu Naukowego i Stopni Naukowych nadał tytuły profesorskie następującym pracownikom Instytutu: Waldemarowi Lutzowi, Bogusławowi Barańskiemu, Wiesławowi Sułkowskiemu, Pawłowi Górskiemu, Markowi Jakubowskiemu i Tomisławowi Domańskiemu. Minister Zdrowia i Opieki Społecznej mianował na stanowiska profesorów: Zbigniewa Kowalskiego, Tadeusza Dutkiewicza, Konrada Rydzyńskiego, Neonilę Szeszeń-Dąbrowską, Sławomira Gralewicza – dotychczasowych docentów. Habilitacje i stopnie docentów uzyskali: Zbigniew Kołaciński, Marta Kieć-Świerczyńska oraz Halina Worach-Kardas. Obecnie, według *Sprawozdania z działalności IMP za rok 1998* (Łódź, 1999) Instytut zatrudnia 535 pracowników, w tym 28 profesorów i 2 docentów oraz 58 doktorów nauk.

### **Pozostałe kierunki działalności Instytutu**

#### **Szkoła Zdrowia Publicznego**

Od początku istnienia Instytut przywiązywał dużą wagę do działalności szkoleniowej. Jej celem było zapewnienie lekarzom przemysłowym kompetentnej wiedzy w zakresie stale rozwijającej się medycyny pracy. Działalność w tym zakresie prowadziła wyspecjalizowana komórka organizacyjna, która w latach 1966–1992 przeprowadziła 338 kursów dla ok. 13 tys. słuchaczy w ramach planu szkolenia Centrum Medycznego Szkolenia Podyplomowego.

W roku 1992 dyrektor Instytutu prof. dr hab. med. Janusz Indulski – mając poparcie Głównego Inspektora Sanitarnego dra Zbigniewa Hałata oraz akceptację Rady Naukowej – powołał Szkołę Zdrowia Publicznego kształcąca w systemie 2-letnich zaocznych studiów podyplomowych specjalistów zdrowia publicznego oraz menedżerów służby zdrowia tak potrzebnych w związku z reformą systemu opieki zdrowotnej w Polsce. W okresie istnienia Szkoły (7 lat) dyplomy ukończenia uzyskało 238 absolwentów. Prowadzone są także krótsze



formy doskonalenia kadr: w dziedzinie ubezpieczeń zdrowotnych (240 absolwentów), roli samorządów terytorialnych w zakresie ochrony i promocji zdrowia (48 absolwentów) i wysoko wyspecjalizowanych szkoleń monograficznych z zakresu: ochrony radiologicznej, monitoringu biologicznego, medycyny i higieny pracy, a także kursy dla lekarzy uprawniające ich do badań wstępnych, okresowych i kontrolnych oraz badań kierowców. Szkoła kształci rocznie 1000–1200 słuchaczy.

W ramach Szkoły funkcjonują:

- Studium Medycyny Pracy,
- Studium Zdrowia Publicznego
- Studium Organizacji, Zarządzania i Ekonomiki w Opiece Zdrowotnej
- Studium Higieny Pracy
- Studium Doktoranckie.

Szkoła Zdrowia Publicznego Instytutu Medycyny Pracy im. prof. dra med. Jerzego Nofera jest ściśle powiązana z najważniejszymi organizacjami i instytucjami prowadzącymi kształcenie w zakresie zdrowia publicznego, organizacji i zarządzania w opiece zdrowotnej oraz medycyny pracy w Europie. Jest członkiem Association of Schools of Public Health in the European Region (od 1993 r.) oraz współorganizatorem i członkiem władz European of Schools of Occupational Medicine (1993). W wyniku pozytywnej oceny Narodowej Szkoły Zdrowia Publicznego Francji Szkoła stała się członkiem (od 21 V 1999) wyselekcjonowanej wąskiej grupy placówek, które utworzyły sieć szkół zdrowia publicznego, promujących nowoczesne kształcenie w zakresie zarządzania zakładami opieki zdrowotnej w Europie. W skład tej sieci wchodzi: Ecole Nationale de la Santé Publique, Rennes (Francja), National School of Public Health New University of Lisbon (Portugalia), School of Community Health Sciences University Hospital Queens Medical Centre Nottingham (Anglia), Institute of Public Health Faculty of Health Sciences of Public, Copenhagen (Dania), University of Maastricht Faculty of Health Sciences (Holandia) i Szkoła Zdrowia Publicznego w Łodzi. Przedstawiciel Szkoły jest przewodniczącym Komitetu Koordynacyjnego ww. sieci.

### **Działalność usługowa**

Doniosłe znaczenie praktyczne, szczególnie dla instytucji i osób zajmujących się ochroną środowiska naturalnego, ostrymi zatruciami i bezpieczeństwem chemicznym miała (i ma) działalność IMP w zakresie informacji naukowej, prowadzona przez Zakład Informacji Naukowej oraz Centrum Informacji Toksykologicznej. Pośród opracowanych materiałów warto wymienić m.in. następujące:

– *Informator o czynnikach rakotwórczych* zawierający 830 haseł uwzględniający czynniki, których dowód działania rakotwórczego został oceniony przez Międzynarodową Agencję Badań nad Rakiem w Lyonie oraz czynniki, które zostały uwzględnione w opublikowanych wykazach czynników rakotwórczych w krajach wysoko rozwiniętych: USA, Francji i RFN;

– wdrożono komputerową bazę danych o substancjach toksycznych ITOX w regionalnych ośrodkach toksykologicznych oraz w niektórych placówkach służby zdrowia (baza zawiera ponad 13.000 dokumentów i ponad 70.000 rekordów);

– przetłumaczono i przygotowano do druku 150 Kart Bezpieczeństwa Chemicznego opracowanych przez agendy EWG i WHO.

Ważnym kierunkiem pracy IMP, daleko wykraczającym poza charakter usługowy, jest działalność wydawnicza prowadzona przez Sekcję Wydawnictw. Instytut wydaje: „*Studia i Materiały Monograficzne*”, skrypty i podręczniki (m.in. 2-tomowy podręcznik *Opieka nad zdrowiem pracowników*, Łódź 1992, *Epidemiologia chorób i wypadków*, tłumaczenie Raportów Technicznych WHO), wydawnictwa cykliczne „*Kryteria zdrowotne środowiska*” oraz czasopisma: „*International Journal of Occupational Medicine and Environmental Health*” i „*Medycyna Pracy*”. W omawianym okresie ukazało się kilkadziesiąt pozycji książkowych.

Na koniec odnotować trzeba ogromny wysiłek intelektualny i organizacyjny pracowników IMP włożony w opracowanie ekspertyz, opinii i orzeczeń. Średnio rocznie opracowywano ich 2–3 tys., a w ostatnich latach ponad 7 tys., m.in. dla potrzeb Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej, przemysłowej służby zdrowia, sądów, ZUS-u, inspekcji sanitarnej, zakładów pracy i innych instytucji.

Przedsięwzięcia przynosiły szereg pożytecznych efektów, przede wszystkim w zakresie przystosowania polskiego systemu ochrony zdrowia pracujących do norm funkcjonujących w krajach Unii Europejskiej oraz aktywnego udziału w międzynarodowej współpracy naukowo-badawczej. Znalazło to także wyraz w działalności pracowników IMP w towarzystwach naukowych, krajowych i zagranicznych.

Ponad 40-letnia działalność Instytutu Medycyny Pracy im. prof. dra Jerzego Nofera w świetle przedstawionych najważniejszych danych świadczy o ogromnej aktywności jego zespołów naukowych, kadry kierowniczej, pracowników administracji i obsługi oraz wielu wybitnych specjalistów z kraju i z zagranicy, którzy swoją wiedzą i doświadczeniem wspierali program oraz działania praktyczne Instytutu. Ich to zasługą jest wysoka dynamika pracy IMP, jego stały rozwój ilościowy i jakościowy oraz zdolność do podejmowania i rozwiązywania nowych, najczęściej trudnych i złożonych problemów, które przynosi życie.

## Kilka refleksji o liderach medycyny pracy w Łodzi

Cechą charakterystyczną, a zarazem swoistym fenomenem, daleko wykraczającym poza Instytut, jest istotny fakt, iż od czasów zaistnienia w Łodzi medycyny pracy jako nauki i praktyki, tj. od roku 1945, jej kierownikami były zaledwie trzy osoby: Emil Paluch do 1954 roku, Jerzy Nofer, w latach 1955–1977 i Janusz Indulski od 1977 do 1999 roku. To niecodzienne, raczej rzadkie zjawisko w warunkach powojennej historii Polski, najeżonej „zakrętami”, „przełomami”, „wydarzeniami” i wiążąca się z nimi polityka „starego i nowego portfela kadrowego”, wreszcie czasy po roku 1989, wprowadzające charakterystyczne dla radykalnej zmiany systemowej nowe priorytety w polityce personalnej, można wyjaśnić – przynajmniej w jakimś stopniu – trzema okolicznościami.

Rzecz dotyczy osób wyposażonych, po pierwsze w wysokie kompetencje merytoryczne i to w skali międzynarodowych znaczeń, po drugie w talenty organizatorskie w skutecznej implementacji działań zbliżających do pożądanych – najczęściej zresztą osiągniętych – celów i – po trzecie – kwestia być może najważniejsza w konkretnych polskich warunkach – wszyscy trzej kierownicy łódzkiego Instytutu posiadali wspólną cechę, chociaż w różny sposób przejawiającą się, bo też i okoliczności się zmieniały, mianowicie – wysublimowany instynkt w przewidywaniu zmian w zbiorowych priorytetach, a także w swoistej maestrii prezentowania potrzeb medycyny pracy i ochrony zdrowia w ogóle wyłaniającym się nowym liderom życia zbiorowego na różnych szczeblach, przede wszystkim jednak na szczeblu decydującym, to jest centralnym.

Gwoli sprawiedliwości dodać jednak trzeba, że w okresie PRL medycyna pracy była jakby częścią systemu, co nierzadko ułatwiało możliwość rozwiązywania spraw trudnych. Nie znaczy to, że funkcjonował tu jakiś automatyzm. Bo o wszystkim decydowali konkretni ludzie, a ci byli różni, w zależności od „etapu”.

Z kolei w okresie po roku 1989 sytuacja jakby się odwróciła. Systemowy czynnik wewnętrzny przestał pełnić rolę parasola, a nawet zagroził nie tylko Instytutowi, ale i głównej przyczynie jego istnienia – medycynie pracy. Obiektywną kanwę tworzyła powstająca *market economy* oraz zasadnicze przeformułowanie filozofii życia. W ich ramach rozpoczął się wyścig o jak najlepsze uplasowanie się w nowej rzeczywistości, a przede wszystkim o jak najefektywniejszy udział w podziale środków na ochronę zdrowia. Dla niektórych osób i grup medycyna pracy stała się jakby reliktem przeszłości, nie pasującym do nowej rzeczywistości. Stąd próby odebrania dyscyplinie walorów samodzielności i podporządkowania jej innym naukom medycznym.

Rzecz w tym, że medycyna pracy w Polsce, a szczególnie uprawiana w IMP, nigdy nie stała się dyscypliną ograniczoną li tylko do nauk przyrodniczych (chemia, biologia, fizyka) czy też do kilku dyscyplin klinicznych (ostre

zatrucia i choroby zawodowe, patologia pracy). Od zarania jej funkcje traktowano szerzej, a w miarę upływu czasu przeformułowano także jej podstawowe cele i zakresy oddziaływania. Praktycznie od czasów zaistnienia medycyny pracy jako dyscypliny samodzielnej, tj. od roku 1958, a nawet wcześniej, koncepcji zdrowia pracowniczego nie ograniczano do zakładowych „opłotków” i problemów substancjalnych narażeń w procesie produkcji (choćby były to w owym czasie zagadnienia o pierwszoplanowym znaczeniu ze względu na wysoki stopień narażeń chemicznych i fizycznych występujących w przemyśle). W drugiej połowie lat siedemdziesiątych tendencje o wyraźnym zabarwieniu holistycznym znalazły swoje odzwierciedlenie w zapoczątkowanych i stale rozwijających się badaniach obejmujących szerokie spektrum uwarunkowań społecznych, a nawet historycznych i kulturowych. W strukturze badań IMP następują zmiany świadczące o przekonaniu, iż zagadnienie zdrowia pracowniczego nie rozpoczyna się od momentu przekroczenia bramy fabrycznej i nie kończy z chwilą opuszczenia zakładu i że nie może być ono rozpatrywane w oderwaniu od całokształtu warunków życia, w tym od efektywności systemu ochrony zdrowia w skali makrospołecznej, a także od jednostkowych i zbiorowych postaw wobec własnego zdrowia i jego potrzeb. Toteż badaniom dotyczącym zagrożeń w miejscu pracy coraz częściej towarzyszą dociekania nad wpływem na zdrowie ludzkie szeroko rozumianego środowiska, którego częścią jest zakład pracy. Dotychczasowe „klasyczne” dla medycyny pracy dyscypliny, jak: toksykologia, radiologia, organizacja opieki zdrowotnej w przemyśle coraz częściej w swych badaniach wychodzą na „zewnątrz” – od uwarunkowań zdrowia determinowanych miejscem pracy do analizowania szerszego kontekstu zjawisk i zdarzeń. Wszystko to powodowało, że rzeczywista ranga medycyny pracy wzrastała obiektywnie, m.in. dlatego – co okazało się niezwykle ważne w nowej rzeczywistości po 1989 r. – że kompetencyjnie stała się ona pierwszoplanowym składnikiem szeroko rozumianego zdrowia publicznego.

Wyprzedzanie, i to na wiele lat, nadchodzących czasów i towarzyszących im zmian jest cechą charakterystyczną dla historii IMP. Jest to zasługa jego liderów i ludzi z nimi współpracujących. Dokonywano zmian programowych i adekwatnych do potrzeb zmian organizacyjnych. Dynamika przemian struktur wewnętrznych ma tendencję narastającą i, chociaż była także wyrazem tak możliwości, jak i ograniczeń (np. stan wojenny, cięcia budżetowe, zmiany systemowe i inne), to przede wszystkim była jednak próbą odpowiedzi na nowe wyzwania naukowo-badawcze oraz w zakresie potrzeb praktycznych.

Jednakże w dekadzie lat dziewięćdziesiątych jej kolejnemu liderowi, Profesorowi Januszowi Indulskiemu, przypadło wyjątkowo trudne zadanie – kierowanie ogromnym Instytutem, liczącym ponad sześćset pracowników, w warunkach nowej polityki naukowej radykalnie zmieniającej dotychczasowe zasady dystrybucji środków na badania naukowe, wprowadzającej także zwiększone wymagania wobec kadr naukowo-badawczych.

Instytut z pozycji formalnej jako samofinansujący się podmiot musiał szybko przestawić się na tory rzeczywistej samodzielności. Sytuację, dodatkowo, utrudniało to, że obszar zdrowia w naszym kraju stał się – niestety – forum walki pomiędzy różnymi ugrupowaniami politycznymi, co okresowo powodowało (i powoduje) wprowadzanie ocen, nierzadko z punktu widzenia przypisywanych jednostkom lub grupom poglądów i opcji politycznych.

Pomimo strat, jakie poniesiono w 1992 r., kiedy to nastąpiły zwolnienia grupowe (100 pracowników), Instytut umocnił swoją krajową i międzynarodową pozycję, tak w wymiarze instytucjonalnym, jak i personalnym. Osiągnięciem Instytutu ostatnich lat jest aktywny współdziałanie w opracowaniu i wdrożeniu ustawy o służbie medycyny pracy oraz przygotowanie projektu ustawy o substancjach i preparatach chemicznych rozpatrywanego właśnie w Sejmie.

Instytut stał się także prężnym ośrodkiem kształcenia kadr specjalistów medycyny pracy, higieny pracy, zdrowia publicznego, organizacji i zarządzania w opiece zdrowotnej oraz z zakresu ubezpieczeń zdrowotnych. Współpracuje i jest reprezentowany w najważniejszych gremiach międzynarodowych zajmujących się tym ważnym współcześnie zagadnieniem w Europie Zachodniej i USA. Stało się to możliwe dzięki międzynarodowemu autorytetowi Profesora, uhonorowanego w latach dziewięćdziesiątych wieloma wyróżnieniami, m.in. Medalem im. Ramazziniego oraz wyborem do Royal College of Physician w Londynie (1998 r.).

Czy Jego ogromna wiedza, doświadczenie i międzynarodowy autorytet były w pełni wykorzystane przez polityków odpowiedzialnych za zmiany systemowe w ochronie zdrowia w Polsce? A, to jest temat na zupełnie inny artykuł.



*Od lewej: Julian Przyboś, Władysław Strzemiński, Katarzyna Kobro*

Lucyna Hoszowska

## Duch miejsca, duch sztuki

Jeszcze tylko rok dzieli nas od następnego stulecia i początków trzeciego tysiąclecia. To skłania do refleksji na temat: co z tego, co zaistniało w XX wieku, wejdzie na trwałe do historii? Nie nam o tym przesądzać, ale pokusić się o szacunek wartości można i trzeba. Rozważyć na przykład, co w kulturze Łodzi zasługuje na pamięć i uznanie potomnych.

Wydaje się, że są to przede wszystkim dwie instytucje – Muzeum Sztuki i Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna. Muzeum w roku 2000 obchodzić będzie 70-lecie swego istnienia, zaś szkoła filmowa w roku 1998 miała piękny jubileusz 50-lecia.

Obydwie te placówki łączy jedno – to, że zasięg ich oddziaływania daleko wykracza poza Polskę. Tak muzeum, jak i szkoła cenione są w Europie i świecie. Muzeum Sztuki za wytrwale utrzymywanie i promowanie wysokiego poziomu kolekcji sztuki nowoczesnej, szkoła zaś za całkowicie oryginalny program kształcenia wybitnych twórców filmowych. Opinię tę potwierdzają liczne honory, jakie międzynarodowe gremia artystów i krytyków sztuki decydowały się przyznawać obydwu tym instytucjom i ludziom z nimi związanym.

Jeśli przejrzeć uważnie długą listę owych wyróżnień i nagród, można odnieść wrażenie, że Muzeum Sztuki i szkoła filmowa postrzegane są częściej i z większym uznaniem w świecie niż we własnym kraju. I dziwić się nie ma czemu, bo to przecież takie swojskie: „cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie co posiadacie”.

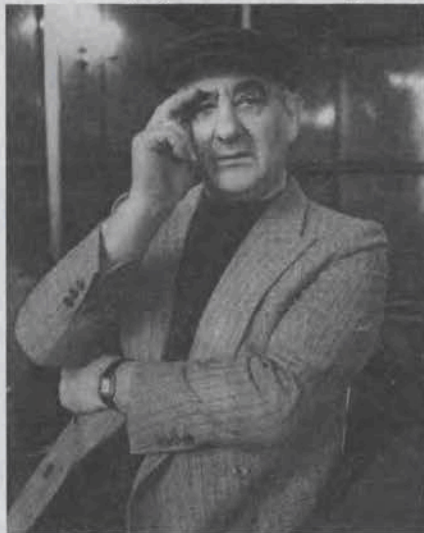
A co posiadamy?

O tym mówią: prof. Henryk Kluba, rektor PWSFTViT, najdłużej sprawujący tę godność w historii szkoły, i Mirosław Borusiewicz, dyrektor Muzeum Sztuki w Łodzi.

### O szkole filmowej

– Kiedy – z racji moich rektorskich powinności – wygłaszałem swój tekst na uroczystości 50-lecia szkoły filmowej, zatrzymałem się chwilę nad zjawiskiem genius loci, owym duchem miejsca, w którym człowiek przebywa. Zwróciłem uwagę na ten trudno uchwytny, nie do opowiedzenia fenomen. My-

śle, że każdy kto przekroczył po raz pierwszy progi uczelni przy ulicy Targowej, odczuł wyjątkowy nastrój tego miejsca. Może to zapach drzew rosnących wokół, może klimat niepowtarzalnych wnętrz... Niedawno pan, który szkolił studentów w zakresie bhp, powiedział mi: – jak niezwykła atmosfera panuje w szkole...



*Rektor Henryk Kluba*

Pewno sam duch miejsca by nie wystarczył, gdyby szkoła, jako instytucja kierowana przez wielu ludzi, nie miała szczęścia do dobrego programu nauczania tworzonego z uwzględnieniem wielu kontekstów, takich jak literatura, muzyka, obraz. Już pierwsi autorzy tego programu – Antoni Bohdziewicz i Jerzy Toeplitz myśleli bardzo nowoczesnie o tym, jak kształcić twórców kina. Wydawać się może, że kierowali się myślą Pascala, który rozróżniał umysły obejmujące wiele, lecz na krótko, i inne, które zdolne są dogłębnie poznać wybraną, wąską specjalność. Do dziś realizujemy w szkole tę pierwszą część teorii Pascala, a ów wąski wycinek studenci wybierają już sami i bywa, że osiągają mistrzostwo jako samodzielni twórcy.

Drugim istotnym elementem określającym ów genius loci było i pozostało to, że tą szkołą zajmują się twórcy, artyści. Oni nie wygłaszają dogmatów, lecz teorie podpierają własną praktyką. Słowem nasz nauczyciel poręcza swoją twórczością to co mówi, co weryfikuje i koduje. I podkreślić trzeba, że przez wszystkie lata swego istnienia Filmówka miała bardzo utalentowanych pedagogów: wspomnianych już Bohdziewicza i Toeplitza, Jerzego Mierzejewskiego, Aleksandra Jackiewicza, Reginę Dreyer, Stanisława Wohla, Andrzeja Munka, Jerzego Bossaka. Każdy z nich wychował swego następcę.

Trzeci element to sami studenci. Zrządzeniem losu to szczególne miejsce, jakim była i jest szkoła, przyciągało młodych, często jeszcze nieukształtowanych ludzi, ale znamionujących nietuzinkową osobowość. To było dobre, że Filmówka miała snobistyczny charakter, którego nie zniszczyły nawet punkty



*Budynek Szkoły*



za pochodzenie. Przychodzili do niej i zostawali ludzie, którzy poza talentem mieli jeszcze coś do powiedzenia i wypowiadali się poprzez sztukę.

Tu wszyscy tak naprawdę mają indywidualny tok studiów, bo przecież nauczanie reżyserskie, a jest to wiodący wydział w szkole, wymaga ogromnej ilości rozmów, dyskusji, dociekań. Toteż nie dziwi, że studenci często określają wymagania stawiane wobec pedagogów. Tutaj partnerski status studentów wobec wykładowców nie ma nic wspólnego z protekcjonalizmem – jest prawdziwy i szczerzy, wynika z poszanowania człowieka jako niepowtarzalnej jednostki.

Z tego bierze się świadomość i odpowiedzialność ludzi tworzących i kreujących program nauczania. W pierwszym okresie istnienia szkoły uczono osobno dramaturgii, osobno montażu, osobno pracy z aktorem i gdzieś po drodze historii kina. Przypominam sobie, jak w latach 60. redakcja „Filmu” zorganizowała dyskusję na temat szkoły filmowej, jej programu, metod nauczania. Wówczas nastąpiło moje ostre spięcie z prof. Antonim Bohdziewiczem. Uważałem bowiem, że w nauczaniu trzeba pójść krok do przodu i zmienić program wprowadzając integrację poszczególnych dyscyplin na wydziale reżyserii. Głównie szło mi o połączenie montażu z zajęciami aktorskimi.

W następstwie dokonał się radykalny rozdział fabuły od dokumentu. To ważny fakt, bo zainicjowana przeze mnie integracja postępuje do dziś dalej – dochodzi do coraz większej ilości zajęć i z operatorami, i z aktorami.

Owa samoświadomość programowa była jednym z czynników żywotności szkoły, gwarantującym utrzymanie przez nią wysokiego poziomu. Reagowanie na wymogi nowoczesności, na zmiany zachodzące w kinematografii światowej sprawiło, że nie wpadliśmy w hibernację. I oczywiście włączyliśmy szkołę w ostrą rywalizację poprzez udział w licznych sympozjach, kongresach, festiwalach.

Ów genius loci to także Łódź. Nie było dziełem przypadku, że w tym właśnie mieście zaistniała szkoła filmowa. Złożyło się na to wiele pomyślnych faktów, jak ten, że tylko w Łodzi uczelnia ta mogła być blisko przemysłu filmowego, stać się jego partnerem. Nie należy też lekceważyć klimatu miasta. Bardzo wyrazistego ze swą wielkoprzemysłową strukturą i wszystkim co ona niesie, także w sferze społecznej i mentalnej. Film chętnie rzuca się na brzydotę, na to co ginące, zapominane. A w Łodzi ma swój klimat solidna architektura secesyjna, mają mury nie istniejących już fabryk, pozostawione na obrzeżach szczątki jeszcze nie tak dawnej przeszłości z jej „kocimi łbami” i ubogimi domkami z ogródkiem.

Nie ma w Polsce miasta, które byłoby tak opisane, ofotografowane jak Łódź. I to dzięki szkole filmowej, co nigdy dotąd nie zostało należycie docenione. Marzy mi się, by zebrać to wszystko w jedną całość. Pokazać Łódź widzianą oczami wielu twórców kina.

Dla miejsca PWSFTViT w kulturze polskiej mijającego stulecia ważne jest i to, że szkoła nawiązała i utrzymała kontakty z uczelniami filmowymi niemal całego świata. Wreszcie godzi się powiedzieć i o tym, że to Polak, prof. Jerzy Toeplitz zorganizował szkolnictwo filmowe w Australii, a inni wykładali w wielu szkołach: we Francji, Niemczech, Jugosławii, Czechach i licznych uczelniach amerykańskich.

Wielkim wyróżnieniem wieńczącym 50-lecie szkoły filmowej w Łodzi był wyjątkowy pokaz 100 etiud filmowych naszych studentów, który odbył się w Museum of Modern Art w Nowym Jorku i trwał przez trzy tygodnie na przełomie grudnia 1998 i stycznia 1999 roku. Ten pokaz był powodem szczególnego uznania dla nas i dużej satysfakcji.

Teraz myślimy, jak sprostać nowym wyzwaniom, jak poprawić i zmodernizować program nauczania ze szczególnym uwzględnieniem Studium Form Multimedialnych i Montażu. To nasze „najmłodsze dziecko” – 3-letnie studia licencjackie obejmujące kształcenie i doksztalcanie w następujących obszarach wiedzy:

- montaż obrazu i dźwięku,
- telewizyjne formy dziennikarskie,
- realizacja obrazu filmowego,
- realizacja wizji tv,
- realizacja światła,
- animacja komputerowa,
- cyfrowe efekty specjalne,
- formy reklamowe,
- prezentacje multimedialne,
- projektowanie witryn internetowych,
- projektowanie płyt audiowizualnych.

Celem kształcenia w studium jest wyposażenie przyszłych współtwórców audiowizualnych w umiejętności, które pozwolą im rozwiązać wszechstronnie złożone zagadnienia związane z rozwojem metod realizacji filmu, telewizji i systemów komunikacji audiowizualnej. Z tego celu wynika praktyczne ukierunkowanie studium. Chodzi o umożliwienie słuchaczom szybkiego i bezproblemowego przejścia od studiowania do pracy zawodowej, a także od pracy zawodowej do studiowania.

Naszymi partnerami merytorycznymi i organizacyjnymi są instytucje i firmy zajmujące się mediami audiowizualnymi, a to dlatego, by zakorzenić studia w praktyce produkcyjnej i umożliwić słuchaczom dostęp do nowoczesnych narzędzi. Opanowanie najnowszej techniki tworzenia i opracowania obrazu wraz z dźwiękiem poprzez kontakt z wyrafinowaną technologią jest fundamentem leżącym u podstaw naszego kształcenia.

Zainteresowanie podjęciem współpracy wyraziła TVP SA oraz POLSAT, Kodak PMI Polska, Opus Film, PMC i kilka firm produkujących sprzęt filmowy i telewizyjny.

Udział w procesie dydaktycznym studium zadeklarowała firma postprodukcyjna Synchron Film z Wiednia oraz Dedo Weigert Film z Monachium. Współpraca łódzkiej PWSFTViT z Akademią Filmową w Ludwigsburgu i Uniwersytetem da Vinci w Paryżu pozwoli na wymianę naukową studentów, co powinno zapewnić im kontakt z czołowymi pedagogami i twórcami zajmującymi się multimediami w Europie.

W bieżącym 1999/2000 roku akademickim rozpoczął zajęcia pierwszy kierunek nauczania – montaż obrazu i dźwięku. Czekamy więc jeszcze mnóstwo pracy, nim dokończymy dzieła. Potrzebny będzie dlań nowy obiekt, który służy mi się po nocach i mam nadzieję, że się wyśni.

Tego sobie, a przede wszystkim szkole filmowej, życzę na nowy 2000 rok.

### O Muzeum Sztuki

Redakcja „Polityki” zorganizowała i opublikowała (nr 40, 2 X 1999) ranking: Najwięksi twórcy sztuki XX wieku. Dodajemy – zagraniczni i polscy. Był pan jednym z 21 znawców przedmiotu, których tygodnik ten zaprosił do wytypowania swoich potencjalnych zwycięzców w rankingu. Pośród 10 najlepszych polskich artystów XX stulecia znaleźli się: Strzemiński, Kobro, Stażewski, ale także Alina Szapocznikow i Tadeusz Kantor, a więc twórcy związani bezpośrednio z Łodzią lub w Łodzi goszczący, wykreowani przez Muzeum Sztuki przy ul. Więckowskiego. To świadczy o randze tego muzeum

\*\*\*

Pozycja muzeum jest rzeczywiście wysoka i staramy się ją podtrzymać. Ale nie zgadzam się ze sformułowaniem: „wykreowani przez Muzeum Sztuki”. Wprawdzie mamy możliwość przekonywania ludzi co do poziomu artystycznego dzieł określonych twórców, ale jest to działanie ograniczone. Tak naprawdę o randze dzieła sztuki decyduje środowisko twórców i krytyków, którego muzeum jest bardzo istotnym elementem, ale nie jedynym. Staraliśmy się i staramy trzymać rękę na pulsie. Obserwować uważnie rynek sztuki po to, by pozyskać najlepszych. Ale środki na zakupy są tak skromne, że muzeum nie kupuje nowych dzieł prawie wcale, co jest stratą nie tylko dla naszej placówki, ale przede wszystkim dla kultury. Ze względu na rangę muzeum przekazywane są nam również dary, ale ich wybór bywa przypadkowy. Muzeum przyjmując dary z wdzięcznością musi pamiętać o uzupełnianiu kolekcji i wypełnianiu luk, których te dary – ze względu na to, że wybór jest arbitralną decyzją darczyńców – nie wypełniają.

– Chcę przypomnieć, że to muzeum powstało właśnie z darowizn.

– To prawda, ale było to zjawisko wyjątkowe, wprost fenomenalne, że kolekcja a.r., grupy w której byli: Strzeмиński, Kobro, Stażewski i dwaj poeci – Jan Brzękowski i Julian Przyboś, została Łodzi darowana.

Idea tworzenia kolekcji sztuki nowoczesnej zrodziła się w umyśle Strzeмиńskiego, jeszcze kiedy artysta przebywał w Rosji. Myśl tę zapożyczył od twórców awangardy rosyjskiej, którzy stanowili wówczas czołówkę światową i było ich wielu. Mogli sami, nie wspierając się twórczością artystów z innych państw, zrealizować wyczerpujący pokaz sztuki awangardowej. Nie było to możliwe w przypadku Polski. Dlatego Strzeмиński zdecydował się zorganizować taki pokaz w oparciu o twórców europejskich. I to jest geneza powstania kolekcji a.r. Znaczną rolę w jej kształtowaniu odegrał Jan Brzękowski, który wraz ze swym przyjacielem Michele Seuphorem przekonał twórców awangardy działających głównie we Francji, by ofiarowywali swoje dzieła dla tworzącej się polskiej kolekcji. Uczyniło to wielu, ale pod jednym wspólnym warunkiem – kolekcja ta miała być udostępniona społeczeństwu. Początkowo zamierzano ją pokazać w Warszawie. Ale stolica nie dysponowała ani odpowiednim miejscem do ekspozycji, ani pieniędzmi, ani tak naprawdę nie była chyba przekonana co do wartości tej kolekcji. Grupa a.r. zwróciła się więc do władz Łodzi. Było olbrzymim szczęściem, swoistym *genius loci*, że Łódź miała wówczas najbardziej świątłych urzędników z Przeclawem Smolikiem na czele. To jemu przecież kultura łódzka zawdzięcza najwięcej. Bo dzięki niemu znalazły się pieniądze i miejsce – ratusz przy Placu Wolności 1, siedziba Muzeum im. Bartoszewiczów, którzy nieco wcześniej przekazali swoje zbiory miastu. Wtedy to Strzeмиński zdecydował podarować kolekcję sztuki nowoczesnej Łodzi, co przesądziło o charakterze nowo powstałego muzeum i jego specjalizacji. Oficjalnie kolekcja grupy a.r. została przekazana Łodzi 15 lutego 1931 r., a później stale się powiększała. Jej kompletowanie zatrzymało się na roku 1938, w którym liczyła ona 111 dzieł artystów polskich i obcych, reprezentowanych przez Jeana Arpa, Maxa Ernsta, Fernanda Légera, Louisa Marcoussisa, Pabla Picassa, Georges Vantongerloo i innych. W czasie wojny kolekcję tę solidnie przetrzebiono, a po wyzwoleniu udało się odzyskać jedynie 82 prace.

Tyle pokrótce o początkach Muzeum Sztuki w Łodzi, które jak każde inne musi mieć możliwość kupowania kolejnych dzieł po to, by uzupełniać i poszerzać zbiory. To jego ustawowy obowiązek. Darowizny rzecz cenna, świadcząca o randze muzeum, ale nie możemy zrezygnować z zakupów, gdyż tylko w ten sposób można realizować planowe powiększenie kolekcji.

Teraz, kiedy pieniądze są „prawdziwe”, kiedy nie ma monopolu jednej partii, trudno uznać, że kurek z dopływem środków płatniczych zamyka się z powodów ideologicznych. Po prostu nie ma dziś w Łodzi takiego klimatu dla promowania sztuki nowoczesnej, z jakim mieliśmy do czynienia w latach 30. za urzędowania Przeclawa Smolika. To jedna przyczyna mizerności, w jakiej się znajdujemy. Drugą jest to, że sztuka w ogóle jest dziś trudna do wykorzystania

propagandowego. Szkołom, szpitalom, emerytom łatwiej nagłośnić swoje potrzeby. Jeśli ktoś rozsnuwa teorie, które zmierzają do poprawy funkcjonowania oświaty czy służby zdrowia, jest słuchany, zaś kultura artystyczna interesuje wąskie grono ludzi. A przecież jest ona nierozzerwalnie związana z oświatą. Nie ma edukacji bez kultury, ani szkoły bez muzeum.

W 90% wypowiedzi polityków, kiedy jest mowa o sferze budżetowej, wymienia się jednym tchem wojsko, straż pożarną, policję, szkołę, szpitale, a o kulturze ani słowa. Bo kulturę bardzo często traktuje się jak luksus, na którym można i trzeba oszczędzać. Na nią więc wydaje się bardzo mało, a taka polityka na dłuższą metę jest tragedią dla tożsamości narodowej.

A przecież dla każdego obywatela, a zwłaszcza polityka, powinno być jasne, że w czasie pokoju to właśnie kultura jest głównym elementem realizowania polskiej racji stanu. Jeśli pojedziemy na Zachód i wstąpimy do jakiegokolwiek muzeum, to zauważymy, że jest przy nim zazwyczaj bardzo dobra księgarnia z literaturą fachową i albumami. Znaleźć w niej można mnóstwo publikacji na temat sztuki rosyjskiej, a także czeskiej i węgierskiej. Ich kultura jest więc obecna w obiegu społecznym krajów zachodnich. Konia z rzędem temu, kto pokaże mi publikację na temat sztuki polskiej. Ten brak obecności polskich dokonań sprawia, że na przykład Strzemiński – w opinii znawców światowej sztuki – często jest postrzegany jako Rosjanin. A my dziwimy się, że nas nikt nie zauważa nie rozumiejąc, że to, czym możemy i powinniśmy się chwalić w świecie, to kultura artystyczna. Kupując dzieła sztuki dajemy ich twórcom napęd do dalszej pracy, a więc tworzymy warunki do rozwoju kultury. To proste.

Widać oczywiście, że powoli zbliżamy się do zachodniego modelu traktowania spraw kultury, że na wystawy Chagala i Dalego ludzie stali w kolejkach. Ale też powiedzieć trzeba, że były to wystawy słabe, że publiczność polska nie oglądała najwybitniejszych dzieł tych artystów i gdyby oni sami organizowali te prezentacje, na pewno dokoniliby innego wyboru. Muzea, które takie wystawy realizują, nie powinny przedstawiać ich jako reprezentatywnego obrazu twórczości danego artysty, bo to nie jest prawdą. Niemniej były to duże nazwiska i ludzie mieli wolę poznania ich twórczości w bezpośrednim kontakcie. Zmierzając tą drogą możemy z czasem wypracować nawyk chodzenia do muzeów. A to, że specjaliści mają niekiedy wątpliwości co do wartości eksponowanych prac, nie umniejsza propagandowej wymowy podobnych przedsięwzięć. Bowiem dzięki nim wytwarza się w społeczeństwie pozytywną postawę wobec muzeów jako instytucji kultury. Statystyki mówią, że liczba zwiedzających obecnie wystawy muzealne zbliża się do liczby widzów w kinie, a w muzeach przecież nie mamy do czynienia z kulturą masową.

– Fenomen Smolika zaistniał raz na stulecie. Nie widać naśladowców. Co robić zatem?

– Po prostu wystarczy nie przeszkadzać. Jeśli już decydujemy się na działalność w sferze kultury, to musimy wiedzieć, że to kosztuje. Oszczędność jednej złotówki powoduje czasami kilkadziesiąt złotych strat. Jeśli więc kultura ma promować wizerunek danego regionu, to muszą się znaleźć na to pieniądze. Istnieje minimalny poziom finansowania muzeów, poniżej którego zejść nie można. Zastopowanie zakupów jest bowiem wbrew ustawie o muzeach, wbrew niej jest również brak pieniędzy na konserwację, czyli przetrwanie zbiorów.

Na czym polega różnica między oszczędzaniem u nas, a oszczędzaniem na Zachodzie, bo przecież tam też liczą pieniądze. Na tym mianowicie, że na Zachodzie myśli się, jak za określoną kwotę zrobić więcej, a u nas obcina się budżet, a potem główkuje, jak utrzymać tę samą działalność przy ograniczonych funduszach. Nigdzie na świecie muzeów nie utrzymuje w pełni państwo. Ale są sponsorzy, muzea mają możliwość prowadzenia własnej działalności gospodarczej, katering, sklepów z pamiątkami i in. Nam daleko jeszcze do tego. możemy jedynie zabiegać o sponsorów, co czynimy. Wymaga to jednak obustronnych inwestycji, bo jeśli chce się pozyskać dobrych sponsorów, to również trzeba zainwestować, pokazać, że muzeum jest godne wsparcia. W obecnych warunkach nie mam szans, by to w pełni zrealizować. Bo obok tego, że mam obowiązek robienia dobrych wystaw, wydawania dobrych publikacji, to jeszcze muszę szukać środków na remont budynku, który jest w stanie tragicznym. Magazyny muzealne są nieodpowiednie, a zbiorów nie ma gdzie eksponować.

W pełni doceniam wysiłek Sejmiku Samorządowego, który chce nam pomóc, ale pieniądze ma, jakie ma. W ubiegłym roku, gdy muzeum podlegało jeszcze wojewodzie, wystąpiłem do władz o przekazanie nam jednego z budynków byłej fabryki – Norbelany. W aktualnym stanie prawnym decyzja w tej sprawie nie jest prosta i dlatego zamierzam znowu wystąpić do trzech tym razem instancji władz lokalnych (marszałka sejmiku, prezydenta i wojewody), by znalazły rozwiązanie naszej trudnej sytuacji. Tak się składa, że jedna ze studentek prof. Bolesława Kardaszewskiego kończy projekt nowego gmachu dla muzeum sztuki, uwzględniający przyznaną przed laty lokalizację – park na Zdrowiu. Gdyby ten lub podobny projekt można było zrealizować, to mielibyśmy gmach prawdziwie nowoczesnego muzeum sztuki w Polsce. Moje serce rwie się do tej idei. Ale jest też inny wariant – pozyskanie budynku pofabrycznego. W tym przypadku można by upiec dwie pieczenie na jednym ogniu – uratować muzeum i kolejny zabytek. Koszty obydwu inwestycji – budowy nowego gmachu i adaptacji fabryki byłyby zbliżone.

– Z czym wyjdzie Muzeum Sztuki na spotkanie 2000 roku, roku jubileuszu siedemdziesięciolecia swego istnienia?

– 70 lat historii to dużo czasu. A ten jubileusz jest dla nas szczególnie zobowiązujący, jeśli się zważy, że tak jak Konstytucja 3 Maja jest najstarszą w świecie po Konstytucji Stanów Zjednoczonych, tak Muzeum Sztuki w Łodzi jest najstarszą w świecie instytucją – po Museum of Modern Art w Nowym

Jorku – z kolekcją sztuki nowoczesnej. Mam oczywiście kilka projektów związanych z jubileuszem. Jedne wiążą się z normalną działalnością merytoryczną, polegającą na przygotowaniu dobrych wystaw ze sztandarową, poświęconą twórczości Karola Hillera, bardzo blisko związanego z grupą a.r. Był on w gronie tych artystów, którzy przekazali swoje dzieła kolekcji gromadzonej przez Strzebińskiego. Organizując tę ekspozycję chcemy równocześnie przypomnieć znakomitego, lecz nieco zapoznanego twórcę, którego życie było również wyjątkowe.

Poza tym planujemy kolejne wydawnictwa i imprezy uświetniające jubileusz. Zamierzamy również w widoczny sposób poprawić stan Rezydencji „Księży Młyn”, za renowację której Muzeum Sztuki otrzymało prestiżowy medal „Europa Nostra”. Zniszczona zawilgoczeniami fasada dowodzi bowiem w namacalny sposób tego, że na kulturę wciąż brak środków. Liczę na to, że wszystkie instancje władz lokalnych wspólnie sfinansują remont „Księżego Młyna”, mieszczącego dziś piękne Muzeum Wnętrz XIX wieku.

– U schyłku wieku zapytać wprost wypada, co sądzi pan o sztuce lat 90.?

– Sztuka współczesna przeżywa – w moim przekonaniu – bardzo wyraźny kryzys. Zarówno kryzys tożsamości, jak i wartości. Sądzę, że artyści czują się bezradni wobec wyczerpywania się możliwości wyrażania ekspresji. Stąd poszukiwanie nowych środków wyrazu. Dlatego na przykład modne się staje łączenie sztuki tradycyjnej z nowoczesną techniką. Być może to właśnie technika daje szansę nowego wyrazu.

Inna grupa twórców bazuje na szokowaniu, które samo w sobie nie jest złe, bo ludzie lubią być zaskakiwani. Ale każde z zaskoczeń ma pewne granice. Są jednak ludzie, którzy te granice przekraczają, świadomie wykorzystując zwłoki zwierząt oraz organy zwierzęce i ludzkie. Artysta oczywiście powinien mieć prawo łamania schematów, konwencji czy tabu. Ale czy z tego wynika, że rzeczywiście nie powinno być żadnych granic? Istotą sztuki jest jednak przeżycie jednego wrażenia wywołanego doznaniem estetycznym pewnej propozycji, jaką za pośrednictwem dzieła składa nam jego autor. A życie pełne jest drastyczności i używanie jej w sztuce nie jest czymś nowym. Jednak sposób jej używania dzisiaj jest dla mnie dowodem dekadencji, zagubienia artysty w poszukiwaniu nowych form wypowiedzi. Bo na ile sposobów można pokazać okropności tego świata? Do jakich granic można się posunąć w naruszaniu prywatności innych osób nie pytając ich o zgodę?

Filmy karate były – po zrobieniu trzech pierwszych – powieleniem tych samych wzorów. Podobnie jest z szokowaniem w sztuce. Kierunek poszukiwań mający za cel szokowanie widza to tylko martwa gałąź, która w końcu odpadnie. Jeśli celem w sztuce nie jest osiągnięcie głębszego przeżycia, refleksja za pośrednictwem określonego wrażenia estetycznego, lecz tylko wywołanie szoku, to taka sztuka nie ma dla mnie większego znaczenia. Mija wraz z otrząśnięciem się z szoku.



*Muzeum w Białej Fabryce*



Andrzej Karolczak

## Muzeum w Białej Fabryce

Wielce szacowne Muzeum Sztuki w Łodzi to duchowy i – rzecz można „cielesny” ojciec dzisiejszego Centralnego Muzeum Włókiennictwa: pierwotnie utworzono w Muzeum Sztuki Dział Tkaniny (1952), który miał przekształcić się w odrębny oddział. Dzięki zabiegom ludzi dobrej woli, a zwłaszcza organizatora i kierownika działu Krystyny Kondratiukowej i przychylności ministra przemysłu lekkiego Eugeniusza Stawińskiego, udało się nie tylko uzyskać odpowiedni budynek, ale wręcz utworzyć odrębne muzeum. W roku 1960 powołano Muzeum Historii Włókiennictwa. Na dodatek w znakomicie nadającym się na to przedsięwzięcie gmachu, o czym za chwilę. Dwie daty są tu warte zapamiętania: ów rok 1960 (uprzejmie zwracam uwagę wszelkim decyzyjcom i P.T. sponsorom, że rok 2 000 jakby nie liczyć dzieli równe lat czterdzieści od roku 1960! ) oraz rok 1955, w którym to roku władze uroczyście i oficjalnie zadekretowały – oddanie na potrzeby muzeum dzisiejszej jego siedziby. Bagatela, 5 lat od decyzji jej urzeczywistnienia ...

A teraz o tej siedzibie, bo to temat smakowity sam w sobie. Biała Fabryka – tak ten gmach do dziś nazywają najstarsi Łodzianie. Dlaczego „biała”? Pierwsze i najprostsze wytłumaczenie to fakt, że miała mury tynkowane na biało w odróżnieniu od większości łódzkich budynków fabrycznych. Ale przecież nie tylko ona jedna... Druga interpretacja, mniej znana i chyba mniej w końcu prawdopodobna, opiera się na specyfice produkcji zakładu: otóż produkowano tu głównie białe tkaniny, tzw. kartuny, które dopiero poddawano ozdabianiu w charakterystyczne dla perkalików kwiatki i inne esy-floresy.

Biała Fabryka to najstarszy kompleks architektoniczny Łodzi, jeden z najpiękniejszych zespołów architektury przemysłowej w Polsce. Ale piękna i oryginalna architektura gmachu to jeszcze nie wszystko. Fabryka Ludwika Geyera to miejsce, gdzie dokonana się na gruncie łódzkim (a może nawet polskim?) pierwsza rewolucja przemysłowa. Dosłownie!

Geyer kupił już w roku 1833 prasę wałową do druku tkanin barwnych. Pierwszą w Łodzi i w całym Królestwie Polskim. W roku 1835 Geyer – wówczas już niekwestionowany „król perkalikowych tkanin” rozpoczyna budowę przędzalni mechanicznej i tkalni. Właśnie „białej fabryki”, konkretnie jej zachodniego skrzydła, wzdłuż Piotrkowskiej. W roku 1839 uruchomiono „u Geyera” pierwszą maszynę parową w Łodzi o mocy 60 KM. Dawiała możliwość

przerobu czterech tysięcy funtów przędzy w ciągu godziny, współpracowało z nią 180 krosien mechanicznych i 14 maszyn pomocniczych. Na owe czasy – potęga! Wkrótce powstało najpiękniejsze, południowe skrzydło zwrócone w kierunku stawu – rozlewiska rzeki Jasień.

Uważni widzowie *Ziemi obiecanej* Andrzeja Wajdy zauważyli – być może – iż jedna ze scen filmu (rozmowa między Maksem Baumem i jego ojcem) rozgrywa się w hali białej fabryki. Mylilby się jednak ktoś, kto z tego faktu chciałby wysnuć wniosek, że prototypem starego Bauma mógłby być Ludwik Geyer. Pionier i odważny nowator nie miał w sobie nic z sentymentalizmu bohatera Reymonta i Wajdy. Był raczej ojcem duchowym Borowieckiego, jego dwóch przyjaciół i innych „lodzermenschów” sportretowanych w powieści i filmie.

Jesteśmy zatem w „białej fabryce”, tak opisywanej w 1841 przez burmistrza Łodzi K. Tangermanna: „Jest to zakład pierwszy w kraju, zaprowadzony na sposób angielski, dotąd w północnych krajach Europy jeszcze na taką skalę nie rozwinięty”.

Miejmy nadzieję, że czcigodny burmistrz znalazł się na włókiennictwie lepiej niż na geografii („północna Europa”?).

Wróćmy w nasz wiek dwudziesty: Muzeum rozwija się dzięki grupie entuzjastów. Wspomniana już Krystyna Kondratiukowa, wspomagana przez Adama Nahlika i wielu innych, uruchamia kolejne działy. Pieniądze daje bogate wtedy Ministerstwo Przemysłu Lekkiego. Krystalizuje się profil programowy – zbiór muzealny obejmuje zabytki techniki, tkaniny, dokumenty. Określając bliżej usytuowanie Muzeum w ministerialnej klasyfikacji jako „techniczno-historyczne” Kondratiukowa pisze: „[...] koncepcja ta wyraźnie podkreśla humanistyczno-techniczny charakter muzeum [...] i jego historyczny kierunek. Obejmowała ona całość zagadnień włókiennictwa”.

Nie wszystko jednak daje się przewidzieć. Oto w latach sześćdziesiątych następuje prawdziwy wybuch niezwykłego zjawiska w dziedzinie sztuk plastycznych: polska tkanina artystyczna. Jej światowe powodzenie wymaga dokumentalizacji, jej znakomite realizacje muszą znaleźć miejsce w stałej, najlepiej muzealnej ekspozycji. Pytanie: „któż jak nie Muzeum Historii Włókiennictwa?” staje się pytaniem retorycznym. Oczywiście, tylko łódzkie muzeum, które zresztą wkrótce „[...] nie przestając być »techniczne« a będąc – jak wszystkie inne muzea w Polsce i na świecie – »historyczne«, stało się również artystyczne”. (Za N. Zawiszą, *Muzealnictwo* 1996)

Uwspółcześnienie profilu Muzeum w dziedzinie ekspozycji i dokumentacji tkaniny artystycznej spowodowało też modyfikację jego nazwy. Dziś nazywa się Muzeum Włókiennictwa (a więc nie tylko „Historii Włókiennictwa”).

Zostańmy przy najatrakcyjniejszej wizualnie części działalności muzeum: przy Dziale Tkaniny Artystycznej. Zbiory tkaniny artystycznej powstałej po roku 1945 liczą ok. 1500 obiektów. To najwspanialsze dzieła polskich tkaczy.

Spotkamy tu nazwiska najznakomitszych: Magdaleny Abakanowicz, Wojciecha Sadleya, Jolanty Owidzkiej, Marii Chojnackiej, Urszuli Plewki-Schmidt. Tę listę znakomitości kontynuuje dyr. Norbert Zawisza: J. Łukomski, E. Bochdziewicz, B. Falkowska, Wł. Cygan, K. Frymark-Błaszczyk, A. Starczewski, B. Tomaszewicz, J. Rudzka-Habisiak, Z. Butrymowicz, M. Gąsiennica-Szostak, W. Jaskółka, A. Rajch, J. Pierzgałska, J. Stępak, S. Popławski. „Wymieniając tylko tych twórców mam świadomość krzywdy, jaką wyrządzam wielu pominiętym” – dodaje Zawisza.

Nie trzeba dodawać, że ten dział muzeum jest też najbardziej ekspansywny wystawienniczo – jego wystawy biją rekordy frekwencyjne zarówno w pomieszczeniach własnych, jak i w wielu miejscach w kraju i na świecie, żeby wymienić tylko Międzynarodowe Biennale Tkaniny w Lozannie, Międzynarodowe Triennale Tkaniny w Łodzi czy Międzynarodową Wystawę – Konkurs Tkaniny w Kioto.

Na drugim miejscu pod względem atrakcyjności wizualnej plasuje się Dział Odzieży Dawnej i Współczesnej – pokaźna kolekcja odzieży i akcesoriów stroju. Ten najmłodszy dział muzeum zawiera zbiór prezentujący główne tendencje mody od pierwszych lat XIX w.

Kolekcję oryginalnych strojów uzupełniają zbiory materiałów ikonograficznych: rzadkie miedzioryty, nawet porcelana. Zbiór strojów dwudziestowiecznych nie wymaga ikonograficznego wsparcia: bogaty zestaw sukien z lat dwudziestych, prawdziwy rarytas: oryginalna suknia pierwszego polskiego dyktatora mody Bogusława Hersego! W tymże dziale archiwum projektów, dokumentacji rysunkowej i fotograficznej itd. I kolejny rarytas: odzież i akcesoria stroju mistrza Antoine Cierplikowskiego a także fotografie sławnych kobiet, które mistrz czesał.

Nie tak widowiskowy, ale imponujący wielkością zbiorów Dział Tkaniny Przemysłowej prezentuje m. in. księgi próbek (musterbuchy), kolekcje fabryczne, archiwa produkcji i archiwa projektów. Dokumentują te zbiory osiągnięcia produkcyjne jak również projektowe fabryk polskich, głównie łódzkich jak Geyera, Scheiblera i Grohmana, Kindermana, Poznańskiego, Finstera i Szwejkerta, Kruschego i Endera (Pabianice), Borsta (Zgierz) i Schlossera (Ozorków).

Dział Tkaniny Ludowej – starając się nie konkurować z Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym – unika gromadzenia odzieży ludowej, ograniczając się do kolekcjonowania kilimów, dywanów, tkanin nicielnicowych. Ciekawostką jest zespół tkanin z dawnych ziem polskich, obecnie należących do Litwy i Białorusi.

W dziale Tkaniny Zabytkowej i współczesnej spotykamy bogaty zespół pasów jedwabnych. Są w nim pasy indyjskie, perskie, tureckie (najstarsze z przełomu XVII i XVIII w.) Obok pasów dumą działu jest zbiór ponad dwustu kilimów polskich od drugiej połowy XVIII w. do współczesności.

Jeżeli czytelnik tego krótkiego opisu zbiorów Centralnego Muzeum Włókiennictwa nabrałby ochoty na oglądanie dawnych maszyn włókienniczych, to się – niestety – rozczaruje. Nawet jeśli wpadłby mu w ręce niemieckojęzyczny przewodnik turystyczny, który stwierdza, że takie zbiory w muzeum są ekspozowane. Nie są! Winni są – oczywiście, Fenicjanie którzy nie wymyślili dostatecznej ilości pieniędzy, za które CMW mogłoby dokończyć kapitalny remont hali ekspozycyjnej. A szkoda! Nie zobaczymy zatem w najbliższej przyszłości ani krosna z XII w. ani modelu skrętkarki zaprojektowanej przez Leonarda da Vinci, ani też rewelacyjnej niegdyś przędzarki „Jenny” z której snuło się czterdzieści nitek jednocześnie ...

Zajmujący się tymi cudami ubiegłowiecznej i starszej techniki Dział Historii Techniki i Technologii Włókienniczych skrzętnie gromadzi i opracowuje próbki surowców, narzędzia i maszyny, ale planowe kolekcjonerstwo maszyn i tak w warunkach naszego muzeum jest wręcz niemożliwe. Toteż z rozmysłem muzealnicy łódzcy skupiają się na maszynach służących do przerobu bawełny, tak typowych dla „polskiego Manchesteru”.

Wreszcie dział historii włókiennictwa. Oddaję jeszcze raz głos dyrektorowi Norbertowi Zawiszy: „[...] zajmuję się przede wszystkim refleksją naukową nad włókiennictwem polskim, a bardziej szczegółowo, Łodzi i okręgu łódzkiego. Od lat kontynuowane są prace nad słownikiem – indeksem polskich zakładów włókienniczych.

Dział gromadzi też materiały o charakterze muzealno-archiwalnym: przekazy ikonograficzne, zabytki kultury materialnej cechów (skrzynie cechowe, sztandary, pieczęcie), dokumenty gospodarcze dotyczące manufaktur, fabryk i zakładów przemysłowych a także ludzi, którzy w nich pracowali. Dział zgromadził największą w Polsce kolekcję papierów wartościowych spółek włókienniczych i innych instytucji związanych z włókiennictwem: przed kilku laty prezentowaliśmy ją na wystawie monograficznej. Od tamtej pory zbiory znacznie się rozrosły”.

Muzeum prowadzi różnorodną działalność popularyzatorską. Spotkania, odczyty, seanse filmowe i video oraz lekcje dla młodzieży szkolnej cieszą się łączną frekwencją osiągającą przeszło 65 tys. rocznie. W liczbie tej są oczywiście odwiedzający stałe i okresowe ekspozycje muzealne. Daje to średnią frekwencję dzienną bliską 215 osób.

Muzealnicy z zadowoleniem odnotowują, że udział grup zorganizowanych i wycieczek obniżył się z 70 – 80 % sprzed lat kilku do 50 % widzów obecnie – oznacza to, że rośnie liczba ludzi oglądających wystawy, pokazy itp. z własnej i nieprzymuszonej woli, z wyboru. Jednocześnie oznacza to – niestety – spadek ilości młodzieży wśród odwiedzających ekspozycje.

Muzeum Włókiennictwa zorganizowało w latach 1995-98 jedenaście wystaw zagranicznych – od roku 1960 ok. 200! a jednocześnie sprowadziło, zaimportowało, by tak powiedzieć, 9 wystaw.

A jeśli o kontaktach zagranicznych mowa, to zawsze hitem, najlepszym naszym towarem eksportowym jest polska współczesna tkanina artystyczna. Nie bez powodu – jest to wszak uznana w świecie polska specjalność w sztukach plastycznych.

A „specjalność zakładu” Centralnego Muzeum Włókiennictwa w Łodzi? Oczywiście Triennale Tkaniny. Píše o nim z dumą kilkakrotnie już cytowany dyrektor Muzeum N. Zawisza: „[...] w ósmej edycji wzięło udział ponad 130 artystów z 47 krajów, a powierzchnia wystawy zajęła ponad 3 000 m<sup>2</sup>; zwiedziło ją ponad 21 tys. osób. Międzynarodowe Triennale Tkaniny w Łodzi jest w tej chwili największą na świecie wystawą sztuki tkackiej, porównywalną jedynie z Międzynarodowym Biennale Tkaniny w Lozannie i Międzynarodową Wystawą – Konkursem Tkaniny w Kioto”.



*Foto: Piotr Zdrzynicki*

## Poeci Łodzi

Jerzy Waleńczyk

### Bałuty wieczorem

Iść, iść ulicami Bałut,  
Tak przed laty tutaj Wandurski szedł.

Cierpki owoc nocy wisi w górze,  
Możesz go dotknąć, w palcach zgnieść.

Po deszczu nad czarną bizantyjską parasolką,  
Po herbatkach i odrzucaniu rady,

Po strachu i zaskoczeniu  
Jakże mogę stać się innym?

Kości cmentarzy śpiewają i kpią. Chwila  
Dla mnie, abym wybrał cokolwiek.

Ulice wloką się jak nasze życie,  
W niedzielę u Antka harmonia gra.

Kielkuje coś, czego nie dostrzegam.  
Zapomnij o kołysaniu lamp.

1959

Witold Wandurski

Od północy do świtu

(fragmenty)

Październik  
Ostatni owoc dojrzewa  
I spada.  
Za liściem liść kraży.  
Za liściem liść pada  
Czerwieni

Iść – iść – iść ulicami  
Zadumanymi nocami mądrej jesieni.  
Iść ulicami: Karola – Pańską – Radwańską –  
Hen – na Karolew.

.....  
Iść – iść – iść ulicami  
Sam  
Na Karolew – i dalej.  
Tam  
Gdzie kończy się Karolew,  
Za drewnianymi domkami  
Pole.  
Na prawo – łukowych lamp żyrandole:  
Dworzec Kaliski.  
Na lewo – noc.  
Staw pusty, martwy i śliski.  
A dalej kolejowe tory.  
Dwa semafony  
Na czele...



.....  
Śpi Łódź. Śpi Karolew  
Zamknięte podwoje bram.  
Nikt nie słyszy.  
Ja sam.  
I dzikie pole  
I noc.

.....  
Łódź dymi  
Sadze na twarzy – jak krosta  
Syrena śpiewa.  
Sadze na twarzy – jak krosty.  
Syrena śpiewa.  
Wierni do świątyń dążą.  
Idę radosny i prosty  
Za nimi.

1926

Eugeniusz Iwanicki

### ODWIEDZINY

Przychodzą do mnie często; młode szalapyty  
Pełne życia tamtego i głos ich mnie wabi:  
– Chodź – powiadają – młynarz otworzył stawidła  
I woda się podniosła przy młynie na Grabi.

Zatem wstaję ochoczo i biegnę przez łąkę  
Ku rzece, co swe cielsko meandrami krzywi.  
A to, że z umarłymi przestaję najczęściej,  
Od dawna pośród żywych nikogo nie dziwi.

1998

Eugeniusz Iwanicki

## NADZIEJA

A nocami mnie gwiazdy zrywają z pościeli,  
Bo ich światło sprowadza zapomniane cienie.  
I czuję dotyk dłoni, łowię głosów echa,  
I desek podłogowych pod stopą skrzypienie.

Więc w omamie półsennym szukam drogi wyjścia,  
Z nadzieją Bo ciągle jeszcze wierzę, że zaraz za drzwiami,  
Nie jesień na mnie czeka, ale drugie życie.  
hołubioną namiętnie i skrycie.

1998

Dorota Chróścielewska

\*\*\*

Krzyczałam w nocy Przyszli po mnie Zmarli  
ale nie mieli ramion żeby mnie przygarnąć  
Oczu ażeby spojrzeć Ust żeby przemówić  
Nie mieli medażyków szkaplerzyków krzyży  
bym mogła się utwierdzić że tam wierzą jeszcze  
Ani ciał by pocieszyć – ho ho wcale wcale  
Ni ubrań by nakłamać – w bardzo dobrym guście

Krzyczałam w nocy lecz nie mieli uszu  
i mnie nie posłyszeli

Maria Kępińska

## Naprzód bez wytchnienia

Władysław Strzemiński rzucił to hasło u progu swej twórczej drogi<sup>1</sup>. Już wówczas był artystą zdecydowanym tworzyć, rozwijać i propagować sztukę nowatorską, awangardową, czemu przez całe życie pozostał bezkompromisowo wierny.

Dla środowiska artystycznego Łodzi stał się po przełomie październikowym '56 roku, i jest wciąż, postacią kultową, a jego wszechstronne dzieło uosobieniem posagowości twórczej, symbolem nieodwracalności postępu w sztuce.

Malarz, teoretyk, nauczyciel, jak pisze Janina Ładnowska, „był twórcą absolutnym”.

Urodził się 21 listopada 1893 r. w Mińsku litewskim w polskiej rodzinie szlacheckiej. Jego ojciec był oficerem armii carskiej, wolą rodziców było, by poszedł w ślady ojca. Gdy miał 11 lat, został uczniem Korpusu Kadetów im. cara Aleksandra II w Moskwie, następnie rozpoczął studia w Wojskowej Szkole Inżynierskiej w Petersburgu, ukończył je w 1914. Wybuchła I wojna światowa, w której jako oficer saperów brał udział w walkach. Nocą z 6 na 7 maja 1916 roku na skutek wybuchu granatu w okopie został ciężko ranny. Amputowano mu prawie dwie trzecie prawego uda, ponad połowę lewego przedramienia, doznał urazu lewej gałki ocznej. Wojna uczyniła z niego inwalidę bez prawej nogi, lewej ręki, w lewym oku stracił prawie wzrok, miał w nim zaledwie poczucie światła.

Jako 22-letni kaleka w czasie leczenia i rekonwalescencji w Moskwie poznał siostrę miłosierdzia – śliczną i młodziutką maturzystkę z mieszanej rodziny rosyjsko-niemieckiej Katarzynę Kobro. Pragnęła być rzeźbiarką, opowiadała mu o swoich marzeniach. Być może to pod jej wpływem inwalida wojenny odnalazł sens i cel życia, a jego talent wyzwolił się nagle, by nie zamilknąć aż do kresu życia.

Strzemiński sztukę studiował bardzo krótko – w latach 1918–1919. W czasie pobytu w Rosji tworzył pod wpływem kubizmu, konstruktywizmu i suprematyzmu K. Malewicza, który później określał jako „kierunek ściśle przedmiotowy

---

<sup>1</sup> W. Strzemiński, *Pisma*, 1975, s. 10.

[...] posługujący się płaszczyznami barwnymi o charakterze geometrycznym<sup>2</sup>. W rewolucyjnej Rosji rewolucyjny ferment nowatorskiej sztuki budził entuzjazm. UNOWIS – Krzewiciele Nowej Sztuki – a wśród nich Strzemiński, apelowali: „Młodzieży Zachodu, Wschodu, Południa, podążajcie ku czerwonemu biegunowi nowej ziemi, albowiem płonie tu flaga nowej sztuki”<sup>3</sup>.

Zapał, wiara i nadzieja minęły szybko, większość twórców spod znaku awangardy opuściła Rosję udając się na Zachód, zaś sztuka została całkowicie podporządkowana celom partii komunistycznej.

Strzemiński wraz z żoną (wzięli ślub cywilny pod koniec 1921 lub na początku 1922 roku) opuścili Rosję. Po przejściu w 1922 r. granicy polskiej zostali aresztowani, odsiedzieli w areszcie kilka tygodni podejrzani o szpiegostwo, kiedy wypuszczono ich, udali się do Wilna, gdzie zamieszkali z matką malarza. Już w Wilnie Strzemiński rozpoczął współpracę z Awangardą Krakowską i jej czasopismem „Zwrotnica”. Odtąd datuje się jego długotrwała przyjaźń z Julianem Przybosiem, do którego o komunizmie napisał: „działa na sztukę wyjąłkując ją i jest wrogiem nie tylko nowych form sztuki, lecz wszelkiej sztuki w ogóle”<sup>4</sup>.

Od 1924 r., od kiedy osiedlili się w Polsce na stałe, szukali pracy i mieszkali tam, gdzie ona dla nich była. Gdy wyjechali z Wilna, najpierw zamieszkali w Szczekocinach nad Pilicą, potem w Brzezinach, Żakowicach, Koluśkach, a od jesieni 1931 roku w Łodzi. (Wśród innych znane są powstałe tutaj *Pejzaże łódzkie*).

W 1924 r. byli współzałożycielami Grupy Kubistów i Konstruktywistów BLOK, wystąpili z niej w 1926.

Z tego czasu wywodzą się początki unizmu, teorii stworzonej przez Strzemińskiego, i jego obrazów unistycznych: „Unizm malarstwa wymaga jednogodności elementów obrazu [...]. Obraz powinien być jednolity i płaski”<sup>5</sup>.

Teoretyczna idea unizmu zmaterializowała się w malarstwie. Do 1934 roku powstało osiem niezwykle, oryginalnych, niepowtarzalnych, fakturowych obrazów unistycznych. Dążąc do przekształcenia formy w wartość niezależną, Strzemiński odrzucił wszelki kontrast, stworzył jednorodną reliefową fakturę powierzchni, która wykluczała powstanie jakichkolwiek napięć pomiędzy kształtem a kolorem. Obrazy te doskonale przedstawiają nic: „Dzieło sztuki plastycznej nie przedstawia nic. Dzieło sztuki nie jest znakiem czegokolwiek. Ono jest [istnieje] samo przez się”<sup>6</sup>.

---

<sup>2</sup> Tamże, s. 8.

<sup>3</sup> Za: J. Ładnowska, *Budowniczego dzieło otwarte*, [w:] *Władysław Strzemiński. 1983 – 1952. W setną rocznicę urodzin*. Muzeum Sztuki, Łódź 1993, s. 24.

<sup>4</sup> Tamże, s. 17.

<sup>5</sup> W. Strzemiński, *Pisma*, 1975, s. 49.

<sup>6</sup> Tamże, s. 17.

Dalej już w abstrakcyjności nie mógł pójść, bo „obraz unistyczny coraz bardziej pozbawiony kontrastów przestaje w końcu istnieć.”<sup>7</sup>

Strzemiński konsekwentnie wiązał sztukę i jej teorię, swoją postawę zawarł w słowach: „Opisowość obrazu jest błędem. Naturalizm w malarstwie jest błędem. Celem jest harmonia formy samej dla siebie”<sup>8</sup>.

W pierwszej połowie 1926 r. Strzemiński wraz z Kbro współtworzyli grupę „Praesens”, do której należeli do roku 1929, kiedy to późną jesienią sformowali nową grupę: „a.r.” – awangarda rzeczywista, do której należeli m.in.: malarz H. Stażewski i poeci J. Przyboś i J. Brzękowski. Równolegle do działalności twórczej i teoretycznej zajmowali się propagowaniem sztuki, rozpowszechnianiem druków awangardy polskiej i zbieraniem dzieł do kolekcji sztuki nowoczesnej. Wydali książkę *Kompozycja przestrzeni. Obliczenia rytmu czasoprzestrzennego*.

Z lat 1926–29 pochodzi seria 17 nowatorskich obrazów – „kompozycji architektonicznych”. Ich forma zredukowana została do rytmów podziału płaszczyzny opartego na stosunkach liczbowych, wynikających z systemu obliczeń skalającego wszystkie elementy konstrukcji obrazu. Kompozycje te mają przeto znakomicie wyważone proporcje i kształty, zachwycają prostotą. Obrazy architektoniczne uznawane są za inną wersję unizmu.

Od 1929 r. trwały pertraktacje z Magistratem miasta Łodzi, by stworzono warunki i przyjęto „Międzynarodową kolekcję sztuki nowoczesnej”. W lutym 1931 r. otwarto w miejskim Muzeum Sztuki salę sztuki nowoczesnej, umowę o przekazaniu depozytu grupy „a. r.” podpisał Przemysław Smolik. 25 maja 1932 r. Strzemiński otrzymał Nagrodę Miasta Łodzi, co wywołało oburzenie i protesty środowisk tradycjonalistycznych. Artysta w drugiej połowie lat trzydziestych kontynuuje prace związane z malarstwem, projektowaniem druku i wydawnictw, dużo pisze. Przychodzi mu też bronić osiągniętych już pozycji sztuki awangardowej, bowiem coraz bardziej znaczące miejsce zajmują w Polsce kapiści.

Jeszcze w 1939 r. ukazuje się siódmy, ostatni numer Biblioteki „a. r.” Strzemińscy po wybuchu II wojny światowej uchodzą przed hitlerowcami z Łodzi do Wilejki, tam pod okupacją sowiecką usiłują przetrwać przez 9 miesięcy. Rzeźbiarka K. Kbro wspominała: „On uczył w gimnazjum. Kiedy było ślisko, niczym koń woziałam go na sankach”<sup>9</sup>. W połowie maja 1940 wrócili do Łodzi. W czasie okupacji Strzemiński wykonał cykle rysunków: *Deportacje*, *Wojna domom*, *Twarze*, *Pejzaże i martwe natury*, *Tanie jak błoto*. Niemcy jego twórczość jak i całą kolekcję sztuki nowoczesnej uznali za „Entartete und jüd-

<sup>7</sup> S. Krygier, *Do solaryzmu*, [w:] A.S. P. Zeszyty 1/98, s. 6.

<sup>8</sup> W. Strzemiński, *Pisma*, 1975, s. 144.

<sup>9</sup> Nika Strzemińska, *Miłość, sztuka i nienawiść. O Katarzynie Kbro i Władysławie Strzemińskim*, Warszawa, 1991, s. 53.

ische Kunst". Katarzynie Kobro udało się przed zniszczeniem uratować jego obrazy, które przechowywali w piwnicy. Żyli w bardzo ciężkich warunkach, ona szyła szmaciane lalki i zwierzątka, on malował pocztówki i portrety z fotografii, razem produkowali torby z dykty, on malował na nich kwiaty, a ona podszywała płótno. Cierpieli głód i zimno. Urodzona w 1936 r. córka Nika Strzemińska wspomina, że kiedyś po awanturze z ojcem matka porąbała na opał swoje drewniane rzeźby. Co wówczas musiała przeżywać?<sup>10</sup> Podczas okupacji podpisali „rosyjską listę”, byli traktowani jak antykomunistyczni Rosjanie. Po wojnie Strzemiński załatwił dla siebie rehabilitację, a Kobro groziło więzienie, musiała udowodniać swoją niewinność.

Władysław Strzemiński był jednym z inicjatorów Wyższej Szkoły Sztuk plastycznych (później PWSSP, obecnie ASP) w Łodzi. W początku roku akademickiego 1945 został zatrudniony jako kontraktowy zastępca profesora. Uczył historii sztuki, zasad formy, grafiki funkcjonalnej, liternictwa. Z tego roku pochodzi cykl kolaży *Moim przyjaciółom Żydom*, które przekazał do Instytutu Yad Vashem w Jerozolimie.

W WSP w Łodzi stał się najbardziej znaczącą postacią: pisał nowatorskie programy edukacyjne, skupiał wokół siebie studentów, którzy podziwiali go i kochali odcisnął na nich niezatarte piętno. Znane w środowisku plastycznym stało się jego stwierdzenie: „Złym jest malarz, który cały czas robi jednako- wym ruchem ręki. Oko powinno być nie w mięśniach, lecz na końcu pędzla”<sup>11</sup>.

Zaprojektował w 1948 r. salę neoplastyczną w Muzeum Sztuki w Łodzi, gdzie wystawione zostały obrazy Strzemińskiego i Kobro подарowane w 1945 r.

Rozświetlane słońcem i nasycone barwą nieregularne plamy, skontrastowane z linią – *Powidoki*, pochodzące z lat 1948-49, to ostatni cykl obrazów, które zadziwiają oryginalnością i pięknem. Są to tak zwane obrazy solarystyczne, stanowiące jakby syntezę doświadczeń malarskich Strzemińskiego. W *Powidokach* dominuje światło i kolor, który powstaje po wpatrywaniu się w bardzo silne źródło światła, w słońce, a po zamknięciu powiek pozostaje w oku, zaś kształt zmienia barwę. Obrazy solarystyczne zawierają silne kontrasty kolorów i walorów, geometrii i płynnych konturów, a układy plam i linii wynikają z analizy płaszczyzny i przestrzeni. Kiedy powstawały, sztuce polskiej narzucano socrealizm.

Strzemińskiego oskarżono o „formalizm” i w „trybie pilnym” wyrzucono z pracy, zwolnienie podpisał 19 stycznia 1951 roku okryty niesławą Włodzimierz Sokorski. „Właściwą” uchwałę podjęła uczelniana POP PZPR. Żaden ślad tego, dramatycznego i tragicznego w konsekwencjach, wydarzenia nie pozostał w dokumentacji łódzkiej ASP, w księdze protokołów usunięto hańbiące zapisy. Po prostu brakuje kartek. Zrobiono to zapewne po październiku '56

---

<sup>10</sup> Tamże, s. 63.

<sup>11</sup> W. Strzemiński, *Pisma*, 1975, s. 36.



roku. Nigdy nie będzie wyjaśnione, kto jaką naprawdę odegrał rolę w zniszczeniu Strzemińskiego, skazując go na nędzę i poniżenie, zapomnienie, odebranie mu należnej godności. *Żniwiarki, Kłosa, Malorolni* – to próba podjęcia tematów socrealistycznych, w nich jednak nie sprzeniewierzył się artysta ideałom awangardowej formy. Wyrzucono go również z oddziału łódzkiego Związku Plastyków.

Od września 1951 r. uczył, mając kilka godzin tygodniowo, w Wieczorowym Technikum Poligraficznym. Głódował.

26 II 1951 r. zmarła jego żona – rzeźbiarka Katarzyna Kobro.

Usiłował pracować przez krótki czas jako dekorator wystaw sklepowych. Chory na gruźlicę, od października 1951 r. przebywał w szpitalu, pisał *Teorię widzenia*, której już nie dokończył. Studenci w tajemnicy przepisywali ją na maszynie i czytali.

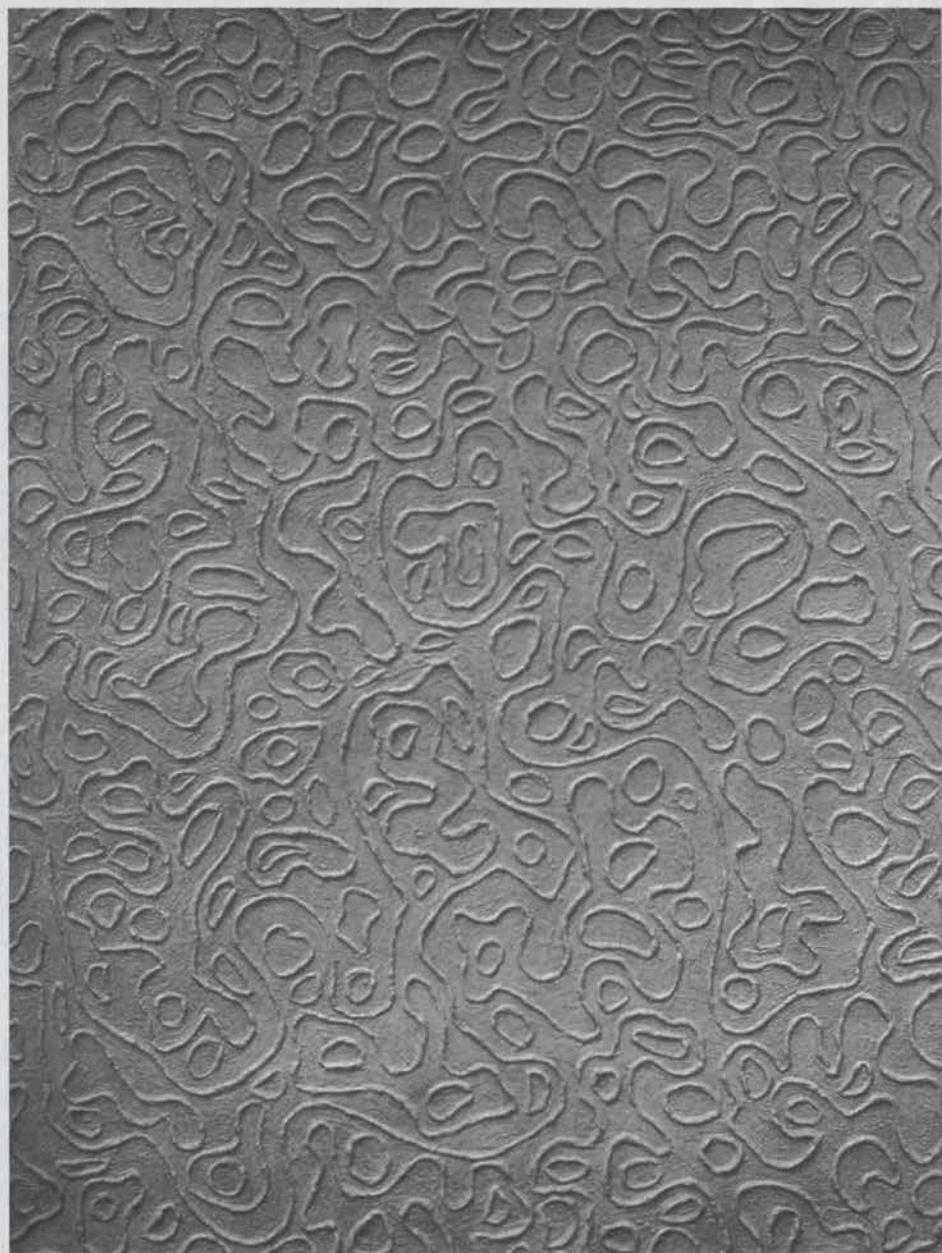
Umarł w nędzy 26 grudnia 1952 r.

A jednak... Jego było „za grobem zwycięstwo”.

W czasach odwilży jego twórczości nadano ogromną rangę. Ekspozowano dzieła w kraju i za granicą. Wydano w 1958 r. *Teorię widzenia*. W 1960 przystąpiono do rekonstrukcji, zamalowanej w 1950, sali neoplastycznej w Muzeum Sztuki. W roku akademickim 1963/64 w PWSSP odsłonięto tablicę pamiątkową ku jego czci. Postawiono na koszt miasta pomnik na jego grobie. Wydano w 1975 r. *Pisma*. 22 kwietnia 1988 roku PWSSP nadano jego imię. Podziw i fascynacja nie słabną. Artystyczna biografia, dorobek twórczy ukazują, jak wielkiej miary był to artysta. Spod jego twierdzeń i wizji artystycznych trudno się uwolnić, zaciążyły dalece na współczesnej sztuce i krytyce, nawiązującej do tradycji, racji bytu i wartości: „Odtwarzanie form świata istniejących jest – odtwarzaniem, nie zaś twórczością – nie jest przeto sztuką”<sup>12</sup>.

---

<sup>12</sup> Tamże, s. 10.



*W. Strzemiński – Kompozycja unistyczna 12*

Tadeusz Bogalecki

## Rozbrajanie Niemców w Łodzi w listopadzie 1918 roku

Na początku listopada 1918 r. gwałtownie zwiększyła się aktywność łódzkich ogniw polskich partii oraz organizacji społecznych i paramilitarnych. Zdecydowały o tym przede wszystkim docierające do miasta informacje o przejawach ostatecznej klęski państw centralnych, opanowaniu przez Polaków Krakowa i Piotrkowa, niepodległościowych przedsięwzięciach Rady Regencyjnej, utworzeniu Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej w Lublinie i o wydarzeniach rewolucyjnych w Niemczech. Działacze łódzkich stronnictw politycznych uznali te wiadomości, zwłaszcza ostatnią, za sygnał do finalizowania przygotowań mających na celu przejęcie władzy w mieście.

Dużą rolę w inspirowaniu i koordynowaniu tych przedsięwzięć próbowała odegrać Rada Miejska, która popierała program Rady Regencyjnej zapowiadający utworzenie niepodległego państwa, powołanie nowego rządu i rozpisanie wyborów do Sejmu. 6 listopada 1918 podjęła ona własną uchwałę popularyzującą i interpretującą te postulaty. Rozpowszechniono ją następnego dnia w formie odezwy do mieszkańców. Wzywała ona do wstępowania w szeregi armii polskiej, zapisywania się na pierwszą pożyczkę państwową i do godnej postawy w przełomowych dla kraju dniach. Przede wszystkim jednak jej autorzy żądali zwołania do Warszawy Sejmu składającego się z posłów reprezentujących wszystkie dzielnice Polski – wybranych na zasadzie 5-przymiotnikowego głosowania bez różnicy płci oraz natychmiastowego uwolnienia Józefa Piłsudskiego i pozostałych więźniów politycznych.

Za powyższą koncepcją pokojowego przejęcia władzy w Polsce przez organa Rady Regencyjnej opowiadały się przede wszystkim kierownictwa łódzkich ogniw Zjednoczenia Narodowego (ZN), Stronnictwa Chrześcijańsko – Demokratycznego (SCHD), Związku Budowy Państwa Polskiego (ZBPP) i Narodowego Związku Robotniczego (NZR). Aktywnie wspierały one wszystkie przedsięwzięcia w tym zakresie inspirowane przez nadburmistrza Leopolda Skulskiego. Zdecydowanymi przeciwnikami przejęcia władzy w Polsce przez organa Rady Regencyjnej były łódzkie ogniwa partii lewicy niepodległościowej: Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS), opozycji robotniczej PPS-Lewicy, Stronnictwa Niezawisłości Narodowej (SNN) i Polskiego Stronnictwa Ludowego (PSL). Po nadejściu do Łodzi informacji o utworzeniu Tymczasowego

Rządu Ludowego Republiki Polskiej w Lublinie ich działacze stali się na terenie miasta czołowymi rzecznikami tego ośrodka władzy.

Największą aktywność w tym zakresie przejawiało kierownictwo miejscowego ogniwa SNN. 10 listopada 1918 r. o godz. 12.00 zorganizowało ono w sali koncertowej Filharmonii przy ulicy Dzielnej (obecnie Narutowicza) otwarte zebranie informacyjne o programie rządu Ignacego Daszyńskiego. Podczas tego zgromadzenia przemawiali również przedstawiciele PSL i PPS. Do głosu nie dopuszczono natomiast członków SDKPiL i PPS-Lewicy, którzy ograniczyli się w tej sytuacji do rozrzucenia odezw nawołujących do tworzenia rad robotniczych i włościańskich.

Po wiecu uformował się pochód. Na jego czele szli członkowie Polskiej Organizacji Wojskowej (POW), którzy nieśli sztandar i portret Piłsudskiego. Za nimi maszerowali pepeesowcy. Do czołówki tej dołączyło około 2 tys. osób.

Mimo stosunkowo niewielkiej liczby uczestników powyższego wiecu i pochodu, znaczenia politycznego i rezonansu społecznego tych wydarzeń trudno byłoby nie docenić. Działacze niepodległościowi twierdzili wręcz, że w następstwie tych manifestacji nastroje ludności tak się zradykalizowały, iż kierownictwa polskich partii i organizacji paramilitarnych zaczęły finalizować przygotowania do przejęcia władzy w Łodzi.

Faktycznie jednak decydującą rolę w tym zakresie odegrały informacje o utworzeniu w Łodzi niemieckiej Rady Żołnierskiej. Mieczysław Pęczkowski, zastępca komendanta łódzkiego okręgu POW twierdził, iż „...Wywiad doniósł, że już w dniu 8 XI powstała w garnizonie Łódź Rada Żołnierska – Soldatenrat, do której wchodził, jako przedstawiciel, z każdego plutonu 1 żołnierz (z wykluczeniem sierżantów i wicesierżantów) i która obraduje prawie stale w lokalu Soldatenheimu pod przewodnictwem st. szer. Hahna kupca z Katowic”. Tematem obrad była kwestia powrotu do kraju na skutek wiadomości otrzymywanych z frontu wschodniego i Niemiec. Podany do wiadomości komendy okręgu oraz organizacji dowborczyków fakt utworzenia Rady Żołnierskiej i temat jej obrad wywołał natychmiastową mobilizację wszystkich możliwych sił dla rozbrojenia.

Większość autorów publikacji nawiązujących w różnym stopniu do wydarzeń listopadowych 1918 roku w Łodzi podobnie ocenia znaczenie faktu powstania niemieckiej Rady Żołnierskiej. Zazwyczaj jednak podają oni, że organ ten ukonstytuował się 10 listopada 1918 r. Wydawałoby się, że najbardziej wiarygodną datę zawiera wspólna odezwa niemieckiej Rady Żołnierskiej i Łódzkiego Okręgowego Komitetu Robotniczego PPS. W dokumencie tym zaznaczono, że rada została utworzona za zgodą całego niemieckiego garnizonu 11 listopada 1918 r.

Jej działalność osłabiła dyscyplinę w oddziałach okupacyjnych, tym samym dezorganizując system administracji wojskowej i cywilnej w Łódzkim Gubernatorstwie Wojennym. Doszło do paradoksalnej sytuacji: mimo stałego

napływu do miasta żołnierzy niemieckich, ściąganych z pobliskich miejscowości, garnizon łódzki stawał się coraz mniej dyspozycyjny.

Po ukonstytuowaniu się Rady Żołnierskiej, jako najwyższej władzy wojskowej w Łodzi, jej członkowie i zwolennicy ozdobili swoje mundury czerwonymi kokardami. W większości pododdziałów oficerom zdarto epolety. Fakty te jednoznacznie świadczyły o załamywaniu się systemu wojskowego posłuszeństwa w garnizonie łódzkim.

Coraz więcej żołnierzy niemieckich żądało od swoich przedstawicieli i przełożonych przyspieszenia przygotowań do wyjazdu z Polski. Chcieli jednak powracać bezpiecznie. Niektórzy z nich podczas rozmów z Polakami odgrązali się nawet, że wystąpią z bronią w rękę w przypadku ataku członków polskich organizacji.

W tej sytuacji nadburmistrz Leopold Skulski i działacze popierających go miejscowych ogniw politycznych uznali ewentualne zbrojne wystąpienie przeciwko Niemcom za ostateczność. W dalszym ciągu uważali oni, że okupanci dobrowolnie prześlą Polakom władzę w mieście.

Rzecznicy powyższego stanowiska, uwzględniając jednak gwałtownie narastające i uzewnętrzniające się nastroje niepodległościowe w Łodzi, spotkali się wieczorem 10 listopada 1918 r. na naradzie w siedzibie Magistratu na Nowym Rynku (obecnie Plac Wolności). Uczestniczyli w niej również przedstawiciele POW oraz organizacji byłych legionistów i dowborczyków. Podczas konferencji postanowiono powierzyć kierownictwo ewentualnej akcji zbrojnej gen. Suryn-Masalskiemu. Jego sztabem miała być utworzona Komenda Siły Zbrojnej.

Z dostępnych danych wynika, że działacze POW przystępując do tego organu chcieli stopniowo podporządkować sobie stowarzyszenia paramilitarne utrzymujące ścisłe kontakty z ogniwami Polskiej Siły Zbrojnej (PSZ) i Magistratem. Komendant łódzkiego okręgu tej organizacji Stanisław Skwarczyński twierdził nawet, że kilka dni wcześniej uzgodnił plan antyniemieckiego wystąpienia zbrojnego w Łodzi z Aleksandrem Napiórkowskim – przewodniczącym Okręgowego Komitetu Robotniczego PPS, byłym żołnierzem I Brygady Legionów oraz z Edwardem Pfeifferem – aktywnym członkiem Związku Oficerów i Żołnierzy byłych Legionów Polskich, ściśle współpracującym z miejscowymi ogniwami organizacji harcercskiej. Po zakończeniu akcji zamierzał on oddać dowództwo nad uczestniczącymi w niej organizacjami najstarszemu w Łodzi wojskowemu – gen. Suryn-Masalskiemu, zachowując sobie funkcję szefa sztabu. Stanisław Skwarczyński twierdził również, że uzgodnione wówczas wystąpienie zbrojne zamierzono rozpocząć rankiem 12 listopada 1918 r.

Powyższy termin utrzymano na wspólnej naradzie przedstawicieli POW, Pogotowia Bojowego Partii Socjalistycznej oraz związków byłych legionistów i dowborczyków, która odbyła się 10 listopada 1918 r. Podjęto również decyzję o postawieniu w stan gotowości wszystkich członków wymienionych organizacji. Miejscem koncentracji peowiaków, legionistów i dowborczyków miała być remiza strażacka przy ulicy Przejazd (obecnie Juliana Tuwima). Na miejsce zbiórek bo-

jowców PPS wyznaczano herbaciarnie i punkty wydawania posiłków, prowadzone przez ogniwa tej partii przy ulicach św. Andrzeja (obecnie Andrzeja Struga), Pustej (obecnie Stanisława Wigury) i Nowozarzewskiej (obecnie Zarzewska).

Do walki z Niemcami intensywnie przygotowywali się również działacze łódzkich ogniw NZR. 10 listopada 1918 r. o godz. 10.00 spotkali się oni na naradzie zorganizowanej przez miejscowe kierownictwo tej partii w lokalu Związku Robotników Przemysłu Włóknistego „Praca” przy ulicy Wólczańskiej 139. Podczas konferencji podjęto decyzję o nawiązaniu kontaktu z polskimi organizacjami politycznymi i paramilitarnymi w celu uzgodnienia z nimi planu wspólnego wystąpienia zbrojnego. Nadzór nad całością przygotowań NZR do akcji rozbrojenia Niemców powierzono Bolesławowi Fichnie. Wymienił on informacje ze znanymi sobie legionistami, peowiakami i dowborczykami.

Działacze NZR spotkali się również z por. Dunin-Wąsowiczem, kierownikiem łódzkiego biura werbunkowego do PSZ. Radził on jednak czekać na rozkazy płk Jasińskiego, który od 10 listopada formował załóżki łódzkiego pułku piechoty. Por. Dunin-Wąsowicz oświadczył ponadto, że zapowiadany transport broni z Piotrkowa został zatrzymany przez Niemców. Niepowodzeniem zakończyło się spotkanie przedstawicieli PPS, SchD, ZN i NZR zorganizowane w nocy z 10 na 11 listopada 1918 r. w siedzibie Związku Robotników Przemysłu Włóknistego „Praca”. W tej sytuacji kierownictwo miejscowych organów NZR utworzyło odrębną Komendę Bojową oraz ogłosiło mobilizację członków organizacji wojskowej. Na miejsce zbiórek wyznaczono lokale przy ul. Wólczańskiej oraz herbaciarnie na Rokiciu i Widzewie.

Mobilizacja członków łódzkich ogniw polskich organizacji paramilitarnych całkowicie zakończyła się dopiero wieczorem 11 listopada 1918 r. Do miejsc koncentracji oraz do działających już oddziałów i patroli zgłosiło się około 500 peowiaków, ponad 150 bojowców NZR oraz po kilkudziesięciu członków Związku Wojskowych I, II, III Korpusów Wojsk Polskich, Związku Oficerów i Żołnierzy byłych Legionów Polskich, Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, Skautów i Pogotowia Bojowego PPS. Przyłączyli się do nich liczni ochotnicy, głównie młodzież szkolna i robotnicza, oraz członkowie pododdziałów Królewsko-Polskiej Straży Skarbowej. Z powyższych, w większości szacunkowych danych wynika, że w akcji rozbrajania Niemców i przejmowania władzy w Łodzi uczestniczyło ponad tysiąc Polaków.

Ich przeciwnicy, kilka tysięcy żołnierzy niemieckich, byli dobrze uzbrojeni i wyszkoleni. Oprócz broni ręcznej posiadali karabiny maszynowe. Ich morale było jednak niskie. Większość uznawała jedynie autorytet Rady Żołnierskiej, która dążyła przede wszystkim do bezpiecznego powrotu oddziałów garnizonu do Niemiec.

Powyższa sytuacja sprzyjała coraz liczniejszym wystąpieniom antyniemieckim, które zapoczątkowały proces rozbrajania policjantów i żołnierzy niemieckich w Łodzi. Wyodrębniają się w nim następujące trzy etapy:

I – spontanicznego rozbijania pojedynczych żołnierzy niemieckich;

II – akcji zbrojnej polskich organizacji paramilitarnych;

III – konstruktywnych negocjacji, które doprowadziły do całkowitego rozbiora i ewakuacji garnizonu niemieckiego.

W pierwszym etapie, trwającym od godzin wieczornych 10 listopada do godziny 18.30 następnego dnia, spontanicznie uczestniczyła młodzież robotnicza, a później przede wszystkim młodzież szkolna. Rozbrajała ona pojedynczych policjantów i żołnierzy niemieckich. Akcja ta stopniowo przemieszczała się z peryferii miasta ku centrum.

W drugim etapie, trwającym od godziny 18.30 do 22.00 11 listopada, główną rolę odegrały bojówki i oddziały Organizacji Wojskowej Narodowego Związku Robotniczego, Polskiej Organizacji Wojskowej, Związku Dowoborczyków, Związku Oficerów i Żołnierzy byłych Legionów Polskich oraz Pogotowia Bojowego PPS.

Akcję zbrojną rozpoczęły grupy Pogotowia Bojowego PPS (PB PPS) skoncentrowane w Śródmieściu. Jedna z nich już o godz. 18.45 rozbroiła na rogu ulic św. Andrzeja (obecnie Andrzeja Struga) i Długiej (obecnie Gdańska) pięciosobowy patrol wojskowy. Zdobyte karabiny i sprzęt wojskowy przekazano do Komendy Siły Zbrojnej (KSZ). Przebywał tam dowódca łódzkiej ogniw PB PPS, który uczył zgłaszających się robotników posługiwania się bronią. KSZ kierował początkowo por. Biłyk. Następnego dnia dokonano podziału funkcji. Działem operacyjnym kierowali odtąd kpt. Kudaj (dowoborczyk) i por. Stanisław Skwarczyński (peowiak). Za dział polityczny byli odpowiedzialni por. Biłyk (legionista) i ppor. Roman Starzyński (peowiak). Komenda placu spoczywała w rękach por. Pęczkowskiego (peowiaka) i chor. Bereski (dowoborczyka).

Członkowie KSZ do końca akcji rozbijania Niemców nie spotkali się z gen. Suryn-Masalskim, który zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami miał kierować wystąpieniem zbrojnym. Ścisłe natomiast współpracował z nimi dowódca miejscowych bojówek PPS.

Stały kontakt z KSZ utrzymywali również członkowie Komendy Bojowej NZR. Wieczorem 11 listopada przenieśli oni swój punkt dowodzenia z lokalu przy ulicy Wólczańskiej 139 do budynku na rogu ulic Nowospacerowej (obecnie al. Tadeusza Kościuszki) i Rozwadowskiej (obecnie Ludwika Zamenhofa) znajdującego się niedaleko KSZ. Podległe im bojówki włączyły się do akcji rozbijania Niemców około godz. 19.00.

Grupy Organizacji Wojskowej NZR (OW NZR) starały się zajmować przede wszystkim posterunki policyjne, urzędy władz okupacyjnych i mniejsze obiekty wojskowe. Podobne zadania zaczęły realizować w tym czasie także bojówki PPS i oddziały podległe KSZ.

Ich członkowie zazwyczaj odmiennie przedstawiali kolejność, przebieg i rezultaty swojej działalności. Część z nich starała się podkreślić przede

wszystkim wiodącą rolę i sukcesy macierzystej organizacji w akcji rozbrajania. Stąd też niezmiernie trudno zrekonstruować i wiernie przedstawić te wydarzenia, ich chronologię i wyniki.

Z dostępnych źródeł archiwalnych i prasowych oraz relacji wynika, że większość obiektów władz i organów okupacyjnych w Łodzi przejęto bez walki. Oddziały KSZ szybko zajęły w Śródmieściu pocztę, telegraf i inne gmachy cywilnych urzędów niemieckich. Około godz. 20.00 grupa dowborczyków opanowała również pomieszczenia gubernatora wojennego w Grand Hotelu.

Bojówki NZR zajęły m. in. posterunki przy ulicach Świętego Karola (obecnie Żwirki i Wigury), Rozwadowskiej (obecnie Ludwika Zamenhofa), Karolewskiej, placu Kościelnym, Wodnym Rynku (obecnie plac Zwycięstwa), urząd policji kryminalnej przy ulicy Olgińskiej (obecnie Grzegorza Piramowicza), lokal żandarmerii przy ul. Ewangelickiej (obecnie Franklina Delano Roosevelta), składnice wojskowe przy Kątnej (obecnie Walerego Wróblewskiego) i Leszno (obecnie Lucjana Żeligowskiego) oraz magazyny intendentury przy ulicy Spacerowej (obecnie al. Kościuszki). Członkowie tej partii rozbroili również posterunek kolejowy na Chojnach. Część z nich uruchomiła lokomotywę i zajęła Widzew i Karolew.

Bojówki PPS opanowały m. in. posterunki policyjne przy ulicach Aleksandrowskiej (obecnie Bolesława Limanowskiego), Zgierskiej i Widzewskiej (obecnie Jana Kilińskiego), Zarzewskiej (obecnie Stanisława Przybyszewskiego) i na Górnym Rynku (obecnie Władysława Reymonta). Zajęły one także lokal żandarmerii połowej i zakłady tytoniowe.

Kilka ważnych obiektów opanowały również grupy Królewsko-Polskiej Straży Skarbowej. Zajęły one m. in. gmach i skarbiec Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej.

Znacznie więcej wysiłku a nawet ofiar kosztowało oddziały polskich organizacji paramilitarnych zdobycie niemieckiej bazy samochodowej przy ulicy św. Emilii (obecnie ks. bp. Wincentego Tymienieckiego), lokalu Ortskommandantur przy ulicy Piotrkowskiej 137/139, stacji kolejowych Łódź Kaliska i Łódź Fabryczna oraz gmachu Prezydium Policji przy ulicy Spacerowej (obecnie gmach Narodowego Banku Polskiego na rogu al. Kościuszki i ul. 6 Sierpnia).

Pierwszy obiekt był kilkakrotnie szturmowany przez oddział dowborczyków. Dopiero po trzecim ataku, kierowanym przez oddział kpt. Kudaja, Niemcy poddali się. Z relacji większości uczestników akcji rozbrajania okupantów wynika, że bazę samochodową opanowano dopiero w godzinach wieczornych. Żadna ze stron nie podała strat osobowych.

Znacznie szybciej zdobyto lokal Ortskommandantur (komendy Placu). Jego załoga poddała się po drugim ataku bojówki NZR wspieranej przez oddział Królewsko-Polskiej Straży Skarbowej. W czasie tej akcji został ranny żołnierz niemiecki i dwóch przypadkowych przechodniów. Polacy zdobyli wówczas duże zapasy żywności.



Dwukrotnie zdobywano stację Łódź Kaliska. Za pierwszym razem jej załogę niemiecką rozbroili oddziały podległe KSZ. Zdobyły one wówczas kilkadziesiąt karabinów. Szybko jednak wycofały się pod naciskiem sił niemieckich nacierających z Chojen. Po kilku godzinach dworzec został zaatakowany przez bojówkę NZR. Jej członkowie mieli jedynie 4 karabiny, 5 rewolwerów i 5 szabel. Po krótkiej wymianie strzałów rozbroili oni 10 żołnierzy niemieckich. Pozostały rejon stacji zajęto przy pomocy kolejarzy, wśród których było kilku członków PPS. Polacy przejęli wówczas 40 parowozów i kilkaset wagonów.

Dwukrotnie podejmowano próbę zdobycia stacji Łódź Fabryczna. Pierwszy atak przeprowadził oddział NZR. Został on odparty przez czuwających żołnierzy niemieckich. Z relacji zebranych przez Bolesława Fichne wynika, że podczas tego ataku został ranny w nogę Bolesław Sałaciński – były legionista, członek NZR. Podobno żołnierze niemieccy dogonili go na ulicy Skwerowej (obecnie Polskiej Organizacji Wojskowej) i zakłuli bagnetami.

Dworzec Fabryczny został zajęty dopiero około godz. 20.00 przez oddział peowiaków dowodzony przez chor. Przedpełskiego. Polacy znaleźli tam kilkadziesiąt karabinów i kilka skrzyń amunicji, pozostawionych przez żołnierzy niemieckich, którzy wycofali się bez walki do koszar.

Nieco wcześniej inny oddział POW, dowodzony przez Mieczysława Pęczkowskiego, próbował opanować siedzibę Prezydium Policji. Chroniąca je warta ostrzelała nadbiegających Polaków i wycofała się do koszar. Podczas ataku został ciężko ranny Stefan Linke – siedemnastoletni uczeń Gimnazjum Polskiego Towarzystwa „Uczelnia”, który po kilku dniach zmarł w szpitalu. W zdobytym gmachu Polacy znaleźli 200 karabinów, około 300 pistoletów i strzelb myśliwskich, blisko 20 tys. sztuk amunicji oraz duże zapasy artykułów żywnościowych i konfekcyjnych.

Największe straty osobowe poniosły oddziały polskich organizacji paramilitarnych podczas potyczki z silnym patrolem niemieckim, stoczonyj po godz. 20.00 na Nowym Rynku (obecnie plac Wolności) w pobliżu remizy straży pożarnej. Z dostępnych relacji wynika, że peowiaci, dowórczy, bojowcy PPS i NZR zachęceni dotychczasowymi sukcesami zamierzali opanować koszarę na ulicy Konstantynowskiej (dawniej Obrońców Stalingradu, obecnie Legionów). Na Nowym Rynku zostali oni niespodziewanie ostrzelani przez żołnierzy niemieckich. W czasie tej potyczki poległ ppor. Józef Bukowski, były oficer I Korpusu Polskiego w Rosji. Kilka osób raniono, w tym śmiertelnie: Jana Gruszczyńskiego – 17-letniego ochotnika, Eugenię Wasiak – 20-letnią ochotniczkę i Stefana Kołodziejczaka – 29-letniego drukarza. Po dłuższej wymianie strzałów i zabraniu rannych obie strony wycofały się.

Przedstawione elementy antyniemieckiej akcji zbrojnej w Łodzi: rozbrajanie pojedynczych policjantów, żołnierzy i patroli wojskowych oraz zajmowanie posterunków policyjnych i obiektów urzędów okupacyjnych, w większości chronionych przez warty, skumulowały się w godzinach od 19.00 do 21.30.

Faktycznie w tym czasie Śródmieście, Bałuty i Widzew zostały opanowane przez oddziały i bojówki polskich organizacji paramilitarnych. Większość żołnierzy oraz część policjantów i urzędników niemieckich zamknęła się w koszarach. Pozostali byli intensywnie poszukiwani i systematycznie rozbrajani przez członków polskich organizacji paramilitarnych.

Z relacji kierowników akcji zbrojnej w Łodzi wynika, że aktywnie uczestniczyli w niej liczni ochotnicy. W Śródmieściu żołnierzy niemieckich poszukiwało wielu uczniów szkół średnich, którzy wcześniej spotkali się w gmachu Gimnazjum Polskiego Towarzystwa „Uczelnia” przy ulicy Nowocegielnianej (obecnie Stanisława Więckowskiego), gdzie miał się odbyć trzeci wiec młodzieży szkolnej. Na spotkanie to przybył przedstawiciel POW – Franciszek Smolarek, który wezwał zebranych do walki z Niemcami. Większość z nich poparła ten apel, rozebrała drabinki gimnastyczne i z drewnianymi szczeblami wybiegła na ulice. Już po kilku minutach grupa kierowana przez Feliksa Maurera, ucznia Gimnazjum Towarzystwa „Oświata”, otoczyła i rozbroiła przypadkowo przechodzącego żołnierza niemieckiego. Zdobytą broń i sprzęt wojskowy przekazano KSZ. Część uczniów, która tam dotarła, została przyjęta do organizowanych wówczas oddziałów wartowniczych. Trzon tych jednostek tworzyli członkowie Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, którzy późnym wieczorem 11 listopada zameldowali się, w siedzibie KSZ.

W akcji rozbrajania Niemców w Łodzi uczestniczyło również kilkadziesiąt członków i członkiń stowarzyszenia „Skaut Polski”. Organizacja ta była początkowo legalną emanacją łódzkich okręgów Polskiej Organizacji Skautowej. Od listopada 1918 r. należała do utworzonego wówczas Związku Harcerstwa Polskiego, skupiającego na równych prawach większość stowarzyszeń skautowych w Królestwie Polskim. Z dostępnych danych wynika, że w połowie 1918 r. na terenie Łodzi działało około półtora tysiąca harcerek i harcerzy, nadal nazywanych skautkami i skautami. Z całą pewnością przynajmniej część z nich uczestniczyła w akcji rozbrajania Niemców. Do ZHP należał m. in. Stefan Linke, będący jednocześnie członkiem konspiracyjnej POW. Wiadomo również, że grupom starszej młodzieży szkolnej, rozbrajającym pojedynczych żołnierzy niemieckich, zazwyczaj przewodzili skauci.

Szereg wątpliwości natomiast budzą dane przytoczone przez Władysława Nekrasza bez podania źródła tych informacji. Twierdził on, że „...Akcja rozbrajania Niemców zastaje harcerstwo łódzkie, dzięki harcerzom, którzy powrócili z Legionów, zupełnie do tego przygotowane. Czynny udział w rozbrajaniu Niemców nocą z 10 na 11 listopada biorą oddziały harcerskie liczące około 80 ludzi. Harcerze zajmują kilka silnie bronionych przez Niemców punktów, m. in. koszary przy ul. Pańskiej (obecnie ul. Żeromskiego), rzeźnię miejską i szpital Czerwonego Krzyża. Współpracują w ścisłym związku z komendą POW, z którą Harcerstwo Łódzkie pozostawało przez druha Pfeiffera w ścisłej łączności biorąc udział w ułożeniu planu rozbrajania Niemców. Wkrótce potem

zostaje wyekwipowana zdobytym na Niemcach materiałem kompania harcerska licząca 96 ludzi, która odeszła do baonu harcerskiego w Warszawie. Tymczasem pozostali harcerze łódzcy przekształcają się w Oddziały Pogotowia Młodzieży, nad którymi obejmuje komendę druż Antek Olbromski. Pogotowie liczy 434 członków, z tego w służbie czynnej 254 i w pomocniczej 180. Obejmuje ono również młodzież nieharcerską”.

Powyższy opis zawiera szereg pomyłek i nieścisłości, przede wszystkim zaś błędną datę akcji rozbrajania Niemców w Łodzi. Danych tych nie potwierdzają inni znani badacze dziejów harcerstwa polskiego. Na przykład Wacław Błażejowski podaje jedynie, że „...W działaniach tych harcerze łódzcy brali czynny udział”. Z kolei Stefan Wojstowski ogranicza się do jednego zdania o Pogotowiu Młodzieży w Łodzi, nie podając nawet, że powstało ono dopiero po zakończeniu rozbrajania Niemców w mieście, podobnie jak wspomniana wcześniej kompania harcerska. Faktem też jest, iż żaden z czołowych działaczy łódzkich ogniw polskich organizacji niepodległościowych, opisujących dni 11 i 12 listopada 1918 r., nie potwierdził danych Władysława Nekrasza.

W tej sytuacji duże wątpliwości budzą informacje o udziale łódzkich skautów w akcji rozbrajania Niemców zawarte w artykule opublikowanym w lamach „Kurier Łódzkiego” w dniu 11 listopada 1938 r. Jego autor, ukrywający się za inicjałami S. K. G., nie podaje żadnych źródeł przytaczanych danych. Podobnie czynią, nieznanymi z nazwiska, członkowie sekcji publicystyczno-historycznej Koła Harcerzy z Czasów Walk o Niepodległość w Łodzi przy Zarządzie Okręgu Łódzkiego ZHP w swoim opracowaniu opublikowanym w kwietniu 1939 r.

Część danych przytoczonych przez autorów powyższych publikacji jest co najmniej nieścisła, np. o zajęciu przez harcerzy Dworca Kaliskiego. Mimo to już obecnie można przyjąć tezę, że podczas wydarzeń listopadowych w Łodzi grupy starszych harcerzy, wspólnie z członkami innych organizacji, uczestniczyły w potyczkach z żołnierzami i policjantami niemieckimi. Prawdopodobnie zajęły one bez walki magazyny i szpital wojskowy przy ul. Pańskiej (obecnie Żeromskiego) oraz rzeźnię miejską.

Harcerki natomiast zorganizowały kilka punktów sanitarnych i kuchni dla walczących Polaków.

Powyższy ograniczony udział łódzkich ogniw ZHP w akcji rozbrajania Niemców, zdeterminowany przede wszystkim młodzieżowym charakterem organizacji, nie został dostrzeżony przez kierowników miejscowej akcji zbrojnej. Świadczy o tym odezwa *Do wszystkich obywateli m. Łodzi* z 12 listopada 1918 r., podpisana przez dowódców liczących się polskich oddziałów zbrojnych. Nie ma na niej nazwiska przedstawiciela ZHP.

Akcje rozbrajania Niemców zabezpieczały również członkinie Ligi Kobiet Pogotowia Wojennego. Zorganizowały one w budynku przy ul. Przejazd 2 punkt wydawania posiłków dla członków polskich organizacji paramilitarnych.

Podobne funkcje kwatermistrzowskie przejęli na siebie niektórzy właściciele lokali gastronomicznych. Jednym z nich był Jan Pujdak, który w swojej restauracji przy ul. Piotrkowskiej 83 wydawał peowiakom bezpłatne posiłki.

Istotną rolę w przygotowaniu akcji, rozbrajaniu szeregu oficerów i opanowaniu niektórych obiektów odegrało kilku Polaków pełniących służbę wojskową w oddziałach niemieckich na terenie Łodzi. Jednym z nich był kapral Bederski. Walnie przyczynił się on m. in. do zdobycia więzienia przy ul. Nowotargowej (obecnie Seweryna Sterlinga).

Krańcowo odmiennie oceniali niektórzy działacze polskich organizacji paramilitarnych ówczesną postawę miejscowych organów Polskiej Siły Zbrojnej. Mieczysław Pęczkowski twierdził wręcz, że „...Oddziały formującego się Wehrmachtu udziału w rozbrajaniu nie brały. Oficerowie Wehrmachtu w tych dniach nie pokazywali się w ogóle na ulicach miasta, zauważyć ich można było dopiero po wszystkim”. Według niego Polacy uczestniczący w akcji zbrojnej szczególnie intensywnie poszukiwali współpracowników policji niemieckiej i por. Dunin-Wąsowicza.

Powyższe opinie odzwierciedlały przede wszystkim programową niechęć działaczy POW do Polskiej Siły Zbrojnej. Formację tę nazywano pogardliwie Wehrmachtem. Poglądy te stopniowo ulegają weryfikacji. Nie ulega jednak wątpliwości, że większość oficerów i podoficerów Polskiej Siły Zbrojnej przebywająca 11 listopada 1918 r. w Łodzi nie uczestniczyła bezpośrednio w akcji rozbrajania Niemców. Przyczyn tej postawy można się jedynie domyślać. Obiektywne ich przedstawienie możliwe będzie dopiero po odnalezieniu i usystematyzowaniu kolejnych dokumentów organów Polskiej Siły Zbrojnej oraz skonfrontowaniu ich z nieznanymi dotychczas relacjami lub wspomnieniami przedstawicieli łódzkich ogniw tej formacji. Już teraz należy jednak podkreślić, że duże umiejętności organizacyjne i patriotyczny potencjał przedstawianej kadry w pełni uzewnętrzniły się od 12 listopada w szybkim rozwoju istniejących załóżków łódzkiego pułku piechoty.

Większość działaczy polskich partii i organizacji paramilitarnych, która przebywała na terenie Łodzi w dniu 11 listopada 1918 r., podkreślała w swoich późniejszych publikacjach, relacjach i wystąpieniach istotny, momentami wręcz decydujący, wpływ polityki Rady Żołnierskiej na sytuację w mieście. Niektórzy z nich równolegle z nasilającą się akcją rozbrajania Niemców starali się nakłonić członków tego kolektywnego organu wojskowego do ścisłej współpracy z określonym stronnictwem lub związkiem, zwłaszcza zaś do przekazania mu broni garnizonu łódzkiego.

Pierwszy kontakt z Radą Żołnierską nawiązali jednak działacze polskiej lewicy rewolucyjnej. Przed spotkaniem z członkami tego organu rozpowszechnili oni ulotki wzywające miejscowy proletariat do tworzenia rad robotniczych i potępiające hasła niepodległościowe jako sprzeczne z celami rozwijającej się międzynarodowej rewolucji. Do Rady Żołnierskiej z pewnością dotarła wów-

czas odezwa Komitetu Łódzkiego SDKPiL pt.: *Do robotników niemieckich w Łodzi* wydana 11 listopada 1918 r. w języku niemieckim. Podkreślono w niej, że „...Podczas gdy na Zachodzie i Wschodzie szaleje rewolucyjna walka, a burżuazję ogarnia paniczny strach, dąży się u nas do utworzenia niezależnego państwa kapitalistów z armią, biurokracją itd. Istnieją zamiary stłumienia w zarodku nadchodzącej rewolucji socjalistycznej. Wykorzystując nacjonalistyczne i patriotyczne argumenty, dąży się do sztucznego izolowania miejscowego proletariatu od klasy robotniczej w innych krajach. Zmierza się do zaciemnienia świadomości klasowej proletariatu oraz do odwieśnięcia go z rewolucyjnej drogi. Towarzysze! Robotnicy niemieccy czują się zjednoczeni z polskimi towarzyszami i pomaszerają ramię w ramię przeciwko wspólnemu wrogowi w celu przejścia władzy i obalenia kapitalizmu”.

Miejscowi działacze polskiej lewicy rewolucyjnej zapewne sądzili, że niemiecka Rada Żołnierska uzna ich za potencjalnych sojuszników. Rozmowy przedstawicieli PPS-Lewicy z członkami tego organu zakończyły się jednak fiaskiem. Niemcy nie zgodzili się wydać masom robotniczym broni. Chcieli przede wszystkim zapewnić bezpieczny powrót oddziałów garnizonu łódzkiego do ojczyzny. Działacze lewicy rewolucyjnej nie mogli im tego zagwarantować. Fiasko powyższych rozmów zadecydowało o załamaniu się koncepcji przejścia władzy w Łodzi przez rzeczników utworzenia w mieście rady robotniczej.

Następną próbę nakłonienia Rady Żołnierskiej do przekazania broni Polakom podjęli przedstawiciele komendy łódzkiego okręgu POW – Mieczysław Pęczkowski, Bolesław Gronczyński i Witold Sumiewski. 11 listopada 1918 r. o godz. 17.00 rozpoczęli oni rozmowy w siedzibie tego organu przy ul. Średniej 16 (obecnie Pomorska). Po dwugodzinnej dyskusji Niemcy kategorycznie odmówili oddania broni. Zaproponowali jedynie omówienie sprawy wystawienia wspólnych polsko-niemieckich posterunków przy niektórych obiektach. Nieco później kontakt z Radą Żołnierską nawiązali również działacze PPS.

Coraz liczniejsze oferty rozmów ze strony polskich partii i organizacji paramilitarnych oraz mnożące się ataki na obiekty niemieckie uelastyczyły stanowisko Rady Żołnierskiej. 11 listopada 1918 r. o godz. 21.30 jej delegacja zgłosiła się do nadburmistrza Leopolda Skulskiego z prośbą o pośrednictwo w pertraktacjach z przedstawicielami społeczeństwa polskiego. Zasadniczym celem tych negocjacji miało być zawarcie umowy o zawieszeniu broni.

Podjęcie konstruktywnych rozmów na ten temat przyspieszyło kontrnatarcie silnego oddziału niemieckiego uzbrojonego w ciężkie karabiny maszynowe. Wyruszył on z koszar przy ulicy Konstantynowskiej (obecnie Legionów) w kierunku Nowego Rynku (obecnie plac Wolności) i rozproszywszy po drodze polskie posterunki dotarł po godzinie 22.00 do Grand Hotelu przy ul. Piotrkowskiej.

Pół godziny później do siedziby KSZ przybyła delegacja Rady Żołnierskiej. Zaproponowała ona przeprowadzenie rozmów w sprawie zawarcia ro-

zejmu. W pertraktacjach, które wkrótce rozpoczęto, uczestniczyli przedstawiciele PPS, NZR, SChD, ZN, ZBPP, POW, Związku Oficerów i Żołnierzy byłych Legionów Polskich, Związku Wojskowych I, II, III korpusów Wojsk Polskich, Organizacji Wojskowej NZR, PB PPS, Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego („Sokół”), Magistratu i Rady Żołnierskiej.

Przez kilka godzin nie mogli oni uzgodnić warunków rozejmu. Mimo to przed północą, wysłano przedstawicieli obu stron do rejonów potencjalnych starć, którzy poinformowali żołnierzy niemieckich i polskie posterunki o wstępnej decyzji w sprawie zawieszenia broni. Przedsięwzięcie to miało przede wszystkim zapobiec dalszemu rozlewowi krwi. Jego wpływ na ogólną sytuację w Łodzi był jednak stosunkowo niewielki. Mieczysław Pęczkowski opisując swój udział w tej akcji stwierdził wręcz, że „Niemcy, którzy karabinami maszynowymi obsadzili Grand Hotel (gubernatorstwo), widocznie nie uznawali czy nie wiedzieli, o jakimś Soldatenracie, skoro samochody nasze zostały ostrzelane ogniem karabinów maszynowych”.

W tej sytuacji Łódzki Okręgowy Komitet Robotniczy PPS i Rada Żołnierska wspólnie wydały odezwę skierowaną do robotników i żołnierzy. Wzywały one do zachowania spokoju i zaprzestania niepotrzebnego przelewu krwi. Podkreślano w niej, że przedstawiciele oddziałów niemieckich dążą do jak najszybszego opuszczenia Polski przez miejscowy garnizon.

W tym samym czasie nadburmistrz Skulski wydał w imieniu Magistratu odezwę *Do obywateli m. Łodzi*. Zaznaczono w niej, że uczestnicy polsko-niemieckiej konfederacji postanowili wezwać ludność miasta do zachowania spokoju i zaprzestania rozbijania żołnierzy niemieckich. Jednocześnie poinformowano, iż szczegółowa umowa o zawieszeniu broni zostanie uzgodniona przez przedstawicieli polskich organizacji paramilitarnych i oddziałów niemieckich.

Zapowiedziane porozumienie zostało podpisane dopiero 12 XI 1918 r. około godz. 2.00. Kierownictwa polskich organizacji paramilitarnych przedstawiły uzgodnione warunki rozejmu w odezwie zaadresowanej *Do wszystkich obywateli m. Łodzi*. Sprowadzały się one do zakazu używania broni i rozbijania oddziałów niemieckich, zalecenia wycofywania się w przypadku akcji zaczepnej drugiej strony oraz wystawiania wspólnych patroli i posterunków. W odezwie zaznaczono, że po załamaniu się imperializmu niemieckiego i przemocy pruskiej nie ma powodu do walki z narodem niemieckim i jego żołnierzami, którzy uznali się w Polsce za neutralnych. Jednocześnie wezwano ludność cywilną do oddania wszelkiej broni i zachowania spokoju.

Uzgodnienie umowy o zawieszeniu broni było wielkim sukcesem polskich organizacji paramilitarnych. Ich dotychczasowe zdobycze terytorialne i materialne potencjalnie zagrożone przez przebywające, głównie w koszarach, silne oddziały niemieckie, zostały ostatecznie przypieczętowane.

Pierwsze godziny po podpisaniu porozumienia następująco wspominał Komendant Okręgu Łódzkiego POW: „Była już późna noc. Wobec zawartego rozejmu walki ustały. W mieście zapanował spokój przerywany od czasu do czasu pojedynczymi strzałami. Jak stwierdziłem jeszcze tej nocy, to posterunki pilnujące naszych zdobyczy pukały sobie z radości w powietrze”.

W tym samym czasie odbyło się nadzwyczajne posiedzenie Magistratu i prezydium Rady Miejskiej w sprawie trybu przejścia władzy w mieście. Uczestnicy tej narady postanowili utworzyć milicję miejską pod dowództwem gen. S. Suryń-Masalskiego oraz komitet bezpieczeństwa publicznego.

Funkcje tego drugiego organu faktycznie spełniała wówczas Komenda Siły Zbrojnej. Jej członkowie, po otrzymaniu wiadomości o przekazaniu przez Radę Regencyjną władzy wojskowej J. Piłsudskiemu, podporządkowali się płk. A. Jasińskiemu – dowódcy łódzkiego okręgu wojskowego. Mianował on komendantem miasta por. A. Biłyka, a jego zastępcą chor. Bereszko. Oficerem do szczególnych poruczeń przy Komendzie Miasta Łodzi został ppor. Roman Starzyński. Twierdził on, że członkowie byłej KSZ podporządkowali się płk. A. Jasińskiemu pod warunkiem, że żadne stanowisko w nowym organie nie zostanie powierzone oficerom Polskiej Siły Zbrojnej. O negatywnym stosunku legionistów i peowiaków do kadry tej formacji świadczył fakt rozpoczęcia formowania w dniu 12 XI 1918 r. samodzielnego batalionu POW. Wszedł on w skład równolegle rozwijanego przez oficerów Polskiej Siły Zbrojnej łódzkiego pułku piechoty dopiero w grudniu 1918 r.

Komenda Miasta uzgodniła z Radą Żołnierską wycofanie się wszystkich pododdziałów niemieckich do koszar oraz otrzymała od niej broń w ilości niezbędnej do utrzymania bezpieczeństwa w Łodzi. Do południa większość obiektów wojskowych została zajęta przez Polaków.

Ustaleniom Rady Żołnierskiej i Komendy Miasta nie podporządkował się jedynie batalion niemiecki w koszarach przy ul. Leszno. Obiekt ten ostatecznie zajęli siłą żołnierze łódzkiego pułku piechoty. Wacław Zaborowski, autor opublikowanej kroniki tej jednostki twierdził, że w czasie wspomnianej walki poległ ppor. Mieczysław Dobrowolski.

Również w innych rejonach miasta dochodziło do incydentów, głównie z rozpoznanymi współpracownikami policji niemieckiej. Mimo licznych odezw władz wojskowych zdarzały się także przypadki rozbijania żołnierzy niemieckich przez ludność cywilną. Lucjan Nowosielski, b. uczeń Gimnazjum Polskiego Towarzystwa „Uczelnia” podał w swojej relacji, że 12 XI 1918 r. wspólnie z 4 kolegami obezwładnił i rozbroił 2 dragonów niemieckich, którzy przejeżdżali w pobliżu ich szkoły.

12 listopada po południu ukazał się pierwszy w wyzwolonej Łodzi numer „Nowego Kuriera Łódzkiego”. Jego redaktor podkreślał, że „Nastój dziś spokojniejszy. Na rogach ulic uzbrojone posterunki polskie. Po ulicach jeżdżą

samochody niemieckie przystrojone w czerwone barwy. Lekcje w szkołach dziś przerwano”.

Obiekty niemieckich organów administracyjnych zajęte przez oddziały polskie były od rana 12 listopada stopniowo przejmowane przez przedstawicieli Magistratu i Rady Miejskiej. Już o godz. 7.30 przybyli oni do gmachu poczty. Po zapoznaniu się z jego stanem i wyposażeniem podjęli decyzję o uruchomieniu tego urzędu w następnym dniu.

Po południu odbyło się posiedzenie Rady Miejskiej. Jego uczestnicy omówili aktualną sytuację w mieście i najpilniejsze potrzeby mieszkańców. Rada Miejska wybrała 12-osobową komisję aprowizacyjną i postanowiła uświetnić uroczystości pogrzebowe ofiar akcji rozbrajania Niemców. Uczestniczący w obradach nadburmistrz L. Skulski poinformował, że przewidziana w budżecie kwota 600 tys. marek na utrzymanie policji niemieckiej zostanie przekazana na potrzeby milicji miejskiej.

W tym czasie na ulicach Łodzi panował podniosły nastrój. Budynki i środki lokomocji udekorowane były flagami biało-czerwonymi. Polacy powszechnie uzewnętrzniali uczucia patriotyczne. Wyczuwało się atmosferę entuzjazmu i wiary w lepszą przyszłość. Umocnieniu tych nastrojów sprzyjały nasilające się prace zmierzające do uruchomienia miejscowych zakładów przemysłowych oraz wznowienie komunikacji kolejowej z Warszawą.

W cieniu akcji uruchamiania urzędów i fabryk oraz nasilającej się rywalizacji politycznej w mieście rozstrzygały się sprawy ewakuacji oddziałów niemieckich. Czołowym przedstawicielem władz Łodzi w pertraktacjach na ten temat był płk A. Jasiński. Starał się on nakłonić Radę Żołnierską do przekazania całego uzbrojenia i sprzętu Polakom.

Jej członkowie konsultowali się w tej sprawie m. in. z delegacją Rad Robotniczych i Żołnierskich Berlina, która 12 listopada przyjechała do Łodzi. Rezultatów tych rozmów można się jedynie domyślać. Prawdopodobnie łódzka Rada Żołnierska postanowiła wówczas przyłączyć się do negocjacji prowadzonych przez delegatów oddziałów niemieckich w Warszawie z przedstawicielami naczelnych władz Wojska Polskiego, a mianowicie płk. Kazimierzem Sosnowskim i gen. Stanisławem Szeptyckim. W dniu 15 listopada obie strony zawarły umowę o ewakuacji stojących pod bronią oddziałów garnizonu warszawskiego i łódzkiego. Miały one odjechać z bronią boczną, ręczną, ciężkimi karabinami maszynowymi i amunicją. Uzgodniono, że wymieniona broń i naboje zostaną przekazane, za pokwitowaniem, władzom polskim dopiero w Mławie (Skalmierzycach). Niemcy zobowiązali się również zwrócić wszelki posiadany sprzęt wojenny. Umowa ta obowiązywała od chwili złożenia podpisów. W imieniu łódzkiej Rady Żołnierskiej podpisał ją Albert Krust.

Powyższe porozumienie nie zostało zrealizowane, w części dotyczącej broni, przez polskie władze wojskowe w Łodzi. Przyczyny tego odstępstwa przedstawił płk A. Jasiński w telegramie do Sztabu Generalnego Wojska Pol-



skiego, wysłanym 20 XI 1918 r. Napisał on: „Nie doczekawszy się powrotu delegatów rady żołnierskiej i przed otrzymaniem instrukcji z Warszawy ostatni transport rozbrojonej załogi Łodzi w liczbie tysiąc dwieście wysłałem z Łodzi – resztki załogi po kilku ludzi w myśl instrukcji wysłałem z bronią”. Można sądzić, że autorowi telegramu sprzyjała napięta sytuacja w oddziałach niemieckich oczekujących z niecierpliwością na ewakuację. Przedłużający się pobyt ich delegacji w Warszawie i brak pełnej informacji o podpisanym porozumieniu z pewnością uaktywniły wielu członków Rady Żołnierskiej, którzy od początku opowiadali się za szybkim wyjazdem bez broni.

Oddziały niemieckie przekazały Komendzie Miasta 160 samochodów, 38 karabinów maszynowych i kilka tysięcy karabinów. Polacy przejęli również wiele sprzętu wojskowego.

Powyższy sukces był ukoronowaniem procesu rozbrajania Niemców w Łodzi. Został on okupiony śmiercią co najmniej 6 Polaków. W bezpośredniej walce polegli: Józef Bukowski i Bronisław Sałaciński. Rannych zostało kilkanaście osób, w tym 4 śmiertelnie: Jan Gruszczyński, S. Kołodziejczak, S. Linke i E. Wasiak. Nie wyjaśnione pozostają nadal okoliczności śmierci Czesława Konrackiego i ppor. M. Dobrowolskiego.

Straty strony przeciwnej nie są dokładnie znane. Z memoriału pt. *Zdrajcy miasta* przygotowanego i rozesłanego latem 1922 r. do różnych instytucji niemieckich przez Verband Nationalgesinnter Soldaten (Związek Nacjonalistycznych Żołnierzy) wynika, że 11 XI 1918 r. na terenie Łodzi poległ co najmniej 1 żołnierz niemiecki, a 2 zostało rannych.

Reasumując przedstawione ustalenia i rozważania należy podkreślić, że:

– dotychczasowe wyniki badań uzasadniają tezę, iż pod względem rozmachu i zaciętości starć, liczby ofiar oraz przejętej broni i sprzętu wojskowego akcja rozbrajania Niemców w Łodzi była jednym z największych wystąpień społeczeństwa polskiego w listopadzie 1918 r.;

– sukcesy terytorialne i materialne akcji rozbrajania Niemców w Łodzi przypieczętowała konstruktywna postawa niemieckiej Rady Żołnierskiej, konsekwentnie dążącej do zaprzestania rozlewu krwi i szybkiej ewakuacji oddziałów okupacyjnych do Niemiec;

– dzięki stanowisku niemieckiej Rady Żołnierskiej oraz operatywności i realizmowi kierownictw polskich organizacji paramilitarnych straty osobowe i materialne obu stron były stosunkowo niewielkie. Powyższa sytuacja walnie przyczyniła się do szybkiej normalizacji życia w Łodzi.

Polacy, którzy aktywnie uczestniczyli w akcji rozbrajania Niemców w Łodzi, zasłużyli na dowody pamięci i uznania. Ich walka i ofiara krwi była i pozostaje istotnym fragmentem złożonej historii miasta i kraju, okrucem dziejów, który powinien uczyć i wychowywać.



*Mordechaj Chaim Rumkowski i Hans Biebow*

## Znaki pieniężne getta łódzkiego

O getcie łódzkim napisano już wiele książek i jeszcze więcej artykułów, ale zawsze znajdują się sprawy i wydarzenia, o których większość ludzi wie mało lub wcale. Do takich należy sprawa wydania i kursowania w getcie specjalnych pieniędzy oraz medali i odznak, które tam noszono.

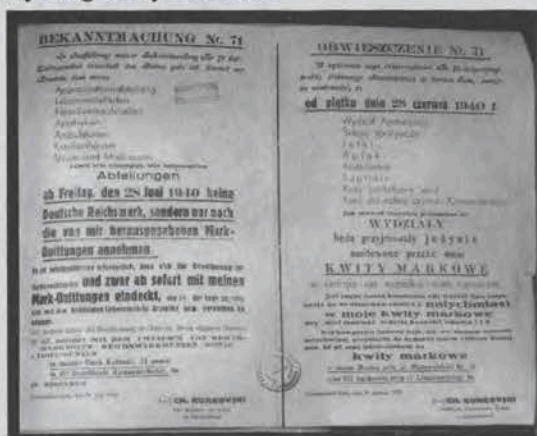
Okupacja hitlerowska w Łodzi rozpoczęła się 8 września 1939 r., a już 8 lutego 1940 r. prezydent policji w Łodzi, SS-Brigadeführer Johannes Schöfer wydał zarządzenie o utworzeniu odrębnej dzielnicy mieszkaniowej dla Żydów – czyli getta. Z tym że początkowo zabroniono mówić „getto”, a tylko „Wohngebiet für Juden” (dzielnica mieszkaniowa dla Żydów). 30 kwietnia 1940 r. getto łódzkie zostało odizolowane od reszty miasta zasiekami z drutu kolczastego. Pilnowane było przez policję niemiecką. Zamknięto w nim przeszło 160 tys. Żydów, których warunki bytowania były straszne. Getto zlokalizowano w północnej, najbardziej zaniedbanej części Starego Miasta i Bałut. Miało powierzchnię 4,13 km<sup>2</sup>, jego granice przebiegały wzdłuż ulic: Goplańskiej, Żurawiej, Wspólnej, Stefana, Czarnieckiego, Marysińskiej, Inflanckiej, koło cmentarza żydowskiego, Przemysłowej, Brzezińskiej, Oblęgorskiej, Smugowej, Północnej, Nad Łódką, Drewnowską, Modrą, Wrześnieńską, Piwną, Zgierską i Goplańską. W getcie przebywali Żydzi z Łodzi, z Austrii, Czech, Luksemburga, Niemiec oraz Żydzi z likwidowanych gett całego Kraju Warty, stąd też przez Litzmanstadt-Getto przewinęło się około 200 000 Żydów. Anonimowy autor pisał o tym, że jeśli nie bez racji Goebbels nazywał getta „skrzyniami śmierci” (Todeskiste), to łódzkie getto było hermetycznie zamkniętą skrzynią przyspieszonej śmierci.

Zarząd getta (niemiecki) spoczywał w rękach Hansa Biebowo, byłego kupca z Bremy, natomiast zarząd (żydowski) wewnętrznej administracji getta – w rękach Mordechaja Chaima Rumkowskiego, postaci bardzo kontrowersyjnej, o której warto coś więcej powiedzieć. Do dzisiaj jego biografia jest niekompletna. Różne źródła podają sprzeczne fakty i daty z jego życia. Wiadomo, że urodził się poza granicami Polski, a do Łodzi przybył grubo przed I wojną światową. Nie miał specjalnego wykształcenia, a na dodatek mówił żargonem żydowsko-niemieckim. Imał się różnych zajęć: był kupcem, fabrykantem, kierownikiem Domu Sierot w Helenówku pod Łodzią oraz agentem ubezpiecze-

niowym. Jako przedstawiciel syjonistów był członkiem Gminy Żydowskiej a równocześnie zwolennikiem Funduszu Wykupu Ziemi w Palestynie. Był człowiekiem energicznym, pracowitym i uczciwym, ale również pasjonatem, mającym o sobie wygórowane zdanie. W getcie nazywano go ironicznie królem Chaimem I bądź też królem getta, królem żydowskim itp. Podobno nad grobem swej pierwszej żony Ity miał zawołać z emfazą: „Twój Chaim jest cesarzem”. Ciekawe, że pomimo jego niewątpliwych zalet większość autorów zarówno polskich, jak i zagranicznych ma do niego stosunek raczej negatywny. Broni go jedynie w swojej książce *Żydzi w Łodzi pod niemiecką okupacją 1939-1945* Henryk Rubin, który przedstawia go w zupełnie innym świetle. Píše m.in.: „Rumkowski swoją władzę wykorzystał dla dobra ogółu żydowskiego”, lub w innym miejscu: „W izolowanym od świata, całkowicie osamotnionym getcie łódzkim, żadnej innej polityki, oprócz tej, którą prowadził Rumkowski, nie można było prowadzić. Obowiązki, które człowiek ten z własnego wyboru, z poczucia obowiązku wziął na siebie, spełnił bardzo dobrze. W panteonie naszej czci dla męczenników żydowskich epoki hitleryzmu powinno się znaleźć miejsce dla Mordechaja Chaima Rumkowskiego – Przełożonego Starzeństwa Żydów w Łodzi”. Bardzo mocne słowa – widocznie autor miał dowody na to, by go tak subiektywnie ocenić. Ostatnio podobną opinię o Rumkowskim podtrzymuje znany amerykański pisarz polskiego pochodzenia, Henryk Grynberg. Napisał on *Kronikę*, dramat o getcie łódzkim, w którym lansuje teorię, że gdyby nie powstanie warszawskie i zatrzymanie się wojsk sowieckich nad Wisłą, getto łódzkie wraz z jego 70 000 mieszkańców byłoby uratowane przez Rosjan, właśnie dzięki Rumkowskiemu. Píše też, że Rumkowski to nie jest jednoznacznie negatywna postać, choć nie można go uniewinnić. Całe getto, jak pisał Adolf Rudnicki, było „cesarstwem na odcinku parszywych łódzkich ulic” i karykaturą państwa wyposażoną w karykatury wszelkich instytucji. Zarówno autor anonimowego pamiętnika pisanego w getcie, jak i Jakub Poznański, również autor pamiętnika, mają zdecydowanie negatywny stosunek do Rumkowskiego. Wspomniany już Adolf Rudnicki, który specjalnie zajmował się postacią Rumkowskiego, pisząc cykl opowiadań o nim, zamieszczonych później w *Kupcu łódzkim*, uznaje wprawdzie jego wyjątkowe zdolności organizacyjne, lecz dowodzi, że to one właśnie przyczyniły się do klęski getta. Czeski pisarz František Kafka charakteryzuje Rumkowskiego jako człowieka próżnego, złośliwego, trochę egocentrycznego, kaboty. Widzi w nim jednak, mimo wszystko, jednostkę pozytywną, chcącą ocalić chociaż część narodu żydowskiego spośród setek tysięcy Żydów łódzkiego getta skazanych na wyniszczenie. Większość jednak autorów i badaczy, zarówno polskich jak i zagranicznych – potępia go w czambuł, podając jako odwrotność sylwetkę bohatera przewodniczącego warszawskiego Judenratu – inż. Adama Czerniakowa, który wolał popełnić samobójstwo niż pomagać Niemcom w uśmiercaniu własnych współplemieńców. Jak wiemy jednak z dalszej historii,

jego śmierć nikomu w niczym nie pomogła. Niemcy i bez niego dokończyli wyniszczania Żydów w Warszawie. Do rozważenia jest więc zagadnienie: co jest większym bohaterstwem – czy samobójcza śmierć w glorii, czy długo-trwała niewdzięczna, trudna praca, nawet z wrogiem i okupantem, po to, by pomóc swemu narodowi, jeśli nie całemu, to chociaż jego części? Wydaje mi się, że wraz z upływem lat, częściowego zapomnienia tamtych złych czasów i śmierci jego zagorzałych przeciwników, postać Rumkowskiego zaczyna nabierać blasku i zdaje się być bardziej pozytywna niż kiedyś. Kres kariery „władcy getta” był bardzo prozaiczny: 28 sierpnia 1944 r. Rumkowski został pozbawiony stanowiska na rzecz Majera Karmiöla, kierownika technicznego garbarni, i wraz z rodziną wywieziony do Oświęcimia-Brzezinki, gdzie ślad po nim zaginął. Chociaż, jak opisuje Arnold Mostowicz (lekarz w getcie łódzkim, więzień Oświęcimia i innych obozów, potem dziennikarz i pisarz, znawca tematu), kursowała plotka, że więźniowie Oświęcimia pochodzący z getta łódzkiego odnaleźli Rumkowskiego na rampie obozowej i „pięknie” go powitali. Podobno najpierw dali mu popatrzeć, jak giną w komorze gazowej jego „poddani”, a potem żywego wrzucili do pieca krematoryjnego.

Takich i podobnych plotek na jego temat zachowało się więcej. Ale czy są prawdziwe – dobry Bóg raczy wiedzieć.



*Obwieszczenie o wprowadzeniu kwitów markowych jako środka płatniczego w getcie łódzkim*

W 1939 r., po wkroczeniu do Łodzi wojsk niemieckich, z ramienia Gminy Żydowskiej Rumkowski prowadził rozmowy z władzami okupacyjnymi. Ku zaskoczeniu większości, 13 listopada 1939 r. otrzymał z rąk SS-Standartenführera dr. Harry’ego von Craushaara, szefa Zarządu Cywilnego przy dowództwie 8 Armii Niemieckiej – nominację na Przełożonego Starszeństwa Żydów w Łodzi (der Alter der Juden der Stadt Lodz). Została też powołana Rada Starszych (Ältestenrat), której większość członków Niemcy wkrótce aresztowali i zlikwidowali. Rumkowski powołał kolejną Radę Starszych, która

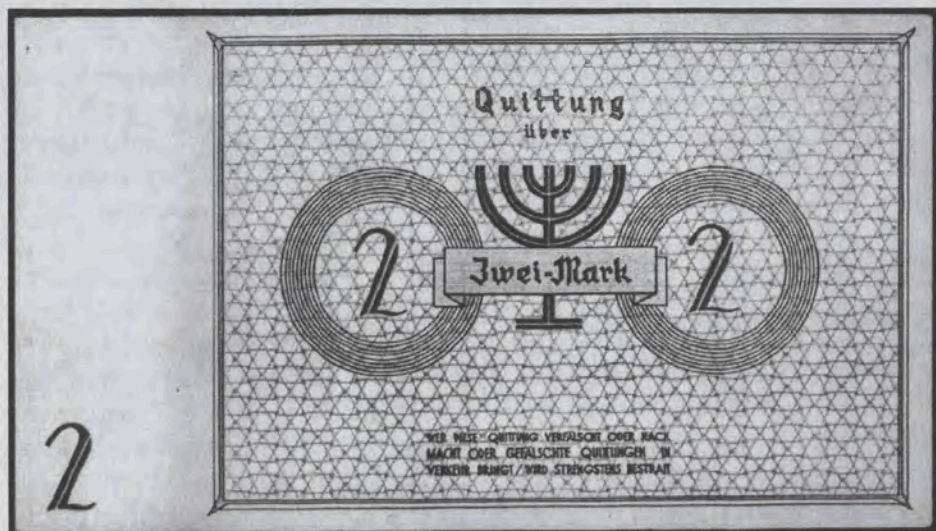
z nim miała współpracować jako ciało doradcze, jednak nie miała nic do powiedzenia, gdyż rządził autokratycznie. Rumkowski miał 62 lata, był zdrowy, pełen energii, pomysłów, zamierzeń i można powiedzieć, że od lat czekał na taką funkcję, gdzie mógłby się wykazać. Niemcy nie mogli lepiej trafić z tą nominacją. Od razu wziął się do pracy, udało mu się pozyskać różnych ludzi: od karierowiczów po utalentowanych fachowców. Stworzył dobrze funkcjonującą administrację i aparat ucisku w postaci żydowskiej policji i sądownictwa, funkcjonowały też więzienia. Zorganizował zakłady produkcyjne (szopy), sklepy, stołówki, pocztę, szpitale, apteki, szkoły, bank i inne. Było to karykaturalne państwo w państwie, a właściwie wielki obóz pracy. Był nawet okres, w 1943 r., w którym Himmler przekształcił getto w obóz koncentracyjny.

Burmistrz Łodzi – Karl Marder, za zgodą Dyrekcji Banku Rzeszy, polecił Rumkowskiemu wydanie specjalnych pieniędzy dla łódzkiego getta. Podobno Rumkowski o ich zaprojektowanie zwrócił się do znanego malarza i rzeźbiarza Wincentego Braunera. Ten wykonał szkic zamówionych banknotów, na których „w świetle wschodzącego słońca człowiek zrywa kajdany”. Oczywiście projekt ten nie mógł zostać przyjęty. Ostatecznie wzór banknotów wykonał kierownik Wydziału Budowlanego w getcie, inż. architekt Ignacy Gutman, a poszczególne ich fragmenty rozrysował i przygotował do druku grafik Pinkus Szwarz (zmarł niedawno w USA). Po zaakceptowaniu projektu przez władze getta pokwitowania markowe (Markquittungen in Geldaenlicher Form – czyli pokwitowania markowe w formie podobnej do pieniędzy) o nominałach: 50 fenigów i 1, 2, 5, 10, 20 i 50 marek zostały wydrukowane metodą litograficzną, z dodatkowym użyciem klisz cynkowych do wydrukowania niektórych fragmentów, w drukarni Zygmunta Manitiusa przy ul. Żeromskiego 87 (wówczas Ludendorfstrasse), poza granicami getta. Te pieniądze nie miały nazwy banknotów. Zgodnie bowiem z panującym w III Rzeszy prawem nie wolno było Żydom w Niemczech posiadać żadnych środków płatniczych i znaków pieniężnych.

Według zachowanych raportów Manitiusa wydrukowana I seria banknotów opiewała na łączną kwotę 8 206 000 marek wg poniższego zestawienia:

Nominał	Wydrukowano sztuk	Na kwoty
50 fen.	6 000 000	300 000 mk
1 mk	480 000	480 000 mk
2 mk	290 000	580 000 mk
5 mk	168 000	840 000 mk
10 mk	93 600	936 000 mk
20 mk	96 000	1 920 000 mk
50 mk	63 000	3 150 000 mk
Razem:	7 190 600	8 206 000 mk

Jak się jednak później okazało, raport Z. Manitiusa był zrobiony „na wyrost”, gdyż ostatecznie wydrukowano jedynie 7 348 000 marek, czyli o 858 000 marek mniej. Banknoty I emisji wartości 10, 20, i 50 marek wykonano na papierze ze znakami wodnymi. Po wydrukowaniu banknotów ukazało się obwieszczenie Rumkowskiego o wycofaniu marek niemieckich i ich wymianie na nowe „marki-pokwitowania” w Banku Getta przy ul. Marynarskiej 71 oraz w jego agencji przy ul. Limanowskiego 56. To rozporządzenie dotyczyło również wymiany wszystkich posiadanych walut obcych (banknotów i monet).



Trzeba podkreślić, że wypuszczenie pieniędzy gettowych abstrahując od tego, kto był ich pomysłodawcą, było pomysłem przewrotnym. Po pierwsze – uniemożliwiało przemyt żywności ze strony aryjskiej i zrywało wszelkie kontakty walutowe ze światem zewnętrznym. Po drugie – zmusiło Żydów do wymiany dobrych reichsmarek i innych walut na walutę bezwartościową, bez pokrycia. Kwity markowe miały obieg tylko i wyłącznie w łódzkim getcie i to na dodatek „al pari” (sto za sto), bo za przechowywanie waluty obcej groziła w najlepszym przypadku jej konfiskata, a w najgorszym śmierć. I po trzecie – dostarczyło hitlerowcom poważnych kwot w markach i dewizach. Była to bezprzykładna grabież dokonana w majestacie niemieckiego pseudoprawa. A co na ten temat piszą sami Niemcy? Oto wyciąg ze sprawozdania Kierownika Zarządu Getta w Łodzi z 12 lutego 1943 r. z pracy Gettoverwaltung: „... przez ogłoszenie pieniądza gettowego jako jedyne go środka płatniczego w getcie przełożony Żydów wszedł w posiadanie zapasów marek niemieckich znajdujących się w getcie, za które zakupuje towary potrzebne do utrzymania getta”. Zagrabione pieniądze były księgowane przez niemiecką administrację na tzw. koncie wyżywienia jego

ludności (Ernährungskonto Nr 700). Sumy te były bardzo wysokie, jedne źródła podają kwotę 5 000 000 marek, inne, że za okres 1 maja – 31 grudnia 1940 r. wpłynęło przeszło 7 150 000 marek. Mówią o tym także źródła niemieckie. Oto urywek pisma Zarządu Getta z 2 marca 1943 r.: „przez wprowadzenie pieniądza gettowego marka niemiecka straciła siłę nabywczą na terenie zamieszkania Żydów i każdy Żyd został zobowiązany swoje dewizy i marki niemieckie wymienić na pieniądz gettowy. Dzięki temu przymusowemu zarządzeniu jednorazowo wypłynęła z getta większa suma pieniędzy” (do Banku Rzeszy). Swoiste oświadczenie o wartości pieniądza gettowego przytacza pismo Zarządu Getta w Łodzi do Komisarza miasta Białystok z 23 lutego 1942 r.: „okazuje się, że zarówno Białystok, jak i Warszawa też chciały wprowadzić u siebie podobne pieniądze, ale nie uzyskały na to zezwolenia”. A oto inny urywek tego pisma: „pieniądz gettowy nie jest niczym więcej jak pokwitowaniem wymienionych przez Żydów marek niemieckich lub dewiz. Jak wiadomo, dzielnica żydowska jest hermetycznie zamknięta. Sprzedaż wszystkich towarów, które przez mój oddział dostarczane są do getta, odbywa się tylko w sklepach Przełożonego Starszeństwa Żydów. Sprzedawcy w tych sklepach są urzędnikami Przełożonego Starszeństwa Żydów i straciliby posady, gdyby przyjmowali inne, niegettowe pieniądze. W ten sposób praktycznie usunąłem z dzielnicy żydowskiej niemiecką markę. Droga jest przez to nadzwyczaj prosta: Żyd, który posiada marki niemieckie, a nie ma pieniędzy gettowych, nie jest w stanie kupić żywności. Z konieczności musi on w Banku Przełożonego Starszeństwa Żydów dokonać wymiany pieniędzy i tylko w ten sposób ściągnąć markę niemiecką. Jak dalece Przełożony Starszeństwa Żydów troszczy się o pokrycie dla pieniędzy gettowych w obiegu – mnie nie interesuje. **Gdyby getto zostało kiedyś rozwiązane, czego zresztą nie przypuszczamy, żaden właściciel pieniędzy gettowych nie mógłby mieć prawnych pretensji do Rzeszy, gdyż bon nie jest niczym innym jak pokwitowaniem...**” [podkr. autora].





Po wydrukowaniu I serii gettowskich kwitów markowych z datą 15 maja 1940 r. weszły one oficjalnie do obiegu w getcie z dniem 28 czerwca 1940 r. Kwity te ludność nazywała „rumkami” – od nazwiska emitenta, chaimkami, walutą gettową itp. Jak już wspomniałem, Rumkowski na polecenie władz zorganizował w getcie specjalny bank, który bardzo się różnił od banków na całym świecie. Oprócz wymiany pieniędzy zajmował się on „skupem” od ludności getta wszelkich wartościowych rzeczy: surowców, towarów, a także futer, pierza, mebli, dywanów i innych przedmiotów domowego wyposażenia, płacąc za to bezwartościowymi kwitami markowymi.

Pomimo trudności związanych z wojną, krótkiego terminu wykonania zamówienia (od szkicu do gotowych banknotów), lokalności pieniądza i małej wartości jako waluty, kwity markowe wykonane były jak na ówczesne warunki estetycznie i solidnie. Miały nawet tzw. znaki zabezpieczające przed fałszerstwem w postaci kropek ukrytych w okienkach poddruku złożonego z Gwiazdy Dawida na wszystkich nominałach. Jednak pomimo tych znaków zabezpieczających stała się rzecz bez precedensu, w getcie znalazł się specjalista, który fałszował 2-markowe banknoty. Urząd Śledczy po ok. sześciu tygodniach ujął fałszerza. Był nim niejaki Rochwerger lub, jak podaje w innym miejscu *Kronika getta łódzkiego* – Rauchwerger, zamieszkały przy ul. Wawelskiej 27. W jego mieszkaniu znaleziono wszystkie urządzenia potrzebne do drukowania banknotów. Z nakazu Przełożonego Starszeństwa Żydów wszystkie banknoty 2-markowe znajdujące się w getcie zostały wycofane. Podczas rozprawy sądowej oskarżony przyznał się, że od jesieni 1940 r. do czerwca 1941 r., czyli do dnia aresztowania, zajmował się fałszowaniem 2-markówek, których wykonał ok. 5,5 tysiąca, używając do tego celu płyt, które wytrawiał kwasami. Rozprawa wykazała również, że pomimo dochodów z fałszerstwa żył wraz z rodziną w skrajnej nędzy. Sąd skazał fałszerza na rok ciężkiego więzienia i 500 marek grzywny z zamianą na dwa miesiące więzienia. Jak nam wiadomo, w pierwszym etapie akcji wysiedleńczej, w styczniu 1942 r., skazany został deportowany z getta, co równało się wyrokowi śmierci. Po wojnie okazało się, że Niemcy, nie chcąc tracić tak dobrego fachowca, odesłali go do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen k. Berlina, gdzie wraz z innymi fałszował angielskie funty. Egzemplarze fałszywych dwumarkówek należą obecnie do wielkiej rzadkości.

Porównując raport Manitiusa o wypuszczonej I serii gettowych kwitów z wysokimi numerami zachowanych banknotów, musimy dojść do wniosku, że emisji było z pewnością więcej. W getcie była duża cyrkulacja obiegu banknotów i w związku z tym następowało szybkie ich zużycie. Pamiętnik Poznańskiego z owego czasu oraz nieoceniona *Kronika getta łódzkiego* wspominają o dodrukowywanych banknotach. Możemy więc stwierdzić z pewnością, że kwity opiewające na 10 i 20 marek drukowane już na papierze bez znaków wodnych (była wojna i o taki papier było bardzo trudno) należą do II emisji. A

inne nominały? Znamy różne wartości, w odmianach papieru, kolorów numerów, wielkości cyfr itp. Z pewnością są to kolejne emisje. Ile ich w końcu było i jakie nominały do nich należały, ciężko dziś ustalić. Zachowały się jednak wypuszczone kwity gettowe I serii „próbne”, z zerami zamiast liczb. Wiadomo jest też o próbach wydawania kwitów I serii o nominałach 10 i 20 fenigów. Zachowały się także banknoty makulaturowe z różnymi otworami, przesunięciami kolorów i cyfr, obcięte w parkach (2 szt.), trójkach (3 szt.) itp.

Jak się dowiedzieliśmy, komplet takich banknotów I serii z getta łódzkiego, z numeracją 000001, w specjalnej kopercie Banku Getta, miał otrzymać jako ciekawostkę i akt hołdowniczy od hitlerowskiego Zarządu Getta sam Adolf Hitler.

### Brak drobnych

Jak już wiemy, w wydanej I serii banknotów getta łódzkiego najniższy nominał opiewał na 50 fenigów. Były, co prawda, próby wydania banknotów o nominałach 10 i 20 fenigów, ale oprócz prób nic z tego nie wyszło. W getcie kursował jeszcze przedwojenny polski drobny bilon oraz drobne monety niemieckie poniżej 50 fenigów. W związku z akcją wysiedleńczą z getta w I kwartale 1942 r. zaczął z obiegu ginąć bilon wyszukiwany przez deportantów, jako waluta mająca obieg poza gettem. Sytuację pogorszył jeszcze fakt wycofania przez Rumkowskiego z dniem 1 marca 1942 r. kursujących dotąd drobnych monet polskich i niemieckich. Bilon ten musiał być wymieniany w Banku Getta. Nastąpił katastrofalny brak drobnych pieniędzy i perturbacje z tym związane. Kartkowe racje żywnościowe wykupywane przez mieszkańców getta były ustalane raczej w okrągłych kwotach, ale już drobne zakupy były bardzo utrudnione z powodu braku bilonu i wywoływały kłótnie i zatargi. Zarabiali na tym tylko spekulanci. Jako przykład można podać, że porada lekarska w szpitalu kosztowała 10 fenigów, ale w drobnych monetach. Jeśli ktoś ich nie miał, mógł nabyć te 10 fenigów, u handlarza obok, płacąc za nie... 50 fenigów (w całości). Sytuacja była tak napięta, że nawet cytowana tu nieraz *Kronika getta łódzkiego* sugerowała wydanie przez kooperatywy (sklepy) własnych bonów o drobnej wartości – „coś”, co skróciłoby wystawianie w kolejkach.

### Bony pocztowe

Brak drobnych pieniędzy odczuwał także Urząd Pocztowy w getcie. Zajmował się on doręczaniem listów, paczek, przekazów pieniężnych, sprzedawaniem znaczków pocztowych drukowanych w getcie oraz kartek pocztowych. Te ostatnie sprzedawano w urzędach pocztowych getta w cenie 10 fenigów (cena oficjalna 6 fen. + 4 fen. jako zarobek poczty). Ponieważ najdrobniejszym kwitem w owym czasie było 50 fenigów, a z powodu braku kart pocztowych



były one limitowane i sprzedawane na kartki żywnościowe lub warzywne po 1 szt. na miesiąc lub jeszcze rzadziej, były kłopoty (jak wszędzie) z wydaniem reszty. Znaleźli się jednak ludzie z inwencją, którzy postanowili temu zaradzić i wydać swoje pocztowe bony. Napisano do Rumkowskiego i uzyskano jego zgodę. 24 IV 1942 r. Wydział Pocztowy w getcie powiadomił Rumkowskiego, że bony pocztowe zostały już wydrukowane i wydaje się nimi resztę w okienkach pocztowych. Bony te przyjęły się i doskonale spełniały rolę drobnego pieniądza nie tylko na poczcie, ale i w całym getcie. Nic też dziwnego, że poczta musiała wystąpić do Rumkowskiego 11 V 1942 r. z kolejnym pismem:

„... Niniejszym zapytujemy Pana uprzejmie, czy udzieli nam Pan zezwolenia na wydawanie 10-fenigowych pokwitowań pocztowych w większej ilości, a to, dlatego, po-

nieważ różne instytucje jak apteki, szpitale itp. zwróciły się do nas o odstąpienie im tych pokwitowań wskutek braku drobnych monet. Pokwitowania te będą bez żadnych zastrzeżeń przyjmowane przez wszelkie instytucje, jako środek płatniczy. Prosimy o dyspozycje, ponieważ istnieje w tym kierunku wielkie zapotrzebowanie...”. Niestety, dalsza korespondencja się nie zachowała, że jednak bony te miały obieg w całym getcie można domyślić się z zapisów w *Kronice getta łódzkiego*, oraz z faktu wycofywania tych kwitów pocztowych po wejściu do obiegu metalowych monet 10-fenigowych. A więc jest to chyba pierwszy na świecie przypadek, gdy instytucją emitującą pieniądze była poczta. Bon ten z racji swego powszechnego obiegu w getcie należy traktować jako banknot. Był on drukowany w getcie przy ul. Brzezińskiej na odwrotnych stronach niemieckich pocztówek. Z jednej pocztówki wykonywano (drukowano) 8 bonów. Miały one obieg od czerwca do początku grudnia 1942 r. Podobne wydano też z datą 15 maja 1944 r., ale były już niepotrzebne. Pieniądz stracił na wartości. Znane są jeszcze banknoty 50-fenigowe z getta, które poczta przestemplowała na trzy części: 20 + 10 + 20 fenigów. Była to tylko próba, która się nie przyjęła.



*Listonosz w getcie łódzkim Nachman Zonabend wypłaca przekaz pocztowy*

### **Kwity wydawane przez inne instytucje**

Poza bonami (banknotami) wydanymi przez pocztę, które się zachowały do dzisiaj (są jednak fałszowane), wg *Kroniki getta łódzkiego* także inne instytucje wydawały podobne bony z powodu braku bilonu. Miały to być: Wydział Opałowy, Apropowizacyjny i kooperatywy (sklepy). Część tych naprawdę rzadkich bonów została opisana przez łódzkiego kolekcjonera i badacza W. Głuchowskiego, a po jego śmierci przekazana do Muzeum Narodowego w Warszawie.

### **Monety bite w getcie łódzkim**

Z powodu braku drobnych pieniędzy Rumkowski postanowił wydać swój własny bilon. Rozmowy na ten temat ciągnęły się prawdopodobnie przez dłuższy czas. Zachowały się niektóre dokumenty dotyczące tej sprawy. Oto fragment pisma Rumkowskiego do Biebowa, któremu przesłano wybitą monetę 10-fenigową do akceptacji: „Przesyłam Panu, zgodnie z jego życzeniem, wzór drobnej monety, która ma być wprowadzona w obieg w getcie. Przy czym chciałbym zauważyć, że najpierw otrzymuje Pan wzór 10-fenigowy, jak tylko zacznie się bicie monet 5-fenigowych, otrzyma Pan również wzór do wglądu i akceptacji...” Niestety, odpowiedź była odmowna, gdyż było duże podobień-

stwo tej monety do 10-fenigowej monety Reichu. Odmowa zaszokowała Rumkowskiego, który nie przypuszczał, że może nie uzyskać zgody na jej bicie i w jednym ze swych wydziałów, tzw. Metallabteilung I, mieszczącym się na Zgierskiej 56, na specjalnie skonstruowanej maszynie bił po 500 szt. tych monet dziennie, a Centralna Kasa zaczęła puszczać je w obieg od 14 VI 1942 r. Rumkowski planował wybicie 1 100 000 szt. monet, z czego 700 000 szt. – 10-fenigowych i 400 000 szt. – 5-fenigowych na łączną kwotę 90 000 marek. Powołał nawet 3-osobową komisję do sprawowania nadzoru przy produkcji tych monet. Po kilku dniach ulepszona maszyna biła już po 900 monet dziennie. Po odmowie Biebowa produkcja została wstrzymana. Monety są znane w numizmatyce getta jako Typ-I, duży. Kolejny projekt również nie otrzymał akceptacji Biebowa, aż któryś z kolei wreszcie był dobry i 13 października 1942 r. uzyskano zgodę na jego produkcję. Bitą monetą, znana jako Typ-II (mały), weszła w obieg 8 XII 1942 r. Planowano wybić jej 1 mln szt. na kwotę 100 000 marek. Są one teraz bardzo rzadkie i dlatego są fałszowane w różnych metalach.

Ponieważ banknoty gettowe szybko się niszczyły, pomyślano o wybicciu trwalszych monet. Zaprojektował je I. Szwarz, natomiast stemple do nich wykonał grawer łódzki M. Glezer. Monety te biła również mennica w oddziale Metallabteilung I, przeniesiona do pomieszczeń byłej rzeźni przy ul. Łagiewnickiej 63. Początkowo bito monety 20-markowe, które są znane tylko w aluminium. Podobno surowiec brano z wraków samolotów lub odpadów przy ich produkcji. Następujące monety wprowadzono do obiegu:

Nominal	Data wprowadzenia do obiegu	Nakład
5 marek	22 lutego 1944 r.	600 000 szt.
10 marek	27 grudnia 1942 r.	100 000 szt.
20 marek	21 lipca 1944 r.	600 szt.

Aluminiowa moneta 20-markowa miała znak zabezpieczający przed fałszowaniem. Był to mały trójkącik na przedłużeniu litery „R” w wyrazie „MARK”, w odległości 1 mm od dolnej krawędzi pierwszej pałeczki w literze „R”. Podobne znaki były stosowane również przy produkcji banknotów gettowych, świadczy to o wielkim kunszcie i znajomości zawodu pracowników mennicy, którzy w tych ekstremalnych warunkach wykonywali swój zawód nad podziw sumiennie. 21 lipca 1944 r. weszła do obiegu ostatnia 20-markowa moneta getta, a już 18 sierpnia Jakub Poznański w swym pamiętniku pisał, że pieniądze Rumkowskiego straciły jakąkolwiek wartość i że nie można za nie nabyć czegokolwiek. Pod datą 2 września 1944 r. napisał, iż w getcie zupełnie ustał obieg pieniędzy, służyły one jedynie jako materiał opałowy. Monetami 5- i 10-markowymi, pod koniec getta (1944), podczas mrozów, palono w piecach.

Na tym można by zakończyć historię pieniądza gettowego w Łodzi. Po wojnie zachowane stemple do bicia monet odesłano do Warszawy dla odbudo-



wującej się tam mennicy. Jej dyrektor Władysław Terlecki, znany numizmatyk, kazał odbić z nich na pamiątkę niedużą ilość klip z ołowiu. Dziś są one rzadkością. Kilka lat temu Muzeum Archeologicznemu i Etnograficznemu udało się kupić do swoich zbiorów tłok mennicy do bicia rewersów monet 10-markowych.

Również kilka lat temu pokazała się na rynku kolekcjonerskim nieznaną dotąd moneta z getta łódzkiego o nominale... 50 marek. Była bita w srebrze, mosiądku i aluminium. Posiadała średnice o dwóch wymiarach. Odnaleziono ją w byłym ZSRR.

Na zakończenie chciałbym dodać, iż dziwnym, niepojętym wprost, trafem ocalały przed zagładą trzy znaczące osoby

związane z projektowaniem i produkcją banknotów i monet w getcie łódzkim:

- Ignacy Guttman – kierownik Wydziału Budowlanego getta, architekt, projektant banknotów getta łódzkiego. Ostatnio mieszkał w Izraelu.
- Pinkus Szwarz (Pinhas Shaar) – grafik, projektant monet (rozrysował banknoty do produkcji). Żył do niedawna w USA.
- Morduch Glezer – naczelny grawer i twórca stempli do monet. Ostatnio mieszkał w Izraelu.

#### Ważniejsza bibliografia

- Bulkiewicz Stanisław – *Pieniądze getta łódzkiego 1940-1944*, Piła 1993.
- Cygański Mirosław – *Z dziejów okupacji hitlerowskiej w Łodzi*, Wydawnictwo Łódzkie 1965.
- Kronika getta łódzkiego*. Tom I i II, Wydawnictwo Łódzkie 1965.
- Mostowicz Arnold – *Żółta gwiazda i czerwony krzyż*, PIW, Warszawa 1988.
- Poznański Jakub – *Pamiętnik z getta łódzkiego*, Wydawnictwo Łódzkie 1960.
- Rubin Henryk – *Żydzi w Łodzi pod niemiecką okupacją 1939-1945*, Wydawnictwo KONTRA, Londyn 1988.
- Rudnicki Adolf – *Kupiec łódzki*, PIW, Warszawa 1963.

## Gen. bryg. Leopold Okulicki w Łodzi

W wigilię Bożego Narodzenia b.r. minie 53. rocznica tragicznej śmierci pierwszego Komendanta Okręgu Łódź Służby Zwycięstwu Polski (SZP) – Związku Walki Zbrojnej (ZWZ) i ostatniego Komendanta Głównego Polskich Sił Zbrojnych w Kraju – Armii Krajowej (AK), gen. bryg. Leopolda Okulickiego. Pseudonimy: Pan Jan, Jan Miller, Kula, Mrówka, Sep, Termit, Kobra, Niedźwiadek. Przybrane nazwiska: Jan Miller, Jan Mrówka, Jan Kula i wiele innych.

Urodził się w rodzinie chłopskiej 12 listopada 1898 r. we wsi Bratucice koło Okulic, pow. Bochnia. Syn Błażeja i Anny Kocylów. Wyznanie rzymskokatolickie. Gimnazjum ukończył w Bochni w 1919 r., gdzie na rynku w grudniu 1999 r., odsłonięty zostanie pomnik poświęcony jego pamięci. Służył w Legionach, był dyplomowanym oficerem służby stałej piechoty Wojska Polskiego. Wyższą Szkołę Wojenną w Warszawie ukończył w 1925 r. Awansowany na stopień podpułkownika w 1936 r., pułkownika w 1940 r. Nigdy nie pracował zarobkowo, od 16. roku życia był żołnierzem. Służył. Państwo wynagradzało jego służbę wojskową, później konspiracyjną. Pieniądze traktował jako środki do życia.

Stronił od polityki, jego powołaniem była wierna służba Ojczyźnie, nie spekulacje polityczne i udział w rozgrywkach partyjnych. Jednak w końcowym okresie wojny świadom był ciężącej na nim wielkiej odpowiedzialności za polityczne aspekty decyzji podejmowanych na wysokim stanowisku dowodzenia.

Uważano go za optymistę, lecz czy w tych niebezpiecznych czasach optymizm nie był konieczny?

W nocy z 31 sierpnia na 1 września 1939 r., w zastępstwie chorego płk. dypl. J. Jaklicza, był oficerem służbowym w Sztapie Głównym. Przyjmował z poszczególnych odcinków granicy meldunki o rozpoczęciu przez Niemców działań wojennych. Fragment pisemnego oświadczenia płk. Okulickiego złożonego w marcu 1944 r. na ten temat:

„Po otrzymaniu wiadomości telefonicznej z Komendy Głównej PP i Komendy Głównej Straży Granicznej oraz od oficera z komunikacji o rozpoczęciu przez Niemców działań wojennych przez armię niemiecką (bombardowanie

Oksywia, stacji kolejowej Melno i walki o most na Odrze) udałem się do pokoju, w którym spał szef Sztabu Głównego, gen. Stachewicz, rozbudziłem go i zameldowałem te wiadomości...”

Okulicki pozostał w Warszawie jako oficer łącznikowy Sztabu Wodza Naczelnego przy Dowództwie Obrony Warszawy. Od 10 września uczestniczył w obronie stolicy na stanowisku szefa sztabu odcinka Warszawa-Zachód, a od 18 września był dowódcą zgrupowania swojego imienia na Woli. 29 września gen. dyw. Juliusz Rómmel odznaczył ppłk. Okulickiego Krzyżem Złotym Orderu Virtuti Militari IV kl. (Krzyż Srebrny Orderu Virtuti Militari V kl. otrzymał w 1920 r.) Nie poszedł do niewoli. Należał do pierwszej kilkunastoosobowej grupy oficerów wstępujących, już w końcu września 1939 r., do organizacji polityczno-wojskowej Służba Zwycięstwu Polski.

W październiku 1939 r. otrzymał polecenie objęcia stanowiska komendanta wojewódzkiego SZP w Łodzi. Zadanie brzmiało: zorganizować wojskową jednostkę konspiracyjną jako narzędzie oporu i walki z okupantem na terenie Dowództwa Okręgu Korpusu (DOK IV), a właściwie województwa łódzkiego, z siedzibą w Łodzi.

Na początku 1940 r. otrzymał ppłk Okulicki nominację na komendanta Okręgu Łódź Związku Walki Zbrojnej – organizacji wojskowej – wypisaną na kawalku ciemnozielonego jedwabiu. Nominacja ta, podpisana przez „Rakonia” – ppłk. dypl. Stefana Roweckiego – komendanta ZWZ na Obszar Okupacji Niemieckiej, zawierała dodatkowo polecenie podporządkowania się istniejących na terenie województwa organizacji wojskowych komendantowi Okręgu ZWZ. Ten kawałek jedwabiu, odnaleziony przeze mnie na strychu, wraz z lewym dokumentem na nazwisko Jan Miller, zostały spalone po wojnie w okresie grożącego mi aresztowania.

Ppłk Okulicki przyjechał na nowe miejsce służby autobusem wynajętym przez Edwarda Czapskiego, w towarzystwie Janiny Żyźniewskiej „Jasi”, instruktorki pracy kobiet w Związku Strzeleckim, i Zofii Owsianko „Ireny”, łódzkiej instruktorki harcerskiej. Edward Czapski zajmował się handlem (jego żona miała sklep), działał jako kurier SZP – ZWZ.

Okulicki zatrzymał się w mieszkaniu „Jasi” przy ul. 11 listopada 24, obecnie Legionów. Mieszkanie to stało się jednym z najważniejszych punktów kontaktowych organizacji SZP – ZWZ – AK w Łodzi. Poza tym Janina Żyźniewska zorganizowała ppłk. Okulickiemu i następnemu komendantowi Okręgu Łódź stałe miejsce zatrzymywania się w Warszawie przy ul. Smulikowskiego 14 (Spasowskiego) na Powiślu, w mieszkaniu Zenona Kosidowskiego, który z rodziną we wrześniu opuścił kraj. Kwaterę tę prowadziła Zofia Gubańska „Kasia”. Tutaj, dla wyjaśnienia źródeł moich wiadomości o powyższych i dalszych szczegółach, podam: Zofia Kosidowska z domu Jezierska, Janina Żyźniewska z domu Jezierska i Leonia Jędrzejewska z domu Jezierska były siostrami. Wspomniane powyżej (wielopokojowy) lokal zamieszkiwały wspólnie



siostry Janina i Leonia z rodzinami, Wanda Jezierska-Goedel i Wilhelmina Jezierska, matka wymienionych trzech siostr.

Ppłk Okulicki posługiwał się teraz dokumentem wystawionym na nazwisko Jan Miller. Pierwszym zadaniem, jakie sobie postawił po przyjeździe, było stworzenie niezbędnego organu dowodzenia, to znaczy sztabu Okręgu i podstawowej sieci dowodzenia. Przyjął istniejące już załączki organizacji wojskowej i działał w oparciu o mieszkania i rodziny Bredelów, Jezierskich, Sobczaków i wielu innych, korzystając z licznych znajomości w środowisku działaczy niepodległościowych z okresu I wojny światowej i społecznych z okresu międzywojennego.

Adiutantem ppłk. Okulickiego był jego znajomy, którego ściągnął z Warszawy, kpt. audytor WP Lucjan Milewski „Baczyński”, pełniący również obowiązki szefa Oddz. I Organizacji w Sztabie Okręgu. Zagrożony aresztowaniem, na początku 1940 r. wrócił do stolicy. W połowie 1940 r. adiutantem został ppor. Benedykt Siegmüller-Młynarski „Benek”, a szefem Oddz. I – rtm. Stefan Grabowski „Amelia”. Szefem Sztabu był mjr Stanisław Juszczakiewicz „Stanisław”, jego główne „miejsce postoju” mieściło się we wspomnianym już mieszkaniu przy ul. 11 listopada 24, front, I piętro. W miesiącach kwiecień – czerwiec 1940 r. funkcję szefa sztabu pełnił krótko przybyły z Warszawy ppłk dypl. Stefan Górniewicz „Rola”. Kwaterował się w mieszkaniu zorganizowanym przez kpt. Czarneckiego z Polskiej Organizacji Bojowej (BOP). Szefem Oddz. II (wywiad i kontrwywiad) był kpt. dypl. Zygmunt Janke „Gertruda”. Szefem Oddz. III, operacyjno-wyszkoleniowego – kpt. Bogdan Górski „Bogdan”. Szefem Oddz. IV (kwatermistrzostwo) i Oddz. VII (biuro finansów i kontroli) została mianowana Janina Żyźniewska „Jasia”. Szefem Oddz. V (łącznie operacyjna i konspiracyjna) został ppor. rez. inż. Franciszek Moczowski „Gruchacz”. Szefem Oddz. VI (informacja i propaganda BIP) został dziennikarz ppor. Stanisław Miłek „Mały Staś”, w maju 1940 r. – Henryk Bartoszewicz „Janota” z POB, aresztowany w czerwcu 1940 r. Szefem Związku Odwetu (ZO) był kpt. saper Mieczysław Chołackiewicz „Franek”. Służbę Sprawiedliwości prowadził sędzia mgr Edward Piotrowski „Bzura”, Służbę Zdrowia – dr Tadeusz Chmielewski „Czesław”, Służbę Duszpasterską – ksiądz kpt. Stanisław Pniewski „Jastrzębiec”, Komórkę Młodzieżową – dh hm. Dominik Patora „Andrzej”.

Ppłk Okulicki rzadko opuszczał Łódź, lecz co pewien czas musiał się jednak meldować u komendanta SZP, gen. bryg. Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza „Doktora” (zaliczył 2 lata studiów medycznych) w jego fikcyjnym gabinecie lekarskim na Mokotowie w Warszawie, później u Komendanta ZWZ na teren okupacji niemieckiej, płk. dypl. Stefana Roweckiego „Rakonia”. Zatrzymywał się wówczas w mieszkaniu przy ul. Smulikowskiego 14, starając się jak najmniej pokazywać w mieście. Spotykał się tylko z przyjaciółmi, m.in. z ppłk. inż. Antonim Sanojcą „Knapikiem” szefem Oddz. I Komendy Głównej

ZWZ. Bywał też w mieszkaniu Ireny Tomalakowej „Soladu” na Woli przy ul. Działdowskiej – prowadziła krajową komórkę kurierską. Tutaj spotykał się z osobami kierownictwa ZWZ. Był też częstym gościem u por. dr Zofii Franio „Doktor” przy ul. Fałata, która była dowódcą pierwszego kobiecego patrolu sabotażowo-dywersyjnego ZWZ.

Ppłk Okulicki znalazł się w Łodzi w czasie, gdy zachodnie regiony Polski, aż po Łódź, zostały włączone do Rzeszy. Wygłoszone z tej okazji przemówienie gauleitera Greisera stało się otwartym wezwaniem do germanizacji miasta i sąsiednich terenów. W przededniu Święta Niepodległości Niemcy wysadzili w powietrze pomnik Tadeusza Kościuszki na placu Wolności. Rozpoczęły się aresztowania zakładników, zapelniał się nowo stworzony obóz-więzienie na Radogoszczu, coraz częściej słychać było o ulicy Anstadta, gdzie ulokowało się gestapo. Pomimo to istniało w Łodzi kilkanaście organizacji konspiracyjnych. Powstały spontanicznie i cechował je głęboki patriotyzm, ale przeważnie były tworzone po amatorsku, czasami wręcz naiwnie, przez harcerzy, nauczycieli, przedwojenne grupy polityczne i innych. Ppłk Okulicki początkowo nie ingerował w ich działalność, natomiast oparł budowaną przez siebie siatkę ZWZ na przedwojennych organizacjach paramilitarnych – Związku Peowików, Związku Strzeleckim, Związku Oficerów Rezerwy, Związku Podoficerów Rezerwy, Przynsposobieniu Wojskowym Kobiet, instruktorach harcerskich itd. – chcąc utrzymać czysto wojskowy ich charakter. Członkom tych organizacji powierzono różnego rodzaju funkcje i zadania w sztabie Okręgu, inspektora-tach, obwodach. Powstały kilkunastoosobowe plutony. Gromadzono broń, którą ukrywano w mieście i okolicy, np. w sanatorium w Tuszynie. Nie było tego wiele. Podjęto regularne powielanie „Wiadomości Polskich” i innych pism konspiracyjnych.

Najważniejsze, że ppłk Okulicki stworzył niezbędny organ dowodzenia, tj. Sztab Okręgu i podstawowe sieci łączności i kierowania. Pomagali mu w tym oficerowie sztabu, a także przebywający w mieście oficerowie 28 pp. Strzelców Kaniowskich. W końcu października 1939 r. miał z nimi spotkanie w mieszkaniu p. Chmielec przy ul. Śródmiejskiej (Więckowskiego) 93. Obecni byli porucznicy Tomasz Fijałkowski, Janusz Orłowski i Antoni Węgrzyn. Ten ostatni dostał przydział do Inspektoratu Piotrków Trybunalski. Nie brakowało również kobiet z Przynsposobienia Wojskowego Kobiet (PWK), m. in. Janina Bredel „Marianka”, komendantka PWK w Łodzi, została szefową łączności konspiracyjnej (łączniczki, kurierki). Jej siostra, Irena „Rena” zajmowała się łącznością wewnętrzną Okręgu (poległa w Powstaniu Warszawskim). Była jeszcze Jadwiga Chmielanka „Rozalika” i inne. Miejscem odpraw prowadzonych przez komendanta Okręgu było m.in. mieszkanie harcerki Zofii Owsianko przy ul. Ogrodowej 24. Był to bardzo wygodny lokal. Wejście bezpośrednio z bramy, duże podwórko z drugim przejściem na ul. Gdańską. Do dużego pokoju, w którym przebywał komendant Okręgu, wpuszczane były osoby tylko po

uprzednim podaniu ustalonego hasła. Tutaj też nastąpiło pierwsze spotkanie Okulickiego i Juszcakiewicza z kierownictwem „Szarych Szeregów”: druhami Janem Perką i Mieczysławem Łętowskim oraz druhną Władysławą Kenizanką, instruktorką PWK i komendantką Pogotowia Harcerek.

Komendant często wyjeżdżał do pięciu inspektoratów: piotrkowskiego, kutnowskiego, sieradzkiego, kaliskiego i skierniewickiego. W Inspektoracie Piotrków Trybunalski pragnął rozeznac tajemnice spalskich lasów, w których w dawnym pałacyku, miejscu letniego wypoczynku Prezydenta RP, usadowiło się dowództwo VIII Armii tzw. Ober-Ost gen. Blaskowitza, kierującego niemieckimi siłami na wschodzie. Na tym terenie działał też Oddział Wydzielony WP mjr. „Hubala”, Henryka Dobrzańskiego.

W marcu 1940 r., z rozkazu komendanta ZWZ na Obszar Okupacji Niemieckiej ppłk. dypl. Stefana Roweckiego, Okulicki spowodował częściowe rozwiązanie Oddziału Wydzielonego WP. Okulicki bowiem odpowiadał przed płk. Roweckim za działalność bojową OW WP, operującego na podległych mu terenach. 5 kwietnia 1940 r. meldował, że w końcu marca dotarł do mjr. „Hubala”, przebywającego od stycznia na ubezpieczonym postoju w miejscowości Gałki w powiecie opoczyńskim. Oddział liczył 360 ludzi. Okulicki przedstawił „Hubalowi” konieczność nie tylko zaprzestania werbunku, ale teraz pilną już potrzebę skadrowania Oddziału, gdyż w obecnym położeniu nie można było liczyć na przyjsie aliantów tej wiosny do Polski, nie było zatem podstaw do prowadzenia jawnej walki przez odosobniony oddział WP, bo mogło to doprowadzić do masakry miejscowej ludności.

Mjr „Hubal” odniósł się negatywnie do rozkazu, nie chcąc rozstawać się z ludźmi i mundurem. Dopiero bezpośrednia rozmowa ppłk. Okulickiego z ludźmi Oddziału przekonała ich o słuszności przywiezionego rozkazu. OW WP został rozwiązany z wyjątkiem ograniczonego oddziału konnego i skadrowanego oddziału pieszego, który miał udać się w Góry Świętokrzyskie do dyspozycji Okręgu Kielce ZWZ. Z rozwiązanego Oddziału część ludzi poszła do domów, kilkunastu udało się na znane sobie kontakty w Warszawie, a kilku zasiłowało łódzki i kielecki ZWZ.

W Łodzi komendant przeprowadził rozmowy z kierownictwem istniejących już organizacji wojskowych w celu włączenia ich do ZWZ, m.in. z Polską Organizacją Wojskową (POW), Polską Organizacją Bojową (POB), z Henrykiem Bartoszewiczem „Janotą”, Fabianem Urbaniakiem „Piłą”, z „Szarymi Szeregami”, Pogotowiem Harcerek i innymi. Rozmowy z ugrupowaniami politycznymi kończyły się na ich deklaracjach. Prowadzono też rozmowy m.in. w mieszkaniu ppor. rez. Mieczysława Aniołkiewicza (POB) przy ul. Kopernika 18, tam też odbywały się odprawy Okręgu. Ważnym miejscem spotkań była pracownia technika dentystycznego Józefa Sipy przy ul. Zielonej 65 lub jego mieszkanie przy ul. 1 Maja 110. Tam ppłk Okulicki w listopadzie 1939 r. powierzył doktorowi Tomaszowi Chmielewskiemu „Czesławowi” funkcje lekarza

naczelnego (szefa sanitariatu) Okręgu Łódź. Dr „Czesław” tak napisał o pułkowniku: „...zrobił na mnie wrażenie człowieka na właściwym miejscu, nie był drobiazgowy. Można powiedzieć, że naciskał sprężyny, które uruchamiały właściwe samodzielne mechanizmy i mnie również pozostawił wolną rękę”. Jak mi wiadomo, kwatery ppłk. Okulickiego, poza wymienionymi, mieściły się również w jednorodzinny domku Sobczaków przy ul. Czartoryskiego 64, w mieszkaniu Anny Gessler przy ul. Wodnej 26, I p. w podwórzu, na Julianowie i w wielu innych miejscach.

Ppłk Okulicki posiadał umiejętności nawiązywania kontaktów z ludźmi i pozyskiwania ich dla sprawy. Ta łatwość kontaktów, prowadząca do szerokiej znajomości, spowodowała, że dotarły o nim wieści do gestapo. Jeden z nielicznych zachowanych raportów policyjnych z pierwszego półrocza 1940 r., raport łódzkiego gestapo z 23 kwietnia 1940 r., wylicza 14 rozpoznanych organizacji; tylko jedna z nich – „Organizacja pułkownika Okulniki”, czyli ZWZ Okręg Łódź, kierowana przez ppłk. Okulickiego, przetrwała aresztowania I półrocza 1940 r. (Überblick über die bisher erkannten polnischen illegalen Wiederstands – organisationen im Bereich der Stadt Litzmannstadt).

Pierwsze informacje otrzymało gestapo od Wiery Otte, która sama zgłosiła się z zeznaniami. Dokument gestapo z zeznań Wiery Otte brzmi (podaję w tłumaczeniu własnym): „Przed wojną pani Otte utrzymywała w Łodzi pensjonat, w którym mieszkał również porucznik Tomasz Fijałkowski. Po zakończeniu kampanii polskiej odwiedził panią Otte ten porucznik.... Jednego dnia odwiedził ich pułkownik Leopold Okulniki. Z rozmowy przeprowadzonej między tymi dwoma pani Otte zorientowała się, że działają oni w nielegalnej organizacji, której dowódcą jest Okulniki [...] Pani Otte zeznała dalej, że Fijałkowski zwierzył się jej, że Okulniki konspiracyjnie nazywa się Jan Kula. Chce do swego sztabu przyciągnąć współpracowników, rozmaitych oficerów. Śledztwo w tej sprawie nie jest jeszcze zakończone”.

Na Wierę Otte ZWZ wydał wyrok śmierci, który został wykonany. Po aresztowaniu w dniu 22 listopada 1939 r. T. Fijałkowskiego i J. Orłowskiego gestapo uzyskało od pierwszego z nich opis wyglądu zewnętrznego ppłk Okulickiego. Ww. oficerowie 2 lutego 1940 r. zostali skazani przez niemiecki sąd doraźny i straceni.

4 czerwca 1940 r. aresztowano kilkudziesięciu członków POB, w tym Henryka Bartoszewicza „Janotę”, jednomiesięcznego szefa BIP Okręgu Łódź ZWZ. Według dokumentu gestapo H. Bartoszewicz opisał „Millera”, czyli ppłk. Okulickiego następująco: „Alter zwischen 45-55 Jahren. Größe 170 bis 175, angegrautes Haar, Scheitel links, dunkelgrauer Anzug, leichter – grauer Regenmantel”. (Podaję tłumaczenie własne: Wiek między 45 a 55 lat, wzrost 170 do 175, postawna figura, włosy ciemnoblond z przedziałkiem z lewej strony, siwiejące na skroniach, ciemnoszare ubranie, lekko szary płaszcz przeciwdeszczowy).

14 czerwca 1940 r. wpadła kwatera pułkownika przy ul. Kilińskiego 117 m. 12, lewa oficyna, u państwa Góralczyków. W mieszkaniu urządzono „kociol” – kto wszedł został zatrzymany. Taki los spotkał łączniczkę z Piotrkowa Tryb. Wandę Konopacką „Halinę” i ppor. Stefana Pikulińskiego „Białego” z Inspektoratu Skierniewice. Gdy „Biały” znalazł się w sytuacji bez wyjścia, mając odcięty odwrót do drzwi, rzucił się do okna, wywalił je i z III piętra runął na podwórze. W wyniku upadku został ciężko ranny, miał złamany kręgosłup i wstrząs mózgu. Przewieziony do szpitala im. I. Mościckiego przy ul. Narutowicza, zmarł w trakcie operacji. Prosił lekarza, aby go nie ratował. Skokiem i śmiercią uchronił Okulickiego i innych, którzy kierowali się do tego lokalu.

Tropiony komendant zmieniał mieszkania, zapuścił wąsy, ubierał się inaczej, czyniąc się trudniejszym do rozpoznania. Nocował u p. Feliksa Maurera, właściciela cegielni, w budynku przy obecnej al. Włókniarzy 2, w którym mieści się restauracja „Nad Łódką”. Feliks Maurer przybrał w organizacji pseudonim „Michalski” i na polecenie ZWZ przyjął wraz z rodziną volkslistę.

W wyniku wyteżonej pracy konspiracyjnej Okulickiego powstała sprawnie działająca organizacja wojskowa, obejmująca teren Łodzi i województwa łódzkiego w granicach z 1938/39 r., o kryptonimie „Hale”, „Kreton”. Przełożeni docenili wysiłek Okulickiego i rozkazem z 1 lipca 1940 r. awansowali go do stopnia pułkownika.

Poznałem Leopolda Okulickiego w połowie 1939 r., byłem wówczas 17-letnim, młodym człowiekiem, instruktorem harcerskim. Ostatni raz widziałem się z nim w Warszawie przed powstaniem. Miałem wtedy 22 lata, w dorobku pewną działalność konspiracyjną i stopień podporucznika AK czasu wojny.

W trakcie pierwszego spotkania powiedział do mnie: „Na ulicach miasta Niemcy rozkleili plakaty z napisem »Anglio, to twoje dzieło« i rysunkiem płonącej Warszawy. Harcerze, zajmijcie się tym plakatem i na miejscu »Anglio« naklejcie »Hitler«” Poczyniliśmy kilka tego rodzaju prób, lecz sprawa wydała się zbyt niebezpieczna ze względu na duże skupisko Niemców, a poza tym nie potrafiliśmy jeszcze przystosować się do istniejących okupacyjnych warunków.

Pułkownik Okulicki był mężczyzną barczystym, krępej budowy; oczy miał niebieskie, głęboko osadzone, sylwetkę typowo wojskową, twarz o pogodnym uśmiechu, ze śladami po ospie. Wyraz twarzy i ruchy ukazywały wrodzoną energię. W postępowaniu przebijał spokój, duża odwaga, brak drobiazgowości, co było nieocenione w pracy konspiracyjnej. Łączył w swojej osobie wszystkie cechy oficera zawodowego. Ta żołnierska postawa była problemem, gdyż uzewnętrzniała się nawet mimo cywilnego ubrania. Niewiele pomogły okulary i niedbały strój. W naszym mieszkaniu, siedząc przy stole w trakcie posiłków, był raczej mało mówny, nie włączał się do dyskusji na tematy szarego, codziennego, okupacyjnego życia, na tematy domowe, rodzinne – był słuchaczem. Wypowiadał się natomiast na tematy polityczne, sytuacji na froncie

itp. Wiódł prym pośród grających w brydża, podczas wieczornych spotkań z najbliższymi współpracownikami. Moja siostra Danka, wówczas 9-letnia dziewczynka, po dziś dzień wspomina pierwszy pocałunek w rękę, jaki złożył jej przybywający do nas pan „Jan Miller”, zawsze zwracający się do niej „per panno Danusiu”.

Wykonywałem dla płk. Okulickiego najrozmaitsze polecenia m.in. byłem gońcem, łącznikiem, informatorem itp. Byłem łącznikiem do Komendy Chorągwi Łódzkiej ZHP (Szare Szeregi „UL – Kominy”) hm. Mieczysława Łętkowskiego „Nałęcza” i hm. Dominika Patory „Andrzeja”. Łącznikami jego były panie Zofia Owsianko „Irena”, Wanda Wiśniewska „Wanda”, Bogusława Sierpińska „Bogusia” i inne.

Gen. Zygmunt Walter-Janke w książce pt. *W Armii Krajowej w Łodzi i na Śląsku* tak scharakteryzował płk. Okulickiego: „Jako dowódca Pan Jan miał wielką zaletę: nie wymagał od podwładnych tego, czego by sam nie zrobił”. I tak przedstawił jeden epizod: „Mieliśmy spotkać się na Widzewie, na polnej drodze. Czekałem dłuższą chwilę i już zaczynałem się niepokoić, gdy nagle z żyta wynurzył się Pan Jan z dużym kamieniem w rękę. Na mój widok odrzucił go i wyjaśnił krótko: śledził mnie jakiś łaps, ale w żyto pójść za mną się nie ośmielił. Pan Jan był bardzo silny i istotnie mógł zrobić z kamienia dobry użytek. Incydent ten świadczy, jak krucho było na początku z bronią. Później śmieliśmy się z epoki kamiennej”.

W lipcu 1940 r., wobec narastającego zagrożenia, płk Okulicki na rozkaz Komendanta Głównego ZWZ opuścił Łódź. Przekazał stanowisko Komendanta Okręgu majorowi Stanisławowi Juszczykiewiczowi („Stanisław”) na odprawie w domku jednorodzinny na Marysinie (Bałuty). Ostatnie dni przed wyjazdem spędził na Widzewie, za torem kolejowym, przy ul. Projektowanej 1, w gospodarstwie p. Z. Gawrońskiego, u mieszkających tam pań Drozdowskich. Nocował w stodole. Przeszedł granicę do Generalnej Guberni w rejonie Gałkówka, przeprowadzony przez Mieczysława Sudrę „Dominika”.

Dalsze dzieje to Warszawa, rozkaz udania się do Lwowa, dla objęcia komendantury obszarów nr 2 i 3 okupacji sowieckiej, aresztowanie, więzienie w Moskwie, Wojsko Polskie w ZSRR, obóz wojskowy w Buzułku – dowódca 7 DP, potem Pahlewi, Quizil – Rabat, odwołanie do dyspozycji Naczelnego Wodza do Londynu, Brindysi we Włoszech. W ramach operacji „Weller 29” skok do kraju w ekipie nr 53 w nocy z 21 na 22 maja 1944 r. na placówkę odbiorczą „Kos” położoną 24 km na północny wschód od Krakowa.

Po powrocie Okulickiego do Warszawy gen. Tadeusz Komorowski „Bór” powierzył mu stanowisko zastępcy szefa sztabu i szefa Oddz. III Operacyjnego w Komendzie Głównej AK. I tu, po czteroletniej przerwie, ponownie nastąpiło moje z nim spotkanie w mieszkaniu urzędowania ppłk. Stanisława Juszczykiewicza („Kornik”) – zastępcy szefa Oddz. I KG – AK i szefa Biura Personalnego – u dentystki przy ul. Rakowieckiej. Był u mnie w mieszkaniu przy ul. San-

domierskiej 14, gdzie byłem zameldowany pod nazwiskiem Zdzisław Jezierski. Interesował się moim życiem i moimi życiowymi planami.

Po powstaniu w Warszawie wyszedł wraz z ludnością cywilną, bez munduru i bez ostatniej defilady. Szedł wierny rozkazowi, w celu kontynuowania walki po przegranej bitwie, zgodnie z żołnierskim obowiązkiem. Była z nim jego wierna towarzyszka służby Janina Pronaszko-Konopacka „Janina”.

Z polecenia Wodza Naczelnego, gen. Tadeusza Komorowskiego, przyjął obowiązki dowódcy Sił Zbrojnych w Kraju w warunkach bardzo skomplikowanych i trudnych. Po upadku Powstania Warszawskiego w społeczeństwie występowały nastroje apatii i obaw potęgowane poczuciem opuszczenia przez sojuszników, prosowiecką działalnością komunistów, nad wyraz ciężkimi nie-raz tragicznymi warunkami bytowania. Sytuacja gen. Okulickiego była niejasna. Przeciągała się sprawa formalnej nominacji na stanowisko dowódcy Sił Zbrojnych w Kraju, brak było dyrektyw ze sztabu Wodza Naczelnego z Londynu, władze Państwa Podziemnego były rozproszone, zdezorganizowane, nie orientujące się dobrze w istniejącym stanie rzeczy. Nad wszystkim panowała niepewność i lęk przed zachowaniem się Armii Czerwonej, NKWD, aparatu bezpieczeństwa, Tymczasowego Rządu Lubelskiego. Znane już były fakty aresztowań, deportacji, mordowania i rozstrzeliwania patriotów polskich.

Ostatnią wigilię na wolności w 1944 r. spędził w Częstochowie, w mieszkaniu przy ul. Barbary, w którym mieściła się również kancelaria Komendy Głównej AK. Przed kilku dniami otrzymał z Londynu oczekiwaną, urzędową nominację na Komendanta Głównego Polskich Sił Zbrojnych (Armii Krajowej). W tym wigilijnym spotkaniu uczestniczył płk. dypl. Emil Fieldorf „Nil”, z-ca gen. Okulickiego i pracownicy kancelarii. Gen. Okulicki był w pogodnym nastroju, rozmawiał, snuł plany na przyszłość, głębokim barytonem śpiewał kolędy i piosenki partyzanckie.

19 stycznia 1945 r., po rozpoczęciu ofensywy sowieckiej, gdy Armia Czerwona szybko zdobywała teren, a tuż za nią jednostki NKWD przystępowały do swojej roboty, gen. Leopold Okulicki „Niedźwiadek” wydał ostatni, napisany na stacji kolejowej w Częstochowie, rozkaz. O to jego treść:

### *Żołnierze Sił Zbrojnych Kraju!*

*Postępująca szybko ofensywa sowiecka doprowadzić może do zajęcia w krótkim czasie całej Polski przez Armię Czerwoną. Nie jest to jednak zwycięstwo słusznej sprawy, o którą walczymy od roku 1939. W istocie bowiem – mimo stwarzanych pozorów wolności – oznacza to zmianę jednej okupacji na drugą, przeprowadzaną pod przykrywką Tymczasowego Rządu Lubelskiego, bezwolnego narzędzia w rękach rosyjskich.*

*Żołnierze! Od 1 września 1939 r. Naród Polski prowadzi ciężką i ofiarną walkę o jedyną sprawę, dla której warto żyć i umierać: o swą wolność i wolność człowieka w niepodległym Państwie.*

*Wyrazicielem i rzecznikiem Narodu i tej idei jest jedyny i legalny Rząd Polski w Londynie, który walczyć będzie nadal o nasze słuszne prawa.*

*Polska według rosyjskiej recepty nie jest tą Polską, o którą bijemy się szósty rok z Niemcami, dla której płynęło morze krwi polskiej i przecierpiano ogrom męki i zniszczenie Kraju. Walki z Sowietami nie chcemy prowadzić, ale nigdy nie zgodzimy się na inne życie, jak tylko w całkowicie suwerennym, niepodległym i sprawiedliwie urządzonym społecznie Państwie Polskim.*

*Obeenie zwycięstwo sowieckie nie kończy wojny. Nie wolno nam ani na chwilę tracić wiary, że wojna ta skończyć się może jedynie zwycięstwem słusznej sprawy, tryumfem dobra nad złem, wolności nad niewolnictwem.*

*Żołnierze Armii Krajowej!*

*Daję Wam ostatni rozkaz. Dalszą swą pracę i działalność prowadźcie w duchu odzyskania pełnej niepodległości Państwa i ochrony ludności polskiej przed zagładą. Starajcie się być przewodnikami Narodu i realizatorami niepodległego Państwa Polskiego. W tym działaniu każdy z Was musi być dla siebie dowódcą. W przekonaniu, że rozkaz ten spełnicie, że zostaniecie na zawsze wierni tylko Polsce oraz by Wam ułatwić dalszą pracę – z upoważnienia Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej zwalniam Was z przysięgi i rozwiązuję szeregi AK.*

*W imię służby dziękuję Wam za dotychczasową ofiarną pracę.*

*Wierzę głęboko, że zwycięży nasza Święta Sprawa, że spotkamy się w prawdziwie wolnej i demokratycznej Polsce.*

*Niech żyje Wolna, Niepodległa, Szczęśliwa Polska.*

*Dowódca Sił Zbrojnych w Kraju*

*(-) Niedźwiadek*

*Gen. Bryg.*

*M. p. 19 stycznia 1945*

W dniu 21 stycznia 1945 r. szef Sztabu Okręgu Łódź, mjr Jerzy Emir-Hassan „Turek II” dotarł do „Niedźwiadka” w Częstochowie i dowiedział się o wydanym rozkazie rozwiązującym Armię Krajową.

Inną drogą rozkaz ten otrzymał Komendant Okręgu Łódź AK ppłk Michał Stempkowski „Grzegorz”, który 25 stycznia 1945 r. wydał swój rozkaz do podległych oficerów i żołnierzy.

Rozwiązanie AK, dla wielu niespodziewane, nie wpłynęło na rozmiar represji stosowanych przez NKWD i UB. Równocześnie Okulicki wydał tajne polecenia dotyczące pozostawienia szkieletowej sieci sztabów i struktur, zachowania łączności radiowej i magazynowania broni. Stanowiły one bazę dla Organizacji „Niepodległość” – „Nie”. W lutym 1945 r. przekazał gen. E. Fiedorowski czynność przejmowania struktur AK przez „Nie”. Sam zajął się sprawami dotyczącymi demobilizacji AK i rozpoczął pertraktacje ze stronnictwami



politycznymi na temat wyłonienia przyszłych władz wojskowych i politycznych w związku ze zmianą okupanta.

Ponownie, w lutym i marcu 1945 r., pojawił się w Łodzi. Zatrzymywał się u p. Bronisławy Bredel, w mieszkaniu nr 6 przy ul. 1 Maja 51, matki Janiny Bredel „Marianki” – majora AK, szefa kancelarii Komendy Głównej AK i Organizacji „Niepodległość”.

I w tym okresie bywał w mieszkaniu Leonii Jezierskiej-Jędrzejewskiej „Cioci Loni” przy ul. 11 Listopada 24 (Legionów). Nadal liczył na III wojnę światową, która wydawała się nieunikniona ze względu na sprzeczności interesów w obozie aliantów, wynikające z imperialistycznej polityki ZSRR.

Zmieniło się jego usposobienie. Był bogaty w przeżycia i doświadczenia konspiracyjne, więzienne, powstańcze i polityczne. Wiedział już o śmierci jedynego syna Zbigniewa w walkach w rejonie Ankony 8 lipca 1944 r., awansowanego do stopnia podporucznika i odznaczonego Orderem Krzyża Virtuti Militari V kl.

W Łodzi jeden z punktów kontaktowych mieścił się w mieszkaniu Barbary Turskiej-Moczkowskiej „Grażyny” przy ul. Narutowicza 58 w oficynie. Tutaj w początkach marca 1945 r. zorganizowane zostało spotkanie – odprawa komendantów okręgów organizacji „Nie” z całego kraju. Uczestniczyli w nim m.in. płk dypl. Janusz Bokszczanin „Sęk” – szef sztabu, płk Roman Rudkowski „Rudy” c. c., mjr Jan Kamiński „Kozas” – szef Oddz. III w organizacji „Nie”, Janina Bredel „Marianka” i inni. Przez trzy dni zgłaszali się sukcesywnie dowódcy poszczególnych okręgów i służb na kilkugodzinne rozmowy.

19 marca 1945 r. nastąpiły w Łodzi aresztowania przeprowadzone przez NKWD, a zapoczątkowane przez „wsypę” w Piotrkowie Trybunalskim. Aresztowano Janinę Bredel „Mariankę” i jej zastępczynię Halinę Zakrzewską „Halę” w mieszkaniu przy ul. 1 Maja 51 m. 6, w której mieściła się również kancelaria główna „Nie”, co najgorsze jeszcze bez skrytek. W lokalu zrobiono „kocioł”. W tym czasie zatrzymywano w mieście mężczyzn o siwych bródkach, przywożono ich do siedziby NKWD przy ul. Kilińskiego i kazano aresztowanym paniom rozpoznać „Niedźwiadka”. Oczywiście nic z tego nie wyszło, lecz byli już na jego tropie.

27 marca 1945 r. na wyraźne polecenie Delegata Rządu na Kraj wicepremiera Stanisława Jankowskiego „Sobola”, gen. Okulicki udał się wraz z nim i przewodniczącym Rady Jedności Narodowej Kazimierzem Pużakiem na spotkanie z gen. Iwanowem-Sierowem do Pruszkowa. Czekało na jego powrót w zakonspirowanym lokalu w na pół zrujnowanym domu przy zbiegu ul. Marszałkowskiej i pl. Unii Lubelskiej w Warszawie należącym do Teofila Sygi.

Wszyscy trzech przywódcy Podziemnego Państwa Polskiego zostali zatrzymani przez NKWD. Ostatni Komendant Główny Armii Krajowej wraz z 15 osobami z kierownictwa Delegatury Rządu na Kraj i Rady Jedności Narodowej, podstępnie aresztowani, zostali uwięzieni na Łubiance. Po męczącym śledztwie

wszyscy zostali bezprawnie postawieni przed sowieckim sądem. Wyrok na gen. Okulickiego brzmiał: 10 lat więzienia.

Według dwóch więziennych lekarzy – Larina i Finajewa – Okulicki cierpiał na tzw. skręt kiszek. 23 grudnia 1946 r. wieczorem operowano go. 24 grudnia o godz. 13. 15 zmarł.

Gen. Tadeusz Komorowski „Bór” w swej książce pt.: *Armia Podziemna* tak napisał: „Okulicki był zbyt wybitny, aby podporządkować się czyjejs linii. Okulicki to wielki indywidualista, człowiek impulsywny, dochodzący do własnych sformułowań. Okulicki szybko się decydował. To był ktoś”.

Koleje życia dwóch komendantów Polskich Sił Zbrojnych w Kraju (AK) – generałów Stefana Roweckiego „Grot” i Leopolda Okulickiego „Niedźwiadka” – łączą nasze polskie dzieje w latach wojny. Stefan Rowecki – aresztowany przez Niemców i stracony w niemieckim obozie koncentracyjnym, Leopold Okulicki – podstępnie uwięziony przez Rosjan, zakończył życie, już po wojnie, w sowieckim więzieniu. Obaj odmawiali zdecydowanie jakiegokolwiek współpracy z okupantami.

We wrześniu 1992 r. na Wojskowym Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie stworzono gen. Okulickiemu symboliczny grób, umieszczając w nim garstkę ziemi przywiezioną z miejsca jego męczeńskiej śmierci. 2 października 1994 r. w Bazylice Archikatedralnej w Łodzi została odsłonięta i poświęcona tablica gen. Leopolda Okulickiego „Niedźwiadka” zrealizowana dzięki wysiłkowi Zarządu Okręgu Łódź Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej.

Na przedmieściach miasta znajduje się mała uliczka, której nadano imię naszego bohatera i męczennika – pierwszego Komendanta Okręgu Łódź Związku Walki Zbrojnej i ostatniego Komendanta Głównego Armii Krajowej.

## Mniejszości narodowe w Łodzi w latach 1945-1950

Pojęcie „Łodzi wielonarodowej” zwykliśmy odnosić do okresu sprzed 1 września 1939 r., gdy odsetek mniejszości narodowych przekraczał 1/3 ogółu mieszkańców miasta. W konsekwencji wojny i okupacji nastąpiły w tym zakresie zasadnicze przekształcenia. Zagłada 90% łódzkich Żydów i emigracja sporej części spośród ocalonych oraz ucieczka, a następnie przymusowe wysiedlenie Niemców ujednoliciły strukturę narodowościową miasta. Odmierna sytuacja panowała w pierwszych latach powojennych, gdy odsetek niepolskich narodowości sięgał, a przejściowo przekraczał, 10%. Łódź była wówczas najważniejszym w skali kraju ośrodkiem życia społeczno-politycznego i kulturalnego Żydów. W dalszym ciągu przebywali tu w oczekiwaniu na wysiedlenie Niemcy, a jednocześnie rozstrzygały się losy dwudziestotysięcznej grupy tzw. volksdeutschów, czyli przedwojennych mieszkańców Łodzi wpisanych w czasie okupacji na niemieckie listy narodowe. Zamieszkiwały w naszym mieście także inne, mniej liczne grupy narodowościowe. W artykule tym pomijam kwestię Niemców i volksdeutschów przede wszystkim ze względu na stan badań a także brak miejsca na wyjaśnianie tej skomplikowanej problematyki. Ponadto zaliczenie wymienionych grup do kategorii „mniejszość narodowa” nie ma w odniesieniu do tamtego okresu szerokiego uzasadnienia.

Wzmiankowaną „mozaikę narodowościową” Łodzi w pełni oddaje pierwsza opracowana po wojnie przez Wydział Ewidencji Ludności Zarządu Miejskiego w Łodzi (dalej: WEL ZML) w dniu 27 maja 1945 r. statystyka ludności uwzględniająca kryterium narodowości (w oparciu o rejestr kart meldunkowych). Według tego źródła w Łodzi zamieszkiwały wówczas następujące narodowości: Polacy – 397 131 osób, Niemcy – 32 947, Żydzi – 6 336, Rosjanie – 1 718, Ukraińcy – 362, Białorusini – 194, Litwini – 50 i „inni” – 1115<sup>1</sup>. Wskaźniki liczebności Żydów i mniejszości wschodniosłowiańskich były zaniżone (szerzej o tym w dalszej części artykułu). Należy też wątpić, czy w ewidencji władz miasta znajdowali się wszyscy „Niemcy”. Kategoria ta obejmowała zarówno obywateli niemieckich, przesiedleńców niemieckich z krajów bałtyckich, Rumunii i Wołynia, jak i miejscowych volksdeutschów. Przeważa-

<sup>1</sup> Archiwum Państwowe w Łodzi (APL). Zarząd Miejski w Łodzi (ZML), Wydział Statystyczny, sygn. 233/3. Stan ludności Łodzi wg narodowości, nie paginowane (npag).

jąca część tych ostatnich mogła podjąć starania o rehabilitację i tym samym uzyskanie pełni praw obywatelskich. Od maja 1945 r. WEL ZML systematycznie opracowywał statystyki narodowościowe. Ostatnie takie zestawienie ilustruje strukturę narodowościową Łodzi na 1 lutego 1947 r. Wśród 552 655 mieszkańców miasta było: 510 259 Polaków, 25 385 Niemców, 13 269 Żydów, 1 952 Rosjan, 371 Ukraińców i 1 419 „innych”<sup>2</sup>.

Najliczniejszą mniejszością narodową w Łodzi byli Żydzi. Próby bliższego określenia wielkości skupiska żydowskiego nie prowadzą do jednoznacznych wniosków. Istnieją bowiem duże rozbieżności w materiałach dotyczących tej kwestii podawanych z jednej strony przez Wydział Ewidencji Ludności ZML, a z drugiej przez Wojewódzki Komitet Żydowski (w oparciu o rejestr bieżący zgłaszających się Żydów).

Po wyzwoleniu Łodzi na terenie getta pozostało jedynie około 880 Żydów. Wkrótce jednak zaczęli przybywać ocaleni z obozów zagłady i obozów pracy, ukrywający się po tzw. stronie aryjskiej, później także repatrianci z byłych polskich kresów wschodnich i z głębi ZSRR. Na początku marca 1945 r. w ewidencji Tymczasowego Komitetu Żydowskiego (TKŻ) w Łodzi znajdowało się już 5500 Żydów. Łódź – położona centralnie w nowych granicach państwa, stosunkowo mało zniszczona, spełniająca ponadto funkcje zastępczej stolicy – przyciągała ludzi pozbawionych domostw i dobytku, szukających możliwości stabilizacji życiowej. Żydzi zamieszkiwali głównie w śródmieściu Łodzi, na obszarze wyznaczonym przebiegiem następujących ulic: Narutowicza, Żeromskiego, Obrońców Stalingradu (obecnie: Legionów), Pomorska, Kilińskiego.

Jak już wspomniałem, pierwsza pełniejsza statystyka ludności Łodzi, w której próbowano uwzględnić kryterium narodowości, opracowana przez WEL ZML (stan z 27 maja 1945 r.) wykazywała jedynie 6.336 osób narodowości żydowskiej, gdy w tym czasie kartoteki TKŻ zawierały prawie trzykrotnie większą liczbę Żydów zarejestrowanych na pobyt stały<sup>3</sup>. W miesiącach letnich 1945 r. napływ ludności żydowskiej do Łodzi był mniejszy. Sporo Żydów bowiem wyjeżdżało na Ziemię Odzyskane, głównie na Dolny Śląsk. Wyczerpywały się w Łodzi możliwości dalszego osiedlania przybyszów. Pewne znaczenie miała też sytuacja społeczno-polityczna w mieście i nasilające się oznaki niechęci wobec Żydów.

Jesienią 1945 r. w związku ze sprawą uboju rytualnego władze Łodzi próbowały ustosunkować się do wzmiankowanych rozbieżności skupiska żydowskiego. 1 października wg rejestru kart meldunkowych WEL ZML mieszkało w Łodzi 8 179 Żydów (1,8% ogółu mieszkańców), gdy w tym samym czasie w WKŻ zarejestrowanych było 30 693 Żydów. Część osób spośród znajdujących

<sup>2</sup> Tamże, sygn. 238/3, Statystyka ludności.

<sup>3</sup> Archiwum Akt Nowych w Warszawie (AAN), Ministerstwo Administracji Publicznej, sygn. 87, Sprawozdanie z działalności ZML za maj 1945 r., k. 23.

się w ewidencji WKŻ przypuszczalnie opuściła Łódź – być może 10-12% (jak to oceniano). Komitety żydowskie rejestrowały wówczas tylko przybywających do danego ośrodka. Nierzadko wędrujący po kraju w poszukiwaniu lepszych warunków egzystencji Żydzi kilkakrotnie rejestrowali się w lokalnych KŻ, co uprawniało ich do uzyskiwania pewnego wsparcia materialnego i finansowego. Trafnie oddaje problemy związane z określeniem liczby Żydów w Łodzi opinia ówczesnego naczelnika Wydziału Statystycznego ZMŁ Edwarda Rosseta przedstawiona w notatce dla wiceprezydenta Eugeniusza Ajnenkiela z listopada 1945 r.: „Dane ewidencji ludności są niewątpliwie dokładne, co więcej dane te są oparte na samookreśleniu obywateli w sprawie ich przynależności do określonej narodowości. Zatem dane ewidencyjne powinniśmy traktować jako oficjalne i miarodajne źródło wiadomości o liczbie mieszkańców Łodzi zaliczających się do narodowości żydowskiej. Inny charakter mają dane Komitetu Żydowskiego. W szeregach Komitetu skupiają się ludzie, których łączy wspólnota przebytej martyrologii. Komitet rejestruje tych wszystkich, którzy cierpieli jako Żydzi, choćby się nimi nie czuli. Nie da się zaprzeczyć, że ludzie ci jako współuczestnicy zbiorowości występującej pod nazwą Komitetu Żydowskiego, są w znaczeniu socjologicznym Żydami. I takich właśnie Żydów, czyli Żydów w znaczeniu socjologicznym, mamy w Łodzi znacznie więcej aniżeli Żydów deklarujących oficjalnie narodowość żydowską. [...] Statystyka, której zadaniem jest wykrywanie istotnej treści życia społecznego, nie może przejść do porządku nad faktem istnienia socjologicznej grupy o wyraźnie zarysowanym obliczu”<sup>4</sup>. W konkluzji swych rozważań E. Rosset uznał, iż liczba Żydów w Łodzi wahała się w granicach 24-27 tys. osób (5-6% ogółu mieszkańców miasta).

Sądzę, iż dane WEL ZMŁ, choć obejmujące osoby deklarujące narodowość żydowską, nie są pełne. Niektórzy Żydzi, a szczególnie ci, którzy posiadali spolszczone nazwiska, nie eksponowali swej przynależności narodowej, przeważnie wobec obaw – często przesadnych – o własne bezpieczeństwo, bądź spodziewając się negatywnych reakcji polskiego otoczenia. Dotyczyło to szczególnie inteligencji. W późniejszych latach tak jej postawę oceniano w kręgach łódzkiego aktywu żydowskiego: „...zdawało się, że są najbardziej zasymilowani, okazało się jednak, że przy rejestracji do Izraela byli pierwsi”. Ponadto nie tylko wśród Żydów nierzadkie były przypadki utożsamiania narodowości z obywatelstwem, co wpływało na sposób wypełniania kart meldunkowych. Moim zdaniem, bliższe prawdy są dane WKŻ (choć też mają pewne mankamenty). Identyfikowanie się bowiem z instytucjami żydowskimi poprzez przynależność bądź luźniejsze formy współuczestnictwa w ich działalności było wówczas także deklaracją narodowościową.

<sup>4</sup> APŁ, ZMŁ, Wydział Statystyczny, sygn. 31/1, Notatka dla wiceprezydenta E. Ajnenkiela w sprawie liczby Żydów w Łodzi, k. 22

Najwyższy wskaźnik liczebności Żydów w Łodzi w okresie powojennym odnotowano w ewidencji WEL ZML w lipcu 1946 r. (po masowej repatriacji z ZSRR) – 18 004 osoby. Jednak według sprawozdań Frakcji PPR przy WKŻ, posiadającej dobre rozeznanie w środowisku, w Łodzi przebywało wówczas około 30.000 Żydów.<sup>5</sup> Jak wiadomo, ostatnia oficjalna statystyka WEL ZML, jaką dysponujemy, przedstawiała strukturę narodowościową na dzień 1 lutego 1947 r. i wykazywała 13 269 Żydów. W dwa miesiące później – w kwietniu – WKŻ i Kongregacja Wyznaniowa przeprowadziły wspólnie tzw. akcję macową, połączoną z rejestrowaniem zgłaszających się. Wedle tego spisu liczba Żydów wynosiła 16.262 osoby.<sup>6</sup> W tym czasie Frakcja PPR podawała liczbę około 20 tys. Żydów. Szacunki z końca lat 40 oscylują w granicach 15-20 tys. osób. Po ogłoszeniu 13 września 1949 r. przez rząd polski zgody na legalne wyjazdy do Izraela na emigrację zdecydowało się ponad 5 tys. osób (nie wszystkim wydano paszporty). Wg moich obliczeń – w 1951 r. – już po fali wyjazdów do Izraela w Łodzi pozostało 10-15 tys. Żydów, w znacznej części coraz słabiej zaznaczających swą odrębność narodową.

Mniejszość żydowska w Polsce odradzała się w zmienionych w stosunku do okresu międzywojennego formach organizacyjnych. Najważniejszą instytucją był założony jesienią 1944 r. w Lublinie Centralny Komitet Żydów w Polsce (CKŻwP), któremu podlegały lokalne struktury. W Łodzi już w kilka tygodni po wyzwoleniu – 11 lutego 1945 r. – powstał Tymczasowy Komitet Żydowski (TKŻ, od drugiej połowy 1945 r. obowiązywała nazwa Wojewódzki Komitet Żydowski – WKŻ). Na jego czele stanął porucznik Michał Mirski (Hersz Tabacznik), działacz komunistyczny z Wołynia. TKŻ uzyskał od władz miasta lokale w gmachu przy ul. Śródmiejskiej (obecnie Więckowskiego). W gronie bardziej znanych działaczy TKŻ (WKŻ) w Łodzi w pierwszych powojennych latach byli m.in.: Anatol Wertheim, Abraham Krynski, Fajwel Podembski, Józef Saks, Józef Rotenberg, Szymon Rogoziński, Abram Kagan, Samuel Gurwicz, Rywka Wojskowska, Izak Szpigiel, Gerszon Fogiel, Leon Szeftel i inni.

Początkowo TKŻ (WKŻ) spełniał przede wszystkim funkcje instytucji opiekuńczej, stopniowo jednak przekształcał się w reprezentację społeczności żydowskiej. Główne organy atutowe WKŻ (Plenum i Prezydium) były kształtowane w oparciu o „klucz partyjny” (często nazywany wtedy „wachlarzem partyjnych”), podobnie jak na szczeblu centralnym oraz w licznie wówczas powoływanych instytucjach żydowskich. W pierwszych latach powojennych obowiązywał następujący układ sił partyjnych w Plenum WKŻ: PPR – 6 miejsc, Zjednoczenie Syjonistów-Demokratów „Ichud” i Ogólnopolska Partia robotni-

<sup>5</sup> ANN, Szymon Zachariasz – spuścizna, sygn. 476/25, Sprawozdanie z działalności na terenie żydowskim w Łodzi (18 VII 1946), k. 252-253.

<sup>6</sup> Tamże, KC PPR, 295/VII-149, k. 241

cza „Bund” – po 4, Poalej Syjon-lewica i Poalej-Syjon Prawica – po 3, Haszomer Hacair – 1 (później włączono także reprezentanta partii Hitachut). Podobne zasady starano się stosować w obsadzie funkcji kierowniczych w poszczególnych Wydziałach WKŻ. Środowisko żydowskie miało dwóch przedstawicieli w Miejskiej Radzie narodowej w Łodzi. WKŻ obejmował swym zasięgiem oddziaływania nie tylko Łódź i województwo łódzkie, ale także pograniczne ośrodki województwa poznańskiego (Kalisz, Koło, Konin, Dąbie i Turek).

Jak już wspomniałem, początkowo WKŻ zajmował się przede wszystkim działalnością opiekuńczą. Przyznawano jednorazowe zapomogi i kredyty, prowadzono dystrybucję odzieży, obuwia i pościeli. Rozprowadzano talony żywnościowe, zabiegano o dostawy mleka dla dzieci i chorych, organizowano kuchnie ludowe. 22 października 1945 r. otwarto na terenie byłego getta w pofabrycznych halach przy ul. Jakuba 16, Dom Repatrianta, który początkowo działał jako dom noclegowy, później – po przejściu fali repatriacyjnej z ZSRR – spełniał funkcje domu starców i inwalidów. Ważne miejsca w pracach WKŻ zajmowały problemy opieki nad dziećmi. W pierwszych latach po wyzwoleniu organizowano dla nich głównie pomoc doraźną, kierując je do internatów, udzielano zapomóg i dożywiano. Uruchomiono przedszkole (później funkcjonowały trzy) oraz Dom Dziecka w Helenówku pod Łodzią. Ta ostatnia placówka zaliczana była do wzorcowych instytucji żydowskich w skali kraju. W marcu 1946 r. oddano do użytku bursę przy ul. Franciszkańskiej 15, zajmowano się też początkowo organizowaniem opieki zdrowotnej. Na początku 1946 r. zadania realizowane dotąd przez referat zdrowia WKŻ przejmowało stopniowo reaktywowane wtedy przy decydującym udziale lekarzy łódzkich Towarzystwo Opieki Zdrowotnej Ludności Żydowskiej (TOZ). Centrala TOZ-u znajdowała się w latach 1946-1948 w Łodzi. Oddział Łódzki prowadził m.in. szpital na 60 łóżek przy ul. Stalina 30 (obecnie al. Piłsudskiego), ambulatorium dla dorosłych przy ul. Gdańskiej 21 oraz poradnię dla matki i dziecka.

W 1945 r. większość środków na przedstawioną wyżej działalność opiekuńczą pochodziła z funduszy rządowych, następnie – podobnie jak i w innych dziedzinach – finansowana była przeważnie przez American Joint Distribution Committee (popularnie zwany „Jointem”), choć za pośrednictwem CKŻwP.

Innym ważnym kierunkiem działalności WKŻ była tzw. produktywizacja Żydów, polegająca przede wszystkim na znajdowaniu im zatrudnienia. Powracający do Łodzi Żydzi przeważnie nie zastawali swych warsztatów pracy, wielu z nich – głównie spośród młodzieży – nie posiadało wyuczonych zawodów. Obciążali oni instytucje opiekuńcze. Konieczność znalezienia pracy dla ocalonych Żydów wynikała także z przesłanek politycznych. „Produktywizacja” traktowana była jako instrument walki z przejawami antysemityzmu. Bowiem niewątpliwie istnienie znacznego odsetka niepracujących wśród ludności

żydowskiej (jeszcze w 1946 r. około 25% łódzkich Żydów nie miało stałej pracy) było odbierane przez polskie otoczenie jako przejaw niechęci Żydów do pracy produktywnej, pomimo iż przyczyny tego stanu rzeczy były bardziej złożone. Jednym z głównych kierunków „produktywizacji” było zakładanie żydowskich spółdzielni usługowych i wytwórczych<sup>7</sup>.

Wkrótce po wyzwoleniu – w zmienionych ramach organizacyjno-prawnych – zaczęło się odradzać życie religijne Żydów. Już 3 marca 1945 r. wyłoniono zarząd Żydowskiego Zrzeszenia Religijnego (od 1946 r. obowiązywała nazwa Żydowska Kongregacja Wyznaniowa). Prezesem został Józef Atlas. W maju 1945 r. osiedlił się w Łodzi Abram Krawiec – pierwszy po wojnie rabin łódzki, pochodzący z Białostoczczyzny. We wrześniu tegoż roku liczbę członków zrzeszenia religijnego w Łodzi szacowano na 4-5 tys. osób. Jego kierownictwo podkreślało jednak, że służy wszystkim łódzkim Żydom, a nawet „osiedlom żydowskim na zachodnich terenach odzyskanych”. Wkrótce po oswobodzeniu Łodzi oddano wiernym synagogę przy ul. Południowej 28 (obecnie Rewolucji 1905 r.), dom modlitwy przy ul. Zachodniej 66 i łaźnię rytualną. Przez wiele lat prowadzono szkołę religijną (Talmud-Tora). Jakiś czas działała też w Łodzi Wyższa Szkoła Rabinacka (Netzach Israel). Działalność kongregacji żydowskich była wówczas finansowana głównie przez „Joint” (ponad 80% środków), amerykańskie organizacje religijne, w niewielkim stopniu także przez władze państwowe i z opłat za usługi religijne.

Czynnikiem niesprzyjającym stabilizacji życia religijnego Żydów łódzkich były ciągle wyjazdy emigracyjne członków władz kongregacji, w tym i rabinów. Skład zarządu kongregacji uzupełniano na zasadzie kooptacji, przy czym starano się – trudno powiedzieć czy konsekwentnie – uwzględniać zwolenników trzech głównych kierunków politycznych w środowisku religijnych Żydów, tj. przedstawicieli Agudy, Mizrachi i syjonistów ogólnych. Nie zapobiegało to sporom w łonie kongregacji, z których najgłośniejszy i najdłużej trwający związany był z działalnością rabina Wawy Morejno. Jak się wydaje – w świetle dość skąpych przekazów źródłowych – główna linia podziału przebiegała między działaczami Mizrachi – reprezentującymi nurt umiarkowanie reformatorski i cieszącymi się pewnym poparciem władz państwowych – oraz zwolennikami Agudy (ugrupowania skupiającego ortodoksyjnych Żydów), opowiadającymi się za odbudową życia społeczności żydowskiej w jej formach tradycyjnych, czemu przeciwstawiały się władze komunistyczne.

W końcu lat czterdziestych żydowska kongregacja w Łodzi była mocno osłabiona na skutek wzmiankowanych sporów, ale przede wszystkim w związku z kolejną falą emigracji. Nasilały się także procesy laicyzacyjne w środowisku żydowskim, po części naturalne, choć – jak się wydaje – w znacznej mie-

---

<sup>7</sup> Szerzej por.: M. Grynberg, *Żydowska spółdzielczość pracy w Polsce w latach 1945-1949*, Warszawa 1986.



rze wymuszone przez oddziaływanie zmieniających się warunków społeczno-politycznych w kraju. Właśnie uczestnictwo w życiu religijnym było wówczas nierzadko traktowane jako przejaw „reakcyjności”, „nacjonalizmu” i „separatyizmu żydowskiego”.

Pewnego rodzaju fenomenem – biorąc pod uwagę wielkość skupiska żydowskiego w Polsce – była działalność licznych partii politycznych, organizacji i stowarzyszeń. Wśród ugrupowań reprezentowanych w WKŻ przeważały te o lewicowym obliczu ideowym (jedyną partią o charakterze mieszczańskim był „Ichud”). Kwestią różnicującą je był przede wszystkim stosunek do różnych aspektów budowy państwa żydowskiego w Palestynie, jak i perspektyw żydowskiej społeczności w Polsce. Głównym kierunkiem działalności partii syjonistycznych były różne akcje na rzecz utworzenia, a następnie wspierania państwowości żydowskiej. Organizowano legalną i nielegalną emigrację do Palestyny, prowadzono akcje propagandowe, jak też i zbiórki pieniędzy na rzecz bojowników żydowskich walczących w Palestynie. W latach 1946-1950 funkcjonowało w Łodzi Biuro Centralne Żydowskiego Funduszu Narodowego (Keren Kajamet Leisrael) oraz Fundusz Odbudowy Palestyny (Keren Hajesod). W naszym mieście od września 1945 r. znajdowała się zakonspirowana centrala Koordynacji Syjonistycznej zwanej Bricħa, organizującej nielegalną emigrację z Polski. Niektóre organizacje syjonistyczne prowadziły też werbunek ochotników do formacji żydowskich walczących w Palestynie.

W pierwszych latach po wojnie Łódź była jak to trafnie oceniono – „kolebką odrodzonej kultury żydowskiej”. Tu znajdowały się centrale najważniejszych instytucji kulturalnych, takich jak: Związek Artystów, Dziennikarzy i Literatów Żydowskich, Centralna Żydowska Komisja Historyczna, później także Żydowskie Towarzystwo Kultury. Tu osiedlili się znani twórcy i działacze kultury. W oparciu o jedyną istniejącą wówczas drukarnię żydowską mogła wychodzić pierwsza gazeta w jidysz „Dos naje Lebn” (łącznie w omawianym okresie ukazywało się ponad 20 tytułów prasowych zarówno w języku jidysz, jak i w hebrajskim i polskim).

Powołany w kwietniu 1945 r. Wydział Kultury TKŻ organizował życie kulturalne łódzkich Żydów. Powstała biblioteka z czytelnią, studio dramatyczne, chór ludowy pod dyrekcją znanego kompozytora i dyrygenta Szula Berzowskiego, a także zespół instrumentalny. W świetlicy TKŻ odbywały się pierwsze pokazy filmów o tematyce żydowskiej, kursy języka angielskiego i występy artystów amatorów.

Wizytówką życia kulturalnego był teatr. Początki zawodowej sceny żydowskiej po wojnie związane są z przybyciem w ramach repatriacji z ZSRR (1946) grupy kilkudziesięciu artystów, z których większość osiedliła się w Łodzi. Łódzki Teatr Żydowski rozpoczął działalność w sierpniu 1946 r. Niewątpliwie największą indywidualnością zespołu była (od 1947 r.) Ida Kamińska – wybitna reżyserka i aktorka.

Duży dorobek miały też środowiska muzyków, artystów i filmowców. W Łodzi zainicjowano też wydawanie literatury żydowskiej (pierwszą pozycją w serii Biblioteki Żydowskiej była książka łodzianina Jezajasza Szpigla pt. *Królestwo Getta*). Brak jednak miejsca na szerszą prezentację wymienionych dziedzin kultury.

W omawianym okresie w Łodzi funkcjonowały dwie szkoły żydowskie. Pierwsza z nich, szczebla podstawowego (później także licealnego) z żydowskim językiem nauczania, zorganizowana z inicjatywy WKŻ, rozpoczęła działalność 15 września 1945 r. początkowo w lokalu przy ul. Jaracza 15, a w następnym roku szkolnym w gmachu przy ul. Kilińskiego 49. Należała do najlepszych placówek oświatowych w skali kraju. W 1949 r. została upaństwowiona i funkcjonowała do 1970. W latach 1945-1949 istniała też prywatna szkoła im. Bojowników Getta z językiem wykładowym hebrajskim. Mieściła się w lokalu przy ul. Południowej 18, a jej właścicielem był Ośrodek Produktywizacji „Hechaluc-Pionier”.

W drugiej połowie 1948 roku zarysowały się pewne symptomy ewolucji polityki państwa wobec Żydów. Jednym z ważniejszych faktów wyznaczających te zmiany było powstanie Izraela (proklamacja z 14 V 1948 r.). Spowodowało to pewną polaryzację postaw wśród polskich Żydów, m.in. w kwestii potrzeby stabilizacji tej społeczności w Polsce. Decydujące znaczenie miały jednak zmiany w polityce Związku Radzieckiego wobec Izraela i także wobec radzieckich Żydów. Latem 1948 roku doszło do zwrotu politycznego w Polsce (plenium sierpniowo-wrześniowe KC PZPR), co zapoczątkowało w praktyce realizację kursu na przyśpieszoną stalinizację życia wewnętrznego kraju i jeszcze ściślejsze kopiowanie wzorców radzieckich. W forsowanym odtąd modelu funkcjonowania społeczeństwa nie mieściły się tak rozbudowane i względnie niezależne formy egzystencji społeczności żydowskiej.

W listopadzie 1948 r. na krajowej naradzie działaczy pracujących w środowisku żydowskim omawiano kroki zmierzające do reorganizacji struktur CKŻwP i jego terenowych ekspozytur. Decyzje oznaczające likwidację „klucza partyjnego”, a tym samym pewnego pluralizmu politycznego w instytucjach żydowskich, podjęto na obradującym w dniach 26-27 lutego 1949 r. plenium CKŻwP. Już na nowych zasadach przeprowadzono wybory delegatów na roczną konferencję WKŻ w Łodzi. Odbyła się ona 23-24 kwietnia 1949 r. PZPR reprezentowało aż 70% spośród 160 delegatów. W nowo wybranym składzie plenium WKŻ na 31 osób, 21 reprezentowało PZPR, w 9-osobowym Prezydium było 6 członków partii. W przyjętych rezolucjach zapowiadano m.in. „wzmoczenie walki z reakcyjnymi elementami w żydowskim społeczeństwie”.

W roku 1949 słabła aktywność organizacji syjonistycznych. Już wiosną rozpoczęto rejestrację osób chcących wyjechać do Izraela, bowiem spodziewano się już decyzji w tym względzie. Zapadły one w sierpniu 1949 r. na posie-

dzeniu Sekretariatu KC PZPR i dotyczyły nie tylko legalnej emigracji. Przyjęto wówczas plan likwidacji wielu instytucji i organizacji żydowskich (partie syjonistyczne, kibuce różne stowarzyszenia), bądź też upaństwowienia i podporządkowania ich odpowiednim resortom (tak było w przypadku placówek podległych WKŻ w Łodzi, tj. szkół, przedszkoli, placówek służby zdrowia, domu dziecka w Helenówku i domu starców przy ul. Jakuba). Uwieńczeniem zarysowanego powyżej procesu zmian była ogólnopolska konferencja aktywu CKŻWP, lokalnych KŻ i Żydowskiego Towarzystwa Kultury – 29 października 1950 r. – na której w miejsce dotychczasowych struktur powołano Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Żydów w Polsce o wyraźnie zawężonych kompetencjach i ponadto zdominowane przez działaczy PZPR.

Według wzmiankowanej wcześniej statystyki WEL ZMŁ z maja 1945 r. mniejszości wschodniosłowiańskie w Łodzi (stanowiący ok. 75% tej grupy Rosjanie, także Ukraińcy i Białorusini) liczyły łącznie blisko 2,3 tys. osób. Sądzę, że podobnie jak w przypadku Żydów, dane te były zaniżone i nie odzwierciedlały stanu faktycznego. Wynikało to głównie z klimatu społecznego w stosunku do tych narodowości w związku z ich pewnym uprzywilejowaniem w okresie okupacji hitlerowskiej. Przedstawiciele tych środowisk szacowali ich liczebność na ponad 6 tysięcy osób<sup>8</sup>. Ale oceny te były zawyżone. Wynikały raczej – jak się można domyślać – z ewidencji wiernych należących do parafii prawosławnej w Łodzi. Wskazuje na to m.in. obecność w składzie powstałego wiosną 1945 r. komitetu reprezentującego narodowości dwóch znanych miejscowych duchownych prawosławnych, jak i zbieżność powyższych danych z liczebnością prawosławnych przedstawioną w statystyce przeprowadzonej nieco później (1953) przez Urząd do Spraw Wyznań – 7 tys. osób. Jednym z najważniejszych wyróżników tożsamości narodowej Rosjan, Ukraińców i Białorusinów było niewątpliwie wyznanie prawosławne. Jednak błędem byłoby postawienie znaku równości między liczbą prawosławnych i wymienionych narodowości. Można przyjąć, iż faktyczna liczebność mniejszości wschodniosłowiańskich była wyższa niż 2,3 tys. osób, lecz dalece niższa niż 6 tys.

Na skutek celowej polityki okupanta niemieckiego Rosjanie, Ukraińcy i Białorusini (ale także inne narodowości: Czesi, Litwini itd.) byli w pewnym zakresie uprzywilejowani w porównaniu z Polakami. Ten czynnik w decydującym stopniu określał położenie tych grup narodowościowych i stosunek do nich ludności polskiej w pierwszych latach po wojnie. Toteż początkowo traktowano je podobnie jak Niemców i volksdeutschów. Już jednak w lutym 1945 władze miasta zareagowały na niewłaściwe postępowanie niektórych odłamów społeczeństwa jak i administracji oraz milicji. 27 lutego pełnomocnik Rządu Tymczasowego RP na Łódź i województwo łódzkie Kazimierz Mijał wydał

---

<sup>8</sup> APL, ZMŁ, Wydział Społeczno-Polityczny, sygn. 146, Pismo z 23 maja 1945 r. w sprawie reaktywowania Rosyjskiego Towarzystwa Dobroczynności w Łodzi, k. 3.

zarządzenie (opublikowane w „Rzeczypospolitej” z dnia 1 marca 1946) nakazujące, aby obywatele polscy sprzed 1 września 1939 r. „narodowości wchodzących w skład ZSRR – jak ich wówczas określano – byli traktowani na równi z ludnością polską. W szczególności dotyczy to prawa ww. do zajmowania mieszkania, prawa do pracy, do korzystania z kart żywnościowych i innych uprawnień przysługujących ludności polskiej. Niedopuszczalnym jest usuwanie z zajmowanego mieszkania, zwalnianie z pracy, powoływanie do przymusowych robót...”

Mimo to sytuacja prawna wymienionych narodowości nadal nie była klarowna. Spore zamieszanie wprowadził komentarz dziennika „Rzeczpospolita” z 17 marca 1945 r. (nr 72), w którym przy omawianiu „dekretu o wyłączeniu ze społeczeństwa wrogich elementów” (z 28 lutego 1945 r.) sugerowano, iż osoby zaliczone do tzw. komitetów narodowościowych będą traktowane jak *volksdeutsche* II kategorii. 27 marca tegoż roku „grupa obywateli polskich narodowości wchodzących w skład ZSRR” przesłała do Urzędu Wojewódzkiego w Łodzi obszerny list z wyjaśnieniami dotyczącymi sytuacji tych środowisk w okresie okupacji, w którym podważano opinie o ich ówczesnym uprzywilejowaniu. Także późniejsza ustawa regulująca kwestię rehabilitacji (z 6 maja 1945 r.) nie była jednolicie interpretowana. Dopiero wykładnia Sądu Najwyższego z 26 września tegoż roku rozwiewała wątpliwości. Uznano tam bowiem, iż fakt zaliczenia obywateli polskich do narodowości uprzywilejowanych przez okupanta (Rosjanie, Ukraińcy, Białorusini i inni) nie powoduje potrzeby wystąpienia przez te osoby z wnioskiem o rehabilitację w przypadku, gdy do dnia 31 sierpnia 1939 r. należały one do innych narodowości niż polska. Obarczono jednak zainteresowanych obowiązkiem udowodnienia przed władzami administracyjnymi tego, że do wybuchu wojny deklarowały niepolską narodowość. Dopiero wtedy uzyskiwali oni pełnię praw obywatelskich.

Wskazane powyżej problemy przyspieszyły podjęcie przez środowiska mniejszości wschodniosłowiańskich zabiegów o utworzenie własnej organizacji poprzez reaktywowanie Rosyjskiego Towarzystwa Dobroczynności (RTD), o tradycjach sięgających schyłku XIX w. W maju 1945 r. z wnioskiem o zatwierdzenie statutu tego stowarzyszenia wystąpiła do władz miasta grupa inicjatywna, w skład której wchodził m.in.: ks. archimandryta Stefan Rudyk, ks. Protojerej Piotr Struk-Strukow, Maria Kisiel, Aleksander Dawidowicz i Mikołaj Iwanow. Zabiegi te nie zakończyły się wówczas powodzeniem wobec rozbieżnych opinii resortów spraw zagranicznych, bezpieczeństwa publicznego i administracji publicznej w kwestii celowości istnienia takich organizacji mniejszościowych. Wątpliwości władz odpowiedzialnych za realizację polityki narodowościowej trafnie oddaje wypowiedź ówczesnego dyrektora Departamentu Politycznego Ministerstwa Administracji Publicznej Zygryda Szneka: „Wobec procesu repatriacji, wynikającego z umowy repatriacyjnej polsko-radzieckiej, powstanie stowarzyszeń rosyjskich na terenie kraju nie odpowiadałoby inten-

cjon umowy repatriacyjnej, jako sprzyjające tendencjom pozostawania w kraju osób narodowości rosyjskiej". Ostatecznie jednak w końcu 1946 r. zarejestrowano w Warszawie RTD o zasięgu ogólnokrajowym, co czyniło bezprzedmiotowymi lokalne inicjatywy w Łodzi i także w Piotrkowie Tryb. W miastach tych powstały oddziały RTD.

Jesienią 1949 r. z inspiracji władz partyjnych powstał projekt przekształcenia RTD w Rosyjskie Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe (RTKO). Określenie „dobroczynność” w nazwie RTD „nie pasowało” do ówczesnej rzeczywistości społeczno-politycznej, było sprzeczne – przynajmniej zdaniem propagandy – z założeniami nowego ustroju. W niespełna rok później – 25 czerwca 1950 r. – odbyło się zebranie założycielskie, na którym przyjęto statut RTKO. Powołanie nowego stowarzyszenia można odczytywać jako gest wobec radzieckiego sojusznika, mający dowodzić pozytywnego stosunku władz polskich do mniejszości wschodniosłowiańskich. Określenie „rosyjskie” w nazwie stowarzyszenia nie powinno nas mylić, bowiem zarówno RTD, jak i RTKO skupiały – poza Rosjanami, którzy w nich dominowali liczebnie, – także Białorusinów i Ukraińców, nie mających wówczas własnych organizacji (niemalże też grupę tworzyli w nich Polacy, zapewne z rodzin mieszanych).

Znaczącą grupę narodową w omawianym okresie stanowili Czesi (czwarta pod względem wielkości mniejszość narodowa w Łodzi, po Niemcach, Żydach i Rosjanach). Trudno precyzyjnie określić ich liczbę. Według stanu z 1 października 1946 r. mieszkały w naszym mieście 383 osoby deklarujące w kartach meldunkowych narodowość czeską. W pierwszych miesiącach po wyzwoleniu liczba Czechów była zdecydowanie większa – przypuszczalnie około 1000 – lecz w przeciągu 1945 r. ponad 400 z nich wyemigrowało do Czechosłowacji.<sup>9</sup> Ważną rolę w życiu przeważającej części tej społeczności odgrywał kościół ewangelicko-reformowany. Względy polityki zagranicznej Polski (konflikt terytorialny z Czechosłowacją) spowodowały, iż już w czerwcu 1945 r. MAP zaleciło prezydentowi Łodzi odpowiednie traktowanie i niedyskryminowanie Czechów w związku z zaliczeniem ich przez okupanta do narodowości uprzywilejowanych.

Od schyłku lat czterdziestych malała aktywność środowisk mniejszości narodowych w Łodzi. Wynikało to z wydatnego zmniejszenia ich liczebności, skutków polonizacji, jak też zmian społeczno-politycznych w kraju.

---

<sup>9</sup> AAN, Ministerstwo Administracji Publicznej, sygn. 1061, Sprawozdanie z działalności Zboru Ewangelicko-Reformowanego w Łodzi, k. 93.



*Wizualizacja komputerowa kościoła p. w. Najświętszego Serca Jezusa  
(po remoncie). Autor ilustracji: Artur Urbański*

Waldemar Bohdanowicz

## Renowacja kościoła ojców Jezuitów w Łodzi

15 września 1999 roku na terenie parafii p. w. Najświętszego Imienia Jezus w Łodzi przy ul. Sienkiewicza 60 miała miejsce bezprecedensowa w historii Towarzystwa Jezusowego uroczystość nadania przez Zakon dyplomu Honorowego Mecenasa Renowacji Kościoła. Po trzech latach żmudnych prac konserwatorskich przy kościele p. w. Najświętszego Serca Jezusa odrestaurowana została zgodnie z pierwotnym projektem architekta Ludwika Schreibera – wieża północna tego kościoła, będąca pierwszym etapem przewidzianych na wiele lat prac. Jednocześnie dokonany został remont niemal całej powierzchni dachu, który przykryto blachą cynkowo-tytanową.

Uroczystości przebiegały pod hasłem, będącym cytatem z dokumentu z 1883 roku znalezionej w kuli wieży głównej podczas remontu: „Tak, jak my, mimo wielu trudności, podjęliśmy trud wznoszenia tego Domu Bożego, tak niech nasi następcy otaczają Go gorliwą troską i w dziele swym nie upadają na duchu”.

Władze miasta reprezentowali panowie: Grzegorz Matuszak, przewodniczący Rady Miejskiej; Tadeusz Matusiak, prezydent Miasta Łodzi, Sylwester Pawłowski, wiceprezydent Miasta Łodzi, resortowo nadzorujący m. in. ochronę zabytków; Witold Barszcz, skarbnik Miasta Łodzi; Janusz Błaszczyk, dyrektor Wydziału Finansowego; Wojciech Szygendowski, miejski konserwator zabytków. W uroczystości nie mógł niestety uczestniczyć zaproszony Marek Czekański, wiceprzewodniczący Rady Miejskiej i prezydent Miasta Łodzi w latach 1995-1998.

Wśród gości obecni byli m. in.: ks. bp Adam Lepa, sufragan archidiecezji łódzkiej, reprezentujący abpa Władysława Ziółka, ordynariusza łódzkiego; władyka Szymon, abp poznański i łódzki Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego oraz ks. bp Mieczysław Cieślak, biskup diecezji warszawskiej Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego.

Gospodarzy uroczystości reprezentowali: o. Andrzej Koprowski, przełożony Prowincji Wielkopolsko-Mazowieckiej Towarzystwa Jezusowego; o. Ryszard Friedrich, ekonom Prowincji; o. Józef Łągwa, przełożony domu i proboszcz; o. Józef Kozłowski, o. Stefan Miecznikowski. Z ramienia Społecznej Rady Renowacji Kościoła obecni byli: Kazimierz Boberek, przewodniczący, budowniczy łódzkich teatrów; Waldemar Bohdanowicz, pełnomocnik



Towarzystwa Jezusowego ds. Renowacji Kościoła; Sędzimierz Furmańczyk, inspektor nadzoru inwestorskiego; Henryk Jaworowski, autor projektu konserwatorskiego; Stanisław Kmieciak, rzeczoznawca ds. kosztorysów; Józef Kokoszka, inżynier budowlany; Krzysztof Stefański, historyk sztuki; Janusz Warszawa, autor inwentaryzacji architektonicznej.

Ojcowie jezuici, wdzięczni władzom samorządowym za okazaną dotychczas pomoc w postaci dwóch dotacji z budżetu Gminy przyznanych w latach 1997-1998 w łącznej wysokości 650 tys. zł oraz za wzorową współpracę merytoryczną w zakresie organizacji i nadzoru przebiegu prac budowlanych i konserwatorskich, a także rozliczeń finansowych, przyznali Radzie Miejskiej i Zarządowi Miasta dyplom Honorowego Mecenasa Renowacji Kościoła.

Wręczając historyczny dokument panom Grzegorzowi Matuszakowi i Tadeuszowi Matusiakowi, o. Andrzej Koprowski podkreślił ekumeniczny wymiar uroczystego spotkania w jego perspektywie historycznej, a także potrzeb społecznych i religijnych „małej ojczyzny, tworzącej się i żywotnie funkcjonującej dzięki społeczności i samorządowi lokalnemu. Dyplom ten, osadzony w szerokim tle społecznym, kulturowym, historycznym i religijnym, mamy nadzieję, będzie służył naprawdę trwałemu, na mocnych fundamentach budowaniu wspólnoty miasta Łodzi. Wspólnoty ciężko pracującej, ale oddychającej kulturą i coraz to głębszą międzyludzką, religijną i ekumeniczną jednością” – powiedział ojciec prowincjał.

Dziękując za przyznane wyróżnienie pan Grzegorz Matuszak stwierdził m. in.: „z pełną odpowiedzialnością chcemy być zmianą w sztafecie pokoleń łódzkich. Po-



koleń, które budowały Łódź, tych wielonarodowych rzesz, wielokulturowych i wieloreligijnych, które tu tworzyły wspólnotę. Wspólnotę czasem, jak w rodzinie, spierającą się, ale przecież w wyniku tego współżycia powstało nasze miasto, które przejęliśmy po naszych przodkach. Ten kościół jest pomnikiem naszej łódzkiej przeszłości i o pomniki przeszłości każdy powinien dbać. Myślę, że Rada Miejska tej kadencji tę dbałość będzie wykazywać”.

Myśl jego kontynuował pan Tadeusz Matusiak, mówiąc m. in.: „Mam świadomość, jako osoba stojąca na czele Zarządu Miasta, jak wielkie są potrzeby renowacji łódzkich świątyń. Ten remont to zaledwie jedna trzecia nakładów. Dwie trzecie czekają nas jeszcze do poniesienia... Jest przychylność Zarządu by widzieć w odpowiedniej perspektywie potrzeby kościoła. Będzie również większa przychylność dysponowania środkami przez łódzkich sponsorów, którzy zgłaszają się do nas o wskazanie godnych celów służących społeczności lokalnej. Są wśród nich nasze świątynie łódzkie”.

Ekumeniczny charakter spotkania podkreślali zgodnie także trzej hierarchowie. Ks. bp Adam Lepa nawiązał do wartości towarzyszących budowniczym i restauratorom świątyni, wśród których jest przede wszystkim miłość. „Miłość do kościoła, miłość do człowieka, do wspólnoty tej parafialnej i społeczności miejskiej. Tylko te dzieła, które są budowane z miłości do pewnych ideałów, do wartości, do człowieka, do Kościoła, a poprzez Kościół do Chrystusa, tylko te dzieła mogą trwać. I trwają, i cieszą człowieka i służą człowiekowi”.

W tym duchu przemawiał także bp Mieczysław Cieślak, wzywając „aby nie zapominać o Bogu mimo wszystkich trudów życia i w Nim szukać nadziei, siły, darów ducha, które pomagają otworzyć się z miłością wobec drugiego człowieka. I to jest ta siła, którą tutaj odczuwam; serdeczna otwartość wobec problemów człowieka. Te wszystkie zamierzenia, które tu pracujący duszpasterze-ojcowie realizują: przedszkole, praca z młodzieżą, praca z rodzinami; to wszystko dzieje się i to jest uzasadnieniem wielkiej pracy renowacyjnej i remontowej”.

Kontynuując myśl o konieczności wytrwania w trudach, władca Szymon powiedział: „Do trwania wszystkich Was zachęcam i do modlitwy. I wspominajcie w niej i nas prawosławnych. A ja zawsze się cieszę, kiedy u moich serdecznych przyjaciół jest dobrze. Kiedy oni się weselą, to i mnie jest weselej na duszy. Uweselmy się przeto razem, że zrobiliśmy tyle, ile potrafililiśmy i poprośmy Boga o to, aby dał nam siłę dźwigać tę naszą piękną powinność. Wszystkim dziękuję za to, że jesteście razem z nami i w naszych troskach. Wspólne to nasze dzieło”. Tymi słowami nawiązał do prowadzonego także w Łodzi remontu zabytkowej cerkwi p. w. św. Olgi i do udostępnienia przez ojców jezuitów specjalnej blachy cynkowo-tytanowej dla pokrycia dachu i kopuły świątyni.

Kościół ojców jezuitów, zabytkowa neoromańska świątynia z wartościowymi elementami architektonicznymi, cennymi polichromiami i wyposażeniem wnętrza, zbudowana została przez wspólnotę ewangelicką w latach 1880-1884 przy udziale wszystkich grup narodowościowych, które zamieszkiwały

wówczas Łódź, rozwijającą się gwałtownie jako ośrodek przemysłu włókienniczego. Był to drugi w mieście kościół wspólnoty i największa w Polsce parafia ewangelicka licząca 40 tys. wiernych, z żywą działalnością duszpasterską, szczególnie wśród młodzieży szkolnej i robotniczej, w której znaczną część stanowili Polacy i spolonizowani Niemcy. Zasłużony dla łódzkiego Kościoła ewangelickiego ks. Wilhelm Piotr Angerstein, pierwszy proboszcz parafii p. w. św. Jana (1885-1928), wybitny duszpasterz, pisarz i redaktor czasopism kościelnych, mimo sprzeciwu wiernych pochodzenia niemieckiego, był inicjatorem pierwszych w mieście nabożeństw w języku polskim. Tę praktykę kontynuował jego następca, ks. Juliusz Dietrich (1928-1939), organizator życia religijnego i społecznego przy parafii, dający liczne dowody lojalności wobec Państwa Polskiego i z tego powodu aresztowany przez gestapo 11 XII 1939. Tutaj kształtowało się umiłowanie literatury polskiej u młodego parafianina Karola Dedeciusa, po latach zasłużonego niemieckiego tłumacza i wydawcy polskiej poezji i prozy, Honorowego Obywatela Miasta Łodzi.

Po II wojnie światowej decyzją władz miasta kościół został przekazany w zarząd Towarzystwu Jezusowemu. Pierwszym proboszczem i przełożonym domu został o. Franciszek Przybylski (1945-1948). Tutaj o. Tomasz Rostrowski, w czasie powstania warszawskiego kapelan Komendy Głównej AK, rozwinął w latach 1945-1950 bardzo żywą działalność duszpasterską wśród osiedlającej się inteligencji i studentów nowo powstałych wyższych uczelni. Za swoją aktywność kapłańską i patriotyczną został aresztowany w Łodzi i więziony przez ówczesne władze. Przy parafii powołano po wojnie Instytut Wyższej Wiedzy Religijnej, czasowo działało także Małe Seminarium. Siostry Służebniczki otworzyły funkcjonujące do dzisiaj przedszkole i Szkołę Gospodarczą dla dziewcząt. Rozwinęły działalność liczne stowarzyszenia religijne. Kościół zyskał powszechną sympatię i uznanie dzięki działalności jedyne w mieście duszpasterstwa akademickiego. Stąd i kościół nazywano akademickim. Działali tu m. in. wybitni duszpasterze: ojcowie Wacław Niedźwiadek, Stefan Dzierżek, Zbigniew Frączkowski, Hubert Czuma, aresztowany w 1970 roku pod zarzutem przynależności do organizacji niepodległościowej „Ruch”. Dzieło ich kontynuował o. Stefan Miecznikowski, duszpasterz środowisk twórczych i NSZZ Solidarność, a w latach stanu wojennego niezłomny obrońca i ojciec duchowy więzionych i internowanych, a także Honorowy Obywatel Miasta Łodzi. Przy kościele działa od 1987 roku czołowy w kraju Ośrodek Odnowy w Duchu Świętym z własnym wydawnictwem, kierowany przez o. Józefa Kozłowskiego. Powołana w 1950 roku parafia jest m. in. także centrum działalności Wspólnot Neokatechumenalnych i Wspólnoty Życia Chrześcijańskiego. Z tych wszystkich powodów świątynia i prowadzona w niej działalność duszpasterska otoczona jest powszechnym szacunkiem i stanowi istotną część historii miasta lat minionych odległych i bliskich, a także czasów współczesnych.

Zły stan techniczny kościoła niepokoił ojców jezuitów od dłuższego czasu, szczególnie od 1989 roku, kiedy stali się prawnymi właścicielami obiektu. Prowadzone wcześniej remonty okazały się niewystarczające. W roku 1996 podjęto decyzję przystąpienia do remontu konserwatorskiego, w którym oparto się na Radzie Renowacji Kościoła, złożonej ze społecznie działających specjalistów historii sztuki, architektów, konserwatorów zabytków, inżynierów budownictwa, specjalistów od kosztów. W drodze konkursu zaangażowana została firma konserwatorska „Piotr Biało” z Krakowa, mająca w dorobku prace m. in. na Wawelu, w Gdańsku, Poznaniu. Działania finansowe parafii i zakonu wsparli sponsorzy (uwidocznieni po raz pierwszy w Łodzi na rusztowaniach kościoła: Arka Invesco, Bank PKO SA, Mosty Łódź, PZU SA) oraz w największym stopniu władze samorządowe miasta Łodzi, bez pomocy których remont byłby niemożliwy. Pracom nadano charakter priorytetowy ze względu na zagrożenie katastrofą budowlaną oraz decyzję przywrócenia świątyni pierwotnej, projektowej świetności. Przy użyciu najnowocześniejszych metod projektowych, technicznych i technologicznych odrestaurowywana jest z wyjątkowym pietyzmem fasada kościoła, hełmy wież, poszycie dachu, drewniana konstrukcja dachowa. Tak oto jeden z najcenniejszych zabytków sakralnych w Łodzi odzyskuje dawną urodę z czasów „ziemi obiecanej”.

Integralną częścią uroczystości była wcześniej konferencja prasowa, na którą przybyli licznie przedstawiciele łódzkich mediów. Należy podkreślić, iż mecenasami medialnymi przedsięwzięcia są: „Gazeta Wyborcza - Gazeta Łódzka”, Radio Plus i Telewizja Polska SA Oddział w Łodzi, które nagłośniły zarówno przebieg prowadzonych prac konserwatorskich, jak i samą uroczystość. Także m. in. „Dziennik Łódzki”, „Kalejdoskop”, Radio Łódź i „Trybuna Łódzka” zamieściły obszerne materiały dotyczące historii kościoła i przebiegu remontu oraz udzieliły istotnej pomocy merytorycznej i technicznej przy organizowaniu uroczystości i imprez towarzyszących. Otwarto także okolicznościową wystawę fotograficzną, dokumentującą dotychczasowy przebieg prac konserwatorskich.

Tego samego dnia w księgarni „Nike” pana Janusza Barańskiego, zasłużonego dla upowszechniania wśród łódzian potrzeby remontu kościoła, odbyła się promocja książki Krzysztofa Stefańskiego pt. *Kościół Ojców Jezuitów p. w. Najświętszego Serca Jezusa w Łodzi – dzieje i współczesność*, wydanej w nakładzie 2900 egz. jako jedna z „cegiełek” na rzecz renowacji kościoła.

Uroczystość spotkała się z szerokim uznaniem społeczeństwa łódzkiego i odebrana została jako istotny element dobrych działań i wysiłków łączących mieszkańców miasta, czemu także dał wyraz Waldemar Bohdanowicz w swoim wystąpieniu na posiedzeniu Rady Miejskiej w Łodzi w dniu 22 września 1999 roku, dziękując w imieniu Ojców Jezuitów wszystkim radnym za okazywane zrozumienie i pomoc w ratowaniu kościoła, będącego częścią historycznego dziedzictwa naszego miasta.



*Foto: Ryszard Lucyszyn*

Adam Ochocki

## Najpiękniejsza pamiątka

Jednym z moich pierwszych dostarczycieli informacji dla „Expressu” był Stanisław Kempner-Chruszczewski, piastujący przez szereg lat stanowisko naczelnika Wydziału Zdrowia w Zarządzie Miejskim m. Łodzi. Pamiętając o zakazie kontaktowania się z agendami magistrackimi, wypytywałem naczelnika o sprawy nie podlegające jego kompetencji, a że był chodzącą kroniką miasta, znał wszelkie ploteczki i wiedział o każdym ciekawszym wydarzeniu, często ratował mnie w trudnych chwilach. Okazywał przy tym zadziwiającą wyrozumiałość i anielską cierpliwość. Choć ustawicznie bombardowałem go telefonami, tylko raz poprosił redaktora Polaka, abyśmy – ja i moja koleżanka redakcyjna Irena Weissowa – dzwonili do niego przynajmniej w odstępach godzinnych, gdyż musi mieć trochę wolnego czasu na załatwienie spraw służbowych.

Bywało, że naczelnik telefonicznie nie miał nic do zakomunikowania z bieżących wydarzeń. Wtedy składałem mu wizyty w Wydziale Zdrowia na ulicy Narutowicza 65 i z zapartym tchem słuchałem w jego gabinecie uroczych gawęd z dziejów dawnej Łodzi. Szczególnie interesowały mnie wynurzenia naczelnika o jego sukcesach na niwie pisarskiej. Bo chociaż Stanisław Kempner-Chruszczewski sprawował tak wysokie stanowisko w hierarchii samorządu łódzkiego, właściwym jego powołaniem, co zawsze podkreślał z dumą, było dziennikarstwo i literatura.

Jako dwudziestoletni młodzian wyjechał z rodzinnego Kalisza do Warszawy. Zadebiutował w „Nowej Gazecie”, redagowanej przez Stanisława Aleksandra Kempnera, swego stryja. Długo nie zagrzał tam miejsca. Przeniósł się do Łodzi, pozostał jej wierny do końca swego pracowitego życia. Przyjął go Stanisław Książek do założonego przez siebie w 1908 r. „Kurier Łódzki”, powstałego w miejsce zlikwidowanego przez władze carskie „Gońca Łódzkiego”. Na łamach „Kuriera” publikowali Władysław Rowiński, Witold Giełżyński, Benedykt Filipowicz, Aleksy Rzewski i najdowcipniejszy łódzianin wszechczasów – Feliks Halpern.

„Kurier” reprezentował w owym czasie radykalne poglądy, znajdujące swój wyraz w zamieszczonych artykułach i inicjowanych akcjach. Gdy łódzkim przemysłem włókienniczym wstrząsnął wielki lokaut, pismo opowiedziało

się po stronie wyzyskiwanych robotników i nawoływało społeczeństwo do okazania im pomocy finansowej.

Redaktor Stanisław Książek (a może jego brat Antoni) powierzył Kempnerowi-Chruszczewskiemu obowiązki recenzenta teatralnego. Do pełnienia swych zadań młody dziennikarz zabrał się z dużą tremą. Łódź miała wówczas tylko jedną stałą scenę polską, ale jaką! Sława teatru „Victoria” przy ulicy Piotrkowskiej 67, na zapleczu ówczesnego hotelu o tej samej nazwie, wybiegała poza Łódź. Ambitny repertuar przyciągał teatromanów z całego kraju. To był niezapomniany, wspaniały okres dyrekcji Aleksandra Zelwerowicza, który tu właśnie po raz pierwszy w Polsce wystawił *Wesele* Wyspiańskiego. A ta obsada! W roli Czepca występował sam Zelwerowicz, a w roli poety – Karol Borowski.

Już sama obsada była wystarczającym powodem do zażenowania, a poza tym... ten surdut. Sprawozdawców teatralnych obowiązywał strój galowy. To nie to co dziś, kiedy recenzent może przyjść na „prasówkę” w stroju niedbałym, nawet w dżinsach, z wypuszczoną na wierzch koszulą. Wówczas musiał mieć na sobie czarny surdut z dwoma rzędami guzików i długimi, przepisyowymi połami. Całości dopełniały mankiety na gumce, żeby nie uciekały spod rękawów i gumowy, biały podkoszulek z przyczepioną na stałe czarną muszką. Reprezentacyjny surdut, przeznaczony dla sprawozdawcy teatralnego, wisiał w szafie za szkłem w gabinecie szefa redakcji. Kiedy Kempner pierwszy raz udał się do teatru i rozglądał się za kasą, żeby odebrać wejściówkę prasową, podszli doń dwaj portierzy i gnąc się w ukłonach zakomunikowali, że jego fotel już czeka. Poznali sprawozdawcę po surducie.

Cenzorem z ramienia władzy carskiej na miasto Łódź był niejaki Pietrow. Skreślił on jako „niebłagonadiożne” trzy sceny z *Wesela*, m. in. wejście kosynierów. Zelwerowicz uparł się, żeby grać tę scenę. W trakcie próby generalnej sekretarz teatru Włodzimierz Maliszewski, na chwilę przed wejściem kosynierów, wyciągnął Pietrowa do znajdującej się w tej samej posesji knajpy. Później cenzor już sam w odpowiednim momencie wymykał się z teatru do owego lokaliku, gdzie zawsze czekała nań butelczyna i „zakuski”.

W kilka lat później na nieistniejącej dziś scenie nieistniejącego ogródka Grand Hotelu grano rewię pt. *Ach, wiosna ta!* Występował w niej aktor w mundurze legionisty, z ułańskim czakiem na głowie. Po okupacji rosyjskiej miasto przeżywało szkany okupacji niemieckiej. Zamiast rosyjskiego, szalał cenzor niemiecki. Na widok wchodzącego na scenę legionisty obecny w ogródku żandarm, przekonany, że ma przed sobą autentycznego „buntownika”, ściągnął go w trakcie przedstawienia z desek i powiódł z sobą. Aktora jakoś udało się wydostać z tarapatów, natomiast dziennikarz Andrzej From-Nullus, kierownik literacki rewii, na wniosek cenzora zainkasował dwa tygodnie odsiadki za „wybryk przeciw ustalonemu porządkowi rzeczy”. Nullusa do wrót więzienia przy ulicy Długiej 13 (Gdańska, dzisiaj znajduje się tu Muzeum Historii

Ruchu Rewolucyjnego) odprowadzili demonstracyjnie przedstawiciele bohemy łódzkiej.

Pierwsze recenzje teatralne i felietony podpisywał Kempner pseudonimem Stanisław Bal i potem stale się nim posługiwał. Pisał lekko, dowcipnie, toteż zyskał liczne grono czytelników. Ale z recenzji i felietonów trudno było wyżyć, więc już na samym początku swej działalności dziennikarskiej został urzędnikiem miejskim w „Łodzinskom Gorodskom Sowietie”, by później przejść do prześwietnego Magistratu m. Łodzi, stąd po zmianie nazwy – do Zarządu Miejskiego, gdzie niemal do wybuchu II wojny światowej pełnił funkcję naczelnika Wydziału Zdrowia Publicznego.

Ciekawa rzecz: Chruszczewski przyjaźnił się z redaktorami Oltaszewskim i Polakiem i chociaż kusili go nęcącymi propozycjami, pozostał wierny „Kurierowi”. Co zresztą nie przeszkadzało, że większość informacji od naczelnika, choć oba wydawnictwa konkurowały ze sobą, trafiała na łamy „Expressu” i „Republiki”.

Coraz częściej wymykałem się na Narutowicza. O, gdybym notował wtedy skrzętnie wszystko, co mi opowiadał pan naczelnik, moje wspomnienie byłoby na pewno dużo ciekawsze i bogatsze. A oto jedna z zapamiętanych historii.

Działo się to w roku 1912. Stanisław Bal nadal pracował w „Kurierze”, przemianowanym wskutek szykan cenzury na „Nowy Kurier Łódzki”. Pismem kierował brat Stanisława Antoni Książek, ale tylko nominalnie, duszą gazety był, jak zawsze, dawny redaktor i wydawca. Któregoś dnia w pokoju Bala zjawił się wystraszony młodzian w mundurku gimnazjalisty i wręczył mu gęsto zapisany zeszyt. Pochłonięty pracą redaktor burknął, że „Kurier” nie reflektuje na powieści. Chciał splawić intruza, coś jednak uderzyło go w jego zachowaniu. Młodzian wyznał nieśmiało, że pisze wiersze i bardzo prosi o ocenę. Przeczytawszy kilka pierwszych zwrotek, Stanisław Bal pobiegł do gabinetu Książka.

– Co to jest? – spytał naczelnny.

– Wiersze.

– Czyje?

– Zapomniałem go spytać o nazwisko.

– Dobrze? Bo mi się nie chce czytać.

– Wspaniale!

– To je wydrukujcie i każcie wypłacić temu facetowi dwa ruble srebrem.

Tym „facetem” był Julian Tuwim, piszący początkowo pod pseudonimem Roch Pekiński. Później w wierszu *Łódź* wspomni z sentymentem: „Nawet miżerne wiersze me Łódź oceniła najpierwsza, bo jakiś Książek drukował mnie po dwie kopiejki od wiersza”.

O Tuwimie mogłem słuchać nieskończenie, a Stanisław Bal wiele miał o nim do powiedzenia. Młodziutki poeta przesiadywał w południe w kawiarni

Roszkowskiego na rogu Piotrkowskiej i Pasażu Meyera (Moniuszki) z nieodłącznym tomikiem wierszy Walta Whitmana, wieczorami popijał z przyjaciółmi u „Szelkowej” (u tej samej pani Szelkowej, do której zaciągano na wódkę rosyjskiego cenzora Pietrowa). Zafascynowany poezją Staffa posyłał mu swoje utwory, otrzymywał listy zachęcające do dalszej twórczości.

– Kto mi wyda zbiorek? – żalił się poeta.

W foyer teatru podszedł do niego nieznanemu mężczyzna i powiedział:

– Ja panu to wydam. Oto mój adres.

Był to kupiec łódzki Henryk Opatowski, znany mecenas sztuki, ten sam, który później pomógł materialnie innemu sławnemu łodzianinowi, Arturowi Szykowi, autorowi *Statutu kaliskiego*.

Wiele wierszy z pierwszego lirycznego tomiku Tuwima *Czyhanie na Boga*, wydanego nakładem Gebethnera i Wolffa, znałem na pamięć. Tuwim był moim uwielbianym poetą jeszcze za czasów szkolnych. Ja i moi koledzy gotowi byliśmy do największych poświęceń, byle tylko zdobyć jakiś jego nowy wiersz. W czasie ostatniej wojny zdarzyło się, że za egzemplarz „Prawdy” z felietonem Ilji Erenburga oddział partyzantów sowieckich odstąpił partyzantom z innego zgrupowania działko polowe. My, uczniowie gimnazjum im. ks. Skorupki, nie dysponowaliśmy armatami, jednakże za przepisany na maszynie wiersz Tuwima *Piotr Plaksin* jeden z nas poniósł jeszcze większą ofiarę – zrezygnował na rzecz kolegi z randki z błękitnooką, śliczną Dolką Sz. Rozpierała nas duma, że Tuwim jest łodzianinem, że w Łodzi „zdierał portki i buty”, ba – chępliśmy się i tym, że mieszkał na ulicy Andrzeja, tuż obok cukierni, gdzie – niech pan wybaczy, panie inspektorze Kappes – nieraz przebywaliśmy w godzinach lekcji szkolnych.

A propos tej ulicy. To nie tu urodził się poeta, choć taka wersja pokutuje do dziś. Owszem, przez szereg lat mieszkał na Andrzeja pod numerem 40 (obecnie 42), świadczy o tym tablica pamiątkowa, ale na świat przyszedł 13 września 1894 r. w dwupokojowym mieszkaniu przy ulicy Widzewskiej 44 (obecnie Kilińskiego 46) i wraz z rodzicami i siostrą Ireną trzykrotnie zmieniał miejsce zamieszkania. W roku 1898 rodzina Tuwimów przeprowadziła się na ulicę Pasaż Szulca 3, skąd w roku 1902 na ulicę św. Andrzeja, a po wybuchu wojny w roku 1914 – na ulicę Dzielną 50 (Narutowicza).

Przyznanie Tuwimowi nagrody literackiej miasta Łodzi w 1928 r. powitałiśmy w naszej „budzie” z niekłamany entuzjazmem. Poeta przebywał już na stałe w Warszawie. O zaszczytnym wyróżnieniu dowiedział się telefonicznie. Tegoż wieczoru uczestniczył w galówce wydanej na cześć bawiącego w Polsce króla Afganistanu – Aman Ullaha Khan i jego małżonki. Nie mógł tam znaleźć sobie miejsca, tak był przejęty. Nazajutrz odwiedził go sprawozdawca sejmowy „Republiki” Władysław Bestermann. W udzielonym mu wywiadzie dla naszej gazety Tuwim z rozrzewnieniem wspominał o przypadającej właśnie dziesiątej rocznicy wydania jego pierwszego zbioru poezji. Wszystkie wiersze



zawarte w *Czyhaniu na Boga* napisał w Łodzi. Rodzicom poety, mieszkającym przy al. Kościuszki 27 (front, I piętro), radosną nowinę zakomunikował Jan Lechoń.

W kilka dni później Julian Tuwim przyjechał do rodzinnego miasta zaproszony na uroczystą akademię 3-majową. W sali, gdzie radni na sesjach popisywali się drętwyymi przemówieniami, rojącymi się od suchych liczb i faktów, gdzie życie defilowało w całym majestacie przyziemnego negliżu, powiało poezją...

Dziękując za okazany mu zaszczyt, laureat wygłosił wzruszające przemówienie. Z pożółkłych stron „Republiki” przytaczam jego słowa:

*[...] Niechaj więc mi wolno będzie, jako dziecku Łodzi fabrycznej, Łodzi robotniczej, dać wyraz najczulszemu wzruszeniu z powodu tej decyzji. A jest to wzruszenie owiane tkliwą pamięcią tych dawnych dni, kiedy budziły się we mnie pierwsze melodie wierszy, albo w rytmie tego miasta, albo buntując się przeciw temu rytmowi – lecz zawsze z łódzkich ulic wyniesione.*

*Nasze kominy były mi jak olbrzymie, czerwone wykrzykniki, jak białe w Łódź znaki potwierdzenia, że to jest miasto nieustającej pracy. Turkot fabryk, gwizd syren, tłumy walczące o wolność – uczyły mnie nowych rytmów poetyckich przeniesionych na warsztat słów. Łódź fabryczna jak kamerton wystukiwała mi pierwsze twórcze nakazy. Zawsze o tym pamiętałem i zawsze za to kochać będę moje miasto rodzinne. A teraz, kiedy mnie tak szcudrobliwie ponad nikłe zasługi wynagrodziła – pamiętać będę, że to uznanie dla dotychczasowego mego dorobku jest jednocześnie radosnym moim obowiązkiem dalszej wyteźonej pracy na dzialce roboczej młodej poezji polskiej...*

*Tak się przyszłość buduje – muskularną mową,*

*Tak się życie pcha naprzód – śpiewną roboczną.*

*Młodości, daj nam skrzydła! Boże, ześlij słowo,*

*W pęd sławy, w dzieje swoje, porwij nas, ojczyzno!*

– zakończył poeta swą płomienną deklarację.

Grzmot oklasków w sali Rady Miejskiej przetoczył się przez miasto, docierając i do mego gimnazjum Wiśniewskiego. Kolega, który nigdy nic bezinteresownie nikomu nie wyświadczył, zdobył się na heroiczny czyn: poświęcając niedzielę przepisał nowy wiersz Tuwima i bezpłatnie rozdał całej klasie.

Marzyłem, żeby los kiedyś zetknął mnie z poetą. Pragnienie to ziściło się w pewnym sensie. Po wyzwoleniu, gdy wyszły *Kwiaty polskie*, napisałem do „Expressu” całostronicowy felieton *Kwiaty i chwasty łódzkie*, poświęcony historycznym przeobrażeniom naszego kraju i miasta, składając jednocześnie hołd poecie – jak mi dyktowało moje młode serce.

Stanisław Bal serdecznie mi pogratulował. Jeszcze większą radość i satysfakcję przeżyłem w kilka dni później: Julian Tuwim przysłał mi serdeczny, odręczny list. To najpiękniejsza pamiątka mojej pracy dziennikarskiej, największa nagroda, jaka mnie kiedykolwiek spotkała.

Warszawa, 23 X 1952

Drogi Panie!

Gdybym Panu za skierowane do mnie słowa artykułu w „Expressie” podziękował sześćostronicowym listem, przepelnionym nie wiem jakimi „pięknościami stylu”, to i wtedy nie zawarłbym w nim tyle treści, ile kładę w te trzy słowa: „Dziękuję, drogi przyjacielu!” I choć z daleka, ściskam gorąco i serdecznie Pańską dłoń. Wzruszyły mnie te „Kwiaty i chwasty łódzkie” tak bardzo, że pewne objawy tego wzruszenia... wolę zataić. Bo to wstyd dla mężczyzny, zwłaszcza starego...

W pięknym artykule Pana jest jedno miejsce, które mnie zabolalo – nie z pańskiej winy, nie z mojej, z niczyjej. Temu Nikomu na imię Los. – Pisze Pan: „Przyjeźdź, Poeto, do naszej, do swojej Łodzi...” A ów los tak się ze mną niesprawiedliwie obszedł, że przyprawił mnie o nieuleczalną chorobę, która nie pozwala mi jeździć, bywać, chodzić – słowem, swobodnie dysponować sobą. Jest to połączenie agorafobii z ostrą, chroniczną, niedomogą nerwu błędnego. Bywa tak, że i w Warszawie całymi tygodniami z domu nie wychodzę. Mogę Pana zapewnić, że jeśli się ten stan rzeczy kiedyś poprawi (choć straciłem już nadzieję) – pierwszym upragnionym celem mojej podróży będzie Łódź.

Serdecznie Pana pozdrawiam – i jeszcze raz „Dziękuję, drogi przyjacielu”.

Julian Tuwim

Z dumą pokazałem list Stanisławowi Balowi. Uściskał mnie i powiedział:

– Właściwie to mógłbym prawie być twoim dziadkiem, pęta, ale nie pamiętam tego, co cię dziś spotkało, możesz mi mówić po imieniu – i ucałował mnie z dubeltówki.

W sześć lat później mój wierny, pocziwy Stanisław Bal obchodził piękny jubileusz pięćdziesięciolecia pracy pisarskiej. Byłem wtedy sekretarzem redakcji „Karuzeli”, jakoś ciągnęło mnie do satyry, a Bal redagował kolumnę *Reflektorem po województwie* w „Dzienniku Łódzkim”. Zrobiłem z nim wywiad dla „Expressu”, gdzie drukowałem cykl wspomnień pt. *Historie dawnej Łodzi*.

Jubilat, nie przerywając adiustacji rozłożonych przed nim maszynopisów, wymieniał tytuły napisanych przez siebie książek.

– Poczekaj, poczekaj... *Narkoza miłości, Godzina życia mężczyzny* i... do diabła z tą pamięcią – potarł czoło. – Nie mogę sobie przypomnieć tytułu mojej trzeciej książki...

– To była, Stasiu, *Fenomenalna pamięć*.

– Racja. A w roku 1933 napisałem i wystawiłem w Teatrze Miejskim w Łodzi za dyrekcji Stanisławy Wysockiej trzyaktową sztukę *Zielona kotwica*, satyrę na pacyfizm niemiecki i butę pruską.

Stanisław Bal był jeszcze pełen werwy i pasji pisarskiej. Chciał uraczyć Łodzian rewią *Parodie miłości*. Miały się na nią złożyć napisane przez niego monologi, dialogi, skecze. Na pierwsze czytanie tekstów aktorki Lena Wilczyńska i Józef Pilarski spóźnili się. Nie mogli przybyć punktualnie na próbę przedstawienia Chruszczewskiego, bo nagrywali w studio radiowym słuchowisko *Fotel na autostradzie* pióra Czesława Chruszczewskiego, syna jubilata.

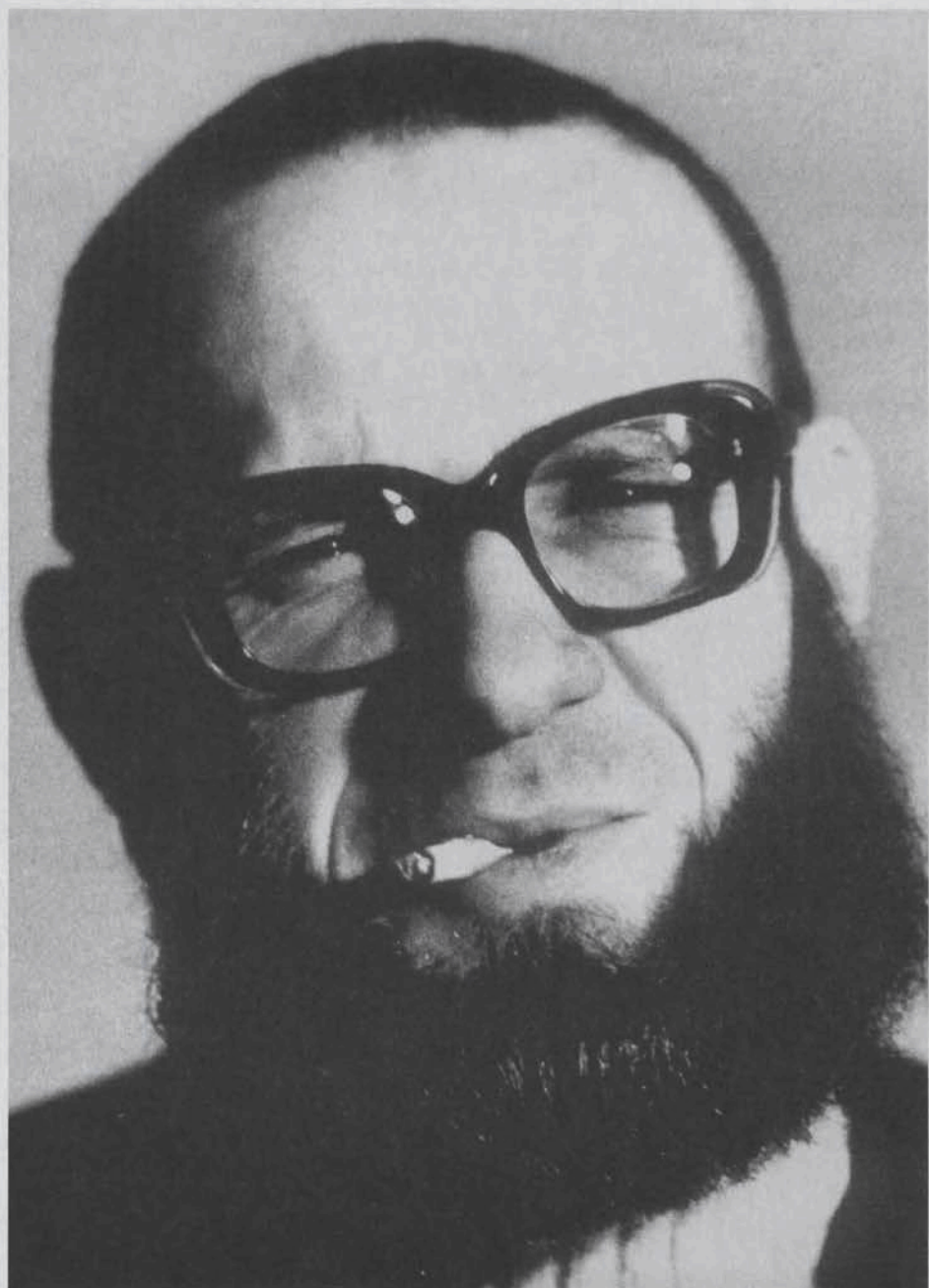
Mój wywiad ze Stanisławem Chruszczewskim-Balem ukazał się w „Expressie” w lipcu 1958 r. Życząc mu wiele lat życia i dalszej twórczej pracy, wyraziłem pragnienie, żeby Stasio, gdy minie następnych pięćdziesiąt lat, rozpoczął druk *Historii bardzo dawnej Łodzi* i w dowód pamięci wspomniał o mnie. Poklepał mnie, jak to było w jego zwyczaju, po ramieniu.

Wkrótce potem, porażeni bólem, w niemej rozpacz, żegnaliśmy na zawsze naszego kochanego, niezapomnianego Przyjaciela...

1989

Adam Ochocki (1913-1991) urodził się i zmarł w Łodzi. Całe życie przepracował w łódzkiej prasie. Już jako 17-latek był reporterem „Expressu Ilustrowanego”, po wojnie najdłużej pracował w czasopiśmie „Karuzela”, którego wizerunek współtworzył. Autor wielu książek, w tym trzech tomów wspomnień: *Reporter przed konfesjonalem, czyli jak się przed wojną robiło gazetę* (1980), *Erika zdradza tajemnice* (1987), *Raz, dwa, wzięli* (1989). Prezentowany fragment jego wspomnień pochodzi z rozszerzonej, nigdy niewydanej wersji *Reportera przed konfesjonalem* i udostępniony został przez córkę Helenę Ochocką.

J. W.



*Andrzej Grun*

Jerzy Wilmański

## Podróże Andrzeja Gruna

Zapis w paszporcie: Andrzej Karol Grun, urodzony 30 sierpnia 1939 r. w Łucku na Wołyniu. W podtekście tego zapisu jest ta pierwsza wędrówka z rodzicami przez zieloną granicę z Wołynia do Warszawy, a potem, po upadku Powstania, z matką na czeskie pogranicze do ojca, który był tam dowódcą strażnicy WOP-u... Potem do Gliwic, do Krakowa na UJ – na koniec do Gdańska, gdzie studiował w pracowniach Piotra Potworskiego i Jacka Żuławskiego... Potem do Łodzi...

I tu rozpoczął Andrzej Grun swoją kolejną wielką podróż. Artystyczną podróż przez biel i czern grafiki, przez barwy obrazów, przez klimaty i nastroje Sztuki. Każda taka podróż to kolejna wystawa – a było ich kilkadziesiąt – wystawa odkrywająca nowe strony świata, nowe horyzonty i pejzaże.

Wydaje mi się, że Andrzeja Gruna poznałem gdzieś w latach sześćdziesiątych i że miało to miejsce w toruńskim hotelu „Pod Trzema Koronami”... Tak było, ale – kto wie – może poznałem go wcześniej, w latach pięćdziesiątych w Gdańsku, w klubie „Żak”? Albo w latach czterdziestych na czeskim pograniczu, albo jeszcze wcześniej? – w latach trzydziestych w Łucku?

Sztukę Andrzeja Gruna natomiast poznałem z całą pewnością w końcu lat sześćdziesiątych na wystawie zatytułowanej „Ziemia jałowa”. Oczywiście inspiracją tej serii grafik i rysunków był wielki poemat T. S. Eliota, ale to nie były zwykłe ilustracje (czyż można w ogóle ilustrować Eliota?). Był to plastyczny komentarz do poematu.

Dwadzieścia trzy rysunki, najczęściej wpisane w koło, w okrąg będący zegarem, ziemskim globem, kroplą... To nie były ilustracje, lecz swobodna gra skojarzeń. Kręgi i koła wyznaczały kompozycyjne ramy grafice Gruna – w nich zawarta została mnogość rzeczy i spraw, sugestywna wizja wywołana posępną frazą poematu.

Strzaskane popiersia i posągi Cezarów i Aureliuszów, w klatkach kobiety – nietoperze sygnowane cyfrą... Wirują ręce i twarze kobiet ze strumyczkami krwi w kącikach ust, brzęczą kajdanki jak złote bransolety, bransolety jak kajdany, ręce i cyfry – tysiące cyfr, monstrualne szeregi cyfr pokrywające drobnitką fakturą ludzkie twarze. *I brzęk i hałas z zewnątrz, gdzie rybaków tłum zbiera się o dwunastej.*

Wirowanie skojarzeń – *tu nie ma wody, tylko naga skała. Skała, brak wody i piaszczysta droga* – smukłe ręce obrosłe szpilkami, zamki (na wodzie? na łodzi?) odwrócone wieżycami w dół jak w lustrze jeziora – *w zapadłej dziurze pomiędzy górami trawy śpiewają poświęcie księżycu.*

*Gwizdały nietoperze o dziecięcej twarzy.  
I pętały w dół głową po ścianach szerniałych.  
Dzwoniąc wspomnieniem dzwonów mierzących godziny  
W powietrzu odwrócone na dół wieże trwały...*

Czytam *Ziemię jałową* i nadpływają z pamięci posępne kartony Andrzeja Gruna. Nie wiem, czy ktoś już kiedyś wpadł na pomysł takiego właśnie skomentowania poematu Eliota. Wiem, że Grunowi udało się chwycić tę nutkę nastroju i atmosfery tajemniczości, snującą się przez labirynty poematu – udało mu się chwycić ową rozkojarzoną frazę *Ziemi jałowej* i zamknąć w koło i kwadrat obrazu.

Ta grafika szokuje bogactwem tego, co się dzieje na białych kartonach. Monotematyczna ekspozycja Gruna nie była adresowana wyłącznie do miłośników czy choćby tylko do czytelników Eliota – wirujący, przebogaty świat posępnych człowieczych wydarzeń i spraw jest bowiem wartością samą w sobie. Jest zrodzony frazą eliotowskiego poematu – oczywiście – powstał dzięki tamtemu poetyckiemu światu – oczywiście – ale biel i czerń tej grafiki pozostawiona sama sobie na gładkich ścianach galerii, odarta z literatury – świeci odbitym światłem poezji przemienionej w inny gatunek sztuki.

Biel i czerń. Jak to było w Alicji w krainie czarów? *Na dużych białych kawałach papieru staraliśmy się mazać kolorowymi i czarnymi patyczkami wszystko, co tylko nam do głowy przyszło. Czasami znów robiliśmy to samo zupełnie na czarno.* Andrzej Grun staje przed czernią i bielą – te dwie pozornie zwykłe, ale podstawowe barwy najbardziej go intrygują.

A potem tyle było tych wystaw-podróży, że kiedy któregoś lata pojechaliśmy do zamku w Reszlu na granicy Warmii i Mazur – aby otworzyć kolejną wystawę Andrzeja Gruna – trudno nam się było doliczyć, która to ekspozycja.

A potem (a może w międzyczasie) były dziennikarskie, satyryczne przygody na łamach pism i w salonach sztuki. Były metaforyczne, przekorne i roz-



wichrzona *Fryzury* – swoisty komentarz do współczesności, który owa współczesność dość szybko zmiotła sprzed oczu czytelników.

Czym były jeszcze owe *Fryzury*? Żartem – metaforą – recenzją – fraszką? A może to były po prostu rysowane felietony?

Ich wieloznaczność i kpina niepokoiła i oburzała „strażników rewolucji” i stróżów moralności i pryncypialności. I choć istnieje pozorna sprzeczność między dziennikarską dosłownością a wieloznaczną metaforą – rozwichrzona *Fryzury* Andrzeja Gruna zawierały w sobie te cechy. I nie ma w tym sprzeczności, ponieważ dosłowność i wieloznaczność znajdowały się we *Fryzurach* na różnych piętrach percepcji. W jednym i tym samym rysunku odbiorcy ujrzeć mogli prosty żart, wieloznaczną aluzję, złośliwą satyrę, poetycką metaforę...

Z kręgu dziennikarskich doświadczeń zrodziła się także inna podróż-przygoda Andrzeja Gruna. Podróż poprzez szpalty i łamy czasopisma, w którym artysta był kierownikiem graficznym. Uwieńczeniem tej podróży była niewielka wystawa w łódzkim Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki.

Wówczas to w katalogu-plakacie wystawy znalazły się słowa określające tę niewielką wystawę jako WARSZTAT. Po prostu notatki do codziennego zapisu świata, jaki nas otacza.

Ten pośpieszny, nerwowy brulion był jednak zapisem najautentyczniejszym, najlepiej określającym nerwowość i pośpiech naszego czasu. I wówczas w katalogu wystawy znalazło się to zawołanie: „Nie cyzelujmy tego nerwowego zapisu, świadomi iż może nam nie starczyć czasu na pełnię cyzelacji”.

Wkrótce jednak wrócił Grun na kolejnej wystawie do tamtego nerwowego zapisu. Nie cyzelował go, ale przedstawił inaczej, poddał go pewnej dyscyplinie, wtoczył w wyznaczone przez siebie ramy.

Ale i na tej wystawie w Klubie Dziennikarza odnajdywaliśmy tę samą różnorodność poetyk, ten sam rytm pośpieszny, to samo pulsowanie czasu.

Czas, i miejsce w czasie, odciskają swe piętno na twórczości każdego artysty. Można wieść spory i zastanawiać się – dobrze to czy źle. Osobiście sądzę, że to dobrze, nawet jeśli piętno jest zbyt silne. Nawet, jeśli napór aktualności i pośpiech tworzą pęknięcia w artystycznej konstrukcji. Ale przecież nawet te pęknięcia mówią, jakże wymownie, o świecie tworzoną przez artystę i o świecie, w którym tworzy artysta.



Andrzej Grun, zresztą, do tych gazetowych doświadczeń i inspiracji dość wyraźnie się w swojej ekspozycji przyznawał. Robił to w różny sposób – poprzez graficzne aluzje do krzyżówki z ostatnich stron magazynów, poprzez wykorzystane elementy prasowej fotografii, poprzez chwytliwe gazetowym komiksom...

Artysta jest w swojej sztuce oszczędny, ponieważ wie, że zasadą graficznego znaku w gazecie jest oszczędność. Sprowadza jednak tę zasadę nieraz do absurdu; stosuje przewrotną kpinę, kiedy na symbolicznie zaznaczonym morzu rysuje symboliczny, dziecinny nieomal znak statku z ciągnącym się nad nim żółtym dymem... Ale z tego dowcipu uśmiecha się do Gruna dziennikarska inspiracja, bowiem wiadomo przecież, że znak graficzny w gazecie to – jakże często – żart właśnie.

A jednocześnie znajdujemy w tym dorobku prace zawierające w sobie jakiś ładunek bardzo tragicznej refleksji. Jak choćby ten niezgrabny człowieczek w czarnym garniturku, próbujący z pustej, zupełnie pustej, beznadziejnej równiny, wlecieć gdzieś wysoko, poprunąć gdzieś (a może odfrunąć?), osiągnąć jakiś cel, oderwać się od tej beznadziejnej równiny, gładkiej jak stół.

W swoich grafikach Andrzej Grun gromadził swoją artystyczną *silva rerum*. Żart obok refleksji, kolorową fotografię obok czarnej kreski, poetycką metaforę obok gazetowego dowcipu... Tak jest! I miał rację, ponieważ w tym pomieszaniu spraw, konwencji i nastrojów – metafory i prostego żartu, refleksji i kpiny – mieści się cały urok i dotkliwość świata, który Andrzej Grun utrwał na białym kartonie.

Różnorodność i bogactwo dominowały w podróżach Andrzeja Gruna. Niespodzianka i zadziwienie, kiedy wkrótce po wystawie metaforycznych rysunków eksponuje – portrety.

Dziwne portrety – od delikatnej eleganckiej kreski zamykającej profil dziewczyny – po surowe, prawie rzeźbiarskie bryły głów rysowane szeroko węglem. Portrety będące ukłonem w stronę karykatury – i portrety będące studium ruchu twarzy. A więc znów – różnorodność koncepcji i technik graficznych.

A w międzyczasie były podróże do Anglii, Francji, Czechosłowacji,





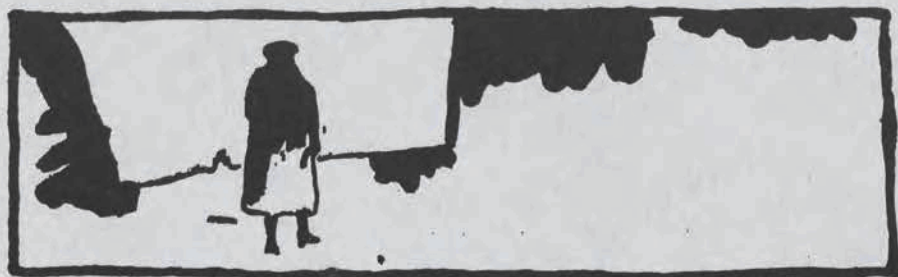
Bułgarii, Rumunii, Szwecji, Holandii, Belgii, Austrii, do Związku Radzieckiego, do Niemiec i na Węgry... Kolejne przygody artystyczne owocujące kolejnymi wystawami i reportażami. Z tych wojaży przywoził Grun prace różnorodne... Czarno-białą plamę londyńskiej katedry i kolażową feerię barw z londyńskiego przedmieścia. Panoramę Pragi zamkniętą czarną kreską i utopione w pastelach dachy Paryża – miał odwagę malować także Paryż... W sumie jednak z podróży na Zachód Grun przywiózł prace bardziej malarskie; już nie tylko oszczędna kreska syntetyzująca bryłę architektury, ale także barwa, gra kolorów i niepokojów świata. Wreszcie uczeń prof. Piotra Potworowskiego wrócił do malarstwa.

Wrócił do koloru także w grafice, operując barwnym szablonem, kliszą, klockiem drzeworytowym, różnicując kolorystycznie powtarzalne motywy graficzne – tworząc nastrojowo odrębne wersje.

„To tylko uncja farby rozarta na płótnie dłonią zręcznego kłamcy, który był geniuszem...” Tę frazę również napisała ręka Andrzeja Gruna – poety, grafika, malarza i dziennikarza, plastyka – artysty wpisanego w pejzaże wielu dróg i wielu miast. Studenta z sopockiej PWSSP, którego poznałem w Gdańskim klubie „Żak”, wędrowca z recepcji hotelu „Pod Trzema Koronami”, którego poznałem w Toruniu – artysty z dorobkiem setek prac i wielu wystaw, którego poznałem w aurze poematu Eliota – poety, grafika, malarza i dziennikarza... Artysty o wielu obliczach i jednej, prawdziwej ludzkiej twarzy.

\*\*\*

Podróże Andrzeja Gruna skończyły się ostatecznie i boleśnie 5 kwietnia 1999 roku na progu kolejnej wiosny. Odszedł na chwilę od zgiełku rozmów toczonych przez przyjaciół – i już nie wrócił. Raczej zasnął niż umarł. Pozostawił po sobie barwne wizje swojej sztuki i równie barwną legendę.



## Nagrodzeni i odznaczeni

Trzydziestu siedmiu łodzian odznaczonych zostało w sali obrad łódzkiej Rady Miejskiej. Ordery, odznaki i nagrody wręczali: wojewoda łódzki, przewodniczący Rady i prezydent Łodzi.

Leon Niemczyk z rąk wojewody przyjął Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski. Wybitny aktor został także nagrodzony przez łódzką Radę Miejską Nagrodą Miasta Łodzi w wysokości 15 tys. zł.

Złotymi Krzyżami Orderu Odrodzenia Polski odznaczeni zostali aktorzy i pracownicy obchodzącego swe 50-lecie teatru „Arlekin” – dyrektor Waldemar Wolański, Iwona Brzezińska, Mieczysław Dyrda i Jan Pieczętkowski; Jarosław Frątczak, Wiesław Gronostaj i Kazimierz Michalak otrzymali Srebrne Krzyże.

Łódzki samorząd przyznał doroczne Nagrody Miasta Łodzi także Danucie Falak, znanemu pedagogowi, dyrektorowi XXVI Liceum Ogólnokształcącego, Irenie Jaros, współtwórcy wspomagającej potrzebujących Fundacji Banku Żywności, Alicji Jarugowej, ekonomiście, światowemu autorytetowi w dziedzinie rachunkowości, Ryszardowi Rosinowi, historykowi, wybitnemu badaczowi początków dziejów Łodzi oraz reżyserowi, twórcy studia teatralnego „Słup” – Marcelowi Szytenchelmowi.

Honorowe Odznaki „Za Zasługi dla Miasta Łodzi” otrzymali: Józef Dzienis, Krystyna Gułaj, Stanisław Jarzębski, Maria Krasieńska-Fendler, Przemysław Krężel, Józef Kurowski, Otylia Kurzawa, Wiesław Machejko, January Magalski, Tadeusz Markowski, Barbara Marszałek, Ewa Mirowska, Jan Nazarski, Mirosław Pękacki, Waldemar Presia, Bogusław Sochnacki, Stanisław Starzak, Jerzy Szpakowski, Tadeusz Warchulski, Zbigniew Władyka, Eugeniusz Wojciechowski, Waldemar Zawodziński i Wojciech Źródłak. Zbiorowe Odznaki przyznano Klubowi Tradycji Łódzkich i łódzkiemu Zarządowi Okręgowemu PCK.

## Gwiazdy zamiast jemioli

Zbigniew Cybulski i Bogumił Kobiela w łódzkiej Alei Sławy

Rzęsisty deszcz ochrzcił dwie nowe gwiazdy, które pojawiły się wczoraj na ul. Piotrkowskiej, w łódzkiej Alei Sławy. Pamiątkowe tablice ku czci Zbigniewa Cybulskiego i Bogumiła Kobieli odsłoniły wzruszone żony nieżyjących aktorów – Elżbieta Cybulska i Małgorzata Kobielowa. Gośćmi uroczystości byli także Maciej Cybulski – syn pamiętnego Maćka z *Popiołu i diamentu* oraz Marek Kobiela – brat niezapomnianego „Bobka”. Tablice dla legend polskiego kina ufundowało Studio Filmowe „Zebra” Juliusza Machulskiego.

Uroczystość stała się okazją do wspomnień. Rektor PWSFTviT Henryk Kluba opowiadał o tym, jak Zbyszek Cybulski wylał mu kawę na tekst scenariusza do jego pierwszego filmu, natomiast Juliusz Machulski jak przez mgłę pamięta mężczyznę na motorze, który strasznie długo rozmawiał z jego ojcem. Później dowiedział się, że tym rozmówcą był Zbyszek Cybulski.

– Bogumiła Kobielę spotkałem jako 10-latek w Kazimierzu nad Wisłą – wspominał Juliusz Machulski. – Poprosił mnie, żebym mu ściągnął z wysokiego drzewa jemiolę. Uwielbiałem go, więc stanąłem na głowie, żeby przy pomocy sąsiadów jakoś ową jemiolę zdobyć. Niestety, nie przyszedł po nią, za co potem, po latach, mnie przeprosił. Dzisiejsza gwiazda jest zamiast jemioli.

Uhonorowani sąsiadującymi ze sobą gwiazdami aktorzy byli zaprzyjaźnieni. Ukończyli tę samą krakowską PWST (w różnych latach). Grali razem w Teatrze Wybrzeże w Gdańsku, teatrzyku studenckim „Bim-Bom” oraz warszawskim „Ateneum”. Wspólnie napisali scenariusz do filmu *Do widzenia do jutra* i spotkali się na planie *Kariery, Popiołu i diamentu* oraz *Rękopisu znalezionego w Saragossie*. Kobiela zagrał w obrazie *Wszystko na sprzedaż*, poświęconym Cybulskiemu. Obaj zakończyli życie tragicznie: Cybulski w 1967 roku pod kołami pociągu na dworcu Wrocław Główny, a Kobiela dwa lata później zmarł w wyniku obrażeń po wypadku samochodowym pod Komorowem.

Na liście osób, które powinny być uhonorowane w alei, Bogumił Kobiela i Zbigniew Cybulski znaleźli się jako jedni z pierwszych.

W chodniki ul. Piotrkowskiej wmurowanych jest już 25 gwiazd. Jedną z nich (dla Leona Niemczyka) ufundował „Dziennik Łódzki”.

## ZARZĄD MIASTA ŁODZI



### **Tadeusz Matusiak - prezydent miasta**

Lat 49. Jest ekonomistą, ukończył Uniwersytet Łódzki. Pracował w „Dywilanie”. Pełnił funkcję dyrektora Wydziału Paszportów w Urzędzie Wojewódzkim. Przez 20 lat aktywnie działał w strukturach samorządowych jako radny. Był wiceprzewodniczącym łódzkiej SdRP. Obecnie należy do SLD. Najchętniej spędza czas z rodziną. Lubi operę i muzykę klasyczną.



### **Wiesław Walczak - wiceprezydent miasta**

Lat 52. Magister dziennikarstwa, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego. Studia podyplomowe z zakresu prawa finansowego i gospodarczego oraz kształtowania i ochrony środowiska ukończył na Uniwersytecie Łódzkim. Był radnym I i II kadencji. W latach 1994-98 Członek Zarządu Miasta. Należy do SLD. Żonaty, dwoje dzieci. Jest zapalonym działkowiczem.



### **Sylwester Pawłowski - wiceprezydent miasta**

Lat 41. Mgr historii, nauczyciel, absolwent Uniwersytetu Łódzkiego. Ukończył studia podyplomowe z nauk politycznych oraz pedagogiki opiekuńczo-wychowawczej. Radny Rady Miejskiej w latach 1988-90 i 1994-98. Ostatnio przewodniczący komisji kultury RM. Od 1992 roku należy do SLD. Żonaty, jeden syn. Jego hobby to muzyka rockowa i klasyczna oraz sport.



**Włodzimierz Sitek - wiceprezydent miasta**

Lat 52. Doktor nauk technicznych, ekspert w dziedzinie energetyki. Radny Rady Miejskiej w I kadencji i poseł na Sejm Rzeczypospolitej Polskiej II kadencji. Był wiceprezesem Federacji Związków Nauczycielstwa Polskiego Szkół Wyższych i Nauki. Należy do SLD. Jest żonaty, jedna córka. Interesuje się historią i muzyką jazzową.



**Krzysztof Panas - członek zarządu**

Lat 47. Dr nauk medycznych, absolwent Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi, asystent w Szpitalu Klinicznym WAM i Szpitalu MSW w Łodzi. W latach 1992-94 dyrektor Zespołu Zakładów Opieki Zdrowotnej MSW w naszym mieście. W okresie 1994-97 dyrektor Centralnego Zarządu Służby Zdrowia MSW. Autor projektu restrukturyzacji służb medycznych MSW. W stopniu pułkownika, z dniem 30 września 1998 r. zwolniony z zawodowej służby wojskowej i przeniesiony do rezerwy. Bezpartyjny, żonaty, dwoje dzieci. Jest miłośnikiem łowiectwa.



**Władysław Skwarka - członek zarządu**

Lat 47. Wykształcenie wyższe, socjolog. Ostatnio zatrudniony na stanowisku wicedyrektora Wojewódzkiego Urzędu Pracy w Łodzi. Radny Rady Miejskiej I i II kadencji. Należy do SLD. Żonaty, dwoje dzieci. Pasjonuje się dziejami dynastii Piastów. Jest zapalonym kibicem piłki nożnej.



**Mieczysław Teodorczyk - członek zarządu**

Lat 49. Wykształcenie wyższe humanistyczne. Studia podyplomowe w Wyższej Szkole Administracji Publicznej. Pracę zawodową rozpoczął w przedsiębiorstwie czesankowej „Polmerino”. W latach 1994-95 pracował w Wydziale Organizacji i Nadzoru Urzędu Wojewódzkiego. Przez następne 3 lata pełnił funkcję zastępcy dyrektora Delegatury Łódź-Bałuty. W ostatnich wyborach samorządowych wybrany do Sejmiku

Wojewódzkiego jako radny. Należy do SLD. Żonaty, dwoje dzieci. Docenia wagę ekologii. Lubi kontakt z przyrodą i pracę na działce.



**Tadeusz Salski - sekretarz miasta**

Lat 61. Absolwent Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego Uniwersytetu Łódzkiego ze specjalnością organizacja pracy i socjologii miasta. Od 1957 roku pracował w administracji państwowej województwa łódzkiego i miasta Łodzi. Zajmował się problematyką kultury i sztuki, publicznej gospodarki lokalami, zagadnieniami zarządzania, struktur administracji, organizacji pracy i funkcjonowania urzędów. Dyrektor urzędu, a po reformie administracji w 1990 r. i utworzeniu samorządu był zastępcą dyrektora wydziału organizacyjnego UMŁ. Od 1993 r. prezes Zarządu Fundacji Regionalnego Rozwoju Bankowości w Łodzi. Bezpartyjny. Jedna córka. Jego hobby to muzyka klasyczna. Ogromnie ceni sobie kontakty rodzinne. Szczególnie lubi spędzać czas z wnukiem.



**Witold Barszcz - skarbnik miasta**

Lat 43. Wykształcenie wyższe. Urodził się w Warszawie. Do Łodzi przeprowadził się w 1996 roku, po objęciu funkcji skarbnika miasta. Pracował w sektorze bankowym, pełniąc funkcje kierownicze w kilku bankach. Dwie córki. Starsza studiuje bankowość i finanse na UŁ, młodsza jest uczennicą III klasy LO im. C.K. Norwida w Warszawie. Interesuje się sportem, turystyką i kulturą.

## **SKŁAD RADY MIASTA ŁODZI**

### **Prezydium Rady Miejskiej**

Grzegorz Matuszak	– przewodniczący
Marek Czekalski	– wiceprzewodniczący
Krzysztof Honkisz	– wiceprzewodniczący
Maciej Rakowski	– wiceprzewodniczący

### **Biuro Rady Miejskiej**

Eugeniusz Świąciak	– dyrektor
Anna Kuźmicka	– rzecznik prasowy Rady Miejskiej

### **Zarząd Miasta Łodzi**

Tadeusz Matusiak	– prezydent miasta
Wiesław Walczak	– wiceprezydent miasta
Sylwester Pawłowski	– wiceprezydent miasta
Włodzimierz Sitek	– wiceprezydent miasta
Krzysztof Panas	– członek zarządu miasta
Mieczysław Teodorczyk	– członek zarządu miasta
Władysław Skwarka	– członek zarządu miasta
Tadeusz Salski	– sekretarz miasta
Witold Barszcz	– skarbnik miasta

### **Lista radnych Rady Miejskiej w Łodzi III kadencji 1998-2002**

- |                        |                        |
|------------------------|------------------------|
| 1. Robert Aleksandrzak | 3. Iwona Bartosik      |
| 2. Bolesław Bartnik    | 4. Małgorzata Bartyzel |

5. Teresa Binasiak
6. Andrzej Cewiński
7. Karol Chądzyński
8. Urszula Chruślińska
9. Marek Czekalski
10. Barbara Czerkawska
11. Henryk Czyżewski
12. Zbigniew Domżał
13. Paweł Dziwisz
14. Zbigniew Gajewski
15. Marianna Graczyńska
16. Ryszard Golański
17. Dariusz Górecki
18. Rafał Górniak
19. Marek Górski
20. Krzysztof Honkisz
21. Jarosław Jagiełło
22. Elżbieta Jankowska
23. Andrzej Jędrzejczak
24. Tomasz Jochim
25. Marek Karwowski
26. Mirosława Kęblińska
27. Zbigniew Klajnert
28. Stanisław Klimczak
29. Grażyna Korasiewicz
30. Marek Kostanek
31. Michał Król
32. Piotr Krzywicki
33. Agnieszka Kubacka
34. Robert Kwapis
35. Henryk Kwaśniewski
36. Marian Laskowski
37. Józef Lelito
38. Maciej Lenart
39. Adam Stefan Lepa
40. Krzysztof Lipiński
41. Katarzyna Lubnauer
42. Zbigniew Łęcki
43. Grzegorz Łoboda
44. Andrzej Maciejewski
45. Krzysztof Makowski
46. Edward Mamos
47. Mirosław Marcisz
48. Mirosława Matusiak
49. Tadeusz Matusiak
50. Grzegorz Matuszak
51. Marek Michalik
52. Wojciech Michalski
53. ~~Bianka Magdalena Mikolajewska~~
54. Magdalena Morawska
55. Lucjan Muszyński
56. Izolda Myślińska
57. Lech Nowak
58. Mirosław Nowak
59. Fabian Obzejta
60. Mirosław Orzechowski
61. Izabela Ożegalska
62. Marian Papis
63. Paweł Pawlak
64. Sylwester Pawłowski
65. Anna Rakowska
66. Maciej Rakowski
67. Tomasz Rosłoński
68. Witold Rosset
69. Włodzimierz Sitek
70. Witold Skrzydlewski
71. Henryk Skwarka
72. Władysław Skwarka
73. Dorota Aleksandra Szafran
74. Ewa Tomaszewska-Grzanek
75. Włodzimierz Tomaszewski
76. Michał Tosiek
77. Wiesław Walczak
78. Mirosław Wiczorek
79. Krzysztof Wróbel
80. Włodzimierz Zajączkowski



## Kronika wydarzeń

- 10 stycznia – Otwarcie wystawy „Ogniem i mieczem. Scenografia-Kostium-Militaria” – Muzeum Kinematografii
- 13 stycznia – Spotkanie podsumowujące V Edycję konkursu „Łódź Propozuje”, salka Oddział Promocji Miasta i Współpracy z Zagranicą
- 18 stycznia – Konferencja na temat „Sytuacja przemysłu lekkiego w Łodzi”, Duża Sala Obrad
- luty – Ogłoszenie konkursu fotograficznego „Łódź – portret bez ram”
- 12 lutego – Premiera filmu „Ogniem i mieczem”. Wmurowanie gwiazdy Jerzego Hofmana i Krzysztofa Kowalewskiego.
- 9-12 marca – Intertelecom – Targi Łączności – Expo
- 11-14 marca – Targi Nieruchomości MIPIM – Cannes/Francja
- 29 marca – Otwarcie połączenia lotniczego Łódź – Warszawa – lotnisko Lublinek
- 9 kwietnia – „Jeden dzień w Łodzi” dla dziennikarzy prasy turystycznej
- 10 kwietnia – Umieszczenie ławeczki Tuwima na ulicy Piotrkowskiej 104
- 27 kwietnia – Uroczysta promocja albumu „Księża Młyn” – Pałac Herbsta
- 1 maja – Otwarcie muzeum „Łódź Kaliska” z okazji 20-lecia istnienia stowarzyszenia „Łódź Kaliska”
- 9-16 maja – Festiwal Teatralny „Ziemia obiecana”
- 14-15 maja – XV Łódzkie Spotkania z Piosenką Żeglarską KUBRYK '99 – Akademicki Klub Żeglarski, Łódzki Dom Kultury
- 14-16 maja – „Święto Łodzi”
- 21-22 maja – VII edycja Konkursu dla Projektantów Ubiorów „Złota Nitka” – MTL
- 19 czerwca – „Dzień Reymonta”
- 1-15 sierpnia – Wizyta w Łodzi wolontariuszy z zagranicy – Ogród Botaniczny, Stary Cmentarz
- 14 sierpnia – Ogólnopolski Przegląd Hejnałów Miejskich – Lublin
- 29-30 sierpnia – Obchody rocznicy wyzwolenia łódzkiego getta
- 1 września – Pociąg Tuwima – tworzenie pociągu z mieszkańców miasta i bicie rekordu Guinnessa
- 3-16 września – Akcja artystyczna Aleksandra Honory'ego pt. „Świat o wielu obliczach – oblicze miasta Łodzi”
- 4-5 września – Obchody 70-lecia Aeroklubu Łódzkiego
- 9 września – Otwarcie wystawy „Salwador Dali – grafiki” – Muzeum Historii Miasta Łodzi

- 11-12 września – Wystawa prac fotograficznych o tematyce łódzkiej w Chemnitz
- 12 września – Dzień Tuwima – Ogród Zoologiczny
- 17 września – Dni Dziedzictwa Europejskiego
- 23 września – Krajowa Wystawa Filatelistyczna. Wręczenie Grand Prix – pucharu ufundowanego przez Prezydenta Miasta – Textlimpex
- 23 września – Odświeżenie Gwiazdy Stefana Jaracza w Łódzkiej Alei Sławy
- 27 września – Otwarcie trzeciej hali targowej w Centrum Handlowym „Zjazdowa”
- 30 września-
- 3 października – Udział Prezydenta Miasta Łodzi w obchodach 220. rocznicy powstania miasta Tampere
- 1-2 października – Łódzkie Targi Bankowości, Finansów i Ubezpieczeń – Hala Expo
- 2 października – Otwarcie „Gabinetu Prof. Jana Karskiego” w Muzeum Historii Miasta Łodzi
- 4-8 października – Festiwal Czterech Kultur
- 5-12 października – Dni Szwecji
- 5-8 października – Dni Carla Dedeciusa
- 8-10 października – Dni Austrii
- 11 października – Wizyta Prezydenta Miasta w Pasawie
- 13-15 października – Wizyta delegacji oficjalnej władz Murcii – Hiszpania
- 14 października – Podpisanie umowy o współpracy partnerskiej pomiędzy Łodzią a Murcją
- 18-24 października – Dni Japońskie w Łodzi
- 19 października – „Jeden dzień w Łodzi” dla przedstawicielek korpusu dyplomatycznego
- 19 października – Łódzka premiera filmu „Pan Tadeusz”
- 11 listopada – Święto Narodowe i rocznica odzyskania niepodległości
- 12 listopada – Inauguracja obchodów jubileuszu Teatru Nowego
- 30 listopada-
- 12 grudnia – Forum Kina Europejskiego
- grudzień – Łódzkie Spotkania Teatralne – Łódzki Dom Kultury

## Zasłużeni dla miasta 1999

Rada Miejska w Łodzi nadała po raz kolejny osobom oraz organizacjom za działalność na rzecz miasta godną szczególnego uznania, ustanowioną w 1991 roku Odznakę „Za Zasługi dla Miasta Łodzi”.

A oto lista i charakterystyka wyróżnionych w tym roku:

### Odznaki zbiorowe

**Łódzkie Towarzystwo Muzyczne im. Karola Szymanowskiego** jest kontynuatorem organizacji, która powstała już sto lat temu. Zrzesza muzyków, pedagogów oraz melomanów, którym leży na sercu umuzykalnianie mieszkańców Łodzi. Jest inicjatorem takich znaczących festiwali jak *Muzyka u św. Teresy*, *Muzyka w Starym Klasztorze* (w Łagiewnikach) oraz *Muzyka Latem* (w Grotnikach). Patronuje także Festiwalowi Muzycznemu „Ziemia Obiecana”.

ŁTM prowadzi Ogniska Muzyczne, w których kształci się uzdolniona młodzież oraz organizuje w szkołach, a nawet przedszkolach liczne koncerty służące muzycznej edukacji społeczeństwa.

**Oddział Łódzki Stowarzyszenia Polaków Poszkodowanych przez III Rzeszę** skupia w swoich szeregach ponad 40 tys. ofiar hitlerowskich represji. Dzięki jego wysiłkom 35 tys. mieszkańców Łodzi i województwa uzyskało rekompensatę i pomoc finansową wartości ponad 70 mln zł.

**Towarzystwo Przyjaciół Łodzi** działa od czterdziestu lat, a zrzeszając wielu pasjonatów nie tylko upowszechnia wiedzę o mieście, jego tradycjach i zabytkach, ale organizuje opinię publiczną wokół wielu inicjatyw służących przyszłości. Jest żywym potwierdzeniem hasła: *Poznać znaczy pokochać*. To z jego inicjatywy odbyło się wiele jubileuszy wybitnych łódzian (Tuwim, Rubinstein, Tansman, G. Bacewicz), a cykle spotkań: *Sagi łódzkie*, *Z łódką w herbie*, *Czy Łódź ma przyjaciół?*, *Łódzkie naj... czy też cosobotni Spacer po Łodzi* w bezpośredni sposób sprzyjają rozwojowi patriotyzmu lokalnego. TPŁ patronowało takim ważnym inicjatywom wydawniczym jak *Śpiewnik łódzki*, *W cieniu alei cmentarnych*, *Łódzkie adresy Juliana Tuwima* czy *Leon Schiller*. Czynn timer także włącza się do obchodu Międzynarodowego Dnia Teatru przyczyniając się do popularyzacji dokonań artystów scen łódzkich czemu służą przyznawane od wielu lat „Srebrne Łódki”, mając rangę poważnego wyróżnienia.

### Odznaki indywidualne

**Mieczysław Cieślak**, ordynariusz ewangelicko-augsburskiej diecezji warszawskiej z siedzibą w Łodzi, wykładowca Chrześcijańskiej Akademii Teologii

jest twórcą stacji socjalnej Joannitów przy parafii św. Mateusza i inicjatorem budowy domu spokojnej starości. Jako biskup działa na rzecz ekumenizmu.

**Michał Dalecki**, nauczyciel związany ze Studium Języka Polskiego dla Cudzoziemców Uniwersytetu Łódzkiego jest jednocześnie człowiekiem pióra, którego twórczość związana jest z Łodzią. Autor licznych tomów wierszy i satyry: *Kolekcja czułości*, *Sezon na rezon*, *Rzeczy nasze pospolite*, *Zmowy, parady i korowody*, *Świadek przechodzi*, *Wiatyk*.

**Jerzy Drażkiewicz**, inżynier szczególnie zasłużony dla Polskiego Zrzeszenia Inżynierów i Techników Sanitarnych, ceniony projektant, autor licznych patentów. W 1987 roku wpisany do honorowej Księgi Zasłużonych Techników w Łodzi prowadzonej przez Naczelną Organizację Techniczną.

**Andrzej Głoskowski**, aktor związany z Teatrem im. Stefana Jaracza, odtwórca wybitnych ról w takich spektaklach jak: *Woyzeck*, *Tańce w Ballybeg* czy *Trzy siostry*. Laureat wielu nagród i wyróżnień za działalność sceniczną. Jest wykładowcą w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi.

**Witold Hryniewiecki**, zasłużony kombatan, żołnierz oddziałów partyzanckich Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej na Zamojszczyźnie. Po wojnie pracował w przemyśle gumowym. Autor książek: *My z Zamoyszczyzny*, *Nie dla nich zabrzmiały fanfary*, *Wyrzuceni za burtę*, odznaczony m. in. Krzyżem Walecznych, Krzyżem Partyzanckim, Krzyżem AK, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

**Wiesław Kaczmarek**, działacz spółdzielczy, informatyk, aktywnie pracuje w Łódzkim Forum Organizacji Pozarządowych FIP. Członek Towarzystwa Opieki nad Zabytkami (obecnie prezes oddziału łódzkiego). Położył duże zasługi w popularyzowaniu zabytków miasta nad Łódką.

**Maciej Małek**, aktor związany z Teatrem im. Jaracza w Łodzi, odtwórca ról komediowych i dramatycznych, współtwórca nagradzanych spektakli *Krewniaki* i *Pan Paweł*. Jest prezesem łódzkiego Związku Aktorów Scen Polskich.

**Krzysztof Pawlak**, twórca sukcesu gospodarczego Fabryki Kosmetyków Pollena-Ewa w Łodzi, działa na niwie społecznej wspierając finansowo domy dziecka i domy pomocy społecznej, a także szkoły i przedszkola. Laureat licznych nagród w dziedzinie businessu.

**Ewa Peplińska-Chałaj**, działaczka Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Węgierskiej, prezes oddziału łódzkiego tej organizacji. Jest także utalentowaną fotograficzką. Przyczyniła się do wypromowania Łodzi nie tylko w Budapeszcie, ale w całym euroregionie naddunajskim.

**Mirosław Pietkiewicz**, wybitny organista, profesor Akademii Muzycznej w Łodzi. Nagrywał dla radia, telewizji i filmu w wielu krajach. Jest inicjatorem cykli koncertowych stanowiących ważne wydarzenia muzyczne w życiu Łodzi: Dni Bachowskich, Dni Muzyki Mozarta, Dni Muzyki Haydna, Dni Muzyki Haendla i Mendelssohna, Cztery Wiek Muzyki Organowej, Klasycy Muzyki

Organowej, Dzieła Jana Sebastiana Bacha. Jest także cenionym krytykiem muzycznym.

**Andrzej Pilarski**, inspektor w Oddziale Inwentaryzacji Wydziału Geodezji, Katastru, i Inwentaryzacji UMŁ zasłynął z doskonale przygotowanych pod względem merytorycznym odwołań od decyzji wojewody łódzkiego. Dzięki temu gmina Łódź stała się właścicielem wielu należnych jej gruntów, a także odzyskała majątek o dużej wartości.

**Krystyna Radziszewska**, nauczyciel akademicki w Katedrze Językoznawstwa Niemieckiego i Stosowanego na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Łódzkiego. Wraz ze swymi studentami zainicjowała książkę *Niemieckimi śladami po ziemi obiecanej*. Patronowała także publikacji *Gdzie są Niemcy z tamtych lat? Rozmowy po latach*. Prowadzi na uniwersytecie seminarium „Niemieckie ślady w Łodzi.”

**Zygmunt Urbański**, pilot września, uciekł z sowieckiej niewoli w 1939 roku ale ponownie ujęty trafił do obozu w Kozielsku i niemal cudem uniknął losu polskich oficerów zamordowanych przez NKWD. Od blisko 30 lat działa w Klubie Seniorów Lotnictwa przy Aeroklubie Łódzkim, który opiekuje się Miejscami Pamięci Narodowej związanymi z II Wojną Światową oraz mogiłami lotników.

**Ryszard Więckowski**, profesor w Uniwersytecie Łódzkim (Katedra Pedagogiki Przedszkolnej i Wczesnoszkolnej), autor oryginalnej koncepcji kształcenia nauczycieli specjalizujących się w pedagogice wieku dziecięcego i wczesnoszkolnego. Był inicjatorem powołania w Zgierzu Wyższej Szkoły Zawodowej, członek komitetu redakcyjnego *Przeglądu Edukacyjnego* – pisma oświatowego regionu łódzkiego.

**Mirosław Zbigniew Wojalski**, zaczął swoją wielką przygodę z Łodzią jako przewodnik turystyczny. Dziś jest autorem wielu cenionych książek (m. in.: *Działo się to w Łodzi*, *Kieszonkowa kronika dziejów Łodzi*, *575 lat miasta Łodzi*, *100 lat tramwajów łódzkich*, *O niektórych łódzkich szkołach*, *Cmentarz Żydowski w Łodzi*, *Łódzkie telefony nie mają jeszcze 100 lat*, *Orbity Sputników były obliczane w Łodzi w latach 1932-33*, *Widoki starej Łodzi na starych i nowych widokówkach łódzkich*). Najnowszą jego pracą jest *Koleją do Ziemi Obiecanej*, która znajduje się jeszcze w druku. Utalentowany fotografik. Położył duże zasługi dla ochrony łódzkich zabytków.

**Jerzy Wojtkowski**, człowiek niezmiennie kojarzony z przemysłem włókienniczym, z którym związał swoje życie zawodowe. Jako długoletni pracownik handlu zagranicznego przyczynił się do eksportu produktów łódzkich fabryk na rynki światowe. Od 1993 roku jest prezesem Polskiej Izby Przemysłu Tekstylnego, która niestrudzenie walczy o utrzymanie tradycyjnych miejsc pracy w Łodzi. Jest członkiem zwyczajnym Akademii Inżynierskiej w Polsce. W 1994 roku okrzyknięty został „Włókiennikiem roku” za promowanie i realizację strategii na rzecz przedsiębiorstw przemysłu tekstylnego.

## Spis treści

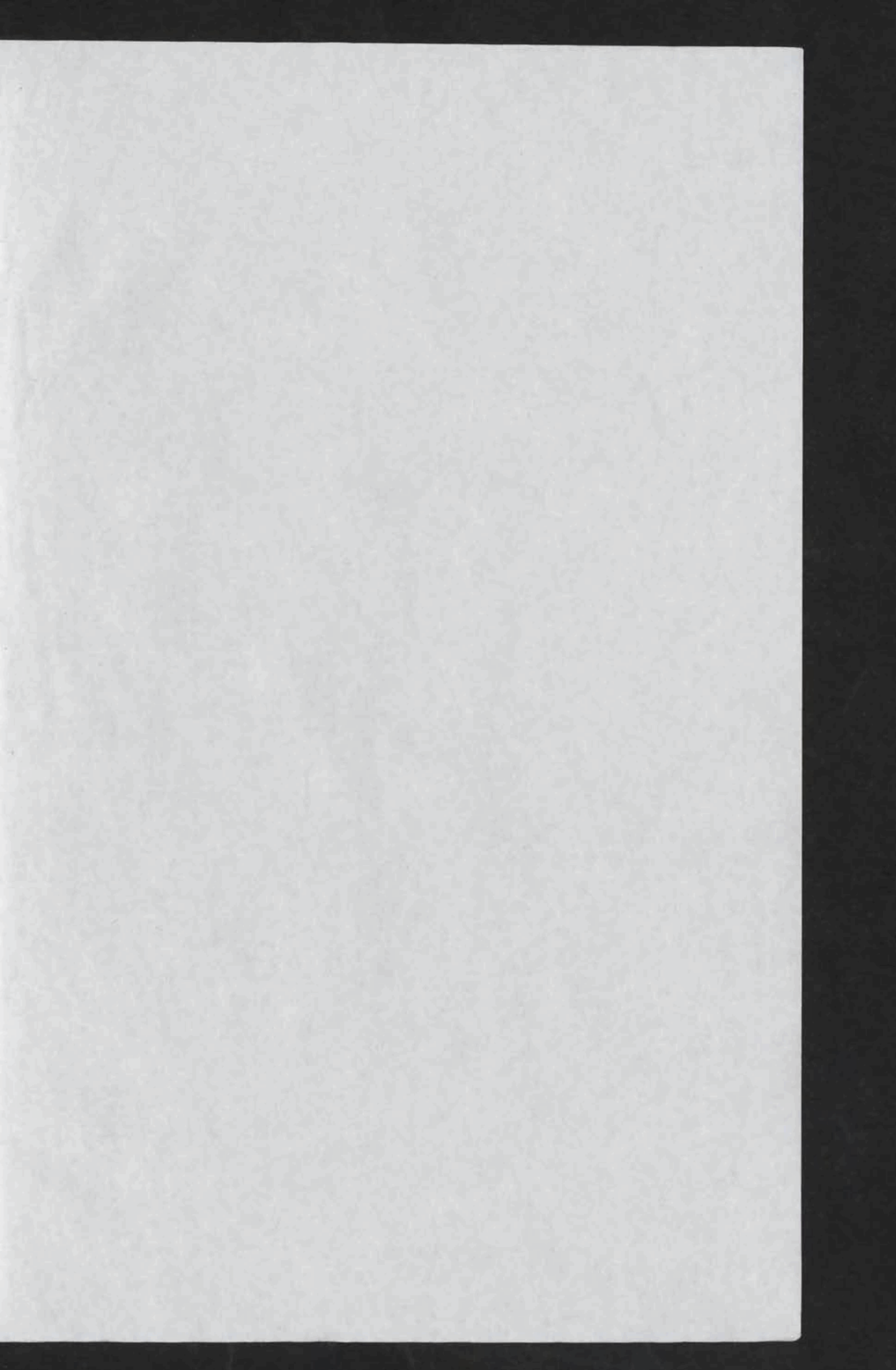
	<i>Pauperyzacja środowiska akademickiego. Rozmowa Stanisława Bąkowicza z prof. dr hab. Stanisławem Liszewskim, rektorem Uniwersytetu Łódzkiego</i>	5
22823		
23825	Lucjusz Włodkowski, <i>Dzieje łódzkich mediów</i>	15
23826	Edward Szuster, <i>Za czterdzieści parę lat, jak dobrze pójdzie...</i>	29
23827	Jerzy Wilmański, <i>Sto lat humoru i satyry w Łodzi</i>	39
23828	Wiesław Machejko, <i>Kartki z historii STS „Pstrąg” (cz.1)</i>	55
23829	Andrzej Kempa, <i>Łódzkie inicjatywy kulturalne</i> <i>Przeclawa Smolika</i>	67
23830	Janusz Dunin, <i>Roman Kaczmarek –</i> <i>dyrektor, poseł i bibliofil (1912-1985)</i>	77
23848	Juliusz Cyperling, <i>W życiu jak w teatrze</i>	87
23849	Andrzej Horst, <i>Łódzkie oficyny wydawnicze.</i> <i>Oficina Bibliofilów</i>	93
23850	Andrzej Frontczak, <i>Zagrożenie i nadzieje zdrowotne łodzian</i> <i>na przełomie wieków</i>	101
23851	Jan Nosko, <i>Instytut Medycyny Pracy</i> <i>im. prof. dra med. Jerzego Nofera w Łodzi</i>	107
23852	Lucyna Hoszowska, <i>Duch miejsca, duch sztuki</i>	125
23853	Andrzej Karolczak, <i>Muzeum w Białej Fabryce</i> <i>Poeci Łodzi</i> 23854, 55, 56	141
23857	Maria Kępińska, <i>Naprzód bez wytchnienia</i>	147
23858	Tadeusz Bogalecki, <i>Rozbrajanie Niemców w Łodzi</i> <i>w listopadzie 1918 roku</i>	153
23859	Stanisław Bulkiewicz, <i>Znaki pieniężne getta łódzkiego</i>	169
23860	Jerzy Jędrzejewski, <i>Gen. bryg. Leopold Okulicki w Łodzi</i>	181

Leszek Olejnik, <i>Mniejszości narodowe w Łodzi w latach 1945-1950</i>	193	23861
Waldemar Bohdanowicz, <i>Renowacja kościoła ojców Jezuitów w Łodzi</i>	205	2386P
Adam Ochocki, <i>Najpiękniejsza pamiątka</i>	211	2386P
Jerzy Wilmański, <i>Podróże Andrzeja Gruna</i>	219	23870
<i>Nagrodzeni i odznaczeni</i>	224	—
<i>Gwiazdy zamiast jemioly</i>	225	23871
<i>Zarząd Miasta Łodzi</i>	226	23872
<i>Skład Rady</i>	229	—
<i>Kronika wydarzeń</i>	231	23873
<i>Zasłużeni dla miasta 1999</i>	233	23586

Adres redakcji:  
90-004 Łódź, ul. Piotrkowska 104 p.07  
tel. 638 40 10 fax 638 40 90  
Wydawca: Zarząd Miasta Łodzi

Skład, druk i oprawa:  
Oficyna Bibliofilów sp. z o.o.  
93-492 Łódź, ul. Bolesława 13





10671-A





ISSN - 1231-5354